

— PAWEŁ LACH —

PIEŚŃ O KRUKU

Oto prawdziwa
awanturyczna przygoda
w świecie wikińskich
legend.

Jacek Łukawski



FANTOM

PAWEŁ LACH

PIEŚŃ
O KRUKU

FANTOM

Książkę dedykuję koleżankom i kolegom z Oświęcimskiego Klubu Fantastyki

...To nie baśń, choć prawda została upodobniona tu do zmyślenia, które się skrzy od blasku sekretnych skarbów i mieni od słodkich zaklęć, co koją strach i wzbudzają śmiech.

Owszem, w bajaniach rzuconych na wiatr odzywają się czasem głosy, że Bjarni, zwany Krukiem, mógł nie istnieć naprawdę. To jednak wymysły ludzi, dla których snucie opowieści jest narzędziem podobnym do młota w rękach pracowitego kowala lub sieci zarzuconej w morze przez rybaka. Pieśniarze wiedzą bowiem doskonale, że za kunsztowne kłamstwo słuchacze chcą płacić więcej, niżli za prawdę. A gdy w oczach snującego opowieść zacznie jarzyć się blask podstawionej pod nos monety, to potrafi on wymyślić każdą bzdurę, byle dodać czarowi wieczornej biesiadzie i sprawić, by karczmą lub dworem zawładnęły oklaski.

Ja go jednak spotkałem, moi słuchacze. Piłem z nim miód z tego samego garnca i grzałem kości przy jednym ognisku, słuchając o zapomnianych przez ludzi szlakach, z których niemal nikt nie powrócił żywym, a ci, którzy je przeszli, wracali odmienieni.

Gdyby tylko Bjarni wiedział, że dzień świtu jego chwały będzie zarazem dniem zguby i zmierzchu, żadna z mych opowieści nie zostałaby wam przekazana, a świat jawiłby się jako szczęśliwsze miejsce, gdzie mniej jest trosk zrodzonych z krwi...

Z „Sagi o Kruku”

I. Przekleństwo Glamrunga

Bjarni podniósł do ust róg wypełniony miodem, ale szybko skrzywił się – w złotym trunku trudno było odnaleźć spodziewaną słodycz i czar. Wyglądając przez okno portowej gospody, mężczyzna posępniał za to coraz bardziej. Na zewnątrz cienie pochmurnego dnia okradały świat z barw i ciepła. Fale uderzały z wściekłością o wybrzeże, podmywając klify. Wiatr wciąż zawodził głucho, przywołując tajemnicze i obce głosy, jakby dalekie echo nieznanymi krain leżących za morzem. Wilgoć wdzierała się wszędzie.

Żaden znak na morzu, w przestworzach i na lądzie nie zapowiadał, by sztorm miał się rychło skończyć.

– Najchętniej wypłynąłbym jeszcze dziś, by poszukać nowych przygód – powiedział Bjarni, zwracając się do siedzącego przy stole siwobrodego starca imieniem Herjolf. – Zbrzydł mi już ten smętny widok. Łodzie stoją w porcie i dryfują na falach. Wydają się martwe, gdy ich żagle są opuszczone.

– Obawiam się, że zabawisz tu jeszcze długo. – Wieszczyk wziął do ręki garść zwierzęcych kości i rozrzucił je na stole. Przypatrzył się im z uwagą, coś szepnął pod nosem i pokręcił z dezaprobatą głową. Jakiś błysk pojawił się w oku wróżbity. – Bogowie nie są ci przyjaźni – zawyrokował po chwili z posępną miną. – A raczej postanowili się zabawić twoim kosztem.

– Co tam jeszcze wyczytałeś, starcze, w tych swoich kościach? – rzucił Bjarni i spoglądając na wieszcza, zaczął bawić się srebrną monetą; przekładał ją pomiędzy palcami, aby blaskiem kruszcu ożywić nieco wyobraźnię siwobrodego. – Dostaniesz monetę i postawię ci jeszcze garniec miodu, jeśli wróżba będzie dobra.

– Los da ci szansę – powiedział Herjolf, patrząc się w kości. – Ale musisz być ostrożny. Inaczej przez swoją pychę narazisz się na gniew bogów. Nie zdradzaj pochopnie swojego imienia... To jeszcze jedna rada. Kto zna imię człowieka, może zawładnąć jego żywotem! Słyszę, jak ktoś rzuca nie ciebie przekleństwo. Potężne przekleństwo, od którego nie ma ucieczki, bo nie zrodziło się w ludzkim gardle.

– Zasłużyłeś na srebrną monetę i garniec napitku – mruknął Bjarni odwracając ze wstrętem wzrok od morza i ponownie podnosząc do ust róg z resztką niedopitego miodu. – Inni widząc sowitą zapłatę w garści oczekującego na pomyślną przepowiednię, zaczęliby z chciwości mówić o wielkich bogactwach, podbitych królestwach i niekończącym się pochodzie łaskawych kobiet. Przynajmniej masz dość odwagi, by wyjawić prawdę... Albo niepochlebne kłamstwa! – Bjarni zaśmiał się głośno. – Mnie tam wszystko jedno. Nie bardzo przejmuję się wróżbami, choć lubię, dla żartu, słuchać krętactw wieszczących. Powiedz zatem, czy widzisz może w swoich kościach jakąś szansę na poprawę

pogody?

– Żaden okręt nie wypłynie przez trzy najbliższe dni, to pewne. Nie potrzebuję wróżb. Ty także... Nie w kościach to zobaczyłem, ale w szarzejącym horyzoncie.

Bjarni widząc ponure oblicza zasiadających w karczmie kupców i żeglarzy, doskonale zdawał sobie sprawę, że to prawda. Nawet tutaj, gdzie blask migoczącego paleniska wypełniał żywym światłem izbę, czuć było chłód i niepokój.

– No nic, muszę poczekać na lepszy czas – powiedział Bjarni ze złością. – Trudno. Powiedz mi za to, czy jest w okolicy jakiś możny pan, któremu mógłbym się przesłużyć swym mieczem? Skoro nie zdążę tam, dokąd zmierzam, to może chociaż znajdę sobie tutaj zajęcie, które zabije nudę deszczowych dni?

– Jarl Hagard, który włada okolicą, ma swój dwór nad zatoką. To jakieś trzy dni marszu wybrzeżem, bo, jak widzisz, łodzią nie da rady się przepawić. Mógłbyś też... – Starzec zawahał się. – Jest krótszy szlak, który prowadzi przez góry. Nie radziłbym ci jednak obierać tej drogi.

– A to czemu?

– Nie słyszałeś o Glamrungu? – Herjolf pochylił się nieco i zebrał swoje kości do skórzanego woreczka. Imię wypowiedziane przed chwilą wywołało pewne poruszenie w gospodzie. Niektóre twarze zbladły. Cześć z biesiadników zaczęła przypatrywać się Bjarniemu i wróżbicie z niepokojem. Bjarni, którego z powodu czarnych włosów i brody zwano Krukiem, budził obawy tutejszych – nie wyglądał bowiem jak człowiek Północy.

– Glamrung, mówisz? – Najemnik zaczął się zastanawiać. Imię, które przywołał starzec, nie było mu całkowicie obce. – Mówiło się tu i ówdzie o olbrzymie noszącym takie miano. Chcesz powiedzieć, że wysłaniec Jotunheimu zamieszkał w tutejszych górach? – zapytał Bjarni z niedowierzaniem.

– Nie inaczej – przytaknął Herjolf. – Czas jest niespokojny. Bogowie mieszają się w sprawy ludzi, a nasze trakty nie są zbyt wąskie dla olbrzymów. Glamrung rozsmakował się teraz w ludzkim mięsie, przynajmniej odkąd pasterze przestali przepędzać swoje stada przez góry i zabrakło owiec. Raz na jakiś czas znajdzie się odważny, albo głupi, który próbuje przemknąć górskim szlakiem. Żaden już nie powrócił. Teraz to martwe pustkowie.

Bjarni zadumał się.

– Mówiłeś, że czeka mnie chwała – odezwał się po chwili. – Może to znak, bym spróbował swych sił? Wyzwanie, jakiemu nie sprostał jeszcze nikt? To może być coś, co poprawi mi humor...

– Chciałbyś się zmierzyć z Glamrungiem?

– Dlaczego nie? – odparł Bjarni. – Pora przypomnieć o sobie skaldom. A jeśli przyniosę na dwór jarla Hagarda głowę olbrzyma, pewnie nie ominie mnie

nagroda.

– Nie słuchałeś widać moich przepowiedni z uwagą – powiedział starzec chytrze, chowając do woreczka kości. – Los spróbuje z ciebie zadrwić. Lepiej nie szukać teraz wyzwań i zaszyć się w cichym kącie, gdzie wzrok bogów nie sięga. Poczekaj, aż zapomną o tobie. To powinno nastąpić niebawem, bo panowie Asgardu szybko się nudzą. Posiedź jeszcze w porcie tydzień lub dwa, a los może się ponownie do ciebie uśmiechnie.

– Słuchałem twoich przepowiedni jedynie dla żartu – rzucił Bjarni. – Jak powiedziałem, nie przejmuję się zbyt wróżbami.

– Powinieneś jednak przejąć się, kiedy słyszysz o ludzkich kościach zalegających w dolinie.

– Być może. Mówią, że ogień powinno się zwalczać ogniem. Radzą też, by mieczem odpierać atak tego, kto z mieczem w ręku uderza. Ale na siłę, ogrom i moc Jotunheimu nic nie poradzi siła człowieka. Widać nie wiedzieli tego ci, których kości wspominasz.

– Masz rację – przytaknął Herjolf. – Nawet setki ludzi nie starczy, gdy nie ma sposobu. Widzę zatem, że zdecydowałeś już. – Starzec wzruszył ramionami. – To twój wybór. Jesteś człowiekiem wolnym, masz do niego prawo. Ale moje rady mogą być ci pomocne. Glamrung jest silny i okrutny. Ma jednak swoje słabości.

– Doprawdy? – Bjarni ożywił się. – Czyżbyś je znał?

– Mieszkam w porcie od lat. W takim miejscu opowieści same przychodzą do człowieka. Wiele sekretów i dobrych rad dotarło do mych uszu, nawet gdy ich nie wyczekiwałem.

– Czekam zatem, aż uchylicz rąbka tajemnicy. – Bjarni nalał do kubka miodu i postawił przed wieszczem.

– Dałeś mi srebrną monetę, bym odsłonił tajniki przyszłych dni – powiedział Herjolf szeptem. – Nie sądzisz chyba, że powiem ci cokolwiek więcej, jeśli nie zapłacisz dodatkowo?

– Brawo! – zawołał Bjarni. – To rozumiem. Jesteś chytry i przebiegły. Cenię takich. – Mężczyzna sięgnął do sakiewki. – To jak, zadowolisz się jeszcze jedną srebrną monetą?

– Powiedziałeś, że wróżby są dla ciebie nic nie warte, a mimo to za wysłuchanie moich prorocत्व dałeś srebrną monetę i postawiłeś na stole napitek. Dobra rada, w tym wypadku bezcenna, musi być warta więcej, prawda? Ja ci mówię zatem, że dasz mi złotą monetę, a wiem, że chowasz ją w swojej sakwie.

– Mógłbym dowiedzieć się tego, co jest mi potrzebne, nie płacąc nawet miedziaka! Ale podoba mi się twoja przebiegłość. Mam jednak inną propozycję. – Bjarni nachylił się w stronę wieszca, szczerząc zęby. – Będę hojny. Dam ci dwie złote monety.

– Nie myślę, by kryła się za tym hojność. – Herjolf mrugnął okiem. – Raczej

roztropność.

– Tak, mój wieszczu. Dostaniesz dwie złote monety, ale dopiero wtedy, gdy twoje rady okażą się przydatne, a ja będę mógł za czuprynę podnieść odciętą głowę Glamrunga. Jeśli nie, postąpię tak z twoją głową. Zgoda?

– Są propozycje, które nieroztropnie byłoby odrzucać, zwłaszcza gdy składa je człowiek zbrojny w miecz, prawda? Przystaję na ten układ. Zresztą nie ryzykuję wiele. Jeśli nie wykorzystasz dobrze moich rad, nie będziesz miał już okazji szukać zemsty na mnie. Górską przełęcz stanie się także i twoim grobem. Sam jednak wybrałeś. Posłuchaj zatem, co mam ci do powiedzenia...

Wydawało się, że światła wewnątrz karczmy przygasły, a lodowe wichry mocniej zawiodą nad zatoką, gdy starzec zaczął snuć swoją opowieść.

Bjarni Kruk słuchał uważnie i z każdą chwilą uśmiechał się coraz bardziej.

* * *

Dolinę zasnuwała podobna do szarego dymu mgła, której nie były w stanie rozwiać słabe podmuchy przesiąkniętej wilgocią bryzy. Trudno było dojrzeć cokolwiek dalej niż na kilka kroków przed sobą. Gdzieś wyżej wznosiły się niewidoczne teraz i przykryte śniegiem wierzchołki gór. Mogło się wydawać, że to bezpieczne, choć opustoszałe miejsce. Jednak widok ludzkich i zwierzęcych kości, które piętrzyły się pośród poszarzałych traw, sprawiał, że zwodnicze poczucie spokoju przyskało.

Samotny wędrowiec wyłonił się z mgieł i przystanął. Choć oczy przesłaniał opaską, to pozostałe zmysły sporo mu podpowiedziały. Z pewnością nie był tu sam. Ktoś, i to nie byle kto, zastąpił mu drogę.

– Słyszę twój głos, który dobiega z wysoka – odezwał się wędrowiec. – Musisz być zatem wielki jak drzewo. Czuję twój oddech, który dobywa się z niezwykle szerokiej piersi, bo gdy wypuszczasz powietrze, mam wrażenie, że zrywa się wiatr. Gdy robisz krok, ziemia lekko się trzęsie. Mój nos czuje zapach resztek ludzkich ciał, a dusza wciąż wyczuwa strach tych, którzy przemierzali dolinę, a teraz są martwi... Nie widzę cię, bo jestem ślepcem, ale mimo to mogę powiedzieć o tobie bardzo wiele. Jeśli zatem nie pomyliłem się w swych sądach, musisz być olbrzymem. A jeśli tak, to zwiesz się Glamrung, bo nie znają te góry innego giganta!

– Rzeczywiście, nie mylisz się – odparł Glamrung, który przysiadł na wielkim kamieniu, tuż obok traktu i spoglądał na szlak ze znudzeniem, trzymając się za wydęty z głodu brzuch. Olbrzym dawno już nie miał gości. Ten, który przybył wraz ze świtem, był wyjątkowy. Okryty długim, podziurawionym płaszczem, jedynie z kosturem w rękę, bez konia i z opaską, która przysłaniała oczy; niewidomy, samotny, bezbronny. Glamrung uśmiechnął się tylko. Osobliwy gość, rzeczywiście.

Potem jednak olbrzym zaczął rozmyślać. Czy aby nie był to jakiś podstęp? Z głodu Glamrungowi pociemniało w oczach. Nie miał sił i ochoty zastanawiać się za wiele. Teraz liczyło się jedno – pusty brzuch, bezdenna głębia, która nienawidziła próżni.

– Prawdę mówili zatem ci, którzy opowiadali o Glamrunku w portowej karczmie! – zawołał z podziwem ślepiec.

Olbrzym, któremu głód coraz bardziej doskwierał, powstał, by pochwycić swoją zdobycz. Przystanął jednak po dwóch krokach.

– A cóż takiego opowiadali?

– Ludzie mówili, że jesteś największym i najstraszliwszym z dzieci Jotunheimu! Że nikogo nie przepuścisz żywego przez te góry i że boją się ciebie okoliczni jarlowie!

Glamrung, który miał słabość do opowieści i był łasy na komplementy, uśmiechnął się.

– Prawdę zatem mówią – odparł z zadowoleniem. – Wszystko się zgadza.

– Krąży wiele opowieści o twojej potędze – mówił dalej ślepiec, głaszcząc się po czarnej brodzie. – Skaldowie układają pieśni. Matki straszą tobą dzieci. Młodzi mężczyźni przechwalają się, który z nich pierwszy zabije Glamrunga. Nie ma jednak śmiałka gotowego rzucić tobie wyzwanie. Jarlowie rwą sobie włosy z bród, rozmyślając wciąż, jak pozbyć się kłopotu.

Bardzo się to wszystko spodobało Glamrungowi. Przysiadł na chwilę wśród mgieł i kości, a potem zaczął rozmyślać o swojej sławie. Nagle nieco złagodniał.

– Jeśli zatem wszyscy wiedzą o tym, że władam okolicą i boją się mnie tak bardzo, to dlaczego zapuściłeś się aż tutaj na pewną śmierć?

– Jestem kaleką – odparł wędrowiec. – Czy nie dostrzegłeś tego? Łatwo ze mnie zadrwić. Ludzie bywają okrutni. Dla zabawy wskazali mi ten szlak, wmawiając, że jest bezpieczny. Ktoś mi nawet pomógł i zaprowadził tu, a potem uciekł.

Mogło rzeczywiście tak być. Olbrzym nie znał co prawda świata ludzi zbyt dobrze, ale lubił przysłuchiwać się krążącym o nim historiom, a odkąd rozsiadł się w dolinie, polubił także ludzkie mięso. Jeśli ludzie żyjący w okolicy byli podobni do tych, których spotykał w opowieściach, to nie zdziwiło Glamrunga, że byli w stanie z kogoś zadrwić w tak okrutny sposób.

– No tak – odezwał się olbrzym bez cienia żalu – mieszkańcy portowego miasteczka oszukali cię i zgotowali okrutny los. Pociesz się chociaż, że zaznaczysz swoją obecność w opowieściach powtarzanych przez wieki.

– Mimo że nie zaznałem od życia zbyt wiele dobrego, nie chcę jeszcze żegnać się z tym światem! – zawołał rozpaczliwie ślepiec.

– Co ja mogę na to poradzić? – zaśmiał się Glamrung, aż zatrzęsała się ziemia. – Czuję ból w żołądku... Straszliwy ból! I czuję go niestety mocniej z każdą

upływającą chwilą. Jeden jest na to sposób, a ty właśnie jesteś dla mnie ratunkiem. Nie rozpalę nawet ognia, by zagrzać twoje mięso. Szkoda na to czasu.

– Poczekaj jeszcze! Daj mi szansę.

– Szansę? Jak cię zwa, zuchwalcze?

– Noszę imię Ingolf, a zwa mnie po prostu Ślepcem.

Brwi Glamrunga zmarszczyły się. Olbrzym miał wrażenie, że słyszał już kiedyś to imię. Był pewien, że ktoś opowiadał mu o jakimś Ingolfie. Ale głód mącił zmysły i stępiał pamięć.

– Powiedz mi zatem, Ingolfie – odezwał się olbrzym po chwili rozmyślań – dlaczego miałbym darować ci życie? Czy kiedykolwiek w opowieści, którą słyszałeś na szlaku, ktoś obdarzył mnie takim przymiotem jak litość?

– Nigdy, Glamrungu. Nie podejrzewałbym cię nawet o taką słabość charakteru jak litość. Ale mawiają ludzie, że żywisz pewną namiętność. Wiem doskonale, że choć jesteś synem rodu olbrzymów, to nosisz w sobie pożądanie, typowe dla ludzi, a zwłaszcza karłów, które zamieszkują świat podziemi. Kochasz złoto i uwielbiasz wpatrywać się w jego blask!

Olbrzym spochmurniał. Bardzo wiele wiedział o nim ten nieznajomy wędrowiec. Zbyt wiele. Ale to, co powiedział ślepiec, było prawdziwe.

– Co jednak z tego? – odezwał się Glamrung, zbliżając się do Ingolfa. Przyklęknął na jedno kolano i schylił głowę, by lepiej przyjrzeć się wędrowcowi. – Zebrałem trochę pierścieni i złotych spinek od tych, którzy przemierzali szlak. Owszem, bardzo to cieszy moje oko. Ale ty nie wyglądasz na kogoś, kogo ludzie zowią królem. A przecież tylko królowie mają skarbcę pełne złota!

– Czy imię Ingolf nic ci nie mówi?

– A powinno? – rzucił ze złością Glamrung. – Wiem tylko tyle, że mięso ludzi jest dobre i doskonale syci, bez względu na to, kto jakie imię nosi. To mnie interesuje w tej chwili. I tylko to!

– Ale musiałeś słyszeć – zaczął Ingolf, cofnąwszy się o krok – o wielkim skarbie Sigurda Zdobywcy, który był potężnym jarlem? Nie mylę się? Lubisz przecież opowieści. Musisz znać i tę... Wiesz dobrze, pewnie od tych, którzy zapuszczali się na tutejsze szlaki, że Sigurd pochował w górach swoje skarby. Zwoził złoto co rok, gdy długie łodzie wyprawiały się daleko na Zachód. Nikt jednak nie wie, gdzie to wszystko przepadło, bo rozdawszy część łupu swojej załodze, dla reszty złota i kosztowności znalazł sekretne miejsce. A potem jarl wypłynął raz jeszcze na morze i nie powrócił. Skarb jednak pozostał gdzieś w górach.

– Tak, znam tę opowieść doskonale – powiedział Glamrung. – Ale nikt nie znalazł skarbu do tej pory. Sam szukałem, gdy jeszcze głód mi nie doskwierał. Sigurd zabrał do zaświatów swoją tajemnicę. A może i czary strzegą porzuconego złota? Kto wie?

– Czekaj, czekaj! – zawołał Ingolf, czując, że olbrzym jest już bardzo blisko, bo wstał z trudem z klęczek i zrobił tylko krok do przodu. – Był ktoś, komu Sigurd zdradził swój sekret. Jeden z młodzieńców z załogi, która łupiła ziemie na Zachodzie. Był to syn jarła. On pomagał ojcu zanosić skarb do górskiej pieczary. Ale żądza bogactwa była tak wielka, że Sigurd oślepił własnego syna, by ten nie dotarł potem do złota. Nie była to jednak wystarczająca gwarancja dla okrutnika. Przyszła jarlowi do głowy myśl, że pewnośc zyska tylko wtedy, gdy wyprawi potomka w zaświaty. Nie zdążył jednak splamić się zbrodnią, bo młodzieniec uciekł z pomocą swej siostry, która spoiła ojca miodem zmieszany z usypiającą miksturą... To tylko opowieść. Ale jest w niej wiele prawdy.

Glamrung schwyił swoją mocarną dłonią Ingolfa i podniósł go wysoko.



– Czy pamiętasz jakie imię nosił ten młodzieniec z opowieści skaldów? –

zawołał ślepiec. – Czy nie mówili na niego Ingolf? Czy to nie za duży zbieg okoliczności, że spotykasz w krainie, gdzie ukryte jest złoto Sigurda, kogoś, kto nosi to imię i kogo pozbawiono wzroku wiele lat temu?

– Mieszka mi się w głowie – powiedział olbrzym, chwiejąc się na nogach, ale nie wypuszczając ze swej dłoni ślepca. Skarb Sigurda, Ingolf, górski szlak, złote monety. Tego wszystkiego było za wiele. I ten głód! Dojmujący, przesywający bólem wnętrzości. Oj, Glamrung nie mógł się skupić na niczym innym!

– To ja jestem tym Ingolfem z opowieści, Glamrungu, synem Sigurda Zdobywcy, oślepionym przez własnego ojca. Doskonale pamiętam szlak, który prowadzi do miejsca, gdzie kryją się skarby. Nigdy nie widziałeś tylu worków pełnych monet! Złote puchary wysadzone drogimi kamieniami! Pierścienie! Miecze o złotych rękojeściach i tarcze lśniące od kosztowności! To wszystko może należeć do ciebie... Ja cię tam zaprowadzę, a ty darujesz mi życie.

– Dobrze, już dobrze... – powiedział Glamrung zmęczonym głosem. – Wyjaśnij mi tylko jedno. Czemu nie próbowałeś przez te wszystkie lata dotrzeć do złota z czyjąś pomocą?

– Czy nie poznałeś już dzięki opowieściom ludzi na tyle, by wiedzieć, że nikomu spośród człowieczego rodu nie można zaufać? Przekląłem złoto, które pozbawiło mnie wzroku, podobnie jak i przekląłem swego ojca. Moja siostra również, choć i tak nie żyła zbyt długo. Myślisz, że ktokolwiek podzieliłby się ze mną odszukanym złotem? Nikomu już nie można ufać! Na nic mi bogactwa, jeżeli sprowadziłyby na mnie śmierć. Ale jeśli skarby Sigurda pomogą wykupić się od niej, to wiem, że warto było ukrywać sekret przez tyle lat. Bierz sobie to złoto, Glamrungu, jeśli chcesz! Zabierz wszystko!

– Powiedz mi zatem, jak dotrzeć do skarbu, Ingolfie, synu Sigurda! – zawołał olbrzym, wpatrując się w wędrowca. W oczach Glamrunga rozbłysło palące się czerwienią pożądanie.

– Nie, nie zrobię tego – odrzekł Ingolf. – Nie jestem głupcem. Zgładzisz mnie i pozresz, gdy tylko poznasz sekretną drogę. Po prostu cię tam zabiorę. Jestem ci potrzebny. Szczelina w skałach, gdzie ukryto skarb, jest tak wąska, że ja sam ledwo się przecisnę. Nie wydobędziesz skarbu bez mojej pomocy. Daj jednak słowo, że puścisz mnie wolno, gdy złoto i kosztowności będą już twoje.

– Tak, tak! – powiedział Glamrung i uśmiechnął się chytrze. – Dam ci słowo, że tak będzie. Gdy tylko dostanę swoje złoto, puszcę cię wolno.

Olbrzym pomyślał, że to znakomita okazja, aby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

* * *

Strzeliste wierzchołki gór rozdzierały płachtę skłębionych obłoków. Przez szczeliny w chmurach przedzierało się blade światło, rozpraszające nieco mrok.

W tej partii gór śnieg zalegał grubą warstwą przez cały rok i tylko głębiej w dolinach tajał, odsłaniając brunatną trawę i mchy.

– Daleko... Daleko jeszcze? – zapytał Glamrung, urywanym, zmęczonym głosem.

– Nie, zbliżamy się już do celu – odparł Ingolf, który przysiadł na ramieniu olbrzyma. Czuł, że z każdym krokiem Glamrung słabnie. Gigant chwiał się na swych wielkich nogach i potykał coraz częściej. Ingolf musiał się mocno trzymać zmierzwioną czuprynę, by nie spaść. Glamrung często przecierał oczy ze zmęczenia. Pot perlił się na jego skroni.

– Widzę dwa wierzchołki gór podobne do kozlich rogów – odezwał się olbrzym, przystanąwszy na skraju przepaści.

– Czy po twojej prawej ręce otwiera się widok na rozległy płaskowyż?

– Jest dokładnie tak, jak mówisz – potwierdził Glamrung.

– Powinieneś zatem dostrzec stromą skałę, która niemal pionowo wznosi się wyrastając z wód jeziora. Widok ten wrył mi się w pamięć.

– Widzę i skałę.

– To nasz cel. Dalej! Dla twoich nóg to ledwie kilka kroków.

– Nie wiem, czy dam radę. Idziemy i idziemy... Wydaje mi się, że kluczymy!

– Tylko ci się zdaje – powiedział Ingolf. – Zresztą jesteśmy już o krok od celu. Chcesz teraz się poddać?

Glamrung mruknął coś pod nosem. Czując ciężar każdej przebytej mili, ruszył niemrawo przed siebie. Potknął się jeszcze dwukrotnie przemierzając skalistą dolinę. W końcu jednak dotarł na miejsce, oczywiście z Ingolfem na ramieniu.

– Musisz jeszcze wdrapać się na sam wierzchołek. Jeśli spojrzysz w górę, dostrzeżesz skalną półkę. Tam znajduje się wejście do pieczary – wyjaśnił Ingolf, gdy znaleźli się w cieniu wysokiej skały.

– Jeśli mnie oszukałeś, albo zadrwiłeś ze mnie, twoja śmierć będzie bardzo bolesna.

– Nie masz wyboru, olbrzymie. Musisz mi zaufać.

Glamrung ponownie przeklął i z trudem zaczął się wdrapywać na skałę. Jeśli coś trzymało go przy życiu, to jedynie myśl o górze złota, błyszczącego w słońcu, mieniącego się wszystkimi jego promieniami. A nawet jeśli Ingolf próbował oszustwa, to przecież nie mógł uciec. „Przynajmniej najem się do syta”, pomyślał Glamrung.

Nie było mu łatwo, ale olbrzym jakoś się wdrapał i zdyszany przysiadł na skalnej półce, zwieszając nogi w przepaść.

– Postaw mnie na ziemi – odezwał się Ingolf. – Czuję chłód bijący z wnętrza pieczary. Jesteśmy na miejscu.

– Chcesz wejść do środka? – zapytał Glamrung z chytrą miną. – A potem

znikniesz mi gdzieś w skalnym labiryncie i tyle cię widziałem! Sprytnie to sobie wymyśliłeś, nie powiem.

– Nie bój się, nie zniknę. Jeśli chcesz, to mam w swym tobołku linę. Przewiążesz mnie w pasie i wpuścisz do środka. Będziesz miał pewność, że nie ucieknę.

– Rozsądna propozycja – stwierdził Glamrung, nie mogąc się już doczekać widoku złotych monet.

Olbrzym obwiązał Ingolfa sznurem ciasno i zapieczętował więzy jakąś nieznaną śmiertelną mocą. Potem pozwolił ślepcowi zagłębić się w ciemnościach pieczary. Spoglądał uważnie jak Ingolf znika w czeluściach skalnego labiryntu, widząc tylko kolejne łokcie ginącej w mroku liny.

– Czy już je widzisz? Czy widzisz worki z kosztownościami? – pytał Glamrung z niecierpliwością.

– Zapomniałeś, że jestem ślepcem? – Głos Ingolfa dobiegł z dali, zdwojony przez odległe ściany pieczary. – Muszę iść ostrożnie, by się nie zgubić. Jeden nieuważny krok i wpadnę do jakiejś skalnej studni, z której już nie będzie powrotu. Wyciągniesz co najwyżej moje potrzaskane ciało, gdy w porę nie przytrzymasz liny.

– Zawsze to jakaś pociecha.

– Ale bardziej powinien cieszyć cię skarb Sigurda!

Lina zniknęła dalej w mrokach tajemnego przejścia. Niewiele jej już zostało. Glamrungowi z głodu i zmęczenia dwoiło się już w oczach. Ile jeszcze musiał czekać?

– Ingolfie, Ingolfie! – zawołał żałośnie. – Czy jest tam skarb? Czy znalazłeś złoto Sigurda?

Odpowiedziała mu tylko cisza. Błysk niepokoju przebiegł przez głowę olbrzyma. Czoło zmarszczyło się. W oczach zamigotała czerwień, tym razem nienawiści.

Glamrung pociągnął delikatnie za linę, a dla niego właściwie nic. Nie napotkał żadnego oporu. Zaczął zwijać linę coraz szybciej i szybciej. Wiedział już, że na jej końcu nie ma przywiązanego Ingolfa.

– Oszukałeś mnie! – zawołał i rzucił się w kierunku szczeliny.

– Nie oszukałem! – Z wnętrza jaskini dało się słyszeć znajomy głos. – Zmierzam ku tobie, ciągnąc pierwszy z worków wypełnionych kosztownościami. Lina się przetała na ostrym kamieniu. Zajrzyj tylko do jaskini, jak mi nie wierzysz! Czy widzisz już blask złota, które niosę ze sobą?

Glamrung przybliżył się do skalnej szczeliny. Nie mógł nawet zmieścić do niej swej ręki, tak była wąska. Przyłożył tylko oko, by zobaczyć cokolwiek.

Jakiś błysk, przemykający cień, tyle zdążył ujrzeć. A potem poczuł ból, piorunujący głowę i rozrywający oczodół.

Wrzask Glamrunga zadudnił głucho wśród gór. Olbrzym złapał się za twarz. Krew spływała obficie pomiędzy palców. Ból pulsował. Glamrung opadł na kolana. Uchylając dłoń dojrzał swym prawym, jedynym teraz okiem, jak z pieczary wyłania się postać, podobna do Ingolfa, ale jednak inna. Mężczyzna, który mu się ukazał, szedł pewnym krokiem, w rękę trzymając zakrwawiony miecz. Czy wcześniej skrył ostrze w grocie, planując podstęp? A może schował je pod żebraczym płaszczem? Nie przypominał już biedaka, ale wojownika.

Olbrzym ryknął, a potem rzucił się z wściekłością, by rozszarpać napastnika. Nogi zachwiały się pod nim. Krew buchająca z pustego oczodołu zalewała i drugie. Ciało odmawiało posłuszeństwa. Glamrung z trudem zrobił krok, tylko po to, by upaść.

– Jesteś żaloszny i głupi – zawołał Bjarni Kruk, który nareszcie zrzucił z siebie żebraczy strój i przepaskę ślepego. – Słusznie mówił wieszcz, że trzeba cię podejść i dobre dać mi rady. Połakomiłeś się na złoto Sigurda. Uwierzyłeś, że jestem ślepy i bezbronny, co stępiło twoją czujność. Potem dałeś się osłabić wędrownką przez góry. I jak myślisz? Czy sagi będą słać wielkiego Glamrunga, czy tego, który oszukał go jak dziecko i pozbawił życia?

– Dałeś mi słowo!

– Tak, masz rację – powiedział Bjarni. – Czy jednak ty chciałeś dotrzymać swojego? To nie oszustwo, gdy kłamstwem sprzeciwiamy się innemu występкови. Zresztą ważne co, będą mówić o tym zdarzeniu skaldowie. Może nie dowiedzą się, Glamrungu, o moim wiarołomstwie? W końcu to nie ty opowiesz pieśniarzom o naszej potyczce.

Słyszając te słowa, olbrzym zebrał w sobie jeszcze ostatek sił i z pianą na ustach rzucił się na Bjarniego. Ten uskoczył zręcznie i ciął giganta w goleń. Glamrung uklęknął, chwytając wielką dłonią okaleczoną nogę.

– Przeklinam cię! – zawołał olbrzym. – Przeklinam, Ingolfie! Niechaj pomyślność odwróci się od ciebie. Znaj siłę zakłęć!

– Nie sądzisz chyba, że wyjawilem ci prawdziwe imię? – Bjarni uśmiechnął się chytrze. – Możesz rzucać przekleństwami, ale nic ci to nie pomoże.

Wygłodzony, osłabiony długą wędrownką i okaleczony Glamrung poruszał się coraz wolniej. Na wąskiej, oblodzonej skalnej półce, jakkolwiek ruch przychodził mu z trudem. Bjarni ciął za to mieczem zaciekłe i chociaż sam czuł, że opada powoli z sił, jego przewaga stawała się wyraźna. Glamrung znalazł się w końcu na skraju przepaści. Wicher uderzył z wielką siłą, a Bjarni natarł z impetem. Trwało to chwilę, ale wydawało się, że czas zwolnił.

Olbrzym z krzykiem runął w mrok.

Łapiąc z trudem oddech, Bjarni podniósł do góry zakrwawiony miecz. Obłoczki pary ulatywały z jego ust, słycać było świst powietrza dochodzący z szerokiej piersi.

– Jestem Bjarni Kruk, syn Svena! – zawołał w kierunku pochmurnych niebios. – Upokorzyłem i zabiłem olbrzyma Glamrunga, pana tej krainy!

Na ustach Bjarniego pojawił się uśmiech. Dokonał tego. Pokonał jednego z synów Jotunheimu.

Ale uśmiech triumfu szybko zszedł z jego twarzy. Bjarni posłyszał jakieś chrobotanie i czyjś urywany oddech. Skoczył niezwłocznie w kierunku skalnej przepaści i spojrzał w dół.

Wśród kłębiących się mgieł dostrzegł ogromną dłoń, która trzymała się skalnego wyłomu. W półmroku ginącego dnia, ujrzał też blask łypiącego z wściekłością oka oraz zarys obolałej, zakrwawionej twarzy, na której widać było przebiegły uśmiech.

– A zatem przeklinam cię, Bjarni Kruku, synu Svena, skoro wyjawiałeś swoje prawdziwe imię – wykrztusił Glamrung. – Twoja pycha cię zgubiła. Nigdy... nigdy nie zaznasz spokoju, czy to na ziemi, czy pośród mórz. Nigdy nie znajdziesz swego miejsca... Zawsze będzie kroczył za tobą złowrogi cień, a mój głos będzie powracał w koszmarach, które poznasz na jawie. – Glamrung zaśmiał się głośno, a jego usta zalały się krwią. – Spotkamy się jeszcze, to pewne, Bjarni Kruku. Do zobaczenia w zaświatach!

Dłoń Glamrunga osunęła się ze skalnego wyłomu. Olbrzym runął w dół. Jego śmiech odbił się od wzgórz i jeszcze długo rozbrzmiewał po tym, jak całun pełzających przy brzegu jeziora mgieł okrył ogromne ciało.

* * *

Gdzieś wśród leśnej polany można było dostrzec żar dogasającego ogniska. Zimny deszcz kropił niemrawo, a wicher przynosił ze sobą wilgoć znad morza. Szczałkowy blask, który płynął z paleniska, wyostrzał kontury ogromnej, uciętej głowy olbrzyma. Deszcz zmywał zakrzepłą krew. Jeden z oczodołów był pusty.

– Udało ci się – powiedział starzec, gdy Bjarni skończył snuć swoją opowieść. Nie wiedzieć czemu na martwym obliczu giganta malował się niepokojący uśmiech.

– Tak – odparł Bjarni, kończąc swoją opowieść. – Pokonałem Glamrunga.

– Nieźle to sobie wymyśliłeś – powiedział Herjolf. – Wykorzystałeś moje rady, stępiłeś czujność olbrzyma i sprytnie pozbawiłeś go resztki sił. Znakomity też z ciebie aktor! – Wieszczył spojrzał na pochmurne oblicze Bjarniego. – Nie widzę jednak triumfu w twoim spojrzeniu.

– Jarl Hagard przegnał mnie ze swojego dworu.

– Jak to? – zdziwił się starzec. – Czy nie przyniosłeś mu głowy potwora, który pustoszył jego ziemię?

– Naprawdę nie domyślasz się tego, co się stało? Nie? Ty, człowiek odkrywający przed innymi zagadki losu? – Bjarni ze złości wyszczerzył zęby. – To

opowiem ci, by nie było między nami niedomówień... Zawiozłem jarlowi głowę Glamrunga. Pomyślałem, że skoro to możny i waleczny pan, będzie musiał docenić mój wysiłek, oddać mi długą łódź pełną wojowników pod komendę albo podarować kufer srebra. Jednak blady strach padł na niego, gdy zobaczył odciętą głowę giganta. Glamrung co prawda przegnał wielu z poddanych Hagarda, ale jednocześnie jego obecność w górach działała odstraszająco na natrętnego sąsiada, który najeżdżał wraz ze swoimi wojownikami włości jarla. Rozbójnik zaprzestał łupieżczych wypadów, gdy Glamrung osiadł w dolinie. Nic zatem nie dostałem za głowę olbrzyma, poza stertą wyzwisk i zgają spuszczonej psów, które szły za mną przez kilka mil, dopóki nie zadowolili się odciętym językiem giganta.

Starzec nie potrafił powstrzymać śmiechu.

– Nie posłuchałeś mojej roztropnej rady, by zważać na siebie i przeczekać – powiedział w końcu. – Czy nie było słyhać w górach, jak wykrzykujesz swoje imię, chwając się zwycięstwem nad potężnym Glamrungiem? Zgubiła cię pycha!

– Nie popełnia błędów ten, kto nie robi nic, starcze.

– Czekam na swą zapłatę – powiedział Herjolf. – Udzieliłem ci kilku porad, a ty zrobiłeś z nich dobry użytek. Skąd mogłem wiedzieć, że jarlowi tak bardzo przypadła do gustu obecność Glamrunga? Hagard nie mógłby się do tego przyznać. Ani on, ani jego wojownicy. Kto szanowałby ludzi o zajęczych sercach? Ludzi, którzy drżą ze strachu przed najazdem sąsiada?

– I mówi to ten, który chwalił się, że zna wszystkie portowe opowieści? Masz jednak rację. Należy ci się zapłata. – Bjarni wstał od dogasającego ogniska i podszedł do wróżbity. – To dwie złote monety, które ci obiecałem – powiedział. – Twoje rady były ich warte.

Stary schwycił monety i zagryzł jedną z nich. Potem z uśmiechem zacisnął dłoń.

– Dodam jeszcze od siebie coś wyjątkowego

– Jesteś aż tak hojny?

Bjarni wyciągnął miecz i szybkim ruchem pchnął. Ostrze zagłębiło się w trzewiach starca, który zdążył jedynie coś wycharczeć. Potem Herjolf opadł na wilgotną, pokrytą mchami ziemię.

– To za to, żeś nie wyjawiał mi wszystkiego – odezwał się Bjarni. – Nie dowiem się, czy z rozmysłem zataiłeś przede mną to, że Hagarda w gruncie rzeczy cieszy obecność olbrzyma w górach, czy nie wiedziałeś o niczym. Nieważne... Skoro leżysz teraz martwy u mych stóp, znaczy to, że jesteś podobny do wszystkich swych kłamliwych braci i nie potrafisz zobaczyć przyszłości.

Na ostrzu miecza widać było krew. Bjarni przykląkł, by zetrzeć ją śniegiem, ale gdy stal załśniła ponownie, odbijając światło ogniska, na nowo posoka zaczęła rosić klingę, a potem spływać po niej obficie.

– Zły czar... – szepnął Bjarni do siebie i schował ostrze do pochwy.

Ruszył zaraz przed siebie, zostawiając w dolinie głowę olbrzyma, ciało Herjolfa i dwie złote monety słusznej zapłaty. Gdzieś w dali, gdzie rysowała się niewyraźna linia horyzontu, zajaśniały pierwsze promienie słońca. Nagle zrobiło się jaśniej, bo chmury w końcu odpłynęły.

Ale kiedy ten, którego zwano Krukiem opuszczał dolinę, w dalekich górach wicher wciąż powtarzał przekleństwo umierającego Glamrunga.

* * *

...Wieść o tym, że Glamrung spoczął martwy w górskiej dolinie, szybko rozniosła się po okolicy i dotarła w końcu na dwór króla Hrothgara, bitnego pana, który władał rozległą dziedziną i miał pod sobą liczny orszak zbrojnych. Król pytał wieszczów i swych doradców, co począć z człowiekiem, którego sława rosła z każdym dniem, a który pukał do wrót jego królestwa. „Trzeba go zabić, nim przyćmi twą chwałę, panie”, mówili jedni. „Lepiej mieć kogoś takiego po swojej stronie, niż we wrażym obozie”, doradzali drudzy. Wahał się zatem Hrothgar co ma uczynić, a kiedy dumał, widział z okna wieży, jak niebo staje się czarne od tabunów padlinożernego ptactwa. „Zły to znak”, pomyślał król.

Czy jednak zła wróżba przestrzegала przed Pogromcą Olbrzymów czy może przed innym niebezpieczeństwem, z dawna zapomnianym?

Słyszało się wieści, że gdy tylko Bjarni pojawia się w okolicy, niebo za dnia pochmurnieje, a w nocy słyhać dziwne odgłosy, jakby mroczne istoty zrodzone z jądra czerni zaczynały swe harce. Król Hrothgar nie przeląkł się jednak, czując, że lepiej iść w parze ze śmiercią, niż zastępować jej ścieżkę, gdy kroczy ślepa wśród mroków. „Chcę widzieć go w mojej drużynie, oddam mu kawał ziemi i uczynię wodzem”, zdecydował w końcu władca, gdy doniesiono mu, że pogromca Glamrunga zjawił się już w królewskich włościach, ściągając tłumy, chcące słuchać o jego przygodach.

Nie wszystkim jednak spodobały się słowa króla i byli tacy, którzy uznali, że Hrothgara opętał tajemny urok...

Z „Sagi o Kruku”

II. Nieustępliwy cień

W gospodzie aż huczało od wesołych rozmów i śmiechów, a każda troska, niczym płatek śniegu objęty tchnieniem wiosny, topiła się od żaru rozradowanych serc. Mary złej nocy nie miały tutaj dostępu. Dzbany pełne miodu wędrowały między zebranymi, w takt śpiewów i brzdąkań harfy. Ciepłe światło świec wyławiało z tłumu zebranych rubaszne twarze, świecące się od potu i tłustego jadła. Potrawy pojawiały się na stołach, gdzie piętrzyły się już obgryzione kości. Czas płynął szybko wśród czarodziejskich opowieści o wielkich czynach, a każda chwila zdawała się tego wieczoru donioślejsza niż za dnia, kiedy codzienne trudy były jak żelazna kula u zdrowej nogi.

Nikt i nic nie budziło jednak takiego zaciekawienia wśród zebranych jak Bjarni Kruk. Odkąd śmiałek zjawił się w okolicy, wszyscy mówili tylko o nim, a ukradkowym spojrzeniom i szeptom nie było końca. Pogromca Olbrzymów – jak go przezwano – sam za to nie mówił wiele o niedawnych, doniosłych wydarzeniach i zdawało się, że nie jest mu miłe żadne towarzystwo, poza kobietami, które lgnęły do niego, jak również pieśniarzami, chcącymi dowiedzieć się czegoś więcej o potyczce z Glamrungiem.

Dwóch skaldów – jeden młody, o długiej, płowej brodzie, drugi stary, suchy jak szczapa drewna – zasiadło obok ponurego wędrowca i wciąż zadawało pytania, domagając się jakichś szczegółów. Wszak powtarzane przez górskie wichry echa niosły z sobą wiele sprzecznych donosów. Skaldowie byli tak dociekliwi, jakby każda wieść miała okazać się cenniejsza od złota; i mogło tak rzeczywiście być.

Może sława zaczynała nużyć już Kruka, bo gdyby miał w sobie więcej sił i ochoty, to pewnie rozplątałby mieczem uciążliwych bajarzy. Siedział jednak spokojnie przy stole, ze zwieszonym nosem, z żalem patrząc w pusty róg.

– Jestem już zmęczony – powiedział Bjarni, wstając w końcu. – Lada moment będzie świtać, a ja mam dość opowieści na dziś... Pora udać się na spoczynek! Jutro czeka mnie daleka droga.

– Zaczekaj jeszcze, panie! – odezwał się pierwszy z pieśniarzy i zatrzymał Pogromcę Olbrzymów, chwytając go za rękaw wyszywanego srebrną nicią kubraka. – Czy opowieść, którą powtórzyłeś Glamrungowi...

– ...ta o ukrytym w górach skarbie... – wtrącił się drugi, zbliżając się na tyle, że czuć było smród jego oddechu.

– ...czy jest prawdziwa, czy zmyślona? – zapytali niemal jednocześnie, widząc, że Bjarni nie przestaje patrzeć tęsknie w kierunku wrót.

– Powtarza się tę opowieść zbyt często, by nie wierzyć, że ma w sobie coś

z prawdy – odparł Bjarni, zarzucając na plecy płaszcz. – W tamtej górskiej krainie słyszałem ją niemal zawsze, gdy tylko ktoś zaczynał snuć bajania. Znał ją przecież ślepiec Herjolf, znał też Glamrung... Nie byli wyjątkami. Myślę, że Sigurd istniał naprawdę, a czy rzeczywiście przywiózł z sobą wielkie skarby? Ha! Tego się nigdy nie dowiemy...

– A zatem możliwe, że złoto zrabowane niegdyś przez jarla wciąż kryje się w jakiejś przepastnej pieczarze, czy tak? – Młody na samą myśl aż podskoczył.

– Czy nie miałeś ochoty powrócić do gór i zacząć szukać skarbu? – Drugiemu oczy zaszkliły się, niczym diamenty, które być może spodziewał się odnaleźć gdzieś pośród zagubionych, górskich ścieżyn. – Jeśli potrzebujesz kompanii, to masz już dwóch chętnych na wyprawę!

Skaldowie uśmiechnęli się, ale gdy zobaczyli ponury wyraz twarzy u swego rozmówcy, spojrzeli tylko po sobie.

– Jeśli chcecie, to ruszajcie, mnie dajcie spokój! – odparł Bjarni, patrząc z politowaniem na kompanów. – Złoto w opowieściach skrzy się jaśniej niż to, które naprawdę kryje się w skrzyniach. Zwykle to tylko zardzewiałe szyszaki i parę miedziaków pochowanych ukradkiem przed zbójami.

Dwójka bazarzy nie dawała za wygraną.

– Skoro nie chcesz rozprawiać o złocie – zaczął stary – może powiesz nam chociaż ile stóp mierzył Glamrung? Tego wszak jeszcze nie ustaliliśmy, a wymaga tego nasza rzetelność.

– Pewnie z dziewięć? – rzucił młody.

– Dziewięć? – siwowłosy zaśmiał się i machnął ręką. – Dwanaście jak nic!

Bjarni westchnął tylko, a potem rzekł:

– Jak znam życie i tak będziecie opowiadać, że był wyższy od najroślejszego z dębów. Co ja mówię! Gdy stawał na palcach sięgał szczytów wzgórz! – Czarnobrody roześmiał się głośno. – Znajdziecie pewnie odpowiednie słowa, by oddać jego majestatyczność. Im większy olbrzym, tym więcej ludzie są skłonni płacić, by o nim usłyszeć. Cóż... – Najemnik zaczął rozmyślać, głaszcząc jednocześnie swą długą brodę. – Jedno mogę wam tylko powiedzieć i będzie to najszczęsza prawda. Ale rzeknę ją na ucho, by nikt nie usłyszał...

Skaldowie nachylili się, chcąc wysłuchać Kruka.

– Gdy Glamrung szedł, przy każdym jego kroku trzęsła się... Trzęsła... – Bjarni zająknął się i znieruchomiał nagle. – Trzęsła się ziemia? – zapytał, jakby sam siebie, spoglądając na ustawiony na stole puchar.

Czarnobrody poczuł ukłucie niepokoju. Stół drżał mocno, a zawartość naczyń wylewała się z brzegów. Zaraz też dało się słyszeć miarowe uderzenia. „Bum”, „bum” – jakby ktoś walił w wielki bęben, od którego głuchego głosu ziemia rzeczywiście drżała. Wesole pokrzykiwania trwały jeszcze chwilę, ale wkrótce zebrani zamarli, czując, że karczma aż trzeszczy.

Cisza nagle spowiła biesiadną izbę, a świece jakby przygasły, zduszone nieznaną magią. Ludzie spoglądali na siebie z obawą.

– Co to? – zapytał jeden z biesiadników.

– Ziemia zdrząła! – zawołał karczmarz i zaraz zaczął szukać w myślach wyjaśnienia – Jakby... Jakby...

– Zbliżał się ku nam olbrzym... – dokończył siwowłosy skald, spoglądając z trwogą na Bjarniego.

– To Glamrung! – zawołał drugi z pieśniarzy, a jego słowa wywołały poruszenie w karczmie. – Czyżbyś był zatem kłamcą, Bjarni? Przyznaj się! Nie zabiłeś olbrzyma, tylko przed nim uciekłeś, rozprowadając po drodze, że ciało pokonanego giganta spoczęło w górskiej przełęczy. Czy tak? Odpowiedz! – Mężczyzna zaczął rwać włosy z głowy, a zgromadzeni spojrzeli na Czarnobrodego z wyrzutem. – Jesteśmy zgubieni! Olbrzym nie mógł znaleźć jada w górach, gdzie wybił wszystkich ludzi i owce, więc przybył do naszej doliny...

Zewsząd dobiegły nerwowe pokrzykiwania.

– Zamilczcie! – zawołał Bjarni ze złością, stając pośrodku sali. – I ja nie rozumiem, co się stało. Jedno wiem na pewno. Glamrung zginął, spadając w przepaść... Widziałem jego ciało, któremu później odciąłem głowę. Była zbyt ciężka, by ciągać ją ze sobą aż tutaj... Uspokójcie się zatem! Ziemia może się zatrzęść, gdy potężne istoty żyjące w jej trzewiach prowadzą ze sobą wojny. Gdybyście podróżowali po świecie, to wiedzielibyście, że im dalej na Południe, tym podobne rzeczy zdarzają się częściej.

Może i Bjarni miał rację, ale jak wytłumaczyć to, że nagle dało się słyszeć dobiegający z zewnątrz głośny syk? Trudno było oprzeć się wrażeniu, że to wielkie nozdrza wypuszczają powietrze z podobnych do miechów płuc.

Zaraz stało się coś jeszcze dziwniejszego, co już strwożyło i samego najemnika.

– Czy jesteś tam?! – W karczmie rozbrzmiał donośny głos, który sprawił, że znowu wszystko się zatrzęśło. Zgromadzeni wpełzli pod stoły, dzwoniąc zębami. – Nie ukryjesz się przede mną, Bjarni Kruku! Czy nie zapowiedziałem ci, że złowrogi cień będzie wiecznie za tobą kroczył? Oto jestem!

– Glamrung, a jednak to on... – szepnął Bjarni, dobywając miecza i przeciskając się pomiędzy stołami i poprzewracanymi stołkami.

Nim zdążył zastanowić się dobrze co czynić, prowadzące do gospody odrzwia rozwarły się z hukiem, wpuszczając do środka powiew lodowego wichru i śnieżną zawieruchę. W ciemnościach ukazała się zakrwawiona twarz z wylupionym okiem. Olbrzym wyszczerzył przegniłe zęby i niemal wściubił swój czerwony od mrozu nochal w drzwi.

– Wyciągnę cię z tego przybytku, niczym jajko z ptasiego gniazda! – zawołał złowrogi Glamrung. – A jeśli me ramię nie zmieści się, zręcznie ściągnę dach,

jakbym rozprawiał się z wystruganą w drewnie zabawką... Potem zmiażdżę cię w dwóch palcach, ale powoli, byś czuł jak pęka każde z twych żeber i rozpływają się wnętrzności!

– Czyś... czyś nie powinien, panie... – Jowialny karczmarz zwrócił się do Bjarniego, wychylając się zza przewróconej ławy – Nie powinieneś aby zająć się gościem, który przyszedł w odwiedziny właśnie do ciebie? Za niskie progi mej gospody dla giganta... Wy tłumacz okrutnemu Glamrungowi, żeśmy w tym skromnym przybytku nie gotowi podjąć takiej osobistości, a i jadło się skończyło... Napitek zresztą też!

Wnet głosy poparcia zawtórowały karczmarzowi. Szmer podniósł się w gospodzie. Bjarni spojrział nienawistnie na zebranych.

– Widzisz, Kruku, jak to jest – odezwał się Glamrung, łypiąc okiem poprzez otwór w dachu. – Przed chwilą chcieli cię nosić na rękach, a teraz wyzywają... Mogę ich jednak zrozumieć. Nieładnie jest kłamać! Cóżżeś ty im naopowiadał o naszym spotkaniu, głupcze? Chyba nie oszukałeś tych ludzi i nie zapewniłeś pochopnie, żeś mnie pokonał? Człek miałby zabić giganta? Dobrze sobie!

Glamrung powstał i zaczął śmiać się głośno. We wrotach widać było tylko wielką stopę, obutą w ciżmę. Z jakiego zwierza uszyto to obuwie? Chyba ze smoczej skóry.

Bjarni, słysząc gromki śmiech, od którego poodpadały z kołków wszystkie naczynia, rzucił się z obnażonym mieczem w kierunku wrót karczmy.

– Zaraz stracisz drugie oko! – zawołał, zanurzając się w czerń bezgwiezdnej nocy, która wirowała wraz z wichrem i płatkami śniegu.

Przez moment zdawało mu się, że wpadł do gardła olbrzyma albo do jakiejś magicznej sakwy, która odcięła go od rzeczywistości i zesłała zapomnienie.

* * *

Bjarni próbował uspokoić własny, rwany oddech. Otaczała go ciemność, podobna do toni dalekich mórz, które pożerają śmiałków chcących dotrzeć na kraniec świata.

W mrokach zajaśniał blask świecy.

– Bjarni... – Grjota przesunęła się na posłaniu. – Czyżby znowu nawiedził cię zły sen?

– To nieważne – rzekł, najwyraźniej zawstydzony swą słabością.

– Przytul mnie, proszę.

Objął dziewczynę, przyciągając ją do siebie. Zapach włosów Grjoty przywodził na myśl górskie zioła. Przyłożył policzek do jej piersi, by poczuć kojące ciepło. Nawzajem szukali ukojenia od mroku mroźnej zimy, która okradała świat z barw i nadziei.

„Bum”, „bum” – miarowe uderzenia. Czy to dwa serca, złączone jednym

rytmem, czy może ziemia rzeczywiście zadrżała?

– Słyszysz? – zapytał, chcąc upewnić się, że nie postradał zmysłów.

– Wicher zawodzi głucho. – Grjota podniosła głowę. – To tylko wiatr.

– Tak, masz rację – odparł, z lękiem spoglądając w niewielką szczelinę, jakby z obawą, że ukaże się w niej ogromne oko olbrzyma. Ale w czarnej pustce igrał tylko blask wyłaniającego się zza chmur księżycy

– To tylko wicher – zapewniła raz jeszcze Grjota. – Nic więcej.

Czemu jednak dało się rozpoznać w jego wyciu złośliwy chichot?

* * *

Na dnie przepastnego wąwozu szerokimi zakolami wił się bystry strumień. Po dwóch dniach siarczystych mrozów wartki nurt schował się już częściowo pod warstwą lodu. Koryto rozdwajało się i łączyło ponownie, opasając srebrnobiałą wstęgą skrawek łądu. Na skalistym, ośnieżonym podłożu, które wznosiło się ku górze niczym wyspa pośród odmętów skostniałej teraz wody, widniały pozostałości dawnej twierdzy. Strzępki obronnych murów i potężna sylwetka smukłej, wzniesionej z czarnego kamienia wieży pozwalały docenić wprawnemu oku dawną potęgę bezimiennej fortecy, zapewne niezdobytej przez wieki.

Stojąc na skraju przepaści, Bjarni z uwagą przyglądał się ruinom.

– Odwiedziłem to miejsce po raz pierwszy kilka dni temu, przypadkiem, pobłądziwszy zresztą. – Z ust mężczyzny podniosły się obłoczki pary. – I poczułem jakiś niepokój, a jednocześnie ciekawość.

Grjota podeszła bliżej i położyła dłoń na ramieniu wojownika.

– Nie ty jeden czujesz się tu nieswojo. Te ruiny owiewa zła sława.

– Tego się już domyśliłem. – Bjarni pokiwał ze zrozumieniem głową. – Żaden tutejszy skald nie chciał mi opowiedzieć o Czarnej Wieży i o tym, czym była dawno temu... Czarna Wieża – powtórzył. – Tak ją sobie nazwałem, bo nie znalazłem w waszych opowieściach żadnego określenia.

– Jeśli budowla nazywała się jakoś, ludzie już nie pamiętają – powiedziała Grjota. – I chyba dobrze się stało... Po co wypowiadać słowa, które mogą przyzwać strach?

Bjarni znał dobrze podobne miejsca: martwe, ciche, jakby okryte żalobą, wyjąłowione z jakichkolwiek przejawów życia. Zwykle ich unikał. Po co pchać się w ręce złych mocy, które lubią się gnieździć w przestrzeniach zapomnianych przez ludzi? Gdy na dworze króla Hrothgara lub w odwiedzanej karczmie pytał kogoś o wąwóz i kryjące się w nim ruiny, zwykle na twarzach zebranych pojawiała się zmieszanie. Niektórzy machnęli tylko ręką, inni rzucili jakimś przekleństwem, albo odwrotnie, żartem, ale nikt nie ciągnął tematu, a przecież niejednokrotnie wino i czar nocnej biesiady powinny rozwiązać języki i skłonić do zwierzeń. Od jednego z najemników króla Bjarni usłyszał tylko tyle, że lepiej omijać to miejsce i nie

pytać o nie, bo któż by chciał przywoływać uszpiętą grozę. Jedynie Grjota nie bała się mówić, a przynajmniej potrafiła przełamać własny strach.

– Kto władał tą twierdzą? – zapytał Bjarni. – Ród twego ojca?

Dziewczyna spojrzała na swojego wybranka niepewnie, jakby przywoływanie niektórych opowieści mogło zsyłać zły urok.

– Zamek przed setkami lat należał do potężnego czarnoksiężnika – wyjaśniła – który zatracił się w sztuce uroków i kpienia sobie z praw uznawanych przez naszych ojców. Człowiek ten porywał ludzi, by zabierać im dusze, a ciała rzucać na pożarcie swym piekielnym sługom. Potrafił przemienić się w czarnego sokoła i często w tej właśnie postaci spoglądał z niebios na mieszkańców doliny. Ludzie bali się go i płacili mu daniny. On umacniał swą fortecę, a jego poddani przymierali głodem. Zdarzało się, że nieposłuszni byli zmieniani w odrażające istoty, po przeistoczeniu niewiele podobne do ludzi, które stawały się strażnikami warowni.

– To pewnie tylko opowieści.

– Może to rzeczywiście tylko bajanie – odparła Grjota. – Ale wspomnienie złych czasów jest w okolicy wciąż żywe. Gdy mrozy skuwają rzekę, ludzie nie wychodzą po zmroku ze swych domostw.

– I ja zasiadłbym przy palenisku zimową porą, by grzać w spokoju kości, gdyby tylko taki los był mi pisany... Nic w tym dziwnego. Co komu po tym, że będzie się włóczył nocą po lesie?

– Nie w tym rzecz. – Dziewczyna najwyraźniej wyczuła lekceważący ton Bjarniego, bo popatrzyła na niego z wyrzutem. – Dawniej wiele mówiło o tym, że w podziemiach zamku wciąż czają się ci, których czarnoksiężnik wyznaczył na swych służących. Gdy rzekę skuwa lód, mogą w końcu przedostać się na drugi brzeg i ruszyć na krwawe łowy, zwłaszcza nocą, kiedy ich czarne oblicza nikną wśród mroków.

– Żyję wśród was już kilka miesięcy i słyszałem przy ognisku wiele strasznych opowieści, ale nic o przerażających strażnikach porzuconych ruin.

– Przed nadejściem zimy nikt nie wspomina podobnych historii – wyjaśniła Grjota, odwracając się od przepaści. – Po co budzić demony? Słowa czasem potrafią zmienić się w ciało. Gdy ktoś zatruje kogoś lękiem... Niewiele trzeba, by groza stała się realna.

– Wierzysz w te opowieści?

– Znasz mnie już trochę, Bjarni – odparła Grjota, uśmiechając się. – Nie boję się byle czego, ale podczas mrozów, gdy przychodzi noc, dla pewności nie gaszę świecy. No i w dworze zawsze ktoś czuwa w ten czas.

– Roztropnie jest nie igrzać z przestrogią zawartymi w starych opowieściach – powiedział Bjarni. – A ja muszę się nauczyć waszych legend na pamięć i dobrze odczytywać zawarte w nich przestrogi, skoro pragnę z wami żyć...

W oczach Grjoty pojawił się błysk.

– Zostaniesz u nas?

Bjarni podszedł bliżej.

– Opuściłem rodzinny kraj, ale nie oznacza to, że muszę tułać się po świecie. Jestem tu z wami od wiosny i chciałbym doczekać kolejnych. Twój ojciec jest ze mnie zadowolony i przychylnie myśli o tym... – Czarnobrody zawahał się. – Król Hrothgar zgodził się na to, byś została moją żoną.

Grjota uśmiechnęła się. Wojownik objął ją.

– Dziwne wybrałaś sobie miejsce na oświadczyzny – powiedziała, czując we włosach lodowe podmuchy wichru.

– Ty jedyna miałaś odwagę, by mnie tu zaprowadzić. To niezawodny znak, że nadajesz się na żonę dla Pogromcy Olbrzymów!

– Czuję się zaszczycona – odrzekła Grjota, a zaraz potem szybkim ruchem pchnęła Bjarniego. Mężczyzna poślizgnął się i przewrócił. – Zapomnij jednak o tym – zawołała, wzięwszy się pod boki – że będę siedziała przy ognisku i cerowała twoje koszule!

Kiedy Bjarni już podniósł się z ziemi, podbiegł do dziewczyny i schwycił ją mocno.

– Tak harda może być tylko córka króla! Pamiętaj jednak, że...

Nie dokończył. Na jego twarzy pojawił się niepokój. Dziewczyna spostrzegła, że kątem oka Bjarni spogląda na wijący się w dole strumień.

– Czy coś się stało?

– Nie, nic – odparł Kruk. – Wracamy.

– Czy coś zobaczyłeś? Słońce co prawda zaszło i zrobiło się nieprzyjemnie, ale to chyba nie powód do niepokojów? Ja też...

– Nie patrz tam.

– Bjarni, co się stało? Niebo pociemniało od chmur. Zbliżyła się śnieżycy, ale niczego tam nie widzę...

– Pora wracać do dworu i pomyśleć o weselu – powiedział Bjarni, ale choć wspomniawszy czas radości, zdawało się, jakby przywoływał swoimi słowami czas żałoby. – Za dużo dzisiaj mówiliśmy o cieniach przeszłości. Masz rację, słowa oblekają się czasem w ciało.

Grjota już wiedziała, że martwy wyraz twarzy i błędzący gdzieś wzrok oznacza u jej wybranka, że o to stanął w obliczu jakiegoś kłopotu. Nie pytała jednak o nic. Chyba wolałaby nie wiedzieć, co tak strwożyło Bjarniego. Przecież tacy jak on nie boją się byle czego.

Wierzchowce drżały niespokojnie i uderzały kopytami o oblodzoną ziemię. Grjota spojrzała na chmurne niebo.

– Bjarni, zobacz! Czy to sokół? – zapytała, gdy usłyszała przeciągły gwizd, który dobiegł z wysokości, a potem przybliżył się, bo drapieznik zaczął opadać

w dół.

- Czarny sokół... – mruknął Bjarni.
 - Nigdy jeszcze nie widziałam podobnego.
 - Bo takie nie istnieją. Chyba, że w dawnych opowieściach...
- * * *

Powrócił nad wąwóz następnego dnia, samotnie objeżdżając leśne ostępy, odwiedzając wieśniaków, którzy skryci w ziemnych jamach prowadzili swoje nędzne, pełne tajemnic, na wpół ludzkie, na wpół zwierzęce życie. Tego dnia usłyszał wiele słów przestrogi. Siarczysty mróz sprawił, że złowróżbne opowieści jakby ponownie przysły na świat, krążąc po okolicy i ożywiając koszmary. Ludzie znowu zaczęli gadać o cieniach przeszłości.

Gdy był już blisko oblodzonego urwiska, po czym zeskoczył z rumaka i przybliżył się do przepaści. W dole strumień schował się już całkowicie pod lodem, przysypanym cienką warstwą śniegu. Na jego brzegu, w cieniu martwych ruin, stało kilkanaście czarnych postaci. Czy byli to ludzie? Jeśli tak, to nie dało się dojrzeć ich oblicza, zakrytego przez kaptury. Postaci poruszały się miarowo, jakby w dziwnym, niesynchronizowanym tańcu. Ale o ile ich sylwetki wydawały się ludzkie, to dobiegające z wnętrza wąwozu pojękiwania i zawodzenia nie mogłyby wydobyć się z gardła żadnego człowieka.

W pewnym momencie Bjarni znieruchomiał. Na pobliskim, pokrytym zlodowaciałym śniegiem gładzie, wylądował czarny sokół. Ptak zdawał się przyglądać przybyszowi. Czarnobrody podszedł bliżej, a wtedy sylwetka sokoła zaczęła nagle zmieniać swój kształt, pęcznieć i wydłużać się, jakby ze znanej powłoki miała się wykluć całkiem inna postać. Nie minęła chwila, a naprzeciwko wojownika – na skale, niczym na tronie – zasiadał człowiek. Nieznajomy mężczyzna odziany był w czerń. Spod jego kaptura wystawała długa siwa broda. Czarnoksiężnik, bo nie mógł być to nikt inny, splótł ze sobą zdobne w sygnety palce i trzymał je tuż poniżej piersi.

– Jak ci na imię? – odezwał się Kruk, a jego słowa częściowo zagłuszył wicher.

– Moje imię niewiele ci powie, Bjarni.

– Ty jednak znasz moje.

– Echo z dalekich gór przyniosło i tutaj przekleństwa wykrzywane przez Glamrunga – odparł czarnoksiężnik, uśmiechając się. – Stałeś się bohaterem często powtarzanej opowieści. A że Glamrung był ważną osobistością, sława twa zatacza coraz szersze kręgi.

– Czy mam się czuć zaszczycony? – burknął Bjarni, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

Czarnoksiężnik tylko się uśmiechnął.

– Już wkrótce się rozmówimy. Wiele jest kwestii wartych poruszenia... Ale taki rumor na ziemi i w niebiosach, światach podziemnych i zrodzonych ze snów, że musisz mi wybaczyć – dzisiaj zajęty jestem pilniejszymi sprawami. Minęło trzysta lat, odkąd opuściłem ten świat i wiele się zdarzyło od tamtej chwili. Muszę przypominać sobie to i owo, dowiedzieć się, ile wód przelało się w strumieniach, czy morza nie zmieniły swych brzegów, wzgórza nie stały się niższe, gwiazdy nie pospadały z niebios oraz czy stworzenia, które znałem, wciąż gnieźdzą się w lasach i w przestworzach... Bywaj!

– Poczekaj! – zawołał Bjarni, widząc, że przybysz ponownie zmienia swą postać.

Nim jednak Czarnobrody zdążył doskoczyć do skały, sokół odleciał. Czarny punkt poszybował w kierunku wieży, która ponownie, jak setki lat wcześniej, wznosiła ponurą sylwetkę ku chmurom.

Bjarni przetarł oczy. Potężna forteca widniała teraz pośrodku wyspy w całej swej okazałości. Na jej czarnych blankach białał śnieg, a wieżycy zdawała się dotykać połąci nisko zawieszonych obłoków.

– Omamy... – rzekł Bjarni sam do siebie. – Nieznajomy musiał rzucić na mnie czar, nim zdążyłem się spostrzec.

Spoglądając w dół wąwozu, zdał sobie sprawę, że pokraczne, obleczone w czerń istoty, badają lód. Wciąż jeszcze wydawał im się nie dość mocny, bo poczwary nadal nie zdecydowały się przejść na drugą stronę strumienia.

* * *

Mężczyźni uwijali się jak w ukropie. Opuszczano żagle i zwijano liny. Wiosła miarowo uderzały o płytką wodę, pchając łodzie ku piaszczystym brzegom. Mgła otulała ląd. Choć żeglarze wracali z wyprawy z licznymi i bogatymi łupami, to nie witały ich radosne okrzyki.

Siedząc na rufie, Bjarni Kruk ścierał ze swego miecza krew wrogów. Ale było to zajęcia beznadziejne, bo wciąż pojawiała się na czystej z pozoru klindze. Ostrze po wieki miało okrywać się posoką.

– Coś cię niepokoi, jarlu? – Jeden z wojowników podszedł do Bjarniego. – Zaraz znajdziemy się w przyjaznym porcie.

– Z brzegu nie odpowiedziały nam żadne nawoływania.

– To prawda – powiedział inny mężczyzna z wyraźną troską. – Widać już nabrzeża... Wkrótce dowiemy się, dlaczego port spowija cisza.

– To nie port – rzekł Bjarni, wpatrując się w ciemny, podłużny kształt wylaniający się z mgieł. – I nie wybrzeża, do których chcieliśmy przybić.

– Co to za czary? – zapytał ktoś z lękiem, a pozostali żeglarze zaczęli przeklinać, bo jakaś siła zmyliła ich kurs. – Słoneczny kamień niezawodnie dotąd kierował nas przez morze!

– Czyżby fale wyrzuciły na ten ląd jakąś morską bestię? – zawołał ktoś z załogi.

– Możliwe – odparł Bjarni. – Bądźmy ostrożni... – rzekł do swoich towarzyszy. – Gotujcie włócznie i miecze! Jeszcze nie czas, by cieszyć się spokojem znajomej przystani.

– To przecież... – Ktoś wskazał na wyłaniający się z mgieł kształt.

– Ogromne ciało – dokończył Bjarni.

– Cielsko giganta.

Wojownicy aż znieruchomieli widząc na wybrzeżu obmywane przez morskie fale zwłoki. Trudno było w to uwierzyć, ale należały do olbrzyma. Wokół było widać tylko zgliszcza jakiejś nieznaney osady. Nim syn Jotunheimu padł raniony dziesiątkami włócznie, zdążył dokonać rzezi.

– Glamrung! – zawołał Bjarni ze złością. Zaraz potem struchlał, dostrzegając olbrzymi palec prawej dłoni, który się poruszył. Wkrótce ogromna pierś zaczęła unosić się w takt miarowego, głębokiego oddechu.

Powieka nieznacznie odsłoniła zdrowe oko giganta.

– Znowu ty... – odezwał się Glamrung, podnosząc się i wznecając potężne fale. – Czy kiedykolwiek dasz mi spokój, Bjarni? Cieszyłem się ustatkowanym, wiecznym życiem. Spoglądałem w gwiazdy przez tysiąclecia, nie nękanym przez żadną podłą istotę. Odwiedzałem różne światy, szukałem praźródła wszystkich źródeł, wczytywałem się w runy, badałem sedno wielu spraw z zadowoleniem poszerzając horyzonty swej niepospolitej wiedzy, której zazdrościli mi bogowie... A potem pojawiłeś się ty!

Glamrung ze złością zaczął bić pięściami w morską toń, aż wzburzył bałwany, które zaczęły zalewać okręt. Bjarni z trudem opierał się atakom słonej wody, trzymając się burty i czując jednocześnie, że zaraz okręt się przewróci.

* * *

Wieczorna biesiada na dworze króla Hrothgara trwała w najlepsze. W wielkiej sali rozświetlonej blaskiem woskowych świec podpite towarzystwo mocno dokazywało. Skald snuł opowieści. Wszyscy wydawali się rozradowani, tylko Bjarni milczał.

– Hej, Kruku! – zawołał jeden z wojowników, wstając od stołu. – Nie pora, by się smucić. Grjota to krzepka niewiasta, ale może uda ci się jej dogodzić!

– Noc spędzona z nią, to jak zapasy z niedźwiedziem! – zawtórował mu inny. – Trudno będzie ci z nich wyjść żywym. Zadrapie cię na śmierć! Może to być większe wyzwanie niż potyczka z olbrzymem?

Wszyscy zaśmiali się w głos, ale zaraz potem zdali sobie sprawę, że żartują z hardej córki króla oraz z człowieka, który zepchnął w czarną pustkę istotę równą bogom. Grjota jednak nie słuchała tych docinków, patrząc z troską na Bjarniego.

Jej wybranka najwyraźniej coś niepokoiło.

Hrothgar uśmiechał się tylko i popijał z zadowoleniem miód. Wydał już wszystkie swoje córki za mężczyzn z dobrych rodów, tylko najmłodszej nie mógł dotąd znaleźć męża. Była zbyt dumna i nieroztropna jednocześnie; odrzucała zalotników, gardząc zwykle nimi. Wojownik, który przybył z za gór, przynosząc ze sobą sławę pogromcy olbrzymów, wydawał się być znakomitym kandydatem.

Król powstał i wznosił róg z miodem.

– Wypijmy za pomyślność mej córki i Bjarniego, Pogromcy Olbrzymów, którego zowią też Krukiem!

W hali rozległy się wiwaty. Grjota dziękowała za dobre słowa, ale Bjarni pozostał w milczącym skupieniu. Gdy zasiedli na powrót za stołem, dziewczyna rozłamała ociekający tłuszczem udziec na pół, a potem, nachyliwszy się do ucha wybranka, odezwała:

– Jesteś dzisiaj smutny. Czyżbyś jednak nie chciał mojej ręki?

– Chcę widzieć cię u swego boku – zapewnił Kruk. – Niczego bardziej nie pragnę, jak wieść z tobą szczęśliwe życie i doczekać się licznych potomków.

– A jednak coś cię martwi...

– Wciąż słyszę jego śmiech – powiedział Bjarni i przytknął sobie uszy.

– Czyj? Mówisz o Asmundzie? On tylko żartował... Zresztą jeśli będziesz chciał, to możesz rozłupać jego czaszkę na dwoje albo odciąć język, by już nie plótł nigdy trzy po trzy. – Grjota uśmiechnęła się i pocałowała Bjarniego. – Zrób tak! Ojciec nie kiwnie nawet palcem! Nikt nie lubi Asmunda i nie będzie cię sądził.

– Nie o niego chodzi! – zawołał Bjarni, chowając twarz w dłoniach. – Wciąż słyszę głos Glamrunga... Jego śmiech wdziera się do mej czaszki i rozsadza ją od wewnątrz! Olbrzym nawiedza mnie w koszmarach, które zdają się bardziej realne od niejednego przeżytego przeze mnie dnia. Nie wiem już, co jest prawdziwe, a co jest kłamstwem.

– Nie zmienisz tego, co się już stało – powiedziała Grjota, kładąc głowę na ramieniu wybranka. – Skaldowie powtarzają o tobie pieśni. Wykazałeś się odwagą i sprytem. Czy historia o tym, jak pokonałeś łasego na złoto olbrzyma, byłaby równie zajmująca, gdyby nie rzucone przez niego przekleństwo? Gorycz zatrąła rozkosz zwycięstwa... Dzięki temu nikt nie wątpi, żeś tego dokonał. W zmyślonych historiach wojownicy nie muszą niczego poświęcać. – Grjota zbliżyła się i szepnęła Bjarniemu do ucha: – A zresztą możesz udawać, że było inaczej. Słyszałam przynajmniej kilka wersji tej opowieści i w niektórych nie ma mowy o złowrogich słowach rzuconych na wiatr. Czy nie możemy razem udawać, że sprawy miały się inaczej?

– Możemy, Grjoto – rzekł Bjarni, wpatrując się bez emocji na rozradowanych biesiadników. – Nawet do końca mych dni. Nie zmieni to jednak faktu, że w słowach Glamrunga rzeczywiście kryła się czarodziejska moc.

Grjota spojrzała w oczy swojego wybranka, widząc tam dwa wątle ogniki, które gasiła jakaś obawa.

– Wróciłeś nad wąwóz?

– Tak.

– I ujrzałeś tam coś, co cię zaniepokoiło... Widziałam to ostatnio w twoim spojrzeniu. Nie jesteś człowiekiem strachliwym, a nagle stałeś się błądy. Zobaczyłeś je, prawda? Tajemnicze istoty z opowieści? Bjarni... Chciałeś odwrócić mój wzrok, ale zdążyłam spojrzeć w przepaść i nie zobaczyłam nic niepokojącego, oprócz ruin twierdzy, które świadczą o tym, że każdy sen o potędze może się rozwiązać jak mgła.

– Potwierdza to jedynie przypuszczenie, że jestem szalony – rzekł Bjarni, przechylając zaraz puchar i opróżniając go do dna. – Widziałem istoty, o których prawi się w tutejszych opowieściach, Grjoto, a które pewnie nigdy nie istniały. A wczoraj dojrzałem coś jeszcze, a właściwie kogoś...

– Wierzę ci, że tak było. Są ludzie, którzy potrafią widzieć i słyszeć więcej. To jednak nie powód do narzekań! Bogowie obdarowali cię niedostępnym dla innych zmysłem.

– Nie! – zawołał Bjarni, patrząc dziewczynie prosto w oczy. – Nie podarowano mi nowego zmysłu, ja postradałem te, które miałem dotąd, ot co... Przekleństwo Glamrunga sprowadziło na mnie obłąd! Widzę rzeczy, których nie ma. Słyszę głosy, których inni nie słyszą. Ale nie takie, które są ukryte przed śmiertelnymi, tylko te, co zrodziły się w mych snach.

– Nawet gdybyś postradał zmysły, wciąż będę cię chciała za męża. Wolę szalonego bohatera z sag, niż kogoś, kto miałby umrzeć nie okrywszy się sławą.

Bjarni pocałował Grjotę i zaraz kazał nalać sobie miodu. Na stoły wnoszono nowe potrawy, widać zasobny król nie musiał się martwić nadchodzącymi mrozami. Światło woskowych świec i gorzącego w palenisku ognia odganiało złe uroki, choć zawodzący wicher niósł niepokojące wróżby.

Czy Bjarniemu się tylko zdawało, czy poruszyła się ziemia? W głowie mu wirowało od słodkich trunków. Czy znowu śnił na jawie? W nalanej do czary wodzie rozchodziły się kręgi. Dwór drgał od wstrząsów. A jednak! Zebrani zdawali się tego nie czuć.

– On się zbliża... – powiedział Bjarni, patrząc na czarę.

– Kto? – Grjota spojrzała z przerażeniem na swego wybranka.

Kruk nie zdążył odpowiedzieć. Odrzwia rozwarły się z hukiem, wpuszczając do środka śnieżną zawieruchę i zapach sosnowego lasu. Zapadła cisza, w której odzywały się podmuchy wichru. Biesiadnicy odwrócili wzrok od uginających się stołów i wlepili spojrzenia w rosnącą postać, która pojawiła się w bramie. Obsypany śnieżnym puchem mężczyzna wszedł do dworu, zataczając się jednocześnie.

– Witaj, Karlsefni – odezwał się Hrothgar, lekko podnosząc się na swym

bogato zdobionym tronie. – Jakie wieści przynosisz z za lasu? Czy w okolicy jest spokojnie?

Wojownik nie odpowiedział nic, zrobił jeszcze kilka kroków, zatrzymał się, spoglądając w sufit, a potem padł jak długi.

Wszyscy zerwali się z miejsc. Podłoga zaczęła pokrywać się krwią.

– Karlsefni jest ranny! – zawołał ktoś, a kilku mężczyzn doskoczyło do wojownika. Wszystkich jednak rozpędził król, który uklęknął przy swoim poddanym.

– Raczej martwy – rzekł Hrothgar, odwracając ciało. Oczy Karlsefniego były zgasłe, a pierś nie unosiła się wraz z oddechem.

We dworze zawrzało od głosów.

– Kto miał czelność?

– Sąsiedzi obiecywali pokój na czas zimy!

– Nikomu już nie można ufać!

– To nie człowiek zabił Karlsefniego! – zawołała stara Gerrid, która była zielarką. Pochyliwszy się nad ciałem, kobieta zaczęła kręcić głową z niezadowoleniem. – Przyjrzyjcie się ranom.

– Wilk? Niedźwiedź? – zapytał Hrothgar.

– To nie są pazury żadnego z leśnych stworów – zawyrokowała Gerrid. – Rzekę skuł wczoraj gruby lód – dodała i zebrani we dworze zamarli, słysząc jej słowa. – Stare opowieści oblekły się w ciało i znów nas prześladowują.

Nie umknęło uwadze Bjarniego, że część z ludzi Hrothgara spojrzała na niego ukradkiem i z niechęcią.

– Bjarni, a może nie postradałeś zmysłów... – wyszeptała Grjota na ucho ukochanemu.

– Czy to jednak lepsza wiadomość, że majaki rzeczywiście pojawiają się na jawie? – odparł Kruk i podniósł się z ławy, widząc, że inni wstają od stołów i biegną po broń.

* * *

Widok z pozoru był sielski. Ostatnie promienie chylącego się ku zachodowi słońca szkliły się na białej połaci. Kilka domostw, skupionych w niedużym siole, majaczyło na tle sosnowego lasu. Śnieg oprószył obficie dachy chat. Słychać było wokół ptasie trele i pohukiwania puszczyka. Wieczornego nieba, jakby rdzewiejącego od ostatnich promieni słońca, nie mąciła najmniejsza nawet chmurka.

Zwodniczy spokój krajobrazu ulatniał się jednak, gdy podeszło się bliżej. Krew barwiła miejscami śnieżną powłokę intensywną czerwienią. Zaostrzona żerdź płotu przebiła na wylot i unieruchomiła młodego Alrika. Zastygła w spazmie twarz młodzieńca zalana była krwią, a wnętrzności walały się pod płotem, jakby ktoś

rozzucił je na przynętę dla dzikich stworzeń. Z kolei kulawy Ottar leżał kilka kroków dalej, z wyrwaną w ramieniu ręką. Choć trudno było w to uwierzyć, z jego gardła wydobywał się jeszcze jakiś charkot, a pierś unosiła się wciąż, choć oddech był coraz bardziej płytki. Ornolf Prostack i Ketill dzielnie musieli walczyć tamtej nocy, ale pozostały z nich jedynie szczątki. Ktoś odgryzł im dłonie, te, w których dzierżyli topory; do tego rozciął brzuchy, a twarze zmienił w krwawe maski.

– Jest jeszcze dzień – powiedział Bjarni, podchodząc bliżej i patrząc na pozostałości po jatce. – Majaki zrodzone z nocnych koszmarów nie powinny mieć do nas dostępu.

– To nie majaki – rzekł stary Skialg rozglądając się wokół z niepokojem. – Widzę to, co ty, Pogromco Olbrzymów, choć wolałbym być dzisiaj ślepy... Jedyne pociecha w tym, że wszyscy zginęli w walce.

Bjarni zaczął przyglądać się śladom na śniegu. Jak opisać stworzenia, które mogły pozostawić podobne tropy? Niektóre miały cielska jak węże i wiły się wśród śniegów. Inne chodziły zapewne na dwóch nogach, wspierając się rękoma, a raczej łapami o różnej ilości palców, ale trudno pewnie byłoby przyrównać je do jakichkolwiek znanych zwierząt. Jeszcze inne posiadały chyba skrzydła, bo ich tropy urywały się i pozostawione były w odległych miejscach.

Ale tego można się było jedynie domyślać. Bjarni poczuł, jakby czarnoksiężskie zaklęcia rozwarły bramy złowrogich krain, pozwalając kryjącym się tam stworzeniom wyrwać się na krwawy żer.

– A zatem prawdę mówią stare opowieści – powiedział Skialg i splunął na śnieg. – Magia uczyniła niegdyś tę krainę nieprzyjazną ludziom... Dobrze wiedzieć, że nasze babki, które przekonywały o dziwach kryjących się w wąwozie, nie były szalone.

Zaraz rozległy się nawoływania. Wojownicy sprawdzali domostwa. Wszędzie znajdowali tylko trupy.

– Co teraz, Bjarni? – zapytał Skialg.

– Wiesz dobrze, dokąd prowadzą te ślady... Pójdziemy za nimi aż do zamku, choćby była to ostatnia wyprawa w naszym życiu.

– Pójdziemy? – Wojownik splunął na śnieg raz jeszcze, a potem spojrzął w oczy Bjarniego. – Wiesz co ci powiem, Pogromco Olbrzymów? Wiele dni temu echo przyniosło twój głos z za gór, gdy oznajmiałeś światu, że pokonałeś Glamrunga. Ci, którzy przywędrowali z tamtych stron opowiedzieli nam o tobie co nieco. Słuchaliśmy tych opowieści i zastanawialiśmy się, co to będzie, gdy zjawisz się w końcu w naszych włościach? – Mężczyzna wsparł nogę o płot i zaczął się wpatrywać w dal. – Czy ktoś taki jak ty może przynieść ze sobą coś dobrego? Jakie siły stoją za człowiekiem, który pokonał giganta? Czy nie odwrócą się przeciwko niemu i każdemu, kto wejdzie z nim w komitywę? Król Hrothgar długo zastanawiał się nad tym, a my wraz z nim. Wiele z wieczornych narad zostało poświęconych

tobie, Bjarni. Niektórzy doradzali królowi, by nie bratać się z człowiekiem, który miesza się w sprawy nieśmiertelnych. Ja byłem podobnego zdania... Stara Gerrid zobaczyła w swoich snach coś, co bardzo ją zaniepokoiło.

– Co mianowicie? – Bjarni spojrzał z niechęcią na Skialga.

– Kruka, który siedząc na dachu dworu Hrothgara trzymał w dziobie okrwawioną padlinę. „Nie może to zwiastować niczego dobrego”, powiedziała z przestrogą Gerrid, ale król nie chciał jej słuchać. Od setek lat powtarza się w tej krainie różne straszne opowieści. Niektórzy w nie wierzą, inni postrzegają, jako niegroźne bajki, choć dla świętego spokoju zadają sobie trud, by odczynić uroki. Cóż... Jedni i drudzy przekonują się teraz, że to nie tylko wymysły ich piastunek. Pogromco Olbrzymów, czy sądzisz, że to przypadek, iż koszmary pojawiły się na świecie, gdy ty zawitałeś w nasze niskie progi?

Bjarni nie powiedział nic. Skialg miał zapewne rację.

– Zostańcie zatem tutaj – odparł Czarnobrody, odwracając się plecami do wojownika i patrząc w ścianę lasu, gdzie dostrzegał jakiś ruch. – Pójdę ku Czarnej Wieży. Nie żądam, byście poszli ze mną.

– Za długo zabawiliśmy w tej przeklętej wsi – rzekł mężczyzna. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi i schowało się już za ścianą lasu. – A w trzewiach nocy rodzą się koszmary.

Bjarni odwrócił się i zamarł. Odziane w czarne płaszcze postaci, kołyszące się w takt podmuchów wiatru, wyłaniały się spomiędzy śnieżnych zasp. Szły niezdarnie, wężąc wciąż, jakby nie ufały własnym, skrytym gdzieś pod kapturami oczom. Pod stopami tajemniczych istot śnieg nie zaskrzypiał. Czy zatem istniały? Może były tylko ułudą?

Bjarni usłyszał za to inne kroki, pospieszne i trwożliwe. Skialg i reszta uciekali. Najemnik nie mógł mieć do nich pretensji. Spojrzał na obnażony miecz, który dzierżył w dłoni, a potem przesunął wyszczerbionym ostrzem po własnej skórze. Krew zaczęła spływać po stali na śnieg. To nie był sen.

Zaraz potem ruszył do boju. Ciął z wrzaskiem, niemal na oślep, czując złowrogi oddech krwiożerczych istot. Miecz rozplątał brzuch osnutej czernią poczwary. Kimkolwiek była, pulsowało w jej ciele życie, jakkolwiek wynaturzone. Stwór cofnął się, a potem upadł.

– Odstąpcie! – zawołał Pogromca Olbrzymów. Obleczone w czerń istoty jednak nie posłuchały. Czy znały w ogóle ludzką mowę? Posłańcy czarnoksiężnika zbliżali się chwiejnym krokiem jeden po drugim, wyciągając przed siebie długie, chude ręce. Księżyc skrył się za chmurami. Widać było tylko taniec cieni. Bjarni słyszał oddechy i głośne mlaskanie potworów. Okrążyły go. Kątem oka dojrzał, że jakiś czarny kształt, opalizujący mdłym blaskiem, pojawił się na żerdzi płotu. Czyżby już zlatywały się kruki i wrony? Nie. Przeciągły pisk oznajmił mu, że był to sokół.

– Nie chcą zabić ciebie, Pogromco Olbrzymów. – Bjarni usłyszał czyjś głęboki głos. Tam, gdzie przed momentem wylądował sokół, stał teraz wspierający się o płot człowiek. Dało się jednak dojrzeć jedynie zarys jego sylwetki. – Jestem ci wdzięczny, więc dlaczego miałbym posłać me dzieci przeciwko tobie?

– Wdzięczny? – zapytał Bjarni.

Rozglądając się trwożnie wokół, zdał sobie sprawę, że nienazwane istoty mijają go. Niewiele widział, czuł za to odór ich ciał, podobny do kwaśnego zapachu gnijącego mięsa. Słyszał też nieludzkie odgłosy, dobiegające z ich powykrzywianych ust. Poczwały szły w kierunku dworu Hrothgara. Ta nagła myśl sprawiła, że zaczęła w Bjarnim wzbierać złość.

– Grjota... – szepnął do siebie, a potem z wściekłością rzucił się w mrok, by na oślep odcinać potworne kończyny i rozłupywać czaszki. Szybko czarna posoka zaczęła kleić się do jego kolczugi i zalewać oczy. Nie miało to jednak znaczenia. W tych straszliwych ciemnościach i tak był niemal ślepy. Ale choć uderzał z wprawą, to czuł, że nie powstrzyma pochodu licznej hordy, że to niemożliwe nawet dla kogoś, o kim układano pieśni.

Czarna postać wyrosła przed nim. Strzępki światła wyłowiły z ciemności szczupłą twarz i długą, rzadką brodę. Bjarni zatrzymał się, jakby ktoś nagle odebrał mu wolę.

Czarnoksiężnik wyciągnął w kierunku wojownika dłoń, a kilka wypowiedzianych przez niego słów sprawiło, że śmiałek stracił przytomność.

* * *

Otaczały go szczyty wysokich gór, pogrążone w wiecznych śniegach i ciszy. Ta kraina nie znała ludzi; nic nie zostało tutaj jeszcze nazwane, a wszystko zdawało się być większe i groźniejsze niż w świecie śmiertelnych. Góry i drzewa, które nie zdążyły skarlecć przez tysiąclecia, nieskalane myślą i gestem śmiertelników, sięgały dalszych połaci niebios.

Dziwne, ale Bjarni dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że barwa pochmurnego nieba miesza mu się z szarym pasmem skał – co prawda widział wszystko dokładnie, ale do góry nogami. Wisiał w powietrzu, nad przepaścią, trzymany za nogę przez dwa wielkie paluchy.

– Glamrung... – szepnął Bjarni, a jego głos, choć cichy, odbił się echem i dźwięczał wśród przepastnych wąwozów.

– Mógłbym cię puścić i poszybowałbyś w dół – rzekł olbrzym z uśmiechem. – Szczyt jest tak wysoki, że znalazłbyś w tym śmiertelnym locie wiele czasu na rozmyślanie, a moje serce wypełniłoby się radością, bo w uszach dźwięczałby mi twój przerażony głos.

– Na co zatem czekasz? – zapytał Bjarni, wiercąc się i próbując oswobodzić z uścisku mocarnej dłoni. Podobny był teraz do świerszcza złapanego przez

dziecko, które zastanawia się, co zrobić ze swoją zdobyczą. Czy pozbawić ją kończyn, życia, czy raczej puścić wolno?

– Chciałem się z tobą rozmówić.

– Rozmówić?

– Nie przesłyszałeś się. Pewne sprawy nie dają mi spokoju. Wiesz dobrze, że lubię ludzkie opowieści, ale te, które słyszę ostatnio wciąż i wciąż, nie cieszą mnie wcale.

– Jakież to opowieści słyszysz w zaświatach?

– Najczęściej powtarza się tam teraz historię o Bjarnim Kruku, Pogromcy Olbrzymów! – zawołał z gniewem Glamrung i zazgrzytał zębami.

– Doprawdy? – Kruk uśmiechnął się. – Nie przepadam za tą opowieścią, znam wiele bardziej zajmujących.

– W rzeczy samej, ja również – powiedział olbrzym, unosząc swą zdobycz nieco wyżej. Bjarni mógł spojrzeć teraz w zdrowe oko Glamrunga niczym w toń górskiego jeziora; pusty zaś oczodół przypominał krater wielkiego gejzeru. – Nie podoba mi się, że wyszedłem w tej opowieści na głupca! A przecież żaden z rodu Jotunów nie jest tępy... Wyznajemy się na wiecznych sprawach i magii.

– Nie moja to sprawa, jak cię opisują!

– Czyżby? – Glamrung wykrzywił twarz i mruknął, co przypominało odgłos przetaczającego się po niebiosach gromu. – Nie twoja sprawa? Kto zatem ruszył na szlak z myślą, by ubić olbrzyma? Ty! Ale to jeszcze nic... Co stało się potem, Bjarni? Nieopacznie szepnąłeś słówko lub dwa akurat wtedy, gdy ktoś nadstawiał ucha. Nie dopowiedziałeś tego i tamtego, kiedy kto pytał w jakiejś podłej karczmie. W żartach, gdy byłeś pijany, rzuciłeś parę kłamstewek w kierunku zasłuchanych, a te oszczerstwa zmieniały się z każdym kolejnym powtórzeniem. Kłamliwe wieści rozchodziły się na wszystkie strony licznych światów, a kiedy skaldowie zaczęli powtarzać zlepek nieskładnych plotek, obdarzając go chmurą czarownych dźwięków, co są jak szlify na szlachetnym kamieniu, już nie byłem tym samym Glamrungiem. – Gigant mruknął nieprzyjaźnie. – Nie podoba mi się to, Bjarni Kruku i chcę, byś o tym wiedział!

– To moje prawo, olbrzymie – powiedział Bjarni z gniewem. – Jak wiesz dobrze, to właśnie zwyczajcy mogą snuć opowieści!

– Chciałem cię ocalić, kompanie mej niedoli – rzekł Glamrung. – Ale chyba jednak pozwolę ci spaść w lodową pustkę... Jeśli myślisz jednak, że to koniec opowieści, bardzo się mylisz. – Olbrzym wyszczerzył zęby, wielkie jak blanki strzegące zamków. – Nie odstąpię cię już na krok. Spotkamy się raz jeszcze, w zaświatach i wiecznie już będę deptał ci po piętach. A mam wielką i ciężką stopę! – Gigant zaczął się śmiać, najwyraźniej uznając, że udał mu się dowcip. – Lecz póki co... Żegnaj!

Glamrung zwolnił uchwyt, a Bjarni zaczął opadać w otchłań, słysząc nad

sobą śmiech, od którego pękały skały, a górskie jeziora występowały z brzegów.

* * *

Szare chmury wędrowały po nieboskłonie nazbyt spiesźnie. Wkrótce śnieg zaczął prószyć, a Bjarni, spoglądając ze szczytu wieży na okrywający się świeżą bielą las, nie potrafił zgadnąć, co stało się w czasie, gdy zmorzył go sen podobny do śmierci.

A może śnił nadal? Zastane okoliczności znów nie wydawały się realne. Stał teraz przed nim czarnoksiężnik, okryty czarną szatą, na której zatrzymywały się wielkie płatki śniegu. Nie było widać zakrytej kapturem twarzy mężczyzny – tylko siwa broda wystawała i kładła się na piersi maga.

– Pragnę ci podziękować, Bjarni – odezwał się czarnoksiężnik bez cienia kpiny, spoglądając w ponure niebo.

– Za co? – rzekł wojownik, próbując zebrać myśli. Jego ruchy były jakby zwolnione. Słowa wypływały z ust niemrawo i brzmiały obco.

– Źle być jedynie koszmarem z czyichś opowieści. Źle rozmienić swoje życia na kilka baśni, które staruszki opowiadają dzieciom przed zaśnięciem. O ileż lepiej znowu oblec się w ciało i sprawić, by inni się lękali nie bają, a rzeczywistości!

Ręka Bjarniego dotknęła rękojeści miecza, ale kiedy wojownik chciał obnażyć ostrze, czarnoksiężnik tylko coś szepnął. Rdza zaczęła przeżerać miecz, który rozpadł się na kilka kawałków. Bjarni trzymał w dłoni jedynie spróchniałą rękojeść.

– To na nic, Pogromco Olbrzymów – rzekł czarnoksiężnik. – Nie pokonasz kogoś, kto przez wieki wędrował po zaświatach, poszerzając swą magiczną wiedzę. Jeśli nie zechcesz iść ramię w ramię ze mną, jeśli nie zdecydujesz się mi służyć, być heroldem, który będzie zapowiadał me przybycie i siał niepokój... Cóż... Wtedy zginiesz! – Czarnoksiężnik zsunął z głowy kaptur, ukazując zaczesane do tyłu, siwe, przerzedzone włosy. – Pozwolę ci wspaniałomyślnie wybrać.

– Doprawdy, doceniam to – powiedział Bjarni, szczerząc zęby. – Wybieram zatem śmierć!

– Myślę, że to dość pochopna decyzja – rzekł pan Czarnej Wieży, wyciągając dłoń i szepcząc zaklęcia. – Nie zastanowiłeś się nawet, gardząc wspaniałomyślną propozycją... Ale uszanuję twój wybór. Nie zasłużyłbyś pewnie na swą sławę, gdybyś zadecydował inaczej.

Bjarni poczuł, jak niewidzialne palce zaciskają się wokół jego szyi. Powoli tracił oddech. W głowie mu pociemniało.

Nagle dało się słyszeć daleki, choć coraz wyraźniejszy odgłos czyichś kroków. Czapy śniegu spadały z blanek, wieżą raz po raz targały wstrząsy. Czarnoksiężnik opuścił dłoń i z trwogą spojrział na las. W tym czasie Bjarni

łapczywie łapał oddech, czując jak lodowate powietrze wbija ostrze w jego płuca.

Ziemia trzęsła się nadal. Przewracając rosłe drzewa, pogwizdując pod nosem, szedł ku nim olbrzym. Strumień, uwolniony z oków pękającego lodu, przelewał się przez brzegi, a wieża drgała w posadach. Wkrótce Glamrung stanął przy twierdzy, przesłaniając widok na las i góry oraz kawał niebios. Ogromna wieża sięgała mu do zmierzwionej brody.

– Chwaliłeś się przed chwilą znajomością magii, drogi Yargo, czyż nie?

– Skąd... Skąd znasz moje prawdziwe imię, gigancie? – Czarnoksiężnik aż zadrżał.

– Słuchałem opowieści o tej krainie już wtedy, gdy bogowie byli jeszcze młodzi i nie wiedzieli nic o swoim przeznaczeniu. – Olbrzym uśmiechnął się. – Znam twoje imię i kilka zaklęć starszych niż mury twojej twierdzy. I ja zadam ci pytanie, dając jednocześnie swobodę wyboru odpowiedzi, kochany Yargo. Chcesz zginąć od razu, zgnieciony pod moim palcem niczym pluskwa, a może wolisz, bym na razie darował ci życie?

Czarnoksiężnik ze złością przeklął pod nosem, a potem zaczął szeptać zaklęcie, wznosząc jednocześnie ramiona ku przestworzom. Coś jednak poszło nie tak. Pan Czarnej Wieży ze złości zacisnął pięści.

– Nie sądzisz chyba – zaśmiał się gigant – że Glamrung to moje prawdziwe imię? Takie miano nadali mi skaldowie przed dziesięcioleciami, czyli bardzo, bardzo niedawno. Dekady są dla mnie jak pstryknięcie palcem. Wielce nawet polubiłem swe nowe imię. Glamrung... Gdym zrodził się, a było to jeszcze zanim ten świat powstał, nie istniała żadna mowa, która mogłaby mnie nazwać, bo nie istniał nikt, kto by snuł opowieści... Ech! Piękne czasy... Gdy wędrowałem przez zapomniane dziś światy, to za pomocą szumu fal przeżywało mnie jedynie morze, a także straszliwy wicher, który kładł pokotem drzewa. Jestem zatem prawdziwie bezimienny! I jeśli ktoś dzierży los w swej dłoni, to ja właśnie decyduję o nim w pełni, drogi Yargo!

Glamrung schwycił w dwa palce Bjarniego i szepnął, zwracając się do niego:

– Wiem, że się spieszysz, ale szybciej będzie, gdy ja wyciągnę swe nogi. Już raz tak podróżowaliśmy, pamiętasz? Zasiądź na moim ramieniu, Kruku.

Zaraz potem Glamrung dmuchnął w kierunku Czarnej Wieży, a czarnoksiężnik Yargo poszybował ku przestworzom, gdzie objęła go lodowa pustka odległych chmur.

* * *

Dymy snuły się przy ziemi, a zimny, podobny do oddechu bogów wicher, przeczesywał górskie ostępy. Niebo stało się pochmurne i groźne.

Na ogromnym głazie, wystającym z górskiego stoku, zasiadał Glamrung i wpatrywał się w dal. Tuż obok, wsparty o miecz, stał Bjarni i z pochmurną miną

próbował dostrzec dwór Hrothgara.

– Twoi towarzysze z drużyny porzucili cię bez mrugnięcia okiem – rzekł olbrzym – a dzień wcześniej, podczas biesiady, wznosili radosne okrzyki i pili twoje zdrowie... Dziwny jest człowieczy ród.

– Muszę się pospieszyć – powiedział Bjarni, nerwowo targając brodę. – Czarnoksiężnik wysłał swoje zastępy na żer.

– Wstrzymam czas, jeśli pozwoli nam to porozmawiać w końcu w spokoju – powiedział Glamrung, a potem dmuchnął. Oddech olbrzyma ogarnął dolinę, po czym wszystko zatrzymało się. Nawet wzniecone przez nagły wichur tumany śnieżnego pyłu zawisły w bezruchu.

– Czy to znowu sen, czy jawa? – zapytał Bjarni. – Jedno z drugim całkiem mi się pomieszało.

Glamrung tylko uśmiechnął się zagadkowo.

– Kiedy pobiegiesz do dworu Hrothgara z odsieczą, sam będziesz musiał zdecydować co z tego, co ujrzałeś dotąd było prawdą, a co śnieniem. A im dłużej będziesz się zastanawiał, tym odpowiedź będzie przychodziła z większym trudem.

– Co zatem jest prawdziwe, w świecie, w którym sny mieszają się z jawą?

– Tylko to, co rodzi się z bajania – odparł olbrzym, a gdy wyprostował się, jego gęsta broda zlała się w jedno z obłokami – choć może się wydawać, że jest zgoła inaczej. Zastanów się jednak... Czy pozostawiamy na tym świecie po sobie coś więcej oprócz opowieści? Jesteśmy słowami rzuconymi na wiatr.

– Oznacza to, że nasze słowa i czyny nic nie znaczą – odparł Bjarni – skoro kto inny układa pieśni.

– Masz rację – przytaknął Glamrung. – Skaldowie rozporządzają najpotężniejszą, a zarazem najstraszliwszą magią, jaką można sobie wyobrazić. Każdy z was, ludzi, jest bajaniem, przynajmniej w części – wystarczy, że ktoś uwierzy w waszą opowieść lub da się jej zauroczyć... I na mnie padło podobne zaklęcie, choć jestem z rodu gigantów! Uczzonego olbrzyma, co wyznawał się na magii, runach i wiedzy, której nie posiadli nawet bogowie, ludzie przemienili w swych opowieściach w okrutnika i gbura, zjadającego się mięsem podróżnych. Czy kogoś obchodzi teraz kim byłem rzeczywiście, prócz mnie samego? Z zaświatów słowa moich wyjaśnień już nie dobiegną.

– Tamtego dnia, gdy spotkałem cię pierwszy raz, ujrzałem też sterty okrwawionych ludzkich kości. Tęskno patrzyłeś na nie i mnie też chciałeś pożreć, trzymając się za wzdęty z głodu brzuch. Czy chcesz powiedzieć, że opowieści o twym okrucieństwie były przesadzone?

– Było tak, jak mówisz, czy tak się jedynie zdawało? – Glamrung westchnął, wzniecając ponownie wichur. – A może widziałeś sterty pergaminów, na których zapisano uczone sekrety? Może otoczyłem się zwojami pełnymi magicznej wiedzy, a nie kośćmi ludzi? Może zatrzymałem podróżnych, aby rozmówić się z nimi,

chcąc poznać ludzki ród lepiej i spamiętać jego opowieści? Czy chciałem cię pożreć, czy raczej byłem głodny, dojmująco głodny historii przynoszonych przez takich wędrowców jak ty?

– Byłeś łasy na złoto Sigurda!

– Raz jeszcze zapewnię cię, że byłem głodny wiedzy! – zawołał gromko Glamrung. – Czy wiesz, że Sigurd przywiózł z zagubionych pośród pustyni krain starożytne nauki, spisane przez mędrców i magów? Prawidła liczb, magiczne alfabety, słowa, od których rzeka wraca do swych źródeł, a czas biegnie wstak... To był skarb, do którego chciałem się dostać!

– We wszystkich opowieściach o Sigurdzie słyszałem jeno o złocie, srebrze i drogich kamieniach.

– Naiwny! I jaki ludzki w swych przypuszczeniach! Sigurd rzeczywiście mówił na łożu śmierci o swym bezcennym skarbie, schowanym w górskiej pieczarze, a to tylko z jednym twemu podłemu rodowi się kojarzy! – Glamrung pokiwał z dezaprobatą głową. – Ludzie usłyszeli „skarb” i wnet zmyślili sobie złote monety, rubiny, srebrne puchary wyłożone bursztynem! A tu chodziło o wiedzę spisaną przed wiekami na bezcennych zwojach! To był skarb Sigurda, przywieziony zza mór... Ale jakie to ma teraz znaczenie? Ten, który zgładził okrutnego olbrzyma stał się bohaterem. Ty, Bjarni, dyktujesz warunki i niesiesz opowieść o naszym spotkaniu. Może nigdy nie wypowiedziałem słów klątwy? Ale co z tego, skoro wszyscy usłyszeli od skaldów, że tak właśnie było! Ważne, że wieść o przekleństwie znalazła swe odbicie w opowieściach. Kto jednak wie, co z twej sławy pozostanie?

– Czy prawdę mówiła stara Gerrid, że przeze mnie zbudziły się dawne koszmary?

– Koszmary ciągną do ciebie jak muchy do miodu, bo gdy blask czyjejś chwały jest silny, cienie w koło mogą stać się wyraźniejsze – odparł Glamrung. – Klątwa rzucona przeze mnie działa niezawodnie w tym właśnie sensie. Prawią o niej w końcu skaldowie, sprawiając, że słowo staje się namacalne. Prawdę powiedział ci czarnoksiężnik Yargo, że na nowo powołany został do życia za twoją sprawą. Im dłużej zabawiasz w jednym miejscu, tym więcej będziesz ożywiał starych opowieści.

– Co mam zatem uczynić?

– Pytasz tego, który znenawidził cię ponoć z całego serca? – Olbrzym uderzył pięścią w skałę i znowu z gór zeszyły lawiny, a okoliczny strumień zmienił swój bieg. – Uciekaj... Uciekaj! To ci poradzę... Możesz zdołać oszukać swe przeznaczenie? Nie zrobisz tego jednak, zabawiając zbyt długo w jednym miejscu! – Glamrung schwycił się pod boki i zaśmiał głośno. – To twoja jedyna nadzieja, Bjarni... Ale póki co, dopomogę ci. Wstrzymam czas jeszcze na chwilę, choć może być już za późno. Biegnij zatem do swej ukochanej! Biegnij do pięknej Grjoty,

córki mądrego króla! Ach, co to byłaby za opowieść, gdybyście doczekali się dzieci i władali włościąmi Hrothgara długo i szczęśliwie, z nadzieją wyczekując każdej wiosny!

* * *

Biegł co sił, czując coraz mocniejszy uścisk niepokoju. Mgła i śnieżne płatki trwały wciąż w bezruchu, objęte magią Glamrunga. Czar szybko jednak prysł i czas wrócił, z razu leniwie, do swego rytmu.

Gdy zaś Bjarni zbliżył się do dworu Hrothgara na tyle, by dojrzeć zgliszcza, rzucił się przed siebie jak oszalałe zwierzę. Gdzieś widać było jeszcze płomienie, które lizały ściany dworu i otaczające go zburzone budynki. Ciała, wszędzie ciała. Porozrywane, jakby wywleczono na zewnątrz tych, którzy bronili osady po to jedynie, by napawać się ich cierpieniem. Na twarzach zabitych widniały maski przerażenia, jeśli tylko dało się dostrzec jakiegokolwiek rysy.

W końcu Bjarni zauważył burzę rudych włosów, które kładły się na śniegu. Dopadł do ciała dziewczyny i nacierając jej twarz śniegiem, zmasał zakrzepłą krew. Podnosząc Grjotę, ujrzał martwe oczy, szklące się pustką. W piersiach Bjarniego zrodził się krzyk. Jakby na wezwanie przybył z niebios kruk, który zaczął łypać chętnym okiem na trupy. Zaraz zjawił się kolejny, potem cała chmara, przykrywająca niebo niczym burzowa chmura.

Czując rozrywający wnętrze i duszę ból, niosąc przez zgliszcza ciało ukochanej kobiety, chcąc zanieść je tam, gdzie padlinożercy nie mieliby do niego dostępu, Bjarni wiedział już, co jest prawdziwe, a co nie.

Wiedział też, że nigdy nie zazna spokoju na świecie.

* * *

...Pytają się często ludzie, co takiego zdarzyło się w krainie Hrothgara, że Bjarni opuścił tamte włości i ruszył znów przed siebie. Dlaczego zostawił ją, która nosiła imię Grjota, a swą urodę potrafiła zarzucić na męczyznę sieć uroku i złowić go jak morską rybę? Nikt nie zawitał potem do tamtej dziedziny, jakby mgły zesłane przez złośliwych czarnoksiężników przysłoniły wszelkie szlaki. Może kraj ten nigdy nie istniał?

Niechaj pozostanie tajemnicą, dlaczego przez pewien czas błąkał się wśród mroków i uciekał przed własną legendą. Gdy zatrzymywał się gdzieś, to tylko na chwilę. Gdy zaś wieści o jego czynach pojawiały się wraz z nim i zaczynały obrastać w nowe opowieści, odchodził bez słowa.

„Czego szukasz?”, „Dokąd zmierzasz?”, „Przed czym uciekasz?”, pytali ludzie, a on nigdy nie odpowiadał, choćby pytania te miały padać z ust królów, jarłów i potężnych magów. Mówiło się wiele o Bjarnim Kruku, Pogromcy Olbrzymów, on jednak nie przedstawiał się w ten sposób, szukając miejsca, gdzie

nikt nie znał opowieści o nim. Takie miejsce jednak nie istniało, bo głos Glamrunga miał magiczną moc i odbił się echem nie tylko wśród gór, ale dotarł też do najdalszych zakątków zarówno znanych, jak i zapomnianych światów.

Przyjął w końcu Bjarniego na służbę pewien zamożny człowiek i wysłał w góry, gdzie żył lud nie znający tych bogów, którym kłaniał się Pogromca Olbrzymów. Ale choć zdawało się, że w tamtej krainie nie może go czekać nic złego poza nudą, okazało się, że wichry roznosi po górach zwodnicze pieśni pewnej wiedźmy noszącej imię Elinai...

Z „Sagi o Kruku”

III. Spłacony dług

Podłużną dolinę porastały jedynie mchy i kępki zmarzniętej trawy. Mgła snuła się tutaj nisko, a szczyty wznoszących się naokoło wzgórz zakrywała płachta mlecznobiałych chmur.

Panującą wokół ciszę zmaćił stukot kopyt, który rozległ się głucho, gdy rumak niosący zbrojnego ruszył stępem po skalistym, nierównym podłożu. Bjarni Kruk wyprostował się w siodle, by przypatrzeć się ponurej okolicy i odnaleźć w szarzącym krajobrazie cel podróży. W dali majaczyła niewielka wieś, która przylgnęła do stromego zbocza, ginąc w jego cieniu. Strzechy domostw, solidnych, wzniesionych z bali i pokrytych torfem, otulała biel szybko tającego śniegu. Wioskę otaczała niewysoka palisada, u której podnóża trwała gęsta zawiesina jasnych mgieł. W pomroce pochmurnego dnia niewiele jednak dało się dostrzec.

Gdy Bjarni przybliżał się do wsi, coraz wyraźniej słyszał głosy kruków, wron i kawek. Czarne ptactwo kłębiło się na tle szarego nieba, kołując w dół i przeganiając skrzydlatych towarzyszy, którzy zasiedli już do uczyty. W pewnym momencie rumak przystanął i zaczął prychać niespokojnie, zadzierając przy tym łeb. Z końskich chrap unosiły się kłęby rozgrzanego powietrza.

Być może Bjarniemu wydawało się tylko, ale gdzieś z oddali, zza wzgórz, dobiegł całkiem inny głos, jakieś ciche przyzwanie. Kobiece, pełne czaru i zwodniczego ciepła.

– Nie bój się – powiedział, poklepując rumaka po szyi i spoglądając na kotłujące się w pobliżu wsi ptactwo. – Nie po raz pierwszy napotykasz taki widok... I pewnie nie ostatni – szepnął jakby do siebie.

Jednak i Bjarni poczuł uścisk niepokoju. Trzymając jedną dłoń w wodze, drugą położył na rękojeści miecza. Wkrótce wypatrzył w półmroku coś, co zapowiedział mu krzyk i widok czyhających na padlinę ptaków.

* * *

Opodal bramy, na samotnym, ogołoconym z liści drzewie, dyndał wisielec. Ciało, poszarpane przez ptactwo, z czarnymi, pustymi oczodołami, zdradzało wyraźne oznaki rozkładu. Na ramieniu trupa zasiadały dwa kruki, które trzepocząc skrzydłami, próbowały wzajemnie się przegonić. W powietrzu czuć było odór zgnilizny.

Bjarni, podjeżdżając do wrót wsi, zatrzymał niespokojnego rumaka i przyjrzał się zwłokom. Czy mógł to być człowiek, którego szukał? Sadząc po ubiorze, nieszczęśnik nie był ani niewolnikiem, ani wolnym chłopem. To raczej

wojownik, ktoś, kto poznał za życia smak bitewnego szału. Musiał mieć też dość srebra, by ubrać się w strój godny szlachetnie urodzonego i zakryć ramiona kolczą osłoną.

– Drago... – mruknął Bjarni – Albo jego brat. Tak czy inaczej, dobra nasza.

Ciało zakołysało się raz jeszcze na skrzypiącej linie, choć wiatr wcale się nie wzmógł, a potem korpus oderwał się od głowy. Jedno i drugie spadło z chrzęstem na ziemię. Głowa potoczyła się dalej i zatrzymała w wąskim rowie, tuż przy palisadzie. Czarnopióre ptaki wzleciały wyżej i zaczęły ponownie krążyć na niebie, by opaść chwilę później po swój nadgniły już posiłek.

Bjarni przejechał przez bramę i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś za nim podąża. Nerwowo spojrział w tył, ale w gęstniejącej mgle nie zobaczył nikogo. Tylko ten głos; daleki, nierzeczywisty, dobiegający niby ze snu i zsyłający wizje.

* * *

W palenisku zarzyły się drwa, a biały dym wypływał przez dziurę w dachu. Żółtawa poświata nieśmiało wylawiała z ciemności pokraczne kształty. Klepisko pokrywała słoma, niezbyt świeża, co dało się wyczuć w przepelnionym zgnilizną zapachu. W głębi sporej izby widać było tylko niewyraźny zarys beczek i skrzyń. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały pochrząkiwania prosiaków i meczenie kóz. Na ścianie, którą Bjarni miał za plecami, zawieszono skóry i gliniane naczynia.

Tutejszym żyło się widać dostatnio. Mieli dość, by radośnie żegnać każdy mijający dzień. Niemniej w pomrukach, które docierały do uszu wojownika, nie było słycać radości, jedynie niepewność.

Bjarni zasiadał przy podłużnej ławie na drewnianym stołku i zjadał podaną mu wieczerzę. Wieśniacy nie śmieli się zbliżyć do niego. Człowiek okuty w stal, z mieczami przy boku, z tarczą na plecach, był dla tutejszych kimś wyjętym żywcem ze świata powtarzanych wieczorową porą opowieści.

– Nie dbacie o swoich zmarłych – powiedział Bjarni, gdy uraczył się już w milczeniu polewką. Po chwili podniósł ze stołu pękaty garniec z piwem i zaczął pić duszkiem. Mętny płyn skapywał po jego gęstej, czarnej brodzie.

– Wybacz, panie – odparł jeden z wieśniaków, który przybliżył się do Bjarniego na tyle, że Czarnobrody mógł zobaczyć wyraźniej oblicze rozmówcy. Mężczyzna miał siwe włosy i pooraną twarz. – Człowiek, o którym mówisz, nie pochodził stąd. W dodatku dręczył nas i... – Starzec zawahał się, bo nie wiedział przecież nic o przybyszu. Zastanawiał się teraz najpewniej, czy tłumaczyć się przed gościem, szukając wymówek, czy raczej mówić prawdę.

– Jak masz na imię? – zapytał Bjarni.

– Ulve – odparł starzec.

– A zatem, Ulve, czy człowiek, którego ciało jeszcze niedawno wisiało u wrót waszej wsi, zwał się Drago?

– Tak kazał się na siebie mówić. A czy zwał się tak naprawdę? Jego trzeba by było wypytać. Ale już na to za późno. Nie żyje.

– Racja. Chciałbym się jednak dowiedzieć, czy sam się powiesił, czy mu ktoś w tym pomógł?

Na obliczu starca pojawiła się niepewność

– Zmogło go szaleństwo, panie – odparł Ulve. – Tak było. Słowo takiego człowieka jak ja niewiele pewnie dla ciebie znaczy. Jesteśmy prostymi ludźmi. Żaden z nas nie podniósłby jednak ręki na kogoś szlachetnie urodzonego. Drago sam wybrał swój los.

– Nie tłumacz się – powiedział Bjarni. – I nie musicie się mnie bać. Mnie wszystko jedno widzieć go żywym albo umarłym, nawet gdybyście przyłożyli rękę do jego śmierci. Nie był moim przyjacielem, ani przyjacielem mego pana. I wrogiem może też by nie był... Przynajmniej gdyby zechciał spłacić dług.

– Drago zjawiał się tutaj nie wiadomo skąd i przez kilka tygodni ukrywał się w górach – wyjaśnił Ulve. – Brał od nas co chciał, bez względu na to, czy chodziło o zapasy, czy kobiety. Jego śmierć przyjęliśmy jak wybawienie. Ale nikt z nas nie przyczynił się do niej.

– Jeśli człowiek ten mieszkał z wami przez pewien czas, pewnie pojawił także i jego brat? – zagadnął Bjarni, wspierając dłoń na boku.

Jakieś niespokojne szeptki przebiegły wśród zabranych. Nie uszło to uwadze Bjarniego.

– Nie mylisz się – odparł Ulve. – Zjawiał się u nas i Radogan, jeśli mówimy o tej samej osobie.

– Co z nim?

– Coś poróżniło braci.

– Srebro? Złoto?

– Raczej kobieta.

– Nic nowego. – Bjarni uśmiechnął się. – Gdzie mogę go teraz znaleźć? Ukrywa się tutaj, czy poszedł gdzieś wyżej w góry?

– Drago przeszył swego brata mieczem – wyjawiał Ulve, nie bez odrazy w głosie. – Zamordował, jeśli wolisz, chociaż nam, ludziom prostym, nie przystoi sądzić możnych. Potem powiesił się.

– Obaj zatem nie żyją – mruknął Bjarni i przysunął do siebie garniec z niedopitym piwem. – Jak powiedziałem, dla mnie to bez różnicy. Martwi nie są kłopotliwi.

– Niezupełnie, bo... – Ulve się zawahał. – Pochowaliśmy ciało Radogana w ziemi, jak nakazuje nasz obyczaj. Jednak gdy głos tamtej kobiety znowu przybył do nas wraz z wiatrem... Zmarli są co prawda głusi na głosy żywych, ale Radogan... On....

– Mówisz zagadkami – powiedział Bjarni i podniósł się, bo usłyszał na

zewnątrz coś niepokojącego. Kruki i wrony znowu z krzykiem zerwały się do lotu; głośne krakanie rozbrzmiało gdzieś w przestworzach. Uwiązany u progu chaty rumak zaczął rzeć nerwowo.

Bjarni ruszył spiesznie w kierunku wyjścia. Trzymając w dłoni miecz, ostrożnie rozchylił pozszywane koźłące skóry, które dzieliły chatę od podwórza i podszedł do wierzgającego niespokojnie.

– Już dobrze. – Schwycił konia za wodze. – Nic złego nie może ci się stać.

Teraz dopiero spostrzegł u wrót wsi zarys postaci, która tonęła w słonecznej poświacie, przedzierającej się przez chmury. Był to wysoki, barczysty młodzieniec, w kolczudze i długimi, opadającymi na ramiona włosami. Stał bokiem, a w dłoni trzymał głowę Drago, którą schwycił za sklezione krwią włosy.

– Radogan! – zawołał Bjarni w kierunku postaci. – A jednak jesteś wśród żywych! Nie szukam z tobą zwady. Brat twój winny był memu panu trochę srebra, które wziął ze sobą, gdy opuszczał dwór. Wierzę, że to tylko pomyłka, nie kradzież. Nie dowiemy się tego teraz, skoro Drago postanowił stchórzyć i uciec od życia. Potrzebuję... Słyszysz mnie w ogóle?

Radogan obrócił się w kierunku wołającego i zrobił krok do przodu. Jego twarz była niezwykle blada, pokryta zakrzepłą krwią, która czerwieniła się też na długiej, płóciennej koszuli. Oczy mężczyzny zgasły, jakby nie było w nich życia. Wydawało się, że widać tylko białka, bez źrenic i czucia. Zbielałe usta otworzyły się, ale nie dobył się z nich żaden głos.

Promienie okalały chwiejną sylwetkę, przedzierając się przez otwór w ciele. Poniżej piersi widać było śmiertelną ranę. Radogan został przeszyty na wylot.

Bjarni zmarszczył czoło i posępnym wzrokiem spojrzął na niemą postać, która odwróciła się plecami i zniknęła gdzieś za bramą osady i opadających na nią mgłach. Zaraz potem usłyszał głos dobiegający z dali. Jego myśli zaczęły krążyć gdzieś po krainach bez imion, próbując oprzeć się na racjonalnym wytłumaczeniu.

* * *

– Stało się to wczoraj – zaczął wyjaśniać Ulve, stojąc na podwórzu. – Jedna z naszych kobiet poszła zaczerpnąć wody ze strumienia i ujrzała rozkopany grób. Owszem, nie zadbaliśmy o pochówek należycie, nie kopaliśmy zbyt głęboko, nie przynieśliśmy ciężkich kamieni. Robiliśmy to w pośpiechu, także po to, by nikt nie zobaczył, że grzebiemy ciało. Ktoś gotów jeszcze pomyśleć, że myśmy go zamordowali. Ale kto mógł się spodziewać, że zmarły powstanie z grobu? Są krainy, gdzie pali się ciała i teraz widzę w tym sens. Nie uwierzyliśmy jednak kobiecie, gdy opowiedziała o przechadzającym się po dolinie Radoganie. Poszliśmy sprawdzić i rzeczywiście ujrzeliśmy, jak zmarły chodzi bez celu po pustkowiu, szukając czegoś lub kogoś. Zaczął krążyć coraz bliżej wsi, jakby nie wiedząc kim jest i co go na świat ponownie sprowadza, ale widok wisielca chyba

coś mu podpowiedział.

– Człowiek nie wstaje z grobu bez powodu – powiedział Bjarni z ponurą miną i ze wzrokiem skierowanym na cienistą dolinę, która otwierała się za skalnym załomem.

– Chyba że zmarłego przyzywa siła zaklęć.

– Brzydzą się magii, która łamie prawa tego świata.

– Magia to jedno – powiedział Ulve z lękiem. – Miłość i nienawiść to drugie.

– Obie często idą z sobą w parze i bywają mocniejsze od jakichkolwiek zaklęć.

– To prawda. Mówią też, że tylko miłość i nienawiść mogą być silniejsze niż śmierć. Teraz wypada mi w to wierzyć. W tym wypadku splotły się w jedno.

Z mroków dalekiej puszczy dobiegł kobiecy głos, dźwięczny i delikatny.

– Czy to głos dziewczyny, która poróżniła braci? – zapytał Bjarni, przeczesując palcami zmierzwioną brodę.

– Nie mylisz się, panie – przytaknął Ulve i począł dalej wyjaśniać: – Pierwszy zjawił się w górach Drago. Miał ze sobą sporo srebra, które musiał zabrać z dworu twego pana. Ale nie myślał płacić nam za gościnę. Mało tego, używał tej gościny jak tylko mógł, o czym ci wspominałem. Nie było dla niego świętości... Później z coraz większą ochotą zaczął zachodzić do sąsiedniej wsi, za wzgórze. Pewnie wtedy musiał usidlić go ten głos. Niejeden dał się omamić urokowi kobiety, która mieszka w samotni, a przybyła tu dawno temu. Mówi się, że to wiedźma, ale kto wie? Potem w górach zjawił się też Radogan. Bracia snuli co wieczór plany. Dało się posłyszeć, że chcą ruszyć za morze. Ale do uszu Radogana również docierał nocą głos ze snów, więc i młodszy z braci zaczął zachodzić do chaty za wzgórzem. Kiedy Drago dowiedział się o wszystkim, w szale zabił Radogana, a gdy zrozumiał co zrobił, długo mył ręce w potoku, chociaż krew dawno z nich spłynęła. Pojechał w końcu odnaleźć niewierną kochankę. Powrócił do wsi z obliczem, na którym wypisana była rozpacz. Bez słowa wziął linę i przewiesił ją przez konar drzewa. Długo jeszcze ruszał się, gdy pętla zacisnęła się na jego szyi. Minął dzień, potem noc, a z ust Draga wciąż dobywał się charkot, w którym słyszeliśmy przekleństwa. Czasem tak się dzieje, gdy ktoś, kto kocha życie, rozstaje się z nim niespodziewanie. Nikt nie odważył się podejść do wisielca. Tylko niecierpliwe kruki nie czekały, nim śmierć zabierze go na dobre. Wyżarły jego oczy i szarpały skórę, choć Drago żył jeszcze.

– Dość ponura historia – zawyrokował Bjarni.

– I, jak widać, jeszcze nie doczekała się końca. Słysząc wciąż głos wiedźmy, a Radogan za nim podążył. Elinai przyzywa go. Tak ma na imię. Stęskniła się pewnie. Może nic nie wie o jego śmierci?

– Tylko czy on ją słyszy?

– Wzywa go być może dawna miłość, pewnie na tyle mocna, że nie wygasła

po śmierci. Albo chęć zemsty, jeśli rozeznał się w oszustwach swej kochanki, bo przecież i ona nie powiedziała mu pewnie nic o tym, że zachodzi do niej Drago.

– Muszę odnaleźć tą, którą zwiecie Elinai – powiedział Bjarni i ruszył w kierunku swego rumaka. – Skoro Drago wyzbył się całego srebra, które zrabował, nietrudno domyślić się, kogo nim obdarzył. Mówisz, że znajdę ją za wzgórzem?

– Tak – potwierdził Ulve. – Szlak jest prosty, trudno zabłądzić, chyba że w bezgwiezdną noc.

– Gdybym zgubił drogę, pójdę za Radoganem. Albo podążę za głosem, który słyhać tak wyraźnie – dodał, wsłuchując się w pieśń przyniesioną przez wiatr. Widać było, że spojrzenie Bjarniego stało się nieobecne.

Ulve zmarszczył tylko brwi.

– Zapomnij o tym, panie – powiedział. – Iść za głosem wiedźmy... to pierwsza rzecz, o której nie wolno ci nawet myśleć.

* * *

Wyżej w górach wicher zawodził głucho. Wystarczyło wznieść się granią nieco ponad połąć chmur, by zobaczyć śniegi, które nigdy nie tajały. Otwierająca się przed oczami przestrzeń wydawała się ogromna, ale w czeluściach zapadającego zmierzchu Bjarni dostrzegł niewyraźny ognik, który przyciągnął jego uwagę. Gdzieś niżej, w niecce pełnej ośnieżonych, skarłałych drzew, czernił się kształt niewielkiej, zagubionej pośród pustkowie chaty.

Popędził swojego rumaka i obejrzał się za siebie. Szara postać krok za krokiem brnęła przez śnieg i półmrok odchodzącego dnia, czerwieniącego się luną pomiędzy zachodnimi szczytami. Radogan wciąż nie chciał oddać się pod władanie śmierci.

Bjarni pragnął być pierwszy, spiął zatem rumaka i ruszył w dół stoku. Co go tak pospieszało? Dlaczego nie czekał na świt? Spojrzenie kruczowłosego mężczyzny szukało celu podróży.

* * *

Porzucona pośród bieli chata była niczym zachęta, zaproszenie, które nie znało odmowy. Ściana gór majaczyła w tle, a cienie przesuwały ukradkiem. Wicher zamilkł, jakby ostrzegając domownika przed przybyszem. Bjarni, depcząc płachtę zalegającego w górach śniegu, parł przed siebie. Rumaka zostawił u progu doliny, bo zwierzę roztropnie nie chciało iść dalej.

Chata była niewielka, jakby sklecona naprędce, a jednak nie można było oprzeć się wrażeniu, że stoi tutaj odkąd w górach znaleźli się ludzie, opierając się zimom, wichrom i uciekającym wiekom. Z dziury w poszyciu unosił się dym. W oknie widać było światło. Ktoś musiał znajdować się w środku.

Gdy Bjarni uchylił drewniane drzwi zbite z prostych desek, ukazał mu się żywy blask płomienia, który tańczył w palenisku. Bijąca stamtąd luna wyławiała z ciemności kształty. W izbie stało kilka beczek i skrzynia – spora, okuta w stal. Przy palenisku znajdowało się posłanie. Gliniane naczynia zawieszono na ścianie, przysłoniętej częściowo pledem. Do tego skóry, futra, drogie materie, jakaś wysadzana srebrem tarcza. Całkiem sporo, jak na samotną chatę w nieprzystępnych górach.

Bjarni podszedł ostrożnie do skrzyni, przyklęknął i uchylił wieko. W środku zobaczył srebrne naczynia, parę złotych monet, naszyjniki z bursztynami, zdobne suknie ułożone na dnie.

– Po co komuś majątek, gdy żyje jak dzikie zwierzę, u progu puszczy... – szepnął do siebie.

Poruszył się, czując dotyk na ramieniu. Kątem oka zobaczył wysuszoną, starczą dłoń, z długimi, popękkanymi paznokciami. Obrócił się szybko i sprawnym ruchem pochwycił nadgarstki kobiety.

Pokrytą siatką głębokich zmarszczek twarz wiedźmy, zakrywały długie, siwe włosy. Uśmiechała się i mówiła coś, czego Bjarni nie mógł usłyszeć, ukazując częściowo bezzębą szczękę.

I ten wzrok. Wydawało się, że w oczach, w których czaiło się szaleństwo, widać tylko czarne źrenice.

Bjarni popchnął staruchę, która upadła na posłanie. Wiedźma wyciągnęła w kierunku gościa szponiastą dłoń i wykrzywiła twarz, poruszając ustami.

– Nie tak sobie wyobrażałem dziewczynę, której słodki głos przyniósł mi wiatr zza wzgórz – powiedział Bjarni z uśmiechem. – Ale przecież najbardziej zwodnicze są zaklęcia tych głosów, którym nie trzeba słów. Pewnie nie taką zobaczyli cię również Drago i Radogan... Nie obawiaj się. Przyszedłem tylko po tę część srebra, którą zostawił u ciebie starszy z braci, nagradzając zapewne za miłość lub ulegając podszeptom twych zaklęć. Zabiorę to, co należy do mojego pana i nie zobaczysz mnie już nigdy.

Wiedźma poruszyła się niespokojnie. Chciała doskoczyć do Bjarniego i rzucić mu się do gardła, ale mężczyzna wyciągnął miecz. Oprócz blasku złota, srebra i bursztynu, także błysk stali miał swoją wymowę. Bjarni, nie spuszczać wzroku z tej, którą ludzie z gór zwali Elinai, zaczął ładować srebro do sakwy.

Nagle w półmroku błysnęło tajemnicze światło, a z paleniska podniósł się barwny dym. Wiedźma ukradkiem wrzuciła coś do ognia. Bjarni nie zdążył jej powstrzymać.

Purpurowa mgła oplotła mężczyznę w duszącym uścisku, a świat zawirował przed jego oczami.

* * *

Otaczała go bujna łąka pełna kwiatów. Choć nie widział dalej niż na kilka kroków, to jednak czuł nieprzebytą, oddaną pod władanie wiośnie przestrzeń. Wiatr poruszał morzem traw, zsyłając usypiający poszum i przynosząc zapach wonnych ziół, który uderzał w nozdrza. Niebo skrzyło się. Słońce zawisło wysoko, rażąc oczy. Gałęzie wyrastającego pośród łąk sadu uginały się od owoców. Daleki zamek piętrzył się na wzgórzu. Świat wydawał się młody.

Bjarni usłyszał jej głos, pełen barw, przywołujący odległe obrazy. W tym śpiewie było zaklęcie zsyłające spokój i siłę. Zmysły podporządkowały się mocy pieśni, kształtując świat wokół według melodii pełnej ciepła.

Wyłoniła się w końcu z zieleniącej się przestrzeni, naga. Ciągnęła za sobą tren długich, jasnych włosów, który częściowo osłaniał smukłe ciało. Bjarni miał wrażenie, że dziewczyna płynie przez trawy, że one rozchylają się pod jej stopami. Na twarzy widać było uśmiech. Miała usta koloru krwi i czarne oczy, w których zobaczył własne odbicie.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Znasz moje imię – odpowiedziała.

Uświadomił sobie, że słyszy jej głos, a miał przecież zatkane uszy. Ale dziewczyna nie poruszyła nawet wargami. Nie musiała. Czy gaj, który roztaczał wokół widok na soczyste barwy zakwitającej wiosny, był rzeczywisty?

Pocałowała go, nim zdążył powiedzieć cokolwiek. Usta dziewczyny miały słodki smak, który zsyłał zapomnienie. Położyła się tuż obok, tak, że jej długie włosy wczepiały się w źdźbła traw. Oddychała spokojnie, z zagadkowym uśmiechem, który zachęcał. Bjarni położył dłoń na lśniącej białej piersi dziewczyny, a potem objął sutek ustami.

Złączyli się w jedno, czując ciepło swych ciał. Czas trwał w bezruchu. Słysząc było tylko ich coraz szybsze oddechy. Rozkosz przebiegła przez ciała i nie pozwalała zmysłom dojść do siebie.

Gdzieś z dala dobiegł dziwny odgłos.

– Co to? – zapytał Bjarni, odrywając usta od skóry dziewczyny.

– Nic – powiedziała, ale mężczyźnie zdawało się, że wyczuwa w jej głosie strach. Dziewczyna odwróciła się, chowając twarz w dłonie. W unoszących się na wietrze włosach zamigotały pasma siwizny. Bjarni poczuł dotyk mroźnego powietrza, które zerwało się nagle.

Ten dźwięk... Lód pożerał wszystko, rósł, kruszał, pękał. Biel szronu i śniegu zaczęła zakrywać bujny gaj, zbliżając się do ciał kochanków. Wichur zawodził, przeganiając tumany lodowego pyłu. Jak okiem sięgnąć, czarne kikuty pozbawionych liści drzew gięły się do ziemi. Lodowa pustynia rozrastała się, gubiąc wszystko w niezliczonych odcieniach śnieżnej powłoki.

– Co się stało?! – zawołał, próbując przekrzyczeć zawrodo wicheru.

– Mróz! – odpowiedziała, wstając z miejsca. – Mróz pożera wszystko.

Z każdym rokiem wiosna jest krótsza, z każdym dniem mniej jest blasku na świecie. Spójrz! Spójrz na mnie... Gdy ktoś spośród was przynosi mi ciepło, łudzę się, że śmierć nie nadejdzie.

Jej ciało zszarzało. Twarz pokryła się zmarszczkami. Siwe włosy zakryły obwisłe piersi. Stała, garbiąc się. Próbowwała coś jeszcze powiedzieć, odsłaniając gnijące zęby.

Szron zaczął ich otaczać, śnieg zasypywał oczy. Lód uwięził wkrótce dwa nagie ciała. Unieruchomiony Bjarni patrzył z przerażeniem, jak wszystko wokół zamiera.

* * *

Co się stało? Bjarni zachwiał się, ale kształty majaczące przed jego oczami wyostrzały się na powrót.

Stał znowu pośrodku samotnej chaty, z wyciągniętym mieczem i czołem zlanym przez pot. Wiedźma wpatrywała się w niego. Mężczyzna ścisnął sakwę pełną srebra. Kiedy zdążył je spakować? Przeciskając się jak pijany pomiędzy beczkami, wyszedł z domostwa, rzucając z uśmiechem na odchodne:

– Muszę już iść, Elinai. Nie słyszę, co do mnie mówisz na pożegnanie, bo pszczeli wosk zatyka moje uszy, ale sądzę, że rzucasz przekleństwami. Nie będziesz samotna tej nocy. Radogan cię szuka. Zobacz. Czy to nie on?

Bjarni ruszył w mrok, a wiedźma stanęła w drzwiach dostrzegając zarys dalekiej sylwetki. Już po chwili rozpoznała znajomą postać. Smukłe ramiona, długie włosy unoszone przez wiatr. Krok po kroku Radogan zbliżał się. Śnieg skrzypiał pod jego butami.

Ale gdy księżycowe światło zaczęło się przesączać przez dziurę, która przeszywała ciało na wylot, a w mdłej poświacie ukazały się białe, zgasłe oczodoły, twarz Elinai wykrzywiła się w przerażeniu.

W końcu tylko głusi i zmarli byli nieczuli na jej uroki.

* * *

Bjarni Kruk zasiadł na samotnym kamieniu wsparty o miecz. Rumak strzygł uszami i pochylał łeb w poszukiwaniu resztek trawy. U boku jeźdźca, na przerzuconym przez grzbiet sznurze, kołysała się wypełniona srebrem sakwa. Spod śniegu wyzierały pamiątki dawnej potęgi. Kawałki murów, pozostałości po basztach, ruiny przypominające wyszczerbione zęby olbrzymów. Na tym wzgórzu musiał stać kiedyś potężny zamek, którego władcy zostali zapomniani.

Wicher wył przeciągle, zapowiadając, że zima nie odejdzie z gór tak szybko. Bjarni przysłonił twarz kapturem. Słyszał teraz wszystko doskonale. Z pieśni wiatru wylapywał dziwne dźwięki. Wcześniej w górach rozległ się krzyk kobiety i głos mężczyzny, w którym słychać było ból. Ale gdy głosy ucichły, w głowie

Bjarniego rozbrzmiało jakby echo dawno zapomnianej pieśni.

Słodki głos przywołał obraz młodej kobiety, o długich i jasnych jak zboże włosach, które przysłaniały nagie ciało. Gaj rozrastał się wokół niej, pełen kwiatów i spokoju zsyłanego przez dojrzałe słońce.

Ale to był tylko sen. Obraz zapomnianych czasów. Bjarni otrząsnął się i podszedł do rumaka.

– Pora ruszyć dalej – powiedział z jakimś nieuchwytnym żalem.

* * *

...trafił pewnego razu do krainy pośród lodów, w której realne mieszało się ze zmyślnym, zwierzęta przemawiały ludzkim głosem, rzeki płynęły do źródeł, a gwiazdy, układając się nocą w nieznane konstelacje, nie mogły prowadzić zbląkanych przez mrok. Wkrótce zdał sobie sprawę, że przyszło mu przemierzać krainę oddaną pod władanie czarnoksiężnikowi.

Nad tym mroźnym pustkowiem panował mag imieniem Holgi, który osiągnął mistrzostwo w rzucaniu zaklęć, a przy tym był przebiegły, nieufny i zdradziecki. Gdy Bjarni Kruk trafił przypadkiem do siedziby Holgiego, mieszczącej się w porzuconej na pustkowiu wieży, czarnoksiężnik umyślił sobie od razu, że nieustraszony wojownik może okazać się mu pomocnym. Śmiałek posłany został zatem w cztery świata strony, a w każdej Holgi wyznaczył Bjarniemu inne zadanie, które przerosłoby każdego ze śmiertelników. Zapłatą miały być skarby. Ale choć czarnoksiężnik wątpił, że uda się wojownikowi wypełnić misję, Bjarni dokonał tego i powrócił na czas.

Wtedy dopiero Holgi zrozumiał, że nie ma do czynienia z byle kim, bo wcześniej nie dowierzał opowieściom o Pogromcy Olbrzymów, mimo iż i do jego siedziby dotarł krzyk spadającego w przepaść Glamrunga.

Zrazu Holgi zamyślił sobie nową intrygę, która splotła ich losy razem, już do końca...

Z „Sagi o Kruku”

IV. Gospoda na krańcu świata

Bjarni Kruk przetarł zmęczone oczy, upewniając się tym samym, że wzrok nie płata mu figla – wiele razy przecież dał się zwieść omamom. Tym razem jednak był pewien, że to nie zwidy. W szarościach dogasającego dnia, wśród połaci bezkresnych śniegów, majaczyły ruiny warownej wieży. To stąd właśnie Bjarni u zarania zimy wyruszył w niepewnej misji; teraz, choć wiosna ukwiecała już łąki w szczęśliwszych krainach, na krańcach znanego śmiertelnikom świata wciąż panowała wieczna zmarzlina.

W dolinie dało się słyszeć głośnie i niepokojące skrzeczenie. Wnet czarny punkt pojawił się niespodziewanie na szarym nieboskłonie i rósł w oczach z każdą chwilą. Ptaszysko, najwyraźniej zoczywszy samotnego wędrowca, zaczęło szybować w dół, coraz niżej i niżej, aż w końcu zatrzepotało skrzydłami przed twarzą wojownika.

Kruk usiadł na ramieniu Bjarniego i odezwał się głosem do złudzenia przypominającym ludzki:

– Witaj mój imienniku. Wnioskuje po twym żalonym wyglądzie, że podróż musiała być pełna przeciwności?

– Jestem zgodnie z obietnicą, Grimo – powiedział Bjarni, przeczesując zmarzniętymi palcami oszronioną brodę, która okrywała zapadłe z głodu policzki.

– Mam dla twego pana to, czego sobie zażyczył. Straciłem co prawda rachubę czasu, jednak wierzę, że nie jest za późno, by odebrać zapłatę.

– Uczony Holgi czeka na ciebie z niecierpliwością – odparł Grimo – ale też z uwagą wpatruje się w klepsydrę. Niewiele ziarenek piasku pozostało na górze. Lepiej się pośpiesz, bo nici z zapłaty. Zapowiem czarnoksiężnikowi, że Bjarni, którego zowią Krukiem, powraca.

Ptaszysko zakrakało przeciągle raz jeszcze, rozłożyło skrzydła i zerwało się do lotu. Grimo wbił się w przestworza i poszybował w kierunku ruin wieży. W jednym z jej wąskich okien żarzyło się światło – znak, że oddana pod władanie zimie kraina nie była całkowicie wyludniona.

* * *

Pośrodku wysoko sklepionej komnaty znajdował się wielki stół, na którym piętrzyły się szklane butle o fantazyjnych kształtach i sterty zapisanych pergaminów. Szeregi oprawionych w skórę i obitych w stal ksiąg ciągnęły się na półkach regałów niedbale, choć zapewne w jakimś sekretnym porządku. Skupiska świec rzucały trochę ciepłego światła, zalewając poświatą porozstawiane tu

i ówdzie, tajemniczo wyglądające przedmioty, których zastosowania można się było jedynie domyślać – jeśli miało się dość wyobraźni.

– Dobrze się spisałeś, Bjarni – powiedział zasiadający za stołem starzec. – Obyło się bez kłopotów? Czy ktoś pytał się o mnie? Czy czasem nie zdradziłeś się jakimś słowem?

– Tacy jak on nie powiedzą nigdy wiele – zawołał Grimo, kiedy wleciał przez nieduże okno i wylądował na poręczy krzesła. – I wolą zachować dla siebie sekrety. Zobacz zresztą, czcigodny Holgi: nasz gość rozrywa pieczone mięso niczym wygłodniały wilk.

Bjarni rzeczywiście nie odzywał się mimo nagabywań czarnoksiężnika, za nic mając zasady dobrego wychowania. Jadł z ochotą, próbując nasycić pusty żołądek. Przyglądał się jednak uważnie Holgiemu. Długie, białe jak śnieg włosy opadały starcowi na ramiona, a wciąż czarna, krzaczasta broda opierała się na wydatnym brzuchu. Na łysej częściowo czaszce widać było szramę, pozostałość po dawnym zranieniu. Mężczyzna ubrany był w brązową, powłóczystą szatę z szerokim kapturem, teraz opuszczonym na plecy. Jedno jego oko znaczone było bielmem, drugie zatrzymało się na przybyszu i również obserwowało go z uwagą.

– Nie musisz się obawiać, panie – odparł Bjarni, nasyciwszy się już. – Nawet jeśli wpadłem w tarapaty, to, jak widać, uszedłem z nich cało. Przywiozłem wszystko o co prosiłeś, choć nie domyślałem się nawet, do czego mogłyby ci posłużyć substancje i przedmioty, które schowałeś już w skrzyni. Zdążyłem też uwinąć się w wyznaczonym mi czasie. – Pogromca Olbrzymów spojrzał na ogromną, zwisającą u powały klepsydrę. Na górze zostało jeszcze sporo piasku, który – spowalniany zapewne magią – przesypywał się nieśmiało. Ziarenka opadały na dno z szybkością i gracją płatków śniegu.

– Czekasz pewnie na zapłatę? – zapytał Holgi.

– Cierpliwie – odrzekł Bjarni.

– No tak. – Czarnoksiężnik uśmiechnął się zagadkowo i odpiął od sznurka sakiewkę, a potem rzucił ją przybyszowi. – Oto twoja zapłata.

Bjarni złapał pękaty mieszek zręcznym ruchem.

– Nic tak nie poprawia humoru jak złoto – rzekł Pogromca Olbrzymów, szczerząc zęby i chowając sakiewkę za pazuchę.

– Nie przeliczysz? – zdziwił się Holgi.

– Powtarzała mi zawsze matka, a potem przestrzegał i ojciec, bym nigdy nie ufał czarnoksiężnikom. Nawet gdybym przeliczył wszystko co do monety, skąd mam pewność, że po nastaniu zmierzchu złoto nie rozpadnie się w mych dłoniach w bezwartościowy pył i nie uleci na wietrze?

Czarnoksiężnik zaśmiał się głośno i szczerze, a potem przyznał:

– Rzeczywiście, Bjarni, nie masz takiej pewności.

– Ale nawet potężny czarnoksiężnik zna pewną prostą prawdę – wtrącił się

Grimo. – Nie ma takiej magii na świecie, która zagwarantowałaby, że skrytobójca nie pojawi się któregoś dnia za jego plecami, albo że banda rzezimieszków nie zakolące do bram.

Holgi spojrzał na kruka ze złością, a Bjarni tylko uśmiechnął.

– Czy nie chciałbyś oddać mi jeszcze jednej przysługi? – zapytał czarnoksiężnik, a zanim przybysz zdążył odpowiedzieć, Holgi podszedł do jednego z regałów.

– Płacącemu hojnie, nie odmawia się – odparł Bjarni. – Oczywiście jeśli nie pragnie czegoś, co jest niemożliwe do spełnienia.

– Czy są dla ciebie rzeczy niemożliwe? – zapytał czarnoksiężnik, unosząc gęste brwi. Zbliżywszy się do Bjarniego wyciągnął pierścień, w którym tkwił drogocenny kamień. – Wbrew pozorom nie jest wiele wart, ale dla kogoś ma spore znaczenie... powiedzmy, że sentymentalne – dodał Holgi, szepcząc przybyszowi na ucho.

– Raczej magiczne – zauważył Bjarni.

– Zapomniałem, że nie brak ci przenikliwości. – Czarnoksiężnik uśmiechnął się. – Jeśli chcesz zarobić jeszcze, to dostarcz ten pierścień Ragnirowi. To jedynie trzy dni drogi piechotą. Trzeba iść prosto na północ.

– Czy to nie kraniec świata?

– Przynajmniej tego, który znany jest śmiertelnikom – odrzekł Holgi. – Musisz też wiedzieć, że Ragnir jest karłem. Ten pokurcz to łasy na złoto cwaniak, zresztą jak każdy z jego podłego rodu.

– Gdzie trud wart kolejnej sakiewki? – zapytał z przekąsem Czarnobrody. – Bo wędrówka przez lodową pustkę to chyba za mało.

– Będę z tobą uczciwy i wyznam, że wysłałem w tamte strony, choć w różnych misjach, kilku ludzi. Żaden z nich nie powrócił.

Bjarni zaczął rozmyślać. Czy kiedykolwiek ktoś z jego rodu cofnął się przed jakimś wyzwaniem?

– Dobrze, starcze. Umowa stoi. Wyruszę na północ. Wrócę, nim piasek w klepsydrze ponownie się przesypie.

– Podobne zapewnienia słyszałem od kilku przed tobą – odparł Holgi.

– Czy kogokolwiek z nich zwano jednak Krukiem?

– Nie – odparł czarnoksiężnik. – Nikt nie nosił równie złowróżbnego przydomka. Żaden nie był też tak pewny siebie.

– Przedstawiciele naszego rodu tak już mają! – zawołał Grimo, bijąc skrzydłami z zadowoleniem. A potem, przysiadając na ramieniu Bjarniego i korzystając z chwilowej nieuwagi czarnoksiężnika, szepnął najemnikowi na ucho: – Nie ufaj Ragnirowi, zwłaszcza jego przymilnym słowom, ale nie myśl też, że Holgi jest twoim przyjacielem.

* * *

Po trzech dniach i trzech nocach wędrówki, gdy Bjarni ledwo już stał na nogach, a każdy mocniejszy podmuch wichru chwiał nim, w mrokach nocy zamigotało światło. Podążył zatem w tę stronę, brnąc przez zasy, aż w końcu dostrzegł niewyraźny zarys jakiegoś budynku. Gdy był już blisko, zdawało mu się, że widzi spore domostwo, ze spadzistym dachem, rzędem niedużych okien i wielkimi drzwiami, przypominającymi wrota prowadzące do dworu możnego pana na rozległych włościach.

Nie to jednak było najdziwniejsze. Bjarni już z dala słyszał, jak z wnętrza wielkiej chaty dobiegają wesołe odgłosy zabawy. Wydawało się, że biesiada sprosila na to odludzie licznych gości. A gdy zbliżył się znacznie, przed wrotami prowadzącymi do budynku ujrzał chłopca, na oko dziesięcioletniego, który, siedząc na skraju wielkiej beczki, machał obutymi w skórzane ciżmy nogami. Bjarni szybko zorientował się, że ma do czynienia nie z dzieckiem, a karłem. Dostrzegł też, że beczka wypełniona jest po brzegi złotem i kosztownościami.

Po chwili, kiedy wędrowiec stanął opodal bramy prowadzącej do chaty, Bjarni i Ragnir – bo nie mógł to być nikt inny – spojrzeli sobie w oczy. Twarz karła zorana była zmarszczkami i pokryta bruzdami, co dodawało jej złowieszczy charakteru. Ubrany w granatowy kubrak i żółte spodnie, z zaciągniętym na głowę kapturem, spod którego wystawał wysadzany drogimi kamieniami diadem, Ragnir również patrzył na przybysza z zaciekawieniem. Mrużąc jedno z wylupiastych oczu i drapiąc się po wydatnym, garbatym nosie, odezwał się w końcu skrzekliwym głosem:

– A zatem to ciebie zowią Krukiem. Sporo o tobie słyzałem, choć... – rzekł karzeł, przypatrując się uważnie wędrowcowi. – Wieści były chyba przesadzone. No i bogowie muszą ci nie sprzyjać, skoro straciłeś po drodze zapasy i pewnie miałeś parę niemiłych przygód. A może ktoś, kto zna potężną magię, próbuje nastawać na twoje życie? Nie zastanawiałeś się nad tym?

Przemarznięty, zasypany śniegiem, wychudzony, ze zlepionymi włosami i zmierzwioną brodą, do której przyczepiały się sople lodu, Bjarni nie wyglądał dostojnie. Ale nawet niewprawne oko musiało dostrzec w spojrzeniu wędrowca blask.

– Ty... Ty jesteś Ragnir – powiedział Bjarni łamiącym się głosem.

– Nie da się ukryć – zachichotał karzeł. – Przynajmniej tak mnie nazywają w sagach, bo język podziemnych plemion zdaje się śmiertelnikom zbyt trudny do wymówienia.

– Przysłał mnie tu Holgi.

– Czego chce ten zabawny starzec? – Ragnir zeskoczył z beczki na której siedział i podszedł do Bjarniego. Karzeł sięgał przybyszowi za ledwie do pasa. – Błony nietoperza? Śliny ropuchy? A może jeszcze innego specyfiku? Nie mogę być

mu zatem pomocny. Gromadzę złoto... – powiedział Ragnir z dreszczem zadowolenia. – Czemu Holgi najął sobie pachółka? Nie mógł sam się tutaj pofatygować?

Bjarni puścił te złośliwe uwagi mimo uszu.

– Holgi prosił bym przekazał ci to – powiedział, rzuciwszy w kierunku Ragnira złoty pierścień. Karzeł pochwycił go zręcznie i zaczął przyglądać się jubilerskiej robocie. Złoto sprawiło, że jego twarz się rozpromieniła.

– Piękny, cudny, oszałamiający! – powiedział Ragnir z zadowoleniem. – Możesz przekazać swojemu panu wyrazy mego zadowolenia. Tak... My tu gadu, gadu o interesach, a ty musisz być wielce strudzony, co? Niegrzecznie z mojej strony zadręczać cię pytaniami. Skoro wybrałeś się aż na kraniec świata, nie mogę cię wypuścić tak po prostu. Sam przyznasz, że jeśli chcesz powrócić do wieży Holgiego i ponownie przebrnąć przez wieczną zmarzlinę, to musisz się ogrzać, porządnie najeść i wyspać. Inaczej martwy spocznieś na wieki wśród śniegów!

Bjarni wiedział, że karzeł ma rację. Pamiętał jednak o przestrofach Grima. Ragnirowi nie można było ufać.

– Wiem, wiem – odezwał się znowu karzeł. Łypiąc okiem i jakby czytając w myślach mężczyzny powiedział: – Widzę to po twojej nietęgłej minie. Przestrzegano cię, by nie wierzyć moim słowom. Czy jednak możesz ufać czarnoksiężnikowi i jego pomagierowi, skoro wysłali cię na pewną śmierć? Nie masz chyba złudzeń, że wędrowka była tak uciążliwa za sprawą ich knowań? Pewnie słyszałeś, że niejeden śmiałek wyruszył na północ i nigdy już nie powrócił... To prawda! Część nie miała po prostu dość sił i ducha, by przedrzeć się przez wieczne śniegi. Wielu jednak skorzystało z mej gościny i zostali po dziś dzień, z własnej woli. Nikogo nie więziłem i nie zamierzam.

– Doprawdy? – Bjarni nie chciał dowierzać.

– Zapraszam jedynie na biesiadę – powiedział Ragnir wskazując drzwi prowadzące do gospody. – Czy słyszysz wesołe głosy, które dobiegają z wnętrza gospody? Po co tłuc się po świecie, jeśli można wieść szczęśliwe życie, nie ruszając się z miejsca? Ofiarowuję szczęście, drogi Bjarni. Gdy ktoś przybywa w me skromne progi, musi jedynie zapłacić w złocie. Jedna moneta lub trzy. Może być też drogocenny kamień. Potrafię oszacować na co kogo stać. Nie jestem pazerny. Od ciebie nie zażądam zapłaty, bo pierścień podesłany przez czarnoksiężnika uznaję za wkupne. Wejdz zatem do gospody, zagrzej się, zjedz gorącego mięsiwa i popij przednim winem. Zapomnij o troskach. Posłuchaj miłych dla uszu opowieści i prześpij się, nie bojąc się, że wróg zakołacze do drzwi. Dawno już nie zaznałeś spokojnego snu, nieprawdaż?

– Może i masz rację – powiedział Bjarni. – Taka gościna to dla mnie wybawienie. Wyruszę jednak ze świtem. Nie mam zamiaru zabawić tutaj dłużej.

– Oczywiście! – zawołał karzeł. – Jeśli będziesz chciał ruszyć z powrotem,

nikt, śmiertelny czy błogosławiony wiecznym życiem, ani też żadna siła, nawet ta magiczna, nie będzie cię powstrzymywać. Mało tego! Wychodząc będziesz mógł zabrać ze sobą zawartość tej beczki, a przynajmniej tyle, ile zdołasz unieść. Jest w niej więcej złota niż w wielu królewskich skarbcach. Dno beczki sięga głębiej, aniżeli mogło by się zdawać. Bednarz znał się również na magii!

Bjarni nie wyczuwał w słowach karła żadnego oszustwa. Blask złota, piętrzącego się w wielkiej beczce, także działał na wyobraźnię.

– Dobrze, Ragnirze – odparł Bjarni. – Skorzystam z twej propozycji... Mógłbym też wyciągnąć miecz, zagłębić ostrze w twych wnętrznościach, a potem udać się na biesiadę, nie przejmując się, że spróbujesz swych knowań. Złoto również należałoby wtedy do mnie.

– Mógłbyś. – Karzeł uśmiechnął się chytrze. – Byli tacy, którzy próbowali tak właśnie postąpić. Rozejrzyj się dobrze.

Bjarni zaczął uważniej wodzić oczami po okolicy. Ze śnieżnych zasp wystawały ludzkie kości i zwykle szczerbate czaszki.

– Chyba nie mam wyjścia – odparł Bjarni.

– Rzeczywiście – przytaknął karzeł, kłaniając się i zapraszając zachęcającym ruchem dłoni. – Wiem, że nie przelęknieś się wyzwania. Tacy jak ty żyją tylko po to, by się z wyzwaniami mierzyć!

– Znasz mnie chyba lepiej niż ja sam – rzekł Bjarni, który przestąpiwszy kilka stopni pchnął wielkie, zdobione wrota. Wnet blask ogromnej hali oślepił go. Ragnir śmiał się złośliwie za jego plecami.

* * *

Minął dzień, czy może upłynęły lata? Niepodobna było odgadnąć. Bjarni, wspominając czas pełen przygód, nie potrafił sobie przypomnieć jak znalazł się w tym błogosławionym miejscu, do którego troski nie miały dostępu.

Wielką salę zalewał ciepły blask setek świec i dziesiątek pochodni. Za oknami śnieg wirował, a na niebie kotłowały się chmury, ale żaden chłód, żaden powiew nawałnicy nie mógł wdrzeć się do środka. Na podłużnym, ustawionym pośrodku stole, leżały półmiski z wyszukanymi potrawami oraz napełnione po brzegi dzbany. Złote puchary wędrowały z rąk do rąk. Wesoła gromadka wojowników i przysiadających obok nich dziewcząt, wznosiła toasty wśród nieustannych żartów i opowieści. A Bjarni, uśmiechając się wciąż, jadł z ochotą i dokazywał.

– Zdrowie Bjarniego Kruka! – Ktoś zawołał głośno. – Niechaj pogromca morskiej bestii żyje nam w chwale!

Zewsząd dało się słyszeć szcęk wysuwanych z pochew mieczy i gromkie okrzyki. Bjarni z trudem przywołał w swej pamięci obraz minionych chwil. Pamiętał jak jeszcze niedawno, z krzykiem na ustach, zagłębiał ostrze swego

miecza w gorących wnętrznościach morskiego węża, oplatającego wielką łódź na pełnym morzu. Czy był to tylko sen?

– Co cię do nas sprowadza, wędrowcze? – Obok Bjarniego zasiadła młoda dziewczyna, o rumianej twarzy i jasnych, splecionych w warkocz włosach. Dekolt jej sukni ukazywał bujny i kształtny biust. Nieznajoma oplótła ramieniem wojownika.

– Nie wiem – odparł Bjarni szczerze, zamyśliwszy się jednocześnie. – Nie pamiętam już. Ale... podoba mi się tu!

– Jak każdemu! – Dziewczyna zaśmiała się w głos. – Po co zresztą rozpamiętywać to, co było, jeśli cały świat ma się na wyciągnięcie dłoni?

– Nie wiem, ile spędziłem tutaj dni... Nie potrafię zliczyć. Ale każdy wydaje się inny, a kolejne noce czarowniejsze od poprzednich! Zdaje mi się też, że wczoraj ubiłem morską poczwagę, co okryło mnie sławą. Dzień wcześniej odkrywałem nowy ląd... Teraz pamięć wraca.

– A czy mnie widzisz po raz pierwszy? – zapytała, pochylając się nad nim. Bjarni uśmiechnął się, a potem schwycił kobietę za piersi. Ich usta złączyły się.

– Chciałbym, byś pozostała wiecznie przy moim boku. Tyle wiem...

– Pewnie mówiłeś to każdej, gdy kolejne noce mijały, co? – Dziewczyna wplotła palce w bujną brodę wojownika.

– Jak ci na imię? I skąd znasz moje?

– Jestem Yngvild. A twoje imię powtarzają tu wszyscy. Słysząc je także w pieśniach skaldów.

– Należysz mi jeszcze miodu? – zapytał Bjarni sięgając po naczynie. – Tylko trzeba zawołać służbę, bo dzban już opróżniony.

– Opróżniony? – zawołała dziewczyna. – Żartowniś z ciebie! Nic tu się nie kończy... Chyba że sam tego zechcesz – powiedziała i podniosła ciężki od miodu dzban, a potem napełniła złoty puchar i postawiła przed Bjarnim.

– Rzeczywiście, cudowna gospoda! – rzekł, przykładając puchar do ust i wznosząc kolejny toast wraz z tłumem zebranych.

– Nie inaczej! – przytaknęła Yngvild. – Poczekaj, aż skald zaczną swoją opowieść. Pewnie znów twe czyny będą jej ważną częścią.

Dźwięk strun zabrzmiał w końcu, a mężczyzna z brodą do pasa, któremu bogowie udzielili łaski snucia zajmujących opowieści, zaczął recytować. Kiedy Bjarni zwilżył raz jeszcze usta słodkim miodem, przed jego oczami zaczęły pojawiać się obrazy. Okręty znowu wypływały ku nieznanym lądom, a horyzont jaśniał w błękitach. Zbliżał się czas chwały i przygód.

* * *

Ragnir, siedząc na beczce, zagłębiał z lubością dłonie w jej pełnym kosztowności wnętrzu. Stulecia upływały jedno po drugim, a karłowi nie nudziła

się ta prosta czynność, zwłaszcza, że raz na jakiś czas pojawiały się w beczce nowe monety, pierścienie, łańcuchy. Cóż to była za rozkosz i radość! W dodatku na krańce świata docierało niewiele ze słonecznego blasku, więc nie trzeba było chować się przed nim w górskich pieczarach.

Kiedy jednak do uszu Ragnira dobiegło krakanie, karzeł zaczął ze złością wpatrywać się w pokryte chmurami niebo. Nie lubił, gdy ktoś mu przeszkadzał, chyba, że natręt był skłonny dorzucić jakąś kosztowność do gromadzonego w beczce skarbu. Czy jednak można było spodziewać się hojności po kruku? Czarny punkt rósł i rósł na niebie, aż w końcu ukazał się zarys wielkich skrzydeł. Krakanie ptaszyska stawało się coraz głośniejsze i Ragnir musiał przysłonić uszy. Kruk wkrótce przysiadł na ośnieżonej gałęzi samotnego drzewa, która wznosiło powykręcane konary ku niebiosom.

– Witaj, Grimo – powiedział Ragnir, spoglądając na podniebnego wędrowca.
– Dawno się nie widzieliśmy. Upłynęły chyba dziesiątki lat... Słabo u mnie z rachubą czasu, bo zajmują mnie sprawy wieczne, takie jak złoto czy rubiny. Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, byłeś jeszcze człowiekiem. Ten głupiec Holgi uczynił jednak z ciebie swego skrzydlatego posłańca, jak widzę. Nie pasuje do ciebie ta postać. – Karzeł wykrzywił usta z niesmakiem. – Kruki są wszak mądre, a tobie bogowie poskąpili rozumu. No co tak patrzysz? Spoglądasz w okno gospody, jakbyś pragnął znaleźć się w jej wnętrzu. Nie mogę ci zabronić, ale wiedz, że należy uiścić opłatę i...

Ragnir nie zdążył dokończyć. Grimo przeleciał nad jego głową, strąciwszy z niej kaptur, a znalazłszy się łokciec ponad beczką, wypuścił z dzioba złotą monetę, która z brzękiem upadła.

Chwilę potem karzeł z nienawiścią zaczął wygrażać przelatującemu przez okno gospody krukowi.

– Obyś już tam pozostał na wieki! – zawołał Ragnir, uderzając pięścią w beczkę, aż posypały się z niej monety.

* * *

Gdy za sprawą nienazwanej magii zapadający mrok rozniecił ogień w palenisku i kiedy niebo upstrzone zostało rojem gwiazd, złote puchary znowu poszły w ruch. Piana kapała z nich obficie, a słodka zawartość rozwiązywała języki i dodawała humoru. Mężczyźni brali się za barki i wesoło pokrzykiwali. Piękne dziewczęta o złotych włosach rozlewały miód.

Jeszcze unosił się w powietrzu zapach morza i zdawało się, że wśród śmiechów wciąż słychać szcęk oręża.

– Dlaczego nie radujesz się wraz z innymi? – zapytała Yngvild, gdy zasiadła obok Bjarniego. – Czy miód nie jest słodki? Czy wspomnienie zwycięstwa nie napawa cię dumą, a płynące zewsząd toasty na twoją cześć nie brzmią radośnie?

– Tak, masz rację – odparł Bjarni, czując jakiś ucisk w sercu. – Wszystko to wspaniałe, moja Yngvild, ale czegoś... Czegoś tu brak.

– Czego może brakować w miejscu, w którym nawet bogowie czuliby się szczęśliwsi?

– Nie wiem... – Bjarni schował w dłoniach twarz. – Może tylko mi się zdaje?

– Wypij jeszcze trochę miodu i posłuchaj, jak wszyscy z szacunkiem powtarzają twoje imię! Smutek odejdzie i radość zagości w twym sercu, gdy usłyszysz pieśń o swoich czynach.

Bjarni rozejrzał się po wielkiej sali. Zebrani śmiali się w głos i spoglądali z podziwem na niego. W końcu skald z długą brodą zasiadł na zdobionym krześle i zaintonował pieśń. Magiczne dźwięki sprawiły, że Bjarni na powrót znalazł się nad brzegiem bogatej krainy, gdzie przybił dowodzony przez niego okręt.

Mężczyźni, kobiety i dzieci – wszyscy radowali się na brzegu. Ziemia była żyzna, trawy soczyste, w sam raz dla stad owiec. Dość było tu drewna, by budować łodzie i wznosić dwór. Stojąc na szczycie góry, Czarnobrody patrzył na dziewicze krainy, które otwierały się przed nim.

Yngvild oplotła Bjarniego ramionami. Jej usta były słodsze od miodu. Najemnik czuł w nozdrzach zapach wiosennych łąk a pod swoimi palcami – delikatną skórę. Siedział teraz na swym tronie, wokół zdobytych kosztowności. Poddani składali mu hołd i przynosili daniny. Wojownicy wzniesli miecze, pozdrawiając swojego króla.

Potem jednak wśród dźwięków lutni i śmiechów dało się słyszeć inny głos. Bjarni zmarszczył brwi, bo zdawało mu się, że do jego uszu dobiega skrzekliwe krakanie. Głos ten przywołał w nim złowrogie wspomnienie.

Bjarni wstał z tronu i spojrzał na bezchmurne niebo, na którym pojawił się czarny punkt.

– Śmierć... – wyszeptał, jakby do siebie, a czarowna złuda zaczęła się rozmywać.

– Co mówiłeś? – zapytała Yngvild, spoglądając na skupioną twarz mężczyzny.

– Nie ma prawdziwego życia bez strachu przed jałową śmiercią – odparł Bjarni, słysząc w głowie złowrogą pieśń czarnego ptaszyska.

– Śmierć? Co to takiego? Zapomniałam najwyraźniej, że istnieje... – Dziewczyna przeraziła się, bo nie rozumiała słów kochanka, ale czuła, że brzmią złowieszczo. – Jeśli pośród wielu światów jest jakieś zło, to nie ma tutaj dostępu i...

– Yngvild miała powiedzieć coś jeszcze, ale zanim zdążyła, wielki, czarny ptak wleciał przez okno gospody i przysiadł pod powałą. Kruk zaczął trzepotać rozłożystymi skrzydłami, a jego krakanie zagłuszało pieśń skalda.

Bjarni wstał od stołu. Kątem oka dostrzegł oblicze Yngvild, które odbijało się w jednej z wypolerowanych brązowych pater i przeraził się. Ujrzał rozkładające

się ciało, twarz przeżartą przez chorobę, poszarzałą, pękającą skórę.

– Yngvild! – zawołał ze zgrozą.

– Bjarni? – Na twarzy dziewczyny pojawiło się przerażenie. – Co się dzieje? Dlaczego patrzysz na mnie takim wzrokiem?

Kruk sfrunął z powały, a trzepot jego skrzydeł i krakanie stały się tak nieznosne, że zebrani zaczęli zatykać uszy. Biesiadnicy chowali się pod stoły i próbowali sforsować odrzwia, by wydostać się z karczmy, ale na próżno.

– Śmierć! – zawołał Bjarni. – Czy zapomnieliście o niej?!

Muzyka zamilkła, blask przybladł i nie było już słychać śmiechów. Krzyki więzły w gardłach, a ciała zaczęły pożerać rozkład. Wielki kruk zasiadł do swej uczy i rwał mięso padliny.

Wojownik podszedł bliżej, spoglądając na Grima, który trzepotał skrzydłami z zadowoleniem.

– Dziękuję ci, przyjacielu – powiedział Bjarni, zakrywając chustą twarz martwej Yngvild. – Wyrwałeś mnie z więzów magii. Jeszcze żyję... Choć niewiele mi zostało czasu.

* * *

Wrota gospody rozwarły się z hukiem, a w bramie stanął rozgniewany Bjarni Kruk. Mężczyzna z trudem łapał oddech i widać było, że ledwo trzyma się na nogach.

Gdy Ragnir dostrzegł wojownika, skrzywił się. Potem zeskoczył z beczki, podszedł do Bjarniego.

– Czyżby nie w smak była ci moja gościna? – zapytał, łypiąc okiem.

– Nic nie warte jest życie bez świadomości goryczy, jaką przynosi widmo śmierci – powiedział Bjarni. – Wolę wędrówkę przez mrok niż ułudę spokojnego dnia. Gdy świat rzuca darmo do stóp wspaniałości, żadne nie mogą cię nęcić długo.

– Proszę, proszę! Co za mądrości – powiedział Ragnir z przekąsem. – Jesteś głupcem, Bjarni Kruku. Nie myślałem, że aż tak wielkim.

– Czyżby? – rzekł Czarnobrody. – Chcesz bym został wśród martwych? Nie myśl, że magia może mącić zmysły wiecznie.

Bjarni podszedł do wrót prowadzących do przeklętej gospody i zerknął raz jeszcze na jej wnętrze. W półmroku, na stołach, ławach i kamiennej posadzce, leżały zasuszone ciała tych, którzy zawitali do feralnego przybytku. Kościotrupie dłonie zaciskały się na złotych pucharach. Poszarzała skóra truchel pękała na czaszkach i kościach. W ciemnościach białeły zęby i czerniły się puste oczodoły.



– Osobliwe towarzystwo tu zebrałeś przez wieki, Ragnarze – powiedział Bjarni, zatraskując wrota. – Pomyśleć, że przed chwilą zdawali mi się wesołą kompanią.

– Skąd wiesz, że moi mili goście nie są teraz w miejscu, gdzie pławią się w wiecznym szczęściu?

– Nie wiem tego, masz rację. Ale nie znaleźli się tam, jeśli nie zginęli z mieczem w ręku. Tylko w to wierzę.

– Ach, ty! – Karzeł pogroził pięścią Bjarniemu. – Gdyby nie to przeklęte ptaszysko, to pewnie zostałbyś tu już na wieki i wcale nie narzekał.

– O mnie mówisz? – Z okna wyleciał czarny Kruk i zasiadł na kikucie wyschniętego drzewa. – Uprasza się o trochę więcej szacunku!

Bjarni, ledwo żywy, podszedł do beczki i zanurzył dłoń w jej wnętrzu. Zaraz

potem wyciągnął złoty łańcuch i garść złotych monet.

– Wziąłbym i wszystko, Ragnirze – powiedział do karła, który ze złością marszczył swą pokraczną twarz. – Ale muszę jeszcze przejść przez lodowe pustkowia. Moje kości obwieszane złotem nie będą wcale pięknie wyglądać wśród śniegów.

– Idź, idź przeklęty! – zawołał Ragnir, wygrażając ponownie pięścią. – Wiedz, że zawsze dotrzymuję słowa.

– Hola, hola! – zaskrzeczał Grimo z wysokości gałęzi. – I mnie się coś należy! Zapłaciłem za wejście i nie dałem się zwieść magicznym wspaniałostkom, więc i ja wybiorę sobie świecidełko.

Kruk zleciał z drzewa, przysiadł na skraju beczki, pogrzebał dziobem w jej zawartości i wyciągnął drogocenny pierścień, ten sam, który przyniósł Bjarni. Karzeł aż podskoczył ze złości, a potem, wyskoczywszy na beczkę, założył rękę na rękę, zmarszczył czoło i wlepił w ziemię wzrok, co przydało mu wyglądu obrażonego na cały świat chłopca.

* * *

Po długiej i pełnej zwodniczej magii biesiadzie Bjarni ruszył przed siebie z przeświadczeniem, że trzy dni i trzy noce nadchodzącej wędrówki przez śniegi i na przekór wichrom, to dla niego za wiele.

– Jak to się stało, Grimo – zaczął Bjarni, kiedy krążący pod sklepieniem chmur kruk przysiadł w końcu na jego ramieniu – że pospieszyłeś mi z pomocą?

– Holgi wysłał cię na pewną śmierć – odparł Kruk. – Pierścień był tylko pretekstem. Wypełniłeś wcześniej powierzona misję, ale czarnoksiężnik uznał, że poznałeś kilka z jego sekretów, o których istnieniu nie powinieneś wiedzieć nic. Był pewny, że z krańca świata już nie powrócisz. A przy okazji zrobił wiele, by dopomóc złemu losowi. Lawina, wygłodniałe wilki... Sam dobrze wiesz, że zbyt wiele nieszczęść spadło na ciebie, zanim dotarłeś do przybytku Ragnira.

– Głupiec! – zawołał Bjarni. – Nic mi po jego sekretach, których odgadnąć nie mogłem, nie znając magii. Jak miałbym zatem cokolwiek komuś wyjawić?

– Czasem można jednym słowem albo gestem zdradzić bardzo wiele. Choćby pod działaniem czaru. Są tacy, którzy życzą Holgiemu źle. Władający magią spiskują przeciw sobie.

– Przekłęci czarownicy! – Najemnik splunął. – Już żadnemu nie dam się zwieść, choćby dawał mi górę złota. Czemu jednak ty, wierny sługa, sprzeciwiłeś się woli swego pana?

– Nie mogłem nie pomóc komuś z własnego rodu. Czy nie słyszałeś porzekadła, że kruk krukowi oka nie wykole? A poza tym Holgi uczynił mnie swym niewolnikiem, a byłem niegdyś szlachetnie urodzonym człowiekiem. Lata temu czarnoksiężnik przemienił mnie w kruką i spętał swą magią. Ale wiele się

nauczyłem przez ten czas przesiadywania z nim i wsłuchiwania się w wypowiedane przez Holgiego zaklęcia. Jeśli tylko miałem dość siły, by podnieść dziobem oprawę danej księgi, nocami, ukradkiem, zgłębiałem tajniki zakazanej wiedzy. Wystarczyło, by raz jeszcze poczuć się wolnym i wyrwać się ze szponów czarnoksiężskiej magii.

– Muszę ci podziękować za uratowanie życia – powiedział Bjarni. – Co mi jednak z tego, że uszedłem cało z przeklętej gospody, jeśli nie ma widoków na to, bym przebrnął żywy przez tę zmarzlinę?

– Jest i na to sposób – odparł Grimo. – Nasycisz się moim mięsem. Jestem zapewne żylasty i nie będzie to zbyt obfita wieczerza, ale zyskasz dość sił, by dojść na skraj doliny.

– Czy przypadkiem sam nie powtarzałeś jeszcze przed chwilą, że kruk krukowi oka nie wykole?

– Zgadza się, ale czy jest inny sposób? Życie mi zbrzydło, a świadomość, że odchodzę zemściwszy się na Holgim wystarcza, by żegnać się ze światem bez żalu.

– Nie pojrę cię... Nie mogę. Ocaliłeś mnie w końcu przed magią Ragnira.

– Minie dzień, a potem noc – odparł Grimo. – Zmysły zaczną ci się mącić, głód przybierze jeszcze na sile. Nie wiadomo nawet, czy podejmiesz daremny trud rozpalenia ogniska pośród wiecznych lodów... Zdarzało mi się z głodu szarpać ludzką padlinę. Dlaczego ty nie miałbyś pożreć kruka z ludzką duszą, którą mało już co cieszy? Przed tym jak mnie ukatrupisz, zdążę ci wyjawić parę sekretów.

– Jakież to sekrety?

– Och, poznałem cię już na tyle, że wiem doskonale, iż nie poniechasz zemsty. Znam zaklęcia, które pomogą ci stać się obojętnym na magię Holgiego. Przykro ginąć wśród śniegów, ze świadomością, że nie przeszyje się mieczem kogoś, kto z nas zakpił, prawda? To także i moja zemsta. Ale nie dokonasz jej umierając z głodu. To jak, zawieramy układ?

– Przemyślę sprawę – warknął Bjarni i rzucił Grima ze swego ramienia. Kruk wbił się w przestworza, ale wciąż unosił się nad głową ślaniającego się mężczyzny.

Czarnobrody szedł wytrwale naprzód, choć potykając się i rozmyślał nad słowami skrzydlatego imiennika. Zmysły rzeczywiście musiały już zawodzić Bjarniego, bo wicher z północnych stron przynosił odgłosy radosnej biesiady i przykry dźwięk zgrzytających zębów rozeźlonego karła.

Biesiada w gospodzie na krańcu świata trwała w najlepsze.

* * *

...Od tamtego momentu, gdy Bjarni cudem ocalał z lodowej pustki, często w opowieściach towarzyszył mu kruk zwany Grimo. Mędrkują niektórzy, że skoro nadano Pogromcy Olbrzymów przydomek Kruk, to szybko podarowano mu

w opowieściach towarzysza, by mógł się przeglądać jak w zwierciadle, wadząc się i drocząc z nim niczym z samym sobą.

Czy było ich rzeczywiście dwóch, czy wichry z dalekich stron dopowiedziały swoje? – tego się już nie dowiemy, sam też nie dam odpowiedzi.

Tak, rozmawiałem z Bjarnim, piłem z nim miód podczas długich, zimowych wieczorów, gdy niejedna opowieść snuła się aż do świtu, rodząc nowe krainy i potwory. Nigdy jednak nie widziałem skrzydlatego towarzysza u jego boku, a gdy Pogromca Olbrzymów sam mówił o kruku imieniem Grimo, często uśmiechał się, jakby jego domniemany towarzysz był tylko wymysłem skaldów.

Mówiło się jednak, że zwarli szyki, człowiek i kruk, by zemścić się na czarnoksiężniku Holgim, ale gdy zebrali siły, wieża porzucona pośród lodów rozmyła się, a władający magią schował przed ich gniewem. Musieli zatem odłożyć wspólne plany na potem...

Mawia się też, że po uwolnieniu się z matni zakłęb karła Ragnira, Bjarni sprowadził śmierć na tego, kto żył przez wieki. Sam Czarnobrody nie chciał jednak o tym mówić i szybko urywał dyskusję, gdy próbowałem go podpytać. Zdarzało się i mnie jednak słyszeć opowieść o nieśmiertelnym Ulrondzie, władającym zagubioną pośród mgieł wyspą. Przez wieki nie miał się tego władcy czas, aż z północnym wichrem przybył kruk, który wyłupał oczy władcy. Taką historię po dziś dzień powtarza się w dawnej dziedzinie Ulronda. W opowieści tej musi kryć się choć cień prawdy.

W pewnej tylko sprawie bazarze się nie zgadzają – jedni nazywają zwiastującego śmierć kruka imieniem Bjarni, inni prawią, że zwał się on Grimo...

Z „Sagi o Kruku”

V. Zapomniany przez śmierć

Okręt ciął wzburzone fale i zdawało się, że sztormy nie są w stanie objąć go swą niszczycielską siłą. Niebo zakryły czarne, postrzępione chmury, przeganiane przez nieustępliwy wicher, który dął z północy. Żagiel wzdymał się na wietrze.

Na dziobie łodzi stał człowiek z długą, czarną brodą, która rozwidlała się i opierała na ciężkiej kolczudze, osłaniającej mocarną pierś. Tajemniczy żeglarz zarzucił na ramiona czarny płaszcz, a twarz przesłonił kapturem, dzięki czemu przypominał herolda śmierci. Do pasa przypięty miał miecz. Gdy poprawił ostrze, wysuwając je nieco z pochwy, na wyszczerbionej klindze można było dostrzec krew. Na ramieniu wojownika zasiadał wielki kruk, dodając jeszcze sylwetce zbrojnego złowieszczości. Siwe pióra okrywały ptaszysko dostojnością, a gdy kruk otwierał dziób, nachylając się do ucha wojownika, trudno było oprzeć się wrażeniu, że potrafi przemówić ludzką mową.

W oczach zbrojnego płonęły ogniki zadziorności. Kim był? Skąd przybywał? Patrząc w dal, wyciągał przed siebie dłoń jak zdobywca, który, zanim jeszcze jego stopa dotknie piaszczystego wybrzeża, ustanawia już rządy nad nowymi ziemiami.

A gdyby tego było mało, morze wokół przybrało rubinową barwę. Krew, wszędzie krew. Przybysz płynął poprzez wzburzone fale ludzkiej posoki.

* * *

Obudził się z krzykiem, który odbił się echem od zamkowych murów. Pewnie tym wołaniem zerwałyby z posłań uśpionych dworzan, ale wino z wieczornej biesiady wiązało ich jeszcze w krainach pełnych elfów, gdzie wieczne światła odganiały troski, a koszmary nie miały dostępu. Zamkowi strażnicy, drzemający na korytarzach i murach, wiedzieli doskonale, że nocami często słychać krzyk ich pana.

Musiało potrwać chwilę nim władca, przebudziwszy się ze straszego snu, uświadomił sobie, że znajduje się we własnej komnacie, w bezpiecznym, choć zimnym miejscu. Jednak gdy spojrzał na wiszącą u powały wielką klepsydrę, przeraził się znowu. Piasek przesypywał się wolno w smudze księżycowego blasku, choć jeszcze niedawno magia strzegła jego bezruchu.

– A zatem nic nie jest wieczne – szepnął król i schował twarz w dłonie. – Gdzie zatem jesteś, Yvanno? Dlaczego nie chcesz po mnie przyjść?

Z mroków wyłoniła się kobieca postać, a zaraz potem dołączył do niej młody mężczyzna. Byli nadzy. Przybliżyli się. Księżycowe światło kładło się smugą na ich skórze, ukazując bujne piersi dziewczyny i blade ramiona młodzieńca.

– Nic ci nie jest, panie? – zapytała branka. – Zdawało mi się, że wzywałeś kogoś.

– To tylko zły sen – powiedział młodzian, oplatając swojego pana ramieniem.

– Co w nim ujrzałeś, panie? – Branka położyła swą głowę na udzie króla. – Czasem koszmar ostrzega nas przed czymś.

– A co, jeśli wyznam wam, że ujrzałem śmierć, która przybrała postać wojownika? – odparł Ulrond – Na jego ramieniu zasiadał kruk. Nie wiem tylko kto był czyim heroldem, a kto panem...

– Śmierć nie ma do ciebie dostępu, królu – powiedziała złotowłosa dziewczyna, całując w policzek swego króla i uśmiechając się. – Przechadza się czasem pod murami twego zamku, to prawda. Widziałam ją i ja – dodała z wyraźnym lękiem. – Dzierży w kościstej dłoni latarnię, która rzuca mrok, nie światło... Nie przyszła jednak po ciebie przez wieki. Nigdy już nie przyjdzie.

– Nie martw się, królu – rzekł chłopak. – Śmierć zapomniała o tobie.

Ulrond spojrział na okno, w którym szklily się zimnym blaskiem gwiazdy.

– Nie martwię się, że śmierć po mnie przychodzi – odparł, spoglądając w noc. – Ja... Ja się cieszę.

Ziarna piasku przesypywały się jedno po drugim, a czas zdawał się wracać do starego rytmu.

* * *

Ogniki, nie mogąc nabrać mocy i żywego blasku, najwyraźniej tłamszone nieznaną siłą, rozbłyskiwały nieśmiało wśród brył torfu i naręczy chrustu. Izba tonęła zatem w półmroku, a liche światło wyławiało z czerni tylko zarys kształtów. Na zewnątrz wicher zawodził nieustępliwie i głucho. Kto próbował się wsłuchiwać w jego wycie, mógł pochwycić obce głosy, niby ludzkie, a jednak niepodobne do żadnej znanej mowy. Czaiły się w tych nierozpoznawalnych opowieściach strzępki zsyłających wizje zaklęć i zapomniane historie, których nie miał już kto opowiadać.

Bjarni Kruk, którego nagła odmiana pór roku przeraziła, przetarł oczy. Już wiedział, że padł ofiarą złego czaru, bo jak inaczej wytłumaczyć to, co się stało? Na zewnątrz, w mrokach złudnej nocy, migotały płatki śniegu, choć jeszcze niedawno pogodna wiosna rozgrzewała starcom kości i topiła gorycz w każdym sercu. Zmiana była nazbyt nagła, by uznać ją za naturalną.

Gospodarz, który podjął wędrowca i który nosił imię Argoth – przynajmniej tak się przedstawił Bjarniemu – wstał ze stołka i podszedł do paleniska. Pogromca Olbrzymów kątem oka obserwował z pewną nieufnością barczystego, rudobrodego mężczyznę. Argoth zaczął dmuchać co sił w ogień, co wydawało się skazane na niepowodzenie. Jasny płomień buchnął z nową siłą, wyłaniając z mroku brunatne

barwy. Blask płomieni przegnał czerń z dusznej izby, ale szybko zbladł; ogień rozgrzał zziębnięte palce zebranych tylko na moment.

Chłód i niepokój, jakby idąc w parze, na nowo rozgościły się w chacie.

– Pora jeszcze młoda, a wieczór daleki... – odezwał się Bjarni, przerywając ciszę. – Wiem, że wiosna bywa tutaj rześka, ale nie aż tak, by zamienić się rolami z zimą. Niedawno uciekłem z lodowego piekła, omal nie przypłacając tego życiem. Gdyby nie pewien kruk... – Czarnobrody zaczął wspominać miniony czas, który rozmywał się i mieszał ze snami. – Znam opowieść o tym, jak bogowie, wędrując przez pustkowia, trafili do chaty czarnoksiężnika i nierozważnie narazili się na jego gniew, nie wiedząc, że mają do czynienia z władającym magią. Nie spodziewałem się jednak, że i mnie może spotkać podobna historia... Wybacz jeśli cię urażę, gospodarzu – Bjarni zwrócił się do rudobrodego – ale nie wydałeś mi się podobny do mędrców.

– Nic nie wiem o twoich bogach – odparł Argoth, spoglądając z pobłażliwością na gościa – choć muszą być potężni, skoro obszedłeś cały niemal świat i zawitałeś do krainy, gdzie rzadko widuje się obcych. Nasi bogowie są z kolei niemi i głusi. Tyle mogę o nich powiedzieć. Nie słuchają naszych modlitw... Niewiele się zresztą o nich dowiesz, bo nikt tutaj nie snuje opowieści. Większość z nich byłaby zbyt straszna.

Gospodarz przytulił mocno swoją małżonkę i dał znać dzieciom, by zbliżyły się do ognia, nawet tak mizernego. Kobieta imieniem Rhun, z jasnymi włosami zaplecionymi w warkocz, opatuliła dzieci: dwójkę chłopców ze zmierzwionymi rudymi czuprynami i nieco starszą dziewczynkę, która wydawała się chora, bo jej oczy były podkrążone, a twarz zapadnięta.

Bjarni nieufnie wpatrywał się w kubek z podanym mu napitkiem, ale przechylił jego zawartość jednym haustem. Świat i tak zdążył wymknąć się rozumowi. Żaden eliksir nie mógł mu zaszkodzić bardziej.

Argoth wstał raz jeszcze i poprawił naręczce wonnych ziół, które zawieszono u belki znajdującej się ponad drzwiami.

– Robią tak ci, którzy obawiają się nieproszonych gości ze świata duchów – powiedział Bjarni. – Tego zdążyłem się już nauczyć, przebywając wśród wyspiarzy. Mówicie tym samym językiem, który słyszałem na Zachodzie i który znam dobrze, bo służyłem u wielu bitnych panów z krain za morzem. Macie tu podobne zwyczaje do ludzi, z którymi pijałem wino, i których pozbawiałem życia, gdy przyszła na to pora... Mnie jednak wpuściłeś za próg, choć pragniesz odciąć się od niepokojów, jakie przynosi świat.

– Ty jesteś żywy, wędrowcze – odparł Argoth zagadkowo. – I nie mam nic przeciwko twojej niezapowiedzianej wizycie, bo w naszym zwyczaju jest przyjąć gości, nakarmić ich i przenocować.

– Kogo się zatem boisz?

– Tej, która przychodzi po żywych i zabiera ich na drugą stronę – powiedział rudobrody, a jego wzrok mimowolnie zatrzymał się na bladym obliczu dziewczynki. Bjarni domyślił się, że mała jest śmiertelnie chora.

– Skąd pochodzisz i co cię sprowadziło na naszą wyspę? – zapytała kobieta, spoglądając na dogasające palenisko.

– Wędruję tam, gdzie może przydać się mój miecz – odparł Bjarni, biorąc łyk palącego gardło napitku. – Jadę przed siebie, szukając zajęcia lub rozrywki. Nie, nigdy wcześniej nie byłem w tych stronach, choć mówili w porcie, że na dalekiej wyspie żyje lud, który zna mowę kupców z Zachodu, mimo, iż odcięty od świata przybrał już nieco inne zwyczaje. Pomyślałem zatem, że na dworze waszego pana znajdę zajęcie. Na darmo chyba jednak przeprawiłem się przez morze, bo widzę i słyszę, że zawitałem do krainy pełnej czarów, a od tych chciałem na razie odpocząć.

– Jeśli padłeś ich ofiarą, to my również – rzekł gospodarz, z żalem spoglądając w palenisko. – Nikt z nas cię nie omamił. Uwierz, że sam wolałbym widzieć za oknem wiosenny dzień. Wtedy wierzyłbym, że nie poddałem się szaleństwu.

Jeszcze przed chwilą ogień dawał trochę blasku i ciepła, ale teraz jego życiodajną moc zgasiła nierzeczywista wręcz ciemność. Bjarni spojrzał na domowników niepewnie, choć nie był w stanie rozpoznać już ich rysów. Zaraz potem położył dłoń na rękojeści miecza. Wojownik poczuł dreszcz na karku, jakby dotyk wichru był oddechem jakiejś zrodzonej przez zły sen bestii.

– Zbliża się – powiedziała Rhun i przykryła dzieci wełnianym pledem. Argoth przysłonił twarz kapturem.

– Kto? Kto nadchodzi? – odezwał się Bjarni, chcąc zadać jeszcze wiele pytań, które cisnęły mu się na usta, ale zamilkł, słysząc w oddali czyjś głos. Nawoływania zmarłych – nie miał wątpliwości, że to właśnie ich szepty. Jakby ktoś wypowiadał słowa wprost do jego ucha, a jednocześnie głosy dobiegały niby zza mgieł, spoza świata. Z początku dźwięk był ledwo słyszalny, potem wyraźniejszy. Jeden szept, później już kilka. Przekomarzania tajemniczych istot – choć przecież żaden z ich głosów nie wydawał się głośniejszy od szelestu liści, które dotyka delikatna bryza.

Bjarni wstał z miejsca i dobył miecza. Blask dogasającego ogniska zatańczył jasnym refleksem na wyszczerbionym ostrzu i Argoth z przerażeniem mógł dostrzec, że klinga przybysza jest czerwona od krwi.

Wojownik podszedł do drzwi i nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, znalazł się na placu. Na ścieżce przecinającej równinę, którą władał teraz mrok i wicher, Bjarni dostrzegł mroczną postać, jakby utkaną z czarnych mgieł, choć ludzką w swych kształtach. Odcinała się czarnym konturem od fioletowej barwy nieba. Zbliżając się do domostwa, ciągnęła za sobą tren z dymów, które zwykle

unoszą się ponad żałobnymi stosami. Wydawało się, że jest zakapturzona i spowita płaszczem utkanym z nierzeczywistej materii. Raz po raz jej oblicze stawało się wyraźniejsze, innym razem zmieniało się w szarą mgłę i nikło prawie zupełnie, jakby tajemnicza istota przemykała pomiędzy światem żywych i zmarłych, nie goszcząc w żadnym na dłużej.

Śmierć, bo złowroga postać była nią niewątpliwie, zbliżała się w kierunku domu, w rękach trzymając coś, co przypominało kostur. Na nim zawieszono latarnię, ale taką, która rzuca cień, nie zaś światło, jednocześnie gubiąc w mroku każdy przejaw życia. Gdy śmierć dotykała swym trenem ździebeł trawy, te schły i czerniały.

Tylko tyle Bjarni był w stanie dojrzeć, a zatem dość, by się przerazić. Chciał wnieść swój miecz, ale jak walczyć z czymś, co nie ma ciała, co utkane jest z dymów całopalenia?

Otoczony wirującymi płatkami śniegu upadł niemal bez czucia, zdając sobie sprawę z tego, że jest bezbronny względem śmierci.

* * *

Jaśniejące powoli na wschodzie niebo przepowiedziało rychłe nadejście świtania.

– Chodź, chodź! – zawołał piegowaty Galdor, prowadząc Bjarniego za rękę w kierunku osnutej oparami puszczy.

– Nie ociągaj się, Kruku! – rzekł wyższy o głowę od brata i starszy o rok Norgath.

– Przed chwilą jeszcze spałem... – mruknął Bjarni, stawiając nogi ciężko, jakby były z ołowiu. – O niegodziwcy! A taki miałem piękny sen... Byłem królem i...

– Nie krzycz, wojowniku – skarcił Bjarniego Galdor i popatrzył surowo. – Bo je spłoszysz...

– Kogo miałbym spłoszyć? – zapytał Bjarni, wciąż nie mogąc zrozumieć po co ta nagła eskapada. – Co najwyżej mógłbym tutaj spłoszyć wiewiórki, ale i one pewnie jeszcze śpią!

– Jak to kogo? Zapomniałeś? – wyjaśnił z poważną miną Norgath. – Gdy opowiadaliśmy ci wieczorem o żyjących na skraju puszczy skrzatach, powiedziałaś, że chciałbyś ujrzeć je na własne oczy.

– No tak, oczywiście... – Bjarni uśmiechnął się, spoglądając na synów Argotha i podrapał się po czole. – Skrzaty... O kogóż by innego chodziło, jak nie o skrzaty?

– Musimy być teraz cicho – powiedział Galdor, kładąc palec na ustach, gdy znaleźli się na skraju lasu. – Są bardzo ostrożne.

– Jak to skrzaty. – Bjarni mrugnął okiem do chłopca, a potem nachylił się

i patrząc w piegowatą twarz powiedział cicho. – Nie odezwę się zatem ani słowem. Będę milczał jak zakłęty.

Zanurzyli się w rzadkie jeszcze zarośla, wstępując do opatulonej mgłami puszczy. W pewnym momencie Norgath wskazał palcem pod nogi Bjarniego. Obok rosłego świerku, wśród igliwia, stała miska, w której znajdowała się odrobina miodu i kilka jeżyn.

– No tak... – powiedział Bjarni, drapiąc się po głowie. – Tym razem nie przyszły. Cóż... Wracajmy, może zdrzemnę się jeszcze na moment, nim ruszę do pracy z waszym ojcem. Teraz, gdy wasza biedna siostra...

– Ujrzysz je dopiero w pierwszych promieniach słońca – rzekł Galdor ze srogą miną. – Pod warunkiem, że zechcą przyjąć nasz dar... Skrzaty mieszkają w tamtej jamie.

Bjarni spojrzął na omszały, wystający korzeń drzewa, spod którego ziała czern.

– Teraz musimy się ukryć i poczekać – powiedział Norgath.

– Rozumiem – odrzekł Bjarni.

Skryli się zatem w okolicznych krzewach i cierpliwie czekali. Pogromca Olbrzymów przymknął jedno oko. Zaraz potem opadła mu druga powieka, a w głowie zrodziła się nadzieja, że nawet polując na skrzaty, można się zdrzemnąć – ta poranna eskapada zdążyła go już zmęczyć.

– Patrz... – Norgath pociągnął Kruka za rękaw.

– Co? Jak? – Bjarni poruszył się nerwowo, otwierając nagle oczy.

– Ciii... – Chłopcy jednocześnie spojrzeli na Czarnobrodego i przykładając palce do ust, skarcili go surowym wzrokiem.

Bjarni spojrzął w czern otoczonej mchem i igliwem jamy. Małe świetliki wypłynęły z jej wnętrza. Mgły rozproszyły się już i w pierwszych promieniach wschodzącego słońca dało się dojrzeć jakieś błyski. Zdawało się, jakby ogniki tańczyły w półmroku, obracając się w nierównych okręgach, pośród zieleniącej się trawy. Słysząc było też wesołe chichoty.

– To... – Bjarni rozdziawił ze zdziwienia usta.

– Skrzaty! – odpowiedzieli jednocześnie chłopcy.

Taniec świetnych refleksów nie trwał długo. Migoczące plamy – jakże ciężko było je jakoś nazwać i opisać – odpłynęły wkrótce w kierunku wystającego korzenia.

Bjarni podszedł bliżej wraz z dwójką młodych towarzyszy i zobaczył, że pozostawione naczynie jest puste.

– Dziw... Najprawdziwszy dziw! – szepnął Bjarni i podrapał się po głowie.

– A nie mówiłem! – Mały Galdor złapał się pod boki. – Skrzaty jak nic!

– Skrzaty, skrzatami... – mruknął Bjarni, a potem obrócił się gwałtownie w kierunku pacholąt. – Co powiecie na okrutnego wojownika, który zanoszą strawę

ohydnym trollom? – Czarnobrody schwycił chłopców i biorąc ich pod ramiona niczym prosiaki, ruszył z powrotem w kierunku domostwa. – Słyszałem, że trolle mieszkają w okolicy, a podobno rozsmakowały się w mięsie dzieci!

– Puść nas zły wojowniku! – zawołał Norgath.

– A kim są te trolle? – zapytał Galdor, śmiejąc się i wierzgając nogami.

– No tak... – Bjarni uwolnił chłopców i zatrzymał się. – Zapomniałem, żeście nie wychowali się na tych samych opowieściach, co ja... Cóż... trolle to wielkie stwory, brzydkie i cuchnące!

– Całkiem jak pewien barbarzyńca, co przybył z za morza? – zapytał Norgath, a potem chłopcy, śmiejąc się w głos, zaczęli uciekać.

– O nicponie! – zawołał Bjarni z udawanym gniewem, biegnąc za synami Argotha. – Ja wam dam! Budzić mnie w środku nocy i jeszcze obrażać!

Dopadli do domostwa, zaśmiewając się wciąż, ale surowe oblicze gospodarza, sprawiło, że chichoty ustały. Bjarni także spoważniał.

– Wasza matka jeszcze śpi – powiedział surowo Argoth. – Nie zapomnijcie, że wiele wycierpiała. Żałoba wciąż okrywa ten dom.

Chłopcy pobiegli dalej, przeprosiwszy ojca, a Bjarni spojrział na postawnego mężczyznę z nietęgą miną.

– Wybacz – rzekł, zasiadając na progu. – Nie chciałem wywoływać zamieszania. Twoja kobieta potrzebuje spokoju. Ale dzieci nie powinny się frasować. Świat przyniesie im jeszcze dość trosk.

– Nie gniewam się, Bjarni – rzekł Argoth, spojrzawszy na dach domostwa.

– Czy Rhun czuje się lepiej? – zapytał Czarnobrody, ale słysząc dobiegający z domostwa szloch, nie musiał czekać na odpowiedź.

– Nie, Bjarni. Nie jest z nią dobrze. Bardzo kochała naszą córkę. I ja nie wierzę, że już jej nie ma wśród nas. – Argoth schwycił leżącą opodal wejścia siekierę. – Ale jest sporo pracy przy domu, a to najlepiej zajmuje myśli. Dach sam się nie załata, a wkrótce nadejdą deszcze.

– Pomogę ci – rzekł Bjarni, z ochotą zakasując rękawy. – Przyda mi się trochę ruchu, skoro już obudziłem się co świt.

– Gdzie zaprowadziły cię te łobuziaki? – zapytał Argoth. – Mogę im przetrzepać skórę, jeśli stroją sobie z ciebie żarty.

– Ależ nie! – Kruk uśmiechnął się. – Po prostu poszliśmy zobaczyć leśne skrzaty... Muszę przyznać, że... hmm... rzeczywiście chyba je widziałem – dodał, mrugając okiem.

Argoth wzruszył ramionami.

– Skrzaty, mówisz... – Gospodarz machnął ręką. – Tylko psoty moim chłopcom w głowie.

Pracowali długo, tnąc drewno i reperując potem dach domu. Bjarni czuł, że te proste czynności cieszą go i dają wytchnienie od trosk, którego nie mógł zaznać,

przemierzając świat i napotykając co krok złudne cuda. Słońce rodzącego się lata paliło jego skórę. Świat był tego ranka pozbawiony problemów. Przyjemnie byłoby tu zostać i zaznać chwili spokoju.

Jednak patrząc z dachu domostwa na daleki horyzont, zaczął rozmyślać nad ciężącą nad nim klątwą i cień znowu zagościł w jego myślach. Nie uszło to uwadze rudobrodego gospodarza.

– Widzę to w twoich oczach, Bjarni – rzekł Argoth, gdy pracowali, wspiąwszy się na dach domostwa. – Myślisz, by szukać swego szczęścia gdzie indziej.

– Gdybym został, zesłałbym na was nieszczęście...

– Czy jakiś wróg podąża za tobą?

– W pewnym sensie. – Bjarni kiwnął potakująco głową. – Można rzecz, że to złe, rzucone niegdyś na wiatr słowa nie dają mi wytchnienia. Miały magiczną moc... Może nie działa tutaj? Kto wie? Głosy naszych bogów mogą zdawać się wam obce. Przez klątwę nie mogę zagrzać nigdzie dłużej miejsca, bo dochodzi do nieszczęść.

Argoth spojrział na Bjarniego z uwagą.

– Ta, która przynosi śmierć, okrążała nasze domostwo od dawna – wyjaśnił, uszczelniając dach darnią. – Nie ty ją sprowadziłeś, bez względu na to jak złowrogi cień za tobą kroczy.

Bjarni kiwnął głową ze zrozumieniem, a potem spochmurniał.

– Czy możesz mi coś powiedzieć o Ulrondzie? – zagadnął niespodziewanie.

– Ulrond? – Rudobrody nie był chyba zaskoczony tym pytaniem, bo uśmiechnął się tylko, ale zaraz potem zmieszanie pojawiło się na jego twarzy, jakby przywoływanie pewnych imion nie było właściwe. – Każdy, kto przybywa w te strony w końcu o niego pyta. A większość z tych, którzy pytali, nawarzyła sobie potem piwa. – Argoth odłożył siekiere i rozłożył się wygodnie na dachu, spoglądając na dolinę, którą porastał sosnowy las.

– Słyszałem co nieco na szlaku, niewiele jednak – powiedział Bjarni, przykładając do ust bukłak z wodą. – Napotkani mówili, że Ulrond to potężny pan. Jedyne w tym się zgadzali.

– Nie okłamali cię.

– Władcy mają swoje interesy, zwykle też trochę złota i srebra poukrywanego po skrzyniach. Kiedy zaś kiesa pełna, szuka się zbrojnych, by jej chronić. Tych z kolei trzeba opłacać sownie, a do tego są potrzebne nowe skarby, a jak je zdobyć bez najemników? I tak koło się zamyka... To stałe prawo, Argocie, i gdzie byś nie trafił, sprawy mają się podobnie. Obawiam się, że nie jestem teraz nikim więcej jak siepaczem do wynajęcia. Oczywiście za sownitą opłatą... Gdzie mi zatem będzie lepiej niż na dworze Ulronda?

Argoth pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Masz zapewne rację – odparł i także sięgnął po bukłak. – Ulrond jest władcą tej wyspy i każdy z jej mieszkańców składa mu hołd. I my płacimy daninę, gdy jeźdźcy z zamku przybywają tutaj dwa razy do roku.

– Jedno mnie tylko dziwi... O sławnych wojownikach i dobrych gospodarzach mówi się zwykle wiele. Legenda prześciga legendę, nawet gdy nie różni się od bajsan bardów, w których wymysł miesza się z prawdą. Nikt jednak nie potrafił mi powiedzieć wiele o waszym księciu. Odniosłem wrażenie, że ludzie boją się wypowiadać jego imię.

Rudobrody zamilkł na chwilę, a potem z surowym spojrzeniem powiedział:

– Bo to imię zapomniane przez śmierć.

– Co to oznacza? – zapytał Bjarni, mimowolnie przywołując we wspomnieniach obraz kroczącej zjawy, która przynosiła z sobą chłód własnego oddechu i mrok rozsiewany przez przekłętą latarnię.

– Ulrond był władcą tych ziem, gdy żył mój ojciec – wyjaśnił Argoth, spoglądając sennym wzrokiem na dalekie pasmo szarych wzgórz. – A ten opowiadał mi, że z kolei jego własny ojciec, a mój dziad, będąc jeszcze dzieckiem, służył także na dworze Ulronda. Władca wyglądał wtedy, a było to przecież dziesiątki lat temu, tak samo jak dziś, czyli był mężczyzną w sile wieku. Czas się go nie ima. Są zapewne różne zaklęcia na świecie, także i takie, które potrafią odegnać widmo chorób. Ale choć nie wyznaję się na sprawach czarnoksiężników, to zdaje mi się, że nie da się pokonać śmierci żadnym sposobem. Bogowie uczynili nas śmiertelnymi i nie zmienimy ich wyroków. Ulrond wymyka się jednak tym prawom. Śmierć nie chce po niego przyjść ponownie.

– Ponownie?

– Ludzie mawiają, że któregoś dnia Śmierć zapukała do wrót górującego nad wyspą zamku. Chciała pewnie zagasić w naszym władcy iskrę życia, ale spojrzawszy na Ulronda zawahała się i odeszła. Po prostu...

– Jak to możliwe?

Argoth zastanowił się, a potem rozejrzał niepewnie po okolicy, jakby z obawą, że ktoś może przysłuchiwać się jego słowom. Nie uszło uwadze rudobrodego, że na żerdzi płotu przysiadł wielki, stary kruk, który zatrzepotał skrzydłami.

– Niektórzy twierdzą, że Śmierć musi być jego krewną lub kimś, kogo kochał – powiedział Argoth, ścisząc nieco głos i uważnie przyglądając się ptaszysku. – Jak to możliwe, zapytasz? Gdy pierwszy człowiek umiera na dziewiczej ziemi, staje się wieszczącym śmierć. Zjawa przybywa potem po dusze innych. Takie są nasze wierzenia. Spotkałeś ją, która była kiedyś człowiekiem. Po tym jak stała się strażniczką świata umarłych, bogowie uczynili ją głuchą na ludzkie prośby. Wszystko po to, aby nie dała się zwieść błaganiom umierających.

– Ale usłyszysz wołania kogoś, kto pochodzi z dali, kto nie urodził się na

ziemi, której mocami włada?

– Być może – odparł Argoth. – To by tłumaczyło, dlaczego Ulrond nie lubi przybyszów. Ja nie powiem ci nic więcej, bo dość nieszczęścia już spadło na mój dom. Nie szukałem zresztą nigdy odpowiedzi na pytania, które teraz zadajesz. Niewielu szukało...

– Pozwolisz mi jednak dopiąć swego?

Argoth uśmiechnął się tylko.

– Odkąd zobaczyłem cię pierwszy raz, w twoim spojrzeniu wyczytałem, że należysz do grona ludzi, którzy muszą poznać rozwiązanie każdej zagadki. Podpowiem ci tylko coś – poszukaj ludzi, którzy znają jeszcze stare opowieści. Niewielu ich pozostało. Może już żaden...

– Czy ludzie na wyspie nie pragną słuchać opowieści, w których znaleźć można echa dawnych dni?

– Pewnie by chcieli... – odrzekł Argoth po cichu. – Nawet teraz ktoś nam się przysłuchuje, choć nie mamy do czynienia z człowiekiem. – Rudobrody wskazał na żerdź płotu, na której zasiadał kruk. – Boję się, że to szpieg.

Bjarni zaczął przyglądać się ptaszysku. Kruk rozłożył skrzydła i zakołysał się nerwowo.

– To Grimo – wyjaśnił wojownik z uśmiechem. – Kiedyś był człowiekiem. Właściwie jest nim nadal, choć zaklęty został w inną postać. Rozumie ludzkie języki i świetnie się nimi posługuje. Nie jest groźny, a nawet bywa pomocny. Kiedyś już bardzo mi dopomógł... Obiecałem mu coś za ratunek, jaki mi przyniósł na skraju świata, gdzie zawędrowałem kiedyś, więc połączyły nas wspólne sprawy.

– Kto wie, czy twój znajomek nie zaczął służyć Ulrondowi? – zauważył Argoth.

Bjarni potrząsnął głową.

– Przez wiele dziesiątek lat Grimo był niewolnikiem na służbie u pewnego czarnoksiężnika. Nie sądzę, by chciał znowu słuchać czyichś rozkazów.

– Skoro tak twierdzisz. – Rudobrody wzruszył ramionami.

Kruk wzbił się nagle w przestworza. Argoth zadarł głowę, spoglądając na czarny punkt niknący wśród błękitów nieba. Grimo zmierzał w kierunku wzgórza, gdzie wznosił się zamek Ulronda, co sprawiło, że na twarzy kmiecia pojawił się niepokój.

* * *

Zbrojny orszak ciągnął górskim szlakiem, oddalając się od twierdzy. Skalne zbocze opadało gwałtownie w dół ku bystrej wstędze strumienia. Na kamienistym brzegu można było dojrzeć zajęte praniem dziewczęta, które, nie zauważywszy zbrojnych, śpiewały wesołą pieśń.

– Cudowny widok! – powiedział jeden z królewskich doradców, gdy zrównał

się z Ulrondem. – W taki dzień człowiek uświadamia sobie, że życie warte jest zachodu.

– Masz rację – odparł Ulrond. – Poranek dzisiaj wyjątkowo pogodny... Każ zatrzymać się konnym.

– Czy coś się stało?

– Wręcz przeciwnie – rzekł władca z uśmiechem, a potem zeskoczył z jabłkowitego wierzchowca. – Zaraz wracam.

– Ależ, panie... Czekają na nas... a poza tym... ja...

– Więc poczekają – rzekł Ulrond, podając swoim sługom koronę i zdejmując z piersi złoty medalion. – Czas naprawdę niewiele znaczy.

– Eskorta! – zawołał szambelan, ale król wstrzymał go ruchem dłoni.

– Pójdę sam.

– Oczywiście – odparł doradca, skłoniwszy się.

Nie zastanawiając się długo, Ulrond zaczął schodzić ostrożnie po stromym zboczu. Po chwili znalazł się nad bystrym nurtem strumienia. Wśród drzew huczało od ptasich śpiewów. Szmer potoku kołł nerwy.

Upiwszy łyk świeżej wody, ruszył w kierunku młodych praczek. Te szybko go zauważyły. Wydawało się, że są niektóre są wystraszone, inne z ciekawością przypatrywały się nieznanemu.

– Kim jesteś? – zapytała jedna, najbardziej widać harda, o bujnych kształtach i rumianej twarzy.

– Zgubiłeś się, panie? – odezwała się inna. – A może pragniesz nam dopomóc?

– Jeśli tylko będę potrafił... – rzekł Ulrond i podszedł bliżej, uśmiechając się do rozradowanych dziewcząt. – Nie wiem, czy kiedykolwiek prałem... Próbuję sobie przypomnieć, a to niełatwe. Minęły już setki lat.

– Czy to... – Jedna z dziewcząt, z włosami zaplecionymi w warkocz wokół głowy, zaczęła się wpatrywać w przybysza. – To...

– Ulrond, nasz nieśmiertelny pan – powiedziała najstarsza z kobiet, w której włosach igrało już pasmo siwizny.

Praczek schyliły się w ukłonie – sam król je nawiedził, a jego sylwetkę spowijały promienie słońca, więc zdawało się, że brodzi w jasnościach.

– Wszystko zepsułyście – rzekł Ulrond, pochmurniejac. – Po co te ukłony? Chciałem jedynie zamienić z wami słowo. Taki piękny dzisiaj dzień...

Radość z bezchmurnego, ciepłego poranka szybko jednak gdzieś uleciała. Ulrond poruszył się niespokojnie. Woda w strumieniu przybrała czerwoną barwę.

– Yohna! Halete! – zawołała jedna z dziewcząt, wskazując na strumień. – Spójrzcie!

Praczek odwróciły się, zapominając na moment o niespodziewanym gościu. Zaraz potem na ich twarzach pojawiło się przerażenie. Piski i wrzaski zmąciły

spokój sielskiej scenerii. Dziewczęta pobiegły z krzykiem w kierunku wioski.

Ulrond stał jak oniemiały. Serce dudniło w jego piersi. Nie potrafił się jednak poruszyć, jakby jego wolę spętała zła magia.

Wkrótce usłyszał za swoimi plecami szcęk kolczug i odgłos ciężkich kroków.

– Czy coś się stało, panie? – odezwał się doradca. – Słyszeliśmy krzyki. Jeśli...

– On rzeczywiście się zbliża – powiedział Ulrond, przerywając dworzaninowi. – Jest z krwi i kości. Zwiastuje śmierć. To znak, który widywali też nasi przodkowie – powiedział władca, wskazując na strumień.

Przy brzegu siedziała stara kobieta, której włosy zakrywał czarny tren. Odwrócona plecami, nucąc pod nosem smutną, żalobną pieśń, prała męską koszulę. Nieskazitelną biel materiału plamiła brunatna, zakrzepła krew. Dłonie starej praczki wydawały się gnić, jakby rozkładała się za życia. Woda przy brzegu przybrała krwawą barwę.

– To... To rzeczywiście zły znak, panie. – Doradca odwrócił wzrok.

– Okaże się jeszcze – powiedział Ulrond, wpatrując się w dal, jakby szukając znajomej postaci.

* * *

Zakapturzony jeździec zwolnił nieco wodze. Prostując się w siodle, zaczął rozglądać się uważnie po okolicy. W dolinie, która otwierała się za skarpią, widać było spore miasto. Solidna, umocniona wałem i fosą palisada zamykała w swym okręgu jakąś setkę przylegających do siebie domów, drewnianych i murowanych, ustawionych wzdłuż przecinających się pod kątem prostym dróg. Na niewielkim wzniesieniu stał murowany zamek. Od miasta odgradzał go obronny mur, na którym srożyły się blanki. Budynek górował nad okolicą. Strzegły go cztery potężne wieże. Dach zamku skrzył się, odbijając pierwsze promienie słońca.

– A zatem tak wygląda siedziba Ulronda, Nieśmiertelnego – powiedział Bjarni, który wpatrując się blask bijący z okien musiał przyznać, że Dom Tysiąca Świąteł, jak nazywano na wyspie warownię, to najwłaściwsza z nazw.

Nim Pogromca Olbrzymów zdążył przyjrzeć się okolicy, na jego ramieniu wylądował kruk. Ptaszysko zaczęło układać dziobem pióra.

– Nie powiem, nie powiem... – odezwał się Grimo. – Zamek godny kogoś, kto miał setki lat na to, by okradać swoich poddanych.

– Uczony kruk Grimo zawsze pozostaje nieufny wobec możnych.

– Jestem raczej praktyczny w swym podejściu do ludzi i świata. Dzięki temu rzadko bywam rozczarowany.

– Wywiedziałaś się czegoś?

– Być może, być może... – zakrakał kruk. – Okazało się, że w tej krainie żyje

ktoś, kogo dawniej poznałem w warowni Holgiego... Czarnoksiężnik prowadząc swe interesy, przyjmował licznych gości ze świata. Jeden z nich mieszka właśnie w tym mieście. Może zdradzi mi jakąś ciekawostkę? Ale jak poznać prawdę o kraju, w którym nikt nie powtarza kłamstw? Jak tu odsiać zdrowe ziarno od plew? Czy to nie dziwne, że nie ma w okolicy żadnych pieśniarzy?

– Coś wymyślisz. – Bjarni popędził wierzchowca i ruszył w dół łagodnego zbocza, ku drodze, która wiała się w dół. Grimo zachwiał się na ramieniu jeźdźca. – Na razie musimy zamilknąć – poradził najemnik. – Niepokojąco może wyglądać uzbrojony człowiek, który rozmawia z krukiem.

– Gdyby więcej podobnych do ciebie zabijaków rozmawiało z uczonymi kompanami, nawet z takimi, co mają skrzydła, świat byłby znośniejszym miejscem do życia. Zanim jednak zamilknę jak radzisz, powiedz mi tylko, po co pchasz się w gardziel smoka? Czy nie lepiej przypatrzeć się wpierw, czy w pancerzu bestii nie ma poluzowanej łuski?

– Pięknie powiedziane. – Bjarni pogłaskał kruka po szyi. – Możesz nie zrozumieć moich pobudek. Ale odpowiem ci, skoro pytasz, przyjacielu. Chciałem spojrzeć w oczy temu, kto oszukał śmierć. Czy to dobry powód?

– Proszę, proszę... Bjarni Kruk, podziwia kogoś, kogo pragnie zabić! – Grimo zaczął trzepotać z zadowoleniem skrzydłami.

– Zabić? – szepnął jeździec, ścisząc głos, gdy zrównali się z wędrującymi traktem wieśniakami. Ci zaczęli się przyglądać przybyszowi, gdyż pewnie nieczęsto widywali gości zza morza, mówiących obcym, szorstko dla nich brzmiącym językiem. – Skąd ten pomysł?

– Po pierwsze, jeśli władca potężnego królestwa stał się nieśmiertelny, co okryło jego postać nimbem tajemnicy, czyż nie większą jeszcze sławę przyniesie udana próba rozplatania mieczem owego monarchy? – zauważył Grimo, a gdy wypowiedział te słowa, błądy uśmiech pojawił się na twarzy Bjarniego. – A po drugie – prawil dalej kruk – gdzie byś się nie pojawił, tam trupów nagle więcej! Nawet moi pobratymcy mawiają, że gdy kruk lub wrona głodna, niechaj ciągnie za cieniem Bjarniego!

– Co ty nie powiesz... – zaśmiał się wojownik. – Jestem znany także wśród padlinożernego ptactwa? Zaiste, wielka to sława! A teraz uciekaj – szepnął Bjarni, dostrzegając, że szlak gęstnieje od kupców i podążających do miasta wieśniaków. – Nie pora na pogadanki.

– Wyczekuj mnie w karczmie, przy moście – rzekł kruk. – To dobre miejsce, by solidnie podejść. Rozmawiałem dziś o świtanu z pewną gęsią, która była wielce zadowolona, że trafi na tamtejsze stoły! Zjawię się w rzeczonej gospodzie, może wieczorem lub jutro, jak tylko czegoś się dowiem. Wypatruj mnie zatem i uzbroj się w cierpliwość!

Grimo zerwał się do lotu i zaraz zniknął na tle szarego nieba i chmary

ptactwa. Bjarni przysłonił twarz kapturem, a chwilę potem, popędzając rumaka, wmieszał się w tłum podążających w kierunku miejskiej bramy.

* * *

– Niewiele możemy o nim powiedzieć – rzekł wieszcz, skłoniwszy się przed tronem Ulronda. – Przybywa z daleka, z Północy. Ciągnie się za nim zła sława i jakaś tajemnica. Opowiadają o nim niestworzone historie, wątpię jednak, by którakolwiek była prawdziwa... Mówią nawet, że zgładził potężnego giganta.

– Jak go zwać? – zapytał Ulrond, gdy dwóch paziów przyniosło mu pozłacany napierśnik.

– Nosi przydomek Kruk – odparł wieszcz.

– Kruk... – powtórzył król. – Czy właśnie kruk nie zwiastuje śmierci?

Mężczyzna zawahał się.

– To tylko włóczęga. Najemnik, owszem, ale nie lepszy od innych, którzy służą bitnym panom za grosz. Moglibyśmy użyć zaklęć i...

– To niepotrzebne – powiedział Ulrond, gdy paź zarzucił mu na ramię płaszcz. – Jeśli jest godny tego, by się ze mną zmierzyć, niech tak się stanie. Czekałem na niego być może przez całe życie. Bardzo długie życie... – Król podszedł do okna i spojrzał na budzące się miasto, które w pierwszych promieniach słońca zaczęło huczeć od nawoływań mieszczan i terkotu ciągnących na targ wozów. – Jestem znudzony, Arthusie... Niezwykle znudzony!

* * *

Przemykając wąskimi, brudnymi ulicami, pełnych łajna, pomyj i błota, zaciągał języka i chłonał każde słowo oraz gest, które mogłyby mu coś podpowiedzieć. Gdy słońce zaczęło zbliżać się do zenitu, udał się na główną ulicę miasta, a potem, skręciwszy w jedną z uliczek, zniknął w drzwiach prowadzących do wskazanej przez Grima gospody. Wczoraj nie zastał tu pierzastego maga, liczył więc na to, że dzisiaj się mu się poszczęści.

Czy kruk zamierzał wlecieć tak po prostu przez okno i rozmówić się z nim? No cóż, byłaby to pewna nieostrożność. Bjarni rozsiadł się przy jednym ze stołów, bacznie obserwując zebranych. Miał wrażenie, że wszyscy mu się przyglądają. Zsunął zatem kaptur z głowy. Lepiej odsłonić swoje oblicze, niż je zakrywać – kto boi się pokazać twarz, może wszak chować w głębi serca nieczne zamiary, a tajemnica rodzi ciekawość i przyciąga spojrzenia. Gdy wszyscy zobaczyli w końcu brodatą twarz przybysza, odwrócili wzrok, uświadamiając sobie, że nieznajomy jest pewnie najemnikiem, jakich zdarzało im się spotykać, nawet gdy nie zagrzali na długo miejsca we włościach Ulronda.

Bjarni zajadał zatem pieczone w spokoju, popijając gęstym piwem. Piana ściekała mu po brodzie. Kątem oka obserwował przez niewielkie okno, czy na

dachu sąsiedniego domostwa nie pojawia się znajome ptaszysko.

Zgarbiony, chudy człowiek o orlim nosie i rzadkich, długich, spiętych z tyłu włosach przysiadł się nagle.

– Czy można? – zapytał.

– Widzę sporo wolnego miejsca – rzekł Bjarni możliwe grzecznie. – Po co gniesć się przy jednym, wąskim stole?

Jegomość nachylił się w kierunku siorbiącego wojownika.

– Chciałem jedynie powiedzieć ci coś ciekawego, Pogromco Olbrzymów.

Słyszając ten przydomek, Bjarni wejrzał głęboko w oczy nieznanemu.

– Ostrzegam jednak – rzekł Czarnobrody – że jeśli nie zainteresujesz mnie swym gadaniem, roztrzaskam pusty dzban na twojej głowie. Czy możemy się tak umówić?

– Mnie z kolei przestrzegano, że bywasz porywczy, panie. Słuchaj zatem, przybyszu z krain Północy, i sam osądź, czy warto poświęcić mi kapkę czasu... Wczoraj wieczorem do mej komnaty wleciał wielki kruk, zapewne wiekowy, bo ze skrzydłami przyprószonymi już siwizną...

– Tak? – zdziwił się Bjarni, ocierając brodę i podnosząc wzrok. – Pewnie szukał jakiejś tłustej myszy albo kawałka sera z twojej spiżarni.

– Mogło tak być. Zdziwiłem się jednak bardzo, bo kruk ten zagadał do mnie w ludzkiej mowie.

– A to ci ciekawostka... – mruknął Bjarni.

– Czyżbyś porzucił myśl o rozłupaniu pustego naczynia na mej głowie? – Mężczyzna uśmiechnął się ukazując rząd białych zębów. – Kruk przyobiegał mi złotą monetę tylko za to, że zjawię się w tej gospodzie i wspomnę o czymś mężczyźnie z czarną brodą, szramami na twarzy i mieczem u pasa.

– Hmm... – Bjarni uśmiechnął się. – Z tego co wiem, kruk ten, cokolwiek gadatliwy, nie dysponuje żadnym kruszcem, nawet mniej drogocennym od złota.

– Ptaszysko wspomniało jednak o tym, że jego kompan ma pełen mieszek i bywa hojny. – Mężczyzna mrugnął okiem, a Bjarni nachylił się w kierunku nieznanego jeszcze bliżej.

– Hojny? Na pewno nie... W tej kwestii kruk skłamał. Nieważne! Jakaż to wiadomość warta jest złotej monety? Pozwól, że ocenię, bo nie nawykłem kupować kota w worku.

– Mogę wskazać ci drogę do pewnej wsi, gdzie usłyszysz zajmującą opowieść. Grimo wyfrunął z mej komnaty zaraz potem, jak sprzedałem mu tę wieść. Uważał, że choć jeden z was powinien zdążyć, zanim ktoś spróbuje zgładzić pieśniarza, być może ostatniego, jaki spaceruje żyw po tej przeklętej wyspie, co nie chce znać legend... – Nieznajomy rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś im się nie przysłuchuje. – Dlatego też Grimo nie zjawił się tutaj osobiście.

Bjarni uśmiechnął się.

– Drogo jak za radę odnośnie tego, gdzie odnajdę człowieka z lutnią i pierzastego towarzysza, który tylko skrzeczy za uchem. Nie wiem nawet, czy ten, o którym powiedziałaś krukowi, nie śpiewa fałszywą nutą.

– Nawet jeśli głos mu zadrży, to w słowach jego wyczytasz odpowiedź na wiele pytań, które cię nurtują.

– A może ty sam wyjawisz mi jak jest?

– Nie jestem stąd – odparł nieznajomy, rozkładając ręce. – I niewiele zajmowały mnie tutejsze opowieści, których szukać należy z narażeniem życia, co mnie nigdy nie interesowało.

Bjarni zaczął się zastanawiać, bo w końcu nikomu nie można było ufać. Ale w momencie, gdy sięgnął do sakiewki i był gotowy zgodzić się na propozycję, z ulicy dobiegły jakieś denerwujące odgłosy. W okienku dojrzał, że ludzie przepychają się na ulicy, jakby wyczekując kogoś. Kilku z zebranych podniosło się ze swoich miejsc i udało ku wyjściu.

– Czy ktoś ma tędy przejeżdżać? – zapytał Bjarni.

Nieznajomy wyjrzał przez okno.

– Zapewne Ulrond wraz ze swym orszakiem. Stąd to zamieszanie... Od czasu do czasu nasz pan pragnie zobaczyć swoich poddanych. A przy okazji lubi przypodobać się ciżbie. Jego pacholki zwykle rozrzucają trochę miedziaków.

– Poczekaj zatem chwilę – powiedział Bjarni, wstając od stołu. – Garniec z piwem prawie pełny. Skosztuj, jeśli chcesz... A gdy powrócę, dokończymy naszą ciekawą rozmowę.

Bjarni wyszedł na brudną, zatłoczoną ulicę miasta, zaciągnąwszy na głowę kaptur. Wkrótce pojawili się pierwsi jeźdźcy, odziani w kolczugi i szare płaszcze, z podłużnymi tarczami, na których wymalowano klepsydrę. W orszaku znaleźli się też dworzanie, a nawet błazen, wyciągający z sakwy miedziaki i ciskający je garściami w tłum. Ludzie zaczęli się przeciskać. Każdy chciał zobaczyć Ulronda i złapać monetę.

Odziany w niebieskie szaty i srebrny napierśnik, dumny pan Domu Tysiąca Świąteł, jechał za swymi heroldami. Bjarni przyglądał się z uwagą postaci, o której tak wiele dotąd słyszał. Był to mężczyzna w sile wieku, wyprostowany, barczysty, z długimi czarnymi włosami, bez choćby pasma siwizny. Twarz miał pociągłą, dojrzałą, ale bez oznak starości, szlachetną i dostojną w rysach. Nie mógł mieć więcej jak czterdzieści lat, mimo iż od stuleci miał zasiadać na tronie – a przecież nie rozpoznawało się w tym obliczu działania ułudnej magii, choć pewnie wielu czarnoksiężników i magów służyło Ulrondowi przez te lata.

Błazen tym razem sypnął garścią srebrnych monet, a poszukujący ich tłum niemal zaczął się tratować. Tylko Bjarni stał wyprostowany. Kaptur zsunął mu się nieco do tyłu, ukazując twarz. Ulrond, wpatrzony w jakiś daleki punkt, nagle się odwrócił i dwa przenikliwe spojrzenia spotkały się nie dłużej niż na mgnienie oka.

W jednym, choć pozornie jeszcze młodym, widać było gorycz i mądrość należną tym, którzy chodzą po świecie już bardzo długo i zdążyli rozczarować się wszystkimi jego niespełnionymi obietnicami; w drugim błyszczała iskra żądy i pazerności, typowa dla kogoś, kto wciąż nie nasycił się wszystkimi przejawami życia, choć wiele z nich zostało mu okrutnie odebranych lub obrzydzonych.

Ulrond zrównał się z jednym ze swoich dworzaków i szepnął mu coś na ucho. Odziany w kolczugę mężczyzna obrócił się, ale nie spostrzegł już Czarnobrodego. Orszak, zbliżając się do bramy, zniknął, pozostawiając po sobie jedynie poszum szeptów. Niektórzy wciąż przeciskali się w poszukiwaniu rozsypanych monet.

Bjarni poczuł jakiś niepokój. Trudno było mu oprzeć się wrażeniu, że jest obserwowany. Obrócił się na pięcie i rozwarł drzwi prowadzące do gospody. Człowieka, z którym rozmawiał już nie było.

– Kogoś szukasz, panie? – zapytał karczmarz.

– Chyba już nikogo – burknął Bjarni, a potem sięgnął do sakiewki i rzucił w kierunku karczmarza srebrną monetę. – Chciałem zapłacić za dobrą radę, ale musi mi wystarczyć piwo i pieczony udziec.

Wyszedł, wmieszawszy się w tłum mieszczan. Dokąd teraz? Chyba szli za nim, czyjś wzrok palił go nieustannie. Gdy skręcił w główną, pełną ciżby i wrzasków ulicę, ktoś chwycił go za ramię.

– Czemuś nie czekał na mnie w gospodzie? – odezwał się Bjarni, rozpoznając znajomą twarz.

– W gospodzie są już zbrojni – odparł poznany niedawno w karczmie człowiek, zasłaniając teraz twarz kapturem. – Jak mniemam, szukają ciebie.

– Czym sobie zasłużyłem na ich zainteresowanie?

– Zbytnią ciekawością? Musimy zmylić pogoń. Idą za nami, Bjarni. Krok w krok.

– Słudzy Ulronda? – zapytał Bjarni.

– Żywi, martwi, widzialni i niewidzialni... Tak, słudzy Ulronda, choć różne mają oblicza i imiona.

– Co radzisz?

– Rozpłynąć się w powietrzu – odparł mężczyzna z uśmiechem. – To trudne, ale możliwe.

* * *

Zamkową komnatę wypełniał półmrok; jedna tylko świeca płonęła na stole, ale jej światło wydawało się nikłe. Nałożnicy, kobiety i mężczyźni preżyli się na posłaniu, zachęcając ulotnymi uśmiechami swego pana.

Niewiele piasku zostało w klepsydrze. Kopczyk na dole rósł z każdym dniem.

– Ktoś musiał mu pomóc – zauważył Ulron. – Ludzie nie znikają ot tak.

– Owszem – przytaknął Arthus, nalewając królowi wina i podając kielich. – Ktoś pomógł najemnikowi.

– Masz jakieś przypuszczenia?

– Rodryk – odpowiedział doradca bez wahania. – Jeden z twych magów. Przynajmniej był nim jeszcze do niedawna... Wypędziłeś go z zamku cztery dni temu, panie.

– Ten głupiec? – Ulrond upił łyk wina i skrzywił się, jakby nic mu już nie mogło zasmakować. – Stwierdził, że nie ma rady na me frasunki. Jego sztuczki mnie nie bawiły. Czyżby Rodryk zapragnął się zemścić?

– Wypada przyjąć, że tak właśnie było. Widać nie doceniłeś go, panie. Zdaje się, że nieco zna się na magii. Co ważne, jego kompani zdradzili, że Rodryk bywał swego czasu na Północy. A przynajmniej zdarzało mu się o tym mówić podczas biesiad.

– Czyżby poznał tam naszego mściciela?

– Podobno znał się niegdyś z magiem noszącym w tej barbarzyńskiej krainie imię Holgi. Prawdopodobnie to fałszywe miano, ale nie to jest teraz ważne. Czarnoksiężnik ten miał sługę, którego... – Arthus zawahał się. – Którego ponoć zaklął w kruczą postać.

– Kruk w tej opowieści zdaje się odgrywać znaczącą rolę – zauważył Ulrond, dopijając wino.

– Owszem. Wczoraj w nocy ktoś widział jak wielki, stary kruk wlatuje przez okno gospody do pokoju, w którym spał Rodryk.

– Wszystko zatem układa się w całość. Czy wysłałeś gończych?

– Nawet jeśli Bjarni uciekł z miasta, nigdy nie dotrze tam, dokąd zmierza.

– Niechaj próbuje – rzekł Ulrond, dopijając wino i spoglądając z ochotą na branki. – Wkrótce się przekonamy, ile jest wart. A teraz odejdz i nie przeszkadzaj.

* * *

Gdyby Bjarni mógł zobaczyć swoje oblicze, ujrzałby zmierzwioną, posklejaną od krwi czuprynę, osmalone brwi, podbite oko, biegnącą przez czoło szramę i rozdartą koszulę, która ukazywała poparzone ramię.

A jeszcze kilka dni temu, gdy zasiadał na dachu przyjaznego domostwa, które skąpane było w słońcu, świat zdawał się mu bezpiecznym miejscem.

Najgorsze było to, że nie zdążył. Wysłani przez Ulronda siepacze skutecznie go spowolnili. Kilku z nich wyprawił w zaświaty, kilkunastu uciekło, gdy ich ranił lub spojrzął na nich krzywo. Bjarni nie miał wątpliwości, że przybędą kolejni, choćby mieli wyleźć z podziemnych tuneli, sięgających tajemnych krain lub spłynąć z przestworzy. Z niewielkiej osady zostały tylko zgliszcza, lizane przez dogasające, skwierczące płomienie. Wieśniacy puciekali przed gniewem swego pana.

Pośrodku placu stał niewysoki pal. Słysząc było jeszcze jęki konającego.

– Li... litości...

Bjarni wyciągnął miecz, a potem wbił ostrze tuż pod serce charczącego nieszczęśnika. Krew spłynęła obficie po osmalonym boku.

Na głowie wbitego na pal człowieka wylądował kruk.

– Nie usłyszałeś pieśni tego człowieka? – odezwał się Grimo.

– Spóźniłem się – odparł Bjarni, wpatrując się w roztrzaskaną lutnię, którą ktoś zawiesił na szyi zabitego.

– Długo ci zeszło, nim tu dotarłeś. Wybacz, że na ciebie nie czekałem. Zanim bym cię znalazł, zanim wszystko wyjaśnił... Choć jeden z nas musiał zdążyć! – Grimo zatrzepotał skrzydłami. – Czyś uregulował wszystkie należności? Rodryk żądał złotej monety, której nie posiadałem w tamtej chwili.

– Ostatecznie zażądał trzech monet – sprostował Bjarni i przysiadł na moment, ocierając z twarzy krew.

– Trzech?

– Jedna za wskazówkę daną tobie – zaczął wyjaśniać Bjarni. – Druga za jej powtórzenie mojej osobie. Trzecia zaś miała trafić do jego kiesy za magiczną sztuczkę, która pozwoliła nam zniknąć strażnikom z oczu.

– Myślę jednak, że to nie była wygórowana kwota – zawyrokował Grimo. – Przynajmniej mnie udało się wysłuchać zajmującego bajania, wartego więcej niż całe złoto tej krainy. – Kruk zaczął przypatrywać się wbitemu na pal mężczyźnie.

– Nie waż się tknąć jego mięsa!

– Za kogo ty mnie masz! – obruszył się Grimo. – Są pewne zasady... Pożywię się od czasu do czasu padliną, ale nie mięsem artysty czy mędrca. – Kruk spojrzał z litością na barda, który dokonał żywota w cierpieniu. – Byliśmy sobie równi.

Bjarni przysiadł i wsparł się na mieczu, patrząc na gorejące zgliszcza.

– Potrzebuję chwili wytchnienia – rzekł, dopijając wodę z bukłaka. – Nie można wiecznie się ukrywać i walczyć... Opowiesz mi historię, za której snucie wbija się w tej krainie skaldów na pal?

– Opowiem ci wszystko następnym razem, a teraz lepiej wsiadaj na rumaka! – zaskrzeczał Grimo, wzbijając się do lotu. – Moje bystre oko widzi zbrojnych na horyzoncie.

– Co zrobić... Albo oni, albo ja – westchnął Bjarni i podniósł się z ziemi. – Do zobaczenia w lepszych czasach! Pamiętaj, że...

Chciał coś jeszcze zawołać w kierunku szybującego kruka, ale nie zdążył. Strzała wbiła się w okrwawiony pal. Zaraz potem druga świsnęła tuż nad głową Bjarniego.

Pogromca Olbrzymów przeklął i ruszył biegiem w kierunku uwięzowanego u płotu wierzchowca.

* * *

Wicher przeganiał mgły, które opatulały stoki wzgórz. Słońce podnosiło się z wolna ponad horyzont. Las ożywił się wraz z ptasimi trelami.

Ulron d stał na skraju przepaści, patrząc z nadzieją w przestwór, który się przed nim otwierał. Opary wiły się w dole, nie odsłaniając jeszcze wnętrza doliny.

– Jak to jest zagubić się w chmurach? – zapytał, wciągając w nozdrza chłodne powietrze poranka.

Czarna pani szła w jego kierunku, włócząc za sobą tren z dymów. Mroczna latarnia chybotwała się na wietrze, kalając zaranny blask.

– Jak długo jeszcze, Yvanno... – rzekł, myśląc o dawnym dniu, gdy wpatrywał się w dal tak jak dziś i czekał na swoją kochankę. Czy mógł przypuszczać, że ta będzie kroczyć wciąż za nim nawet po śmierci? – Czy to już dziś, siostrze. Czy to dziś?

* * *

– Nie musimy walczyć – powiedział Bjarni, co w ustach człowieka z twarzą oznaczoną bliznami, odzianego w podziurawioną kolczugę i trzymającego zakrwawiony miecz, wydawało się żartem. – Nie jesteś dla mnie wrogiem, przynajmniej jeśli nie posłuchasz rozkazu swego pana, który nakazał ci zabijać... Odejdź w pokoju, schowaj swój miecz. Ja nie pójdę za tobą, ty zaś zapomnij o mnie. To chyba uczciwa propozycja?

Młody wojownik nie posłuchał dobrej i szczerzej rady. Rzucił się z krzykiem na ustach, naiwnie myśląc, że będzie tym, którego imię rozślawią pieśni. Chłopak ciął długim, dwuręcznym mieczem niezdarnie, jakby ciężar ostrza sprawiał mu trudności. Bjarni uchylił się zręcznie. W pewnym momencie ostrza mieczy uderzyły o siebie, krzesząc skry.

Potem Kruk sam z wprawą wyprowadził pchnięcie i poczuł jak stał zagłębia się bez oporu we wnętrzościach, znajdując miejsce pomiędzy żebrami. Młodzieniec o szczupłej twarzy i niewyraźnym jeszcze zaroście, zachrypiał tylko, nie mogąc wydobyć słowa z gardła. Z ust zaczęła się wylewać krew. Po chwili jego oczy zgasty.

Bjarni wyszarpał z ciała pokonanego miecz i wbił go w ziemię.

– Mogłeś mnie posłuchać – powiedział, przysiadając na kamieniu. – I dla mnie, i dla ciebie byłoby lepiej... Los dziwnie spleta przędzę przeznaczenia. To, z kim się pija miód, a z kogo czaszki trunek się przechyla, zależy od przypadku.

Gdzieś w koronach drzew dało się słyszeć ponure krakanie. Wkrótce wrony zaczęły ochoczo przyglądać się świeżemu ciału. Przybył też wraz z nimi wielki kruk, który zaczął łypać okiem na Bjarniego.

– Nowe rany ci doskwierają, na twoim płaszczu czerwienią się plamy

świeżej krwi, a w oczach widać szaleństwo. Wciąż ten sam!

– Widzę, Grimo, że jesteś w dobrym nastroju. – Bjarni uśmiechnął się i wstał z miejsca, chowając do pochwy miecz. – Jeszcze u zarania tegorocznej wiosny, na skraju świata, namawiałeś mnie, bym cię pożarł i tym samym uratował się od głodowej śmierci. Teraz sypiesz żartami na zawołanie, nawet gdy każdemu naszemu spotkaniu towarzyszy widok świeżych zwłok.

– Od tamtej mrocznej i długiej godziny mego życia, kiedy każdy gest, słowo i ruch zależny był od Holgiego, głupca i szubrawcy, zmieniłem własny pogląd na świat – odparł kruk. – Nie zostało mi zresztą zbyt wiele czasu, moje pióra siwieją, a skrzydła nie są już tak mocne, jak za młodu... Wiem już, że umrę jako kruk, ale przynajmniej zaznawszy na koniec prawdziwego życia, wolności i przygód! Gdy kładę na wadze dziesiątki lat w niewoli i miesiące, w których decyduję sam o sobie, ważąc je niczym kupiec swe drogocenne towary, szala przeważa ku drugiej ewentualności.

– Wolność... – Bjarni westchnął. – Rzeczywiście nie da się jej zastąpić niczym innym.

Grimo zaczął spoglądać chętnym okiem na ciało zabitego.

– Łatwo rozpoznać, że Bjarni Kruk przybył do obcego kraju. Gdzie się nie rozejrzysz trup. Aż mnie żołądek boli od tej obfitej biesiady!

– Ulrond wysłał za mną liczną pogoń – powiedział Bjarni. – Powinienem czuć się zaszczycony. Potężny i nieśmiertelny władca przejął się wygnańcem zza morza.

– Zastanawiało mnie jedno, a przez ostatnie dni nie było czasu, by zapytać. Ale dzisiaj z przestworzy zobaczyłem, że z licznego grona najemników posłanych za tobą, został tylko ten nieszczęsny młodzieniec, którego ciało za chwilę zaczął rozrywać moi kompanii. Mamy dzięki temu chwilę spokoju... A zatem, Bjarni, chciałem się dowiedzieć, co wyczytałeś w spojrzeniu Ulronda?

– Zobaczyłem strach przed śmiercią, ale też znudzenie życiem. Jedno i drugie walczyło ze sobą.

– Jak dobrze to znamy, drogi Bjarni.

– Nie wiem tylko wciąż, czy Ulrond zasłużył na wieczne życie, którym został obdarowany – powiedział Bjarni z uwagą przyglądając się mglistej dali. – Jest surowym panem. Łatwo feruje wyroki. Bywa gniewny. Nie boi się zabić swoich poddanych, gdy uzna to za konieczne. Tyle się już dowiedziałem... Dla jednych to cechy stawiające go na równi z demonami, dla innych dowód siły i roztropności.

– Znam opowieść, która rozwieje twoje wątpliwości – odparł Grimo i rozsiadł się wygodnie. – Szukałem historii zrodzonych na tej ziemi, choćby całkiem zmyślonych, bo i w nich jest dość prawdy, by dać słuchaczowi cenną wskazówkę. Nie ma już jednak pieśniarzy pośród ludu Ulronda. Ulitowałeś się nad

ostatnim, co po zachodzie słońce zabrał kilku ludzi przy ogniu, by im bajać.

– Co to za lud, który nie opowiada o własnym dziedzictwie? – zapytał Bjarni.

– Dziesiątki lat temu nieśmiertelny pan tej krainy nakazał zabić każdego, kto śmiałyby powtarzać pewną historię.

– Władca, który boi się bająć o swoich czynach?

– W tej opowieści Ulrond jest uzurpatorem i mordercą – zaskrzeczał Grimo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Według tradycji to siostra Ulronda powinna zasiąść na tronie w Domu Tysiąca Świąteł.

– Minęły, być może, całe wieki. – Bjarni wzruszył ramionami. – Trudno będzie odnaleźć nawet grób tej kobiety.

– Rozpalono dla niej żałobny stos wieki temu, a wiatr uniósł jej popioły ku morzu, skąd dotarły do krańców świata – zaskrzeczał Grimo. – Nie znajdziesz zatem jej grobu, bo go nie ma. Ale istotę, o której mówię, siostrę naszego nieśmiertelnego króla, można wciąż spotkać na wyspie, choć raczej unikałbym jej towarzystwa.

– Siostrę Ulronda? Czy aby nie za bardzo zawierzasz bajkom? Mówisz wpierw, że rozpalono żałobny stos, na którym spłonęło jej ciało, a potem nakazujesz mi się spotykać ze zmarłą.

– Widziałeś ją przecież i ty!

– Coś kręcisz, Grimo – powiedział Bjarni. – Rzekłbym, żeś miodek się opił!

– Czyś nie spotkał u progu domostwa Argotha zjawy, która włada losem śmiertelnych?

– Niewiele z tego rozumiem... Śmierć, dzierżąca mroczną latarnię, miałyby być spokrewniona z Ulrondem?

– Sama znalazła cię tamtego wieczoru, gdy trafiłeś do chaty poczciwego chłopca, a ty spojrzaleś w jej puste odbicie.

– Co teraz?

– Teraz posłuchasz mej opowieści – odparł Grimo. – Nie będę się wysławiał tak pięknie jak bard. Nie usłyszysz też czarownego głosu harfy. Ale wieczór zapada, ognisko można wreszcie zapalić, bo nikt już za tobą nie podąża. Będzie to zajmująca opowieść, wbrew niesprzyjającym jej okolicznościom.

– A ty, drogi Grimo, będziesz miał jeszcze jednego słuchacza... – powiedział Bjarni, kątem oka dostrzegając, jak wśród wieczornych mgieł brodzi osnuta czernią postać.

Unosiła się lekko nad ziemią, obleczona trenem z czarnych dymów. W jej szarej dłoni tkwiła latarnia, która rzucała przenikliwy cień. Pochyliła się nad ciałem przeszytego mieczem wojownika i przykryła go swym woalem. Zdawało się, że go oplakuje.

Bjarni nie czuł się pewnie. On, wojownik, do tego znający magię kruk, martwe ciało przeszytego mieczem młodzieńca i zjawa z zaświatów. Osobliwa zbieranina.

– To opowieść przeznaczona jest zwłaszcza dla jej uszu – powiedział Grimo szeptem.

– Jest podobno głucha na głosy ludzi – mruknął Bjarni.

Grimo zatrzepotał skrzydłami.

– Ale nie na kruczą mowę! – zawołał radośnie. – Gdy będzie trzeba, nawet śmierci powtórzę moje bajanie, choćbym miał użyć wszystkich magicznych słów, jakie znam, albo każdego ptasiego dialektu po kolei.

* * *

Niebo pociemniało nagle i wydawało się bardziej obce niż kiedykolwiek. Chmury kłębiły się w przestworzach, przybierając złowróżbne kształty, jakby bogowie zdejmowali fałszywe maski i pokazywali prawdziwe, nieprzyjazne ludziom i światu oblicza. Wicher wył przeraźliwie. Dymy snuły się po stokach wzgórz i wydawało się, że nadciąga koniec świata.

Na skalistej równinie porośniętej kępkami trawy dostrzec można było rumaka, który niósł na grzbiecie zakapturzonego jeźdźca. Ciężko było zauważyć w ciemnościach, ale na ramieniu tajemniczego podróżnego zasiadł wielki, czarny kruk, który skrzeczał głośno, jakby przepowiadał zły los.

– Grimo, wleć wysoko – odezwał się Bjarni, z niepokojem przyglądając się krainie poddanej teraz pod władanie upiorów – i zobacz czy jesteśmy tutaj sami, czy może prawdę mówią stare opowieści i spotkamy opodal przepaści samotnego wędrowca?

Kruk zakrakał głośno, rozłożył skrzydła i wzbił się w przestworza. Kołował chwilę tuż pod powalą nisko zawieszonych chmur, walcząc z wrogim wichrem, a potem opadł ponownie na ramię jeźdźca i odezwał się zmęczonym, choć zadowolonym głosem:

– Jest tak jak w pieśni – rzekł Grimo. – Gdy nastaje ten dzień w roku, w którym Yvanna odeszła niespodzianie z tego świata, Ulrond wieczorem udaje się samotnie nad skarpe, gdzie rozmyśla długo nad swą winą.

Bjarni kiwnął tylko głową i wytężył wzrok.

– I ja go teraz widzę – szepnęła, zobaczywszy, jak otwiera się przed nim odległa jeszcze przestrzeń równiny urywającej się nagle wraz ze skalnym uskokiem. Gdzieś pośród ciemności majaczył zarys ludzkiej postaci targanej przez wściekłe powiewy wiatru.

„Ulrond, Ulrond” – wydawało się, że echo wciąż powtarza to imię, że wicher zanoszą je do najodleglejszych zakątków wyspy.

– Mam ci służyć za giermka? – zapytał Grimo.

– Zasiądź na jakiejś gałęzi i spamiętaj wszystko – odrzekł Bjarni. – Ta kraina potrzebuje nowych opowieści, a ja, być może, nie będę już mógł powtarzać tej, która będzie dla jednego z nas ostatnią.

– To godne mnie zadanie! – Grimo wleciał w chmurne niebiosa, stając się jednym z wielu czarnych punktów. Stada podniebnych wędrowców zbierały się na tle nabrzmiałych od gromów chmur.

Bjarni popędził rumaka, który ruszył galopem. Wydawało się, że świat wokół zamarł i przygląda się dwójce tak samo posepnych mężczyzn. Wojownicy mieli zamienić ze sobą słowo po raz pierwszy i pewnie ostatni. Koń zarżał głośno, ale pan wyspy nie obrócił się nawet. Wsparty o miecz spoglądał dalej martwym wzrokiem w przestwór. Wiatr szalał, ale Ulrond wydawał się niewzruszony, obojętny na wszystko.

– Czy wiesz, Kruku, że w tej dolinie wciąż słychać jej głos? – odezwał się w końcu król. – Nie znałeś tamtej dziewczyny, a opowieści nie oddają prawdy o jej urodzie. Wsłuchaj się w głos wichru. Usłyszysz w nim śmiech Yvanny.

Bjarni zeskoczył z rumaka.

– Zmarli mówią do nas i po śmierci.

– To prawda. – Ulrond obrócił się w końcu, ukazując swą twarz, zmęczoną, ale pełną dostojeństwa. – Jesteś gotowy? – zapytał. – Przez wieki czekałem na kogoś takiego jak ty. To smutne, że jeden z nas dzisiaj zginie.

Bjarni kiwnął głową i położył dłoń na rękojeści miecza.

– Może moglibyśmy nie krzyżować oręża, ale skierować ostrza ku wspólnemu wrogowi?

– Podejrzewam, że wiele nowych krain znalazłoby się pod naszym panowaniem, Bjarni. Ale czy w wilczym stadzie mogą żyć w zgodzie dwa wściekłe basiory?

Pogromca Olbrzymów dobył miecza. Ulrond także wznosił swój oręż. Nieśmiertelny pan wyspy i najemnik z dalekiego kraju zbliżyli się do siebie i zaczęli krążyć z podniesionym ostrzem, przypatrując się uważnie przeciwnikowi, próbując wyczytać z grymasów twarzy i ruchów jego słabości. Po raz pierwszy jeden i drugi spoglądał w oczy godnemu sobie.

Kruk Grimo i tabuny ptactwa przypatrywali się walce dwóch mężczyzn, którzy śmiali się dotąd ze śmierci.

Pierwszy natarł Bjarni. Uczynił to ostrożnie, wkładając w cięcie niewiele siły, jakby dając tylko sygnał, że harce właśnie się rozpoczęły. Ponowił uderzenie mocniej i z większą gracją. Ulrond sparował cięcie z pewnym trudem, a potem sam szybko pchnął mieczem. Bjarni uskoczył, choć poczuł, że ostrze prześlizguje się po jego żebrach.

To krótkie zwarcie wystarczyło, by nabrali do siebie szacunku. Wiedzieli już, że nie mogą lekceważyć przeciwnika. Na zmianę wyprowadzali ciosy, raz

oddając drugiemu pola, raz śmieiej atakując. Stal uderzała o stal. Jej szczęk i zduszone wrzaski niosły się po okolicy. Na moment świat się zatrzymał. Wicher przestał wyc, chmury zamarły na niebie. Miecze Bjarniego i Ulronda zaczęły się szcerbić, a ciała pokrywać krwawymi ranami. Grimo bił nerwowo skrzydłami, wiedząc, że prędzej obaj padną martwi ze zmęczenia, niż którykolwiek z nich się podda, czy wyprowadzi ostateczny cios.

– Pragniesz umrzeć – powiedział Bjarni, ocierając zakrwawioną twarz i wznosząc miecz raz jeszcze. – A trzymasz się kurczowo życia.

– Nie mogę pozwolić sobie na błąd śmierć – odrzekł Ulrond. – Było wielu sławnych władców, którzy odchodzili mrąc w sposób niegodny, we śnie albo zakrztusiwszy się kością podczas biesiady. Bardowie musieli potem wielce się starać, by słuchający pieśni nie roześmiali się na koniec, a ich chichoty nie dotarły do zaświatów... Nie miało znaczenia, jakie ziemie kto podbił, albo jakie potwory zgładził, gdy odchodził jako przegrany. Postaraj się zatem, Pogromco Olbrzymów... Tak, wiem, że w twym rodzinnym kraju śpiewają o tobie zadziwiające pieśni! Zniosłeś wiele, by zmierzyć się ze mną. Doceniam to... Ten, którego przeklął potężny Glamrung, człowiek, który kpił sobie z nieśmiertelnych istot i czarnoksiężników, ma prawo, by podnieść na mnie ostrze. Chcę, by o tej potyczce również układano pieśni!

Bjarni uśmiechnął się.



– Dziwne słowa w ustach kogoś, kto przez wieki nakazywał mordować tych, którzy opowiadali historię o zbrodni młodego uzurpatora... I ja znam pieśni sławiące twe czyny!

Twarz Ulronda spochmurniała. Bjarni wiedział, że w ten sposób wyprowadzi oponenta z równowagi. Nie potrafił tylko zgadnąć, w którą stronę przechyli to szalę zwycięstwa.

Grimo wylądował na konarze drzewa, wiedząc, że zaraz, któryś z walczących dokona żywota.

– Czy na Północy każdy jest podobny do Czarnobrodego? Czy wystarczy ciągnąć za mężem, który dzierży miecz, by nigdy nie zaznać głodu? – pytały wrony i gawrony, czekając końca pojedynku i kołując nisko nad równiną.

Grimo rozłożył skrzydła i zawołał:

– Jest tak w istocie! – zawołał. – A teraz zamilknijcie, bo koniec bliski,

a ktoś musi ułożyć pieśń o tym pojedynku.

Ulron d zaczął uderzać z wściekłością. Z pozoru nie wydawał się zmęczony. Złość dodała mu woli walki i sprawiła, że chwilowo zyskał przewagę. Ostrza mieczy błyskały, gdy z niebios zaczęło sączyć się trochę niebieskiego blasku.

Bjarni zatem skupił się na obronie, wkładając w to resztkę energii. Parował uderzenia Ulron d a, tyleż mocne, co nieprecyzyjne, często też chybiające celu. Ten, któremu darowano darmo wieki, słabł z każdą chwilą. W pewnym momencie Ulron d musiał zdawać sobie sprawę, że to koniec. Dając się ponieść emocjom, wyzbył się wszystkich sił. Dyszał ciężko, a jego ręce były jak odlane z ołowiu. Z trudem unosił ciężki miecz.

Bjarni przeszedł do ofensywy i wyprowadził grad ciosów. Włożył w nie sporo wysiłku, nie tyle jednak, by wyczerpać całą swą moc. Ciął raz z jednej, raz z drugiej strony. Ulron d parował uderzenia z coraz większym trudem. W końcu upadł na kolana, plując krwią.

Czy to ona? Czarna postać zmierzała w jego kierunku, unosząc się ponad ziemią. Dzierżąc w dłoni czarną latarnię, niosła z pieśnią wiatru imię zawezwanego do zaświatów.

– Yvanno... – szepnął Ulron d, patrząc na młodą dziewczynę, która pochylała się nad nim. Znów miał niewiele lat, sprawy były prostsze, bogowie przychylni ludziom, a łąki zieleńsze. Usta kochanków złączyły się. Dziewczyna przynosiła miłość i śmierć, odpłacając się za identyczne dary, które przyszedł król złożył niegdyś u jej stóp.

Bjarni spoglądał na uśmiechniętego Ulron d a. Czarna Pani zakryła swego brata żalobnym trenem.

Wojownikowi zakręciło się w głowie. Zmęczony pojedynkiem, krwawiąc z licznych ran, sam upadł. Nie mogąc się podnieść spoglądał w groźne niebo, które okryło się czernią.

Czarna latarnia kołysała się na wietrze, jakby odmierzając ostatnie sekundy, a Bjarni miał wrażenie, że gasi słońce także i dla niego.

* * *

Wielka łódź oddalała się stopniowo od szarych nabrzeży. Biały żagiel prężył się na wietrze, niosąc ku otwartemu morzu znajdujących się na pokładzie kupców i podróżnych. Odziany w czerń mężczyzna z twarzą naznaczoną ranami, przyglądał się niknącym w mgłach przystaniom.

– Odkąd odbiliśmy od brzegu – odezwał się jeden zasiadających na beczkach kupców – ten najemnik spogląda tylko na wyspę, jakby nie w smak było mu ją opuszczać.

Kruk, który wczepił się pazurami w grubą, mocującą maszt linę, zakrakał z wysokości:

– Czy ty, drogi Yawinie, nie patrzyłbyś tęsknym okiem na królestwo, które przyszło ci porzucić, choć mogło być twoje?

– Chyba pomieszało ci się w głowie od choroby morskiej! – zawołał kapitan statku, sędziwy Grovgar, któremu zawtórowały śmiechy przysłuchujących się ich rozmowie kupców. – Wszyscy wiedzą, że wyspą od wieków włada Ulrond i pewnie koronę na jego głowie będą oglądać jeszcze nasi prawnukowie.

– I tu się mylisz! – zaprzeczył Grimo, a jego słowa wywołały poruszenie. – Śmierć w końcu dosięgła i Ulronda. A według obyczajów panujących na wyspie, kto pokonał władcę w uczciwym pojedynku, ten może zasiąść na jego tronie.

– Chcesz powiedzieć, że ten, kogo pieśni opiewały jako nieśmiertelnego, porzucił ziemski padół? – zdziwił się Yawin.

– Może być coś na rzeczy – rzucił Grovgar. – Gdy przybijaliśmy do portu, zdawało mi się, że słyhać płynące z daleka zawodzenie płaczek.

– Baliśmy się, że może zaraza spadła na wyspę – wtrącił się Yawin – ale widząc oczekującego podróżnego, przybiliśmy do brzegu. Posępny wojownik odziany w czerń i kruk... Nie była to dobra wróżba na drogę.

– A zatem pan wyspy nie żyje... – Kapitan westchnął.

– Nic o nim nie wiedzieliśmy, poza tym, że panuje od wieków – rzekł Yawin.

Grovgar machnął ręką.

– Znak to, że śmierć jest każdemu pisana.

– Jak rozumiem, brzęk złotych monet pomógł wam nie przejmować się złymi urokami i wziąć dwóch podróżnych? – zauważył Grimo.

– Przede wszystkim troska o bliźniego – odrzekł kapitan.

Spoglądali teraz z pewną obawą na milczącego wojownika, który przysłonił twarz kapturem. Jaką mocą musiał rozporządzać człowiek, który zabił nieśmiertelnego władcę?

– Czy coś nam jeszcze opowiesz, Grimo? – zachęcił Yawin. – Mamy chwilę spokoju. Morze niewzburzone, a kurs pewny. Warto byłoby odetchnąć przy jakimś bajaniu.

– Czemu nie! – odparł kruk z ochotą. – Opowiem wam historię, która dotąd była zakazaną, a kto śmiał ją powtarzać, tego czekała okrutna kara.

– Nic tak nie działa na wyobraźnię jak zakazane opowieści – rzekł z uśmiechem Grovgar. – Zamieniamy się w słuch.

– Była kiedyś wyspa szczęśliwa – rozpoczął Grimo – ukryta wśród mgieł. Nigdy nie stanęła na niej ludzka stopa, aż pewnego razu do wybrzeży przybił okręt z osadnikami z dalekiego kraju. Przewodził im znamienity wojownik, którego imienia nikt już nie pamięta, i który to musiał uchodzić ze swej ojczyzny przed zemstą okrutnego pana. Sam wkrótce stał się królem we własnych włościach, a że ziemia wydawała na wyspie żyzny plon, osadnicy zaczęli się bogacić.

– Coś mi się zdaje, k roku, że snujesz opowieść o wyspie, której zarys wciąż jeszcze widać na horyzoncie... – zauważył Grovgar.

– Nie przerywaj! – rzekł Yawin, upijając łyk z otwartego bukłaku.

– Nie będę zdradzał wszystkiego – zakrakał Grimo. – Nie zaprzeczam zatem, ani nie potwierdzam. Wracając do rzeczy... miał władca dwoje potomków, dziewczę i chłopaka, którzy byli rodzeństwem bliźnim i przybyli razem z ojcem na wyspę. Dorastali razem i kochali się wielką miłością, a z czasem stali się kochankami, co w tamtych czasach nie gorszyło jeszcze ludzi. Nie widzieli świata poza sobą. Jednak każdy, kto wyznaje się choć trochę w zawłóściach świata, wie, że od miłości tylko krok do nienawiści. W zwyczaju tego ludu było to, że najstarsze z potomków obejmowało tron po władcy, bez względu na płeć. Wcześniej na świecie pojawiło się dziewczę i to ona winna stać się dziedziczką. Młodzieniec zaczął z czasem uświadamiać sobie, że będzie tylko drugim po swej siostrze i to jej, nie jemu, przypadną wszystkie względy. A przecież pokochał nową krainę, która zdawała się być rajem na ziemi! Ileż mógłby zdziałać dzierżąc koronę! Dzień mijał po dniu, a on nie mógł znieść myśli, że kraj przypadnie pod władanie komu innemu. Kochał swą siostrę i kochankę, ale z czasem nauczył się też nienawidzić, co nie było trudne. I zrodziła się w nim myśl, by pozbyć się dziedziczki!

– Okrutnik! – rzekł Yawin.

– Ciszej! Wtrącasz się, kiedy robi się ciekawie. – Grovgar machnął ręką. – Co było dalej? Czy młodzieniec zabił swą siostrę i kochankę?

– Chłopak z początku buntował się przeciwko tej myśli – kontynuował Grimo – podesłanej zapewne przez złe duchy, ale szybko dał zawładnąć się niedobrym podszeptom bez reszty. Pewnego dnia, gdy mgła oplotła wyspę, udali się na skraj skarpy, skąd roztaczał się widok na dziedzinę ich ojca. Gdy dziewczyna stanęła plecami do swego ukochanego, ten popchnął ją i strącił w przepaść.

– Czy nikt nie podejrzewał, że może być winnym śmierci dziewczyny? – spytał Grovgar.

– Wszyscy wiedzieli, że chłopak kocha swą siostrę ponad życie i nikt nie przypuszczał nawet, że może nosić urazę w swym sercu. Uznano zatem, że był to nieszczęśliwy wypadek. Młodzieniec rozpaczał zresztą długo, bo oprócz radości, że uda mu się przejąć tron, pojawiły się też wyrzuty sumienia. Jedno i drugie już na zawsze się w nim ze sobą mierzyło, nie dając dnia wytchnienia. Wkrótce, z żalu po stracie ukochanej córki, zmarł władca wyspy...

– A jego syn objął tron i żył długo i szczęśliwie – powiedział Grovgar, nieco rozczarowany opowieścią.

– Nie tak szybko! – zaprotestował Grimo. – Lud zamieszkujący wyspę wierzy, że człek, który pierwszy odejdzie w zaświaty na danej ziemi, staje się strażnikiem świata umarłych. A że wraz z wygnanym władcą na wyprawę udali się

sami młodzi, przed dwa lata spokojnego pobytu na nowych włościach, śmierć nie zajrzała nikomu do oczu.

– Do czasu straszliwej zbrodni! – zawołał Yawin.

– Zgadza się – przytaknął kruk. – Córka króla stała się zatem tą, która niesie ludziom wyroki władających ludzkim losem, bez względu kim są, bo każdy lud ma inny ich obraz. I w końcu przyszła po własnego ojca, a ci, którzy ją widzieli, mówili, że cała jest obleczona w czerń, a w kościstej dłoni dzierży latarnię, co rzuca mrok, nie światło.

– Co jednak z bratem? Czy przyszła w końcu i po niego? – pytał dociekliwie Yawin.

– Młody monarcha rządził mądrze – snuł dalej swą opowieść Grimo – ale twardą ręką. Smutek zawsze gościł na jego twarzy, choć kraj bogacił się. Ludzi przybywało, żyli dostatnio i spokojnie, choć musieli uiszczać spore daniny na rzecz króla, gdy ten wznosił swój potężny zamek. Któregoś dnia uknuto spiszek i podano władcy truciznę. Król zaczął się dusić podczas biesiady. Moźni, którzy stali za próbą otrucia, uśmiechali się szyderczo, ale wkrótce miny im zrzędły. Ta, która zjawiała się, by zwiastować śmierć, odstępowała od władcy. Czy ślepa na ludzkie oblicza i głucha na wołanie żywych rozpoznała w jakiś sposób swego ukochanego i darowała mu życie? A może, wiedząc, że zbrodnia wbiła zadrę w jego serce, chciała, by męczył się przez wieki w świecie, który znamy dobrze, a który nie daje często żywym wytchnienia, gdy noszą w sobie brzemię winy?

– I tak Ulrond mógł władać wyspą mimo upływającego czasu... – powiedział Grovgar.

– Nienawistnie myśląc też o tych, którzy opowiadali historie o jego straszliwym czynie – dodał Yawin.

– Czy za bardzo zaufał swym kochankom i powiernikom, skoro wieść o jego zbrodni przetrwała w ludzkiej pamięci? – zapytał kapitan statku.

– Być może – odparł Grimo. – A wieści łatwo się rozchodzą. I Ulrond pewnie władałby wyspą przez kolejne wieki, ale znalazł się ktoś, kto przypomniał pani życia i śmierci historię sprzed lat... Bjarni Kruk, którego gościcie na pokładzie, zmierzył się z uzurpatorem. Szala zwycięstwa ważyła się raz w jedną, raz w drugą stronę. Nawet bogowie przyglądali się tej potyczce. Aż w końcu Ulrond padł przeszyty ostrzem, po którym zawsze spływa krew. – Kruk złożył skrzydła i przymknął jedno oko. – A teraz pozwólcie mi się zdrzemnąć, bo wielce zmęczyłem się opowiadaniem. Przez ostatnie dni musiałem stać się bardem w kraju, gdzie karze się śmiercią za snucie bajań. Gdy spocznę na jakiejś wygodniej gałęzi w przyjaznym porcie, ułożę rymy, a pieśń o starciu wielkich wojowników pójdzie w świat i zawędruje do każdej chaty...

Grovgar i Yawin spojrzeli po sobie. Czy Grimo nie zakpił sobie z nich? Tak, na pewno. Nie można bowiem zawierzać pierzastemu magowi. Spojrzeli jednak

z trwogą na mężczyznę, który oparty o burtę wciąż wpatrywał się w rozmywającą się na horyzoncie wyspę. Teraz jednak dopiero dostrzegł, że Czarnobrody kątem oka spogląda na postawioną pod jego stopami czarkę, do której nalano trochę miodu.

– Co on robi? – zapytał Grovgar.

– Nie wiem... – Yawin wzruszył ramionami. – Może wabi skrzaty... Pamiętasz? Zostawiało się im jakiś poczęstunek.

– Gdy wraz z wiosną do mej rodzinnej wsi przybyli zbóje, którzy do nogi wybili niemal wszystkich jej mieszkańców, porzuciłem świat dziecińczych zabaw...

– Ech... – Yawin rozłożył ręce w geście bezsilności. – Pewnie oszalał. Tacy jak on, najemnicy, którzy sieją śmierć, nie mogą być w pełni zdrowi na umyśle... Ale zapłacił za to, by go przewieźć na drugi brzeg. I to hojnie! A wariat czy nie, jego złoto ma taki sam blask...

Nie widzieli już, jak Bjarni pochyła się nad czarką. W promieniach słońca dało się zobaczyć świetlne refleksy kręcące się naokoło czarki niczym tancerze wokół ogniska.

Czarnobrody wojownik uśmiechnął się po raz pierwszy od momentu, gdy wszedł na pokład łodzi.

* * *

Ogień żywo tańczył w palenisku. Noc rozpostarła nad okolicą mrok, ale cisza panująca nad światem i blask płomienia niosły z sobą spokój i wytchnienie. Argoth dorzucał do paleniska wysuszonego chrustu.

– Opowiesz nam raz jeszcze tę historię, ojczy? – odezwał się Galdor, drapiąc się po piegowatym nosie.

– To smutna opowieść, synu – odparła Rhun, wpatrując się w ogień. – Niegdyś nie wolno jej było słuchać bez kary. Nie wiem czy dzisiaj można już bez lęku mówić o tych sprawach.

– Prosimy... – rzekł Norgath, drugi z synów Argotha.

– Wielu straciło życie tylko dlatego, że wspominało dawne czasy – powiedział Rudobrody. – Ale dobrze, posłuchajcie, jeśli chcecie. Dzisiaj cię nie wydaje się aż tak złowrogi... Dawno temu, gdy na naszej wyspie nie mieszkał jeszcze żaden człowiek, śmierć nie miała tutaj dostępu. Przybyli na nią ludzie i cieszyli się wiecznym życiem. Krainą władał mądry i dzielny król, który miał córkę imieniem Yvanna i syna Ulronda. Rodzeństwo bardzo się kochało. Ale gdy któregoś dnia...

– Tę historię już znamy, ojczy – powiedział jeden z chłopców. – Opowiedz nam jednak o tym, który pozbawił Ulronda życia.

– Ludzie zwali go Krukiem – odparł Argoth. – Przybył na naszą wyspę z dalekiego kraju.

– Czy nie tak nazywaliśmy nieznajomego, który znalazł się kiedyś w naszej chacie?

– Masz rację – przytaknął Argoth. – Wędrowiec, który nas odwiedził nosił to samo miano. Może to ten z opowieści, skoro nawet bogowie potrafią odwiedzić prostych ludzi? Jednak ten, o którym mowa, rzeczywiście potrafił przemienić się w kruka. Jest powiedziane w pieśniach, że Pani Śmierci była głucha na ludzki głos, ale nie na złowieszcze krakanie padlinożerców. Tak... ten o którym mowa nie był człowiekiem, tylko złowróżbnym posłańcem. Był krukiem, znał zarówno kruczą, jak i ludzką mowę. Któregoś dnia posłyszał od ostatniego z pieśniarzy historię sprzed wieków i tak to się zaczęło...

* * *

...Czasem szedł przed siebie, nie znając szlaku, wbrew radom innych i rozsądkowi. Pozwalał, by niosła go tęsknotą za kolejnym górskim szczytem, za którym była pustka. Być może uwierzył w końcu w to, że świat ożywa tylko w jego spojrzeniu, i że nie może umrzeć i zniknąć z ludzkiej dziedziny ten, kto pozostawia po sobie ślad.

Jak bowiem dalekie krainy miały żyć inaczej, niżli przeglądając się w ludzkich opowieściach niczym w zwierciadle?

I zdał sobie kiedyś sprawę, że lepiej jest być może być zwidem z bajania szalonego skalda, niż rozplynąć się w pomroce zapomnienia...

Z „Sagi o Kruku”

VI. Pieśń skalda

Szlak urwał się jakąś milę wcześniej i dwójka strudzonych wędrowców podróżowała teraz wzdłuż stromej zbocza, nie wiedząc dokąd zmierza, nie mając za przewodnika żadnego pewnego punktu na horyzoncie ani podszeptu życzliwego człeka czy ducha. A że świat po prostu rozmył się w sennej pomroce mgieł, trudno było im się wyznać, gdzie znajduje się wschód, a gdzie południe. Gdy w desperacji próbowali zawrócić, nie trafili już na trakt, który wcześniej pewnie ich prowadził.

Kluczyli zatem pomiędzy pagórkami, tracąc poczucie czasu i gubiąc się wśród strąconych z niebios chmur, a także wśród własnych, niespokojnych myśli. Zdawało się im też, jakby ktoś wzniecił snujące się po okolicy opary naumyślnie, jedynie po to, by zakryć przed podróżnymi niebezpieczne tajemnice.

Bjarni przeklinał pod nosem. Grimo był niepokieszony i bijąc wciąż skrzydłami na trwogę, powtarzał jedynie: „A nie mówiłem!”. Zarówno z perspektywy jeźdźca, jak i wznoszącego się w przestworza ptaszyska, widoki

rysowały się nieciekawie. Mgła, chłód i pustka. No i cisza. Zbyt krystaliczna, by nie czaiła się w niej groźba.

– Bjarni, czy potrafisz chociaż raz przyznać się do błędu? – zapytał Grimo, łądując ponownie na ramieniu towarzysza. – Czym cię omamiła starucha na rozstajach dróg? Mówiłem, by jej nie ufać! Od razu zdawało mi się, że to złośliwa wiedźma, co oszukuje podróżnych dla żartu, przy okazji zabierając miedziaka za fałszywą poradę. Szepnęła ci miłe słówko, a tyś do niego przywarł jak mucha do gęstego miodu. Pewnie wydała nas na pastwę jakiegoś jej podłego znajomka, co wylania się z krain oddanych pod władanie potworom!

Wojownik tylko się uśmiechnął, poklepał bo boku swojego karego rumaka, a potem, kładąc dłoń na rękojeści miecza, odparł:

– Gdybym znał odpowiedź na pytanie o to, dokąd zmierzamy i co czeka mnie na krańcu tej wędrówki przez pustkę, bardzo bym się zmartwił. Nie chcę wiedzieć, jaki jest mój cel. Podążam przed siebie, nigdy zaś się nie cofam. Nie może cieszyć mnie to, co minione.

Stary kruk wiercił się niespokojnie, a potem zaczął bić skrzydłami.

– Och! Tylko nie zacznij mi tu prawić swych życiowych mądrości! Poznałem je dogłębnie. Wiem, o czym za moment usłyszę... O tym, że liczy się tylko ta kraina, o której nie zdążono jeszcze ułożyć pieśni i że to właśnie dzięki twoim czynom ktoś o niej usłyszy. Tak, tak... Znam to dobrze! – Kruk nachylił się do ucha Bjarniego i rzekł: – Choć jestem od ciebie starszy o wiele dziesięcioleci i – wybac mi szczerze – mądrzejszy, bo czytałem uczonych ksiąg więcej, niżli ty widziałeś kiedykolwiek, to jednak pozostanę bardziej przyziemny w swych rozważaniach. Chcesz poznać moją prawdę? W jej centrum tkwi przekonanie, że niczego się nie zdarza o pustym brzuchu! Pisałem w swoim życiu uczone traktaty, ale zawsze wtedy przychodził czas na przerwę okraszoną pieczywym i kwartą piwa! Martwię się zatem, czy znajdziemy tu jakąś przyjazną gospodę, nim zacnie się zmierzchać.

– Jeśli mam być szczerzy, to wątpię – odparł Bjarni.

– Czy zostało coś z naszych zapasów?

Pogromca Olbrzymów zajrzał do sakwy.

– Okruszyny chleba i kawałek sera. Mało jednak na nas dwóch, zwłaszcza biorąc pod rozwagę twój niepohamowany apetyt.

– Biada, biada mi! – zawołał żałośnie Grimo i w nerwach zaczął układać dziobem swoje posiwiłe lotki. – Nieszczęsna dola kruka, który zechciał przemierzać świat z nieliczącym się ze śmiercią najemnikiem! Czy można nazwać udanym dzień, na zakończenie którego poszło się spać głodnym?

– Przestań krakać! – zachnął się Bjarni. – Czarnowidztwo nam nie pomoże. A swoim głośnym skrzeczeniem możesz co najwyżej sprawdzić na nas zły los. Kto wie, co może czaić się w tej mgle?

– Mogę wymieniać długo, jeśli brak ci wyobraźni: zbójcy, trolle, wygłodniałe wilki... Może sam wybierzesz? Nawet wichur tutaj nie wyje, jakby bał się sprowadzić swym zawrodozeniem jakąś biedę!

– Tobie jednak może to się zaraz udać, jeśli nie zamkniesz swego dzioba...

– Wyczuwam tu jakąś zagadkę, trudną do rozszyfrowania – zaskrzeczał Grimo. – Nawet twój rumak strzyże uszami i wątpię, czy będzie chciał cię dalej nieść. Ach, czemu pozwoiliem ci obrać ten szlak, na własną też zgubę! Wiesz, co pomyślałem, gdy nie zawahałeś się na rozstajach dróg? Jeśli chce sobie napytać biedy, jeśli taki pewny, to niech jedzie! Sam się przekona! Zapomniałem jednak, że szlachetny kruk nie będzie potrafił w godzinie próby opuścić swego towarzysza, a zły los czarnobrodego najemnika musi się odbić na żywocie poczciwego maga zaklętego w pierzastą postać... Nieszczęsna kraina!

– Niepotrzebnie dajemy się zwodzić własnym obawom – rzekł Bjarni, przypatrując się wyłaniającym się z oparów skałom. – Myślę sobie, że gdyby nie ta mgła, to cieszyłbyś oko widokiem ukwieconych łąk, które toną w słonecznym blasku, a jedyną biedą, jaka może cię spotkać na ich połaciach, jest uporczywa pszczoła, co brzęczy koło nosa.

– Myślisz? Przed chwilą sam mnie uciszyłeś, wieszcząc, że wśród mgieł może się kryć jakaś groza...

– Dochodzę jednak do wniosku, że z tą ciszą kojarzy mi się tylko kraj mego dzieciństwa.

– Dziwne to słowa w ustach kogoś – zawołał Grimo – kto wspominał wielokrotnie, że nim skończył dziesiąty rok życia, trzykrotnie widział jak jego wieś staje w płomieniach, a rzeki spływają krwią jego pobratymców! Tyle tylko dowiedziałem się o twej młodości...

– Kiedy to słyzałeś podobne brednie z moich ust?

– Raz czy dwa rozprawałeś o tym w gospodzie.

– Naprawdę? Musiałem ci się zwierzać po dwóch garncach miodu, a podobne opowieści nie są warte więcej niż wiecheć słomy.

Rozmawiali dalej, ni to kłóćąc się, ni to pouczając, jakby dodając sobie otuchy, bo cisza panująca nad doliną była nieznośna. Wydawało się, że świat skurczył się nagle do kilku kroków. Mgła oplatała podróżnych woalem tajemnicy, a od czasu do czasu przybierała nazbyt osobliwe kształty, by nie zastanawiać się, czy to jakiś stwór na nich nie zerka.

– Wzleć wyżej – poradził Bjarni. – Może coś dojrzyysz tym razem.

– Przed chwilą szybowałem w przestworzach – odparł z poirytowaniem Grimo – i widziałem tylko bezmiar przykrywających świat oparów, jakbyśmy wznieśli się tak wysoko, że przyszło nam brodzić w chmurze, co osłania niebiańskie krainy. Jedno zaś nie podoba mi się szczególnie...

– Co mianowicie?

– Zdawało mi się, że słońce już jakiś czas temu zaszło za pasmo gór, a wciąż jasna poświata rozpala nieboskłon ponad mgłami.

– Zmierzch nie chce nadejść – szepnął Bjarni. – To zdarza się na samym krańcu świata, u jego szczytu. Noc panuje tam przez pół roku, a potem świat we władanie obejmuje dzień.

– Owszem, masz rację, mój drogi mędrco – powiedział kruk z poirytowaniem. – Bywa tak, rzeczywiście w krainie wiecznego lodu, ale my przecież nie jesteśmy aż tak daleko na Północy!

– Czy możesz zatem wyjaśnić to, co nas spotkało?

– Znaleźliśmy się pod władaniem czaru! – odparł Grimo bez wahania. – Nie jest to jednak czar rzucony przez szczerbatą wiedźmę, którą napotkaliśmy na rozstajach, bo ta mogłaby co najwyżej zesłać na kogoś szpetny liszaj... Stoi za tym ktoś znacznie potężniejszy!

– Mam podobne obawy – powiedział Bjarni – choć wołałem nie mówić o nich głośno. Czyżby jakiś czarnoksiężnik znów zagiał na nas parol? Może to Holgi postanowił nas dopaść, zanim my przyjdziemy po niego?

– Jest jeszcze inna możliwość – rzekł Grimo, wypinając pierś. – Od dłuższego czasu dźwięczy mi w głowie czyjaś pieśń, która momentami przerywa ciszę.

– I ja ją słyszę, chociaż wydawało mi się z początku, że to jedynie wiatr. Potem myślałem, że zaczynam tracić zmysły, ale skoro i ty słyszysz czyjś głos...

– W tych słowach przynoszonych przez wiatr czai się czarodziejska moc, która odmienia rzeczywistość. Granica między naszym światem a bajaniem bywa cienka. Chyba przenikamy raz w jedno, to zaś w drugie. Bjarni, myśmy znaleźli się we wnętrzu opowieści jakiegoś diabła zdolnego skalda, który słowem potrafi zaczarować umysły!

– Co radzisz?

Kruk ponownie się wyprostował i rozłożył skrzydła, uznając najwyraźniej, że dla wygłoszenia pouczenia, potrzebuje dostojniejszej pozycji:

– Najroztropniej byłoby wrócić do chwili, w której u zarania zeszłego dnia, wbrew moim obiekcom, wybrałeś szlak odradzany ci przez wszystkich. „Jeszcze nikt, panie, nie przedarł się przez góry, które widzisz przed sobą. Unikaj też, cny wędrowcze, rozstajów dróg, gdzie łatwo obrać niewłaściwy trakt. Gdy napotkasz czarownicę, nie zawieraj jej słowom”. Tak nam radzili napotkani chłopcy, co wiele już widzieli na świecie, więc należało ich posłuchać. Siwe włosy i siwe pióra świadczą o mądrości. Ale nie, skądże... Bjarni Kruk nie cofa się przecież przed wyzwaniem! Gdy czarownica coś ci radziła, zobaczyłem w twych oczach tę niepokojącą iskrę i już wiedziałem, że jesteśmy straceni. Tak, tak...

– Starowinka rzekła mi, że będę miał szansę odmienić swój los. Wiele o mnie wiedziało.

– Odmienić los? Też mi nowiny! W każdej chwili możemy tego dokonać. Czemu jednak odmieniać los, pchając się w objęcia śmierci?

Bjarni nic jednak nie robił sobie z tych uwag, bo zobaczył niedaleko czerwony płomień, przebijający się przez woal mgieł.

– Ciszej, Grimo... – powiedział, wskazując palcem na niewyraźną łunę. – Mamy towarzystwo.

– Któż to?

– Człowiek zapewne. Nikt inny nie rozpala ogniska, by się ogrzać. – Wkrótce dało się też słyszeć trzask lizanego przez ogień chrustu. – Ktoś szykuje się w tej głuszy do wieczery – dodał wojownik.

– Mam jedynie nadzieję, że to nie my staniemy się posiłkiem!

– Przestań krakać! – warknął Bjarni.

* * *

Zasiadający przy ogniu mężczyzna odziany był w szarą, podróżną opończę i przesłaniający twarz kapelusz, co upodabniało go do samego Odyna. Nosił solidne, skórzane buty; jego sękaty, podróżny kij leżał na trawie, a obok, na kamieniu, znajdowało się zawiniątko i sakwa. Siwa broda świadczyła o sędziwym wieku nieznanego.

Kiedy z kolei strudzony wędrowiec zobaczył przed sobą ponurego mężczyznę w czerni i zasiadającego na jego ramieniu starego kruka, strwożył się. Mogło się wydawać, że oto sama śmierć zjawiała się wraz ze swym giermkim.

– Jeszcze nie... Nie teraz! – powiedział żałośnie na widok osobliwej dwójki. – Już prawie dotarłem do celu. Oszczędź mnie, gdy jestem tak blisko...

– Nie musisz się bać – odezwał się Grimo, co jeszcze bardziej zadziwiło zasiadającego przy ognisku starca. – Wyglądamy groźnie, to prawda – rzekł z pewnym przejęciem i dumą kruk – ale nie zwiastujemy żadnego nieszczęścia. Przynajmniej nie dzisiaj...

– Witaj, nieznanomy – powiedział Bjarni, zsiadając z wierzchowca. – Zapasy nam się kończą. Mamy jednak przy sobie trochę srebra. Monetą się nie najemy, ale może ty przyjmiesz pieniądze. Na dobrą wróżbę.

– Siadajcie, ogrzejcie się. – Mężczyzna wstał i uklonił się. – Dawno już z nikim nie rozmawiałem. Chyba pobłądziłem w tej krainie... Za garść plotek i miłe towarzystwo podzielę się z wami posiłkiem.

– Nie dziwota, że nie ma tu do kogo dzioba otworzyć – zawyrokował Grimo. – Mgła, mgła i kamienie. Pustka i nic więcej! Czyżbyś i ty nieroztropnie obrał szlak? Można ci wybaczyć, bo nie miałeś na ramieniu mądrego doradcy, który szepnie czasem roztropnie, by zaniechać niepewnego szlaku. Jak jednak wytłumaczyć nierozważne zachowanie kogoś, kto właśnie ma przy sobie uczonego towarzysza? – Kruk spojrzał na Bjarniego.

– Długo jeszcze będziesz mi to wypominał?! – warknął Pogromca Olbrzymów.

– A i owszem! – Grimo zatrzepotał skrzydłami. – Na stare lata przyszło mi się tułać po świecie!

– Nikt cię nie prosił, byś mi służył za przewodnika!

– Nikt nie prosił... Nikt nie prosił... – Grimo zaczął przedrzeźniać Bjarniego, kiwając przy tym głową ze złości. – Ileż to jednak razy ratowałem cię z przeróżnych opresji?!

– Wiele z tych opresji wynikało z twojego kłapania dziobem!

– Widzę, że z wesołą kompanią mam do czynienia – Starzec przerwał swary, zaśmiewając się w głos. – Tak dawno nie słyszałem ludzkiej mowy, że nawet kłótnia brzmi jak miód na moje uszy... Mówią na mnie Redgar – przedstawił się, uchylając róna kapelusza; twarz wędrowca znaczyły starcze zmarszczki, a włosów nie zostało mu już wiele. – Poczęstujcie się. To gulasz z zająca, którego udało mi się szczęśliwie upolować, gdy mgły nie były jeszcze tak gęste. Wystarczy dla nas trzech.

– Może i skosztujemy twojej stawy, jednak pozostaniemy póki co nieufni – mruknął Bjarni i łypnął okiem na towarzysza.

Grimo zrozumiał aluzję. Z pomocą dwóch szybkich machnięć skrzydłami przeleciał nad głową wędrowca i zasiadł na drągu, na którym zawieszono saganek ze strawą. Potem schylił dziób niżej, przestąpił z nogi na nogę i wielce kontent zaczął trzepotać skrzydłami.

– Nie wyczułem kłamstwa w głosie naszego dobroczyńcy – zawyrokował kruk. – Redgar przedstawił nam swoje prawdziwe miano. A jeśli znam się trochę na truciznach oraz magii, a jednemu i drugiemu zagadnieniu poświęciłem dziesięciolecia wnikliwych studiów, to nie znajduję w tej potrawce ani najmniejszej drobinę czegokolwiek szkodliwego. Szkodliwe natomiast są jakiegokolwiek kłótnie o pustym żołądku, drodzy kompanii, więc kto żyw, niech wyciąga miskę!

– Na imię mam Bjarni, a zowią mnie Krukiem – odezwał się Czarnobrody, uspokojony zapewnieniami Grima. – Mój miecz zaś służy każdemu, kto skłonny jest zapłacić.

Starzec skłonił się nisko.

– Ja jestem Grimo – rzekł kruk, zaglądając chciwie do garnka. – Byłem kiedyś człowiekiem, ale czarnoksiężnik Holgi – oby zły urok powykręcał mu język! – zaklął mnie w pierzastą postać. Tak stałem się największym magiem pośród kruków i najlotniejszym pośród magów! Wyznaję się sporo na zaklęciach, urokach i iluzji. Zawsze też służę mądrą radą.

– No, no! – Redgar zdziwił się i cmoknął ustami. – Nie z byle kim przyszło mi wieczerzać... Jedzmy zatem! Gulasz już gotowy, a w dobrym towarzystwie smakować będzie jeszcze lepiej, zwłaszcza, gdy usłyszę trochę o przygodach, jakie

was napotkały. Nie wątpię, że opowiadać możecie długo.

Pożywali się przez jakiś czas, szczęśliwi, że w końcu mogą napełnić brzuch. Gulasz był wyborny, zwłaszcza po dłuższym poście. Bez względu jednak na to, jak skutecznie gorąca strawa odganiała wszelkie troski, to niepokój nie przestał im towarzyszyć. Bjarni rzekł słówko lub dwa o sobie, ale pozostał jednak ostrożny. Nawet jeśli Redgar był im przyjazny, trudno było rzucać w tej krainie słowa na wiatr, nie wiedząc, kto może się im przysłuchiwać.

– Z jakiej to przyczyny zawitałeś na to pustkowie, Redgarze? – zapytał w końcu Bjarni – Jeśli nie zaprowadził cię tu przypadek, to co? Czego można szukać w tej krainie, poza pomieszaniem zmysłów? Mówiłeś o jakimś celu. Jakże przyjemnie mieć punkt w przestrzeni, do którego zmierza się wbrew przeciwnościom.

– Sprowadziły mnie tu pewne opowieści, które posłyszałem kiedyś od pewnego kupca – wyjaśnił mężczyzna.

– Niedobrze podążać za bajaniem – zauważył Grimo. – Wielu pobłdziło na dobre, mając za przewodnika słowa rzucone na wiatr. Niektórzy, dla przykładu, dali się zwieść jakimś tajemniczym obietnicom starej kobiety...

– Przestań już! – rzekł Bjarni i cisnął w kruka kamykiem. Ptaszysko uchyliło się zrećźnie.

– Człek, o którym mówię – zaczął wyjaśniać starzec – zapewniał, że za górami, w dalekiej krainie, żyje skald, który układa wspaniałe historie. Pieśniarz ten ponoć potrafi zmieniać słowami rzeczywistość. Za sprawą jego bająn żebrak mógł stać się bohaterem, a chromy starzec pokonać olbrzyma. A gdy już co opowie, to historia obiega cały świat i staje się wieczna. A ja chciałem opowiedzieć mu o czymś, co nie powinno nigdy zostać zapomniane...

– Zakładając, że taki skald rzeczywiście chodzi po naszym świecie, musi w jego opowieściach tkwić jakaś zwodnicza magia – stwierdził Bjarni z pewną niechęcią. – Nasz los został już gdzieś zapisany i nikt go nie zmieni, choć ja wierzę, że możemy znaleźć tę moc sami w sobie. Zresztą czasem mi się zdaje, że lepiej byłoby żyć spokojnie i wcale nie być bohaterem pieśni.

– Może, może... – Redgar wzruszył tylko ramionami. – Jednak ty, panie, jesteś wojownikiem i wyzwania czekają na ciebie za każdą górą i rzeką. Co zaś może począć człowiek taki jak ja, który nie urodził się w moźnym rodzie? W opowieściach powtarzanych przez pieśniarzy nie usłyszysz nic o ludziach pracujących w znoju na swój lichy chleb. A nawet jeśli jakiś kmieć pojawi się w pieśniach, to nikt nie wymieni jego imienia. No, cóż... tak to już bywa. – Starzec dorzucił do ognia połamanych gałęzi. – Chcecie poznać pewną historię? Zapewniam was, że jest prawdziwa.

– Nie wiem jak ty, Bjarni – odezwał się Grimo – ale ja lubię po sutym posiłku skropić gardło miodem i posłuchać opowieści z dawnych dni. Tego

pierwszego niestety nie mamy, uracz nas zatem bajaniem, drogi Redgarze. Może ono zaprawi zły czas odrobiną słodczy i ogrzeje nasze dusze podobnym sposobem do tego, w jaki miód rozpala od wewnątrz ciała.

Starzec spojrział w ogień raz jeszcze. Ogniki zatańczyły w jego oczach, gdy zaczął opowiadać:

– We wsi, gdzie mieszkałem, pewien młodzieniec zakochał się w pięknej dziewczynie, która miała w sobie urok letniego poranka. Chłopak był jednak biedny, a dziewczę pochodziło z rodziny bogatego kmiecia. Ojciec wybranki był w swojej wsi pierwszy, wszyscy się go słuchali, trzymał służbę i liczne stada owiec oraz bydła. Młodzieniec wybrał się zatem do miasta, by wyuczyć się jakiegoś zawodu i zarobić trochę grosza. „Skoro będę miał dobrą pracę, może ojciec nadobnej panny przekona się do mnie?”, pomyślał naiwnie. Nikt jednak nie chciał go przyjąć na terminy. Chłopak był dumny i postanowił nie wracać do rodzinnej wsi bez pełnej sakiewki i dobrego odzienia na grzebienie. Szybko zaczął przymierać głodem. Los nie był mu przyjazny. Czy bowiem nie drwi z nas, gdy jesteśmy uczciwi i czystego serca?

– Racja! – przytaknął Grimo.

– Któregoś dnia – mówił dalej Redgar, spoglądając w płomień ogniska – spacerując po brudnych ulicach miasta i słaniając się z głodu, młodzieniec zobaczył, jak z sakiewki możnego pana wypada złota moneta. Chłopak podniósł ją i zawahał się. Wziąć monetę i ruszyć z powrotem do wsi? Za tyle złota mógłby kupić lepsze odzienie i przybyć pod próg domu na koniu, jak pan! Przede wszystkim najadłby się za wszystkie czasy, a przecież po dniach przymusowego postu burczało mu w brzuchu. Porzucił jednak tę myśl. Oddać szlachcicowi monetę – serce podpowiedziało mu, że tak powinien postąpić. Zastanawiał się jednak o chwilę za długo. Miejski strażnik dostrzegł, że jakiś obdartus trzyma w dłoni złoto i pomyślał, że musi to być złodziej. Widząc zamieszanie, szlachcic sięgnął do sakiewki i przeliczywszy zawartość zorientował się, że brak w niej jednej z monet. Dumny pan nakazał ukarać nieszczęsnego młodzieńca jak najsurowiej, by już nigdy nikt nie warzył się sięgać po czyjeś złoto. Na nic zdały się tłumaczenia chłopaka. Ścięli mu głowę na rynku miasta, wśród uradowanej gawiedzi. A kiedy głowa potoczyła się po placu i kat schwycił ją za czuprynę, by pokazać zebrany ku przestrodze, dojrzał w martwych oczach obraz dziewczyny, którą młodzieniec szczerze pokochał... Powtarzano tę historię w moich stronach, ale szybko zapomniano o nieszczęśniku i jego miłości.

Starzec skończył swoją opowieść i spojrział w dal.

– Smutna opowieść – powiedział Grimo. – Nie była zatem jak łyk miodu, lecz piołunu.

– I nikt nie chce jej słuchać dziś, bo kogo obchodzi los prostego człowieka? – odparł z gniewem Redgar. – Za to wiele powstało pieśni o tym, który nakazał

ściąć głowę niesprawiedliwie osądzonemu.

– I mnie się zdaje – odezwał się Bjarni – że więcej prawdy kryje się w tej opowieści niż w pieśniach o czynach wielkich wojowników... Nie zmienimy jednak świata.

– Ale ja pragnę odnaleźć kogoś, kto sprawi, że ten młodzieniec nie zostanie zapomniany! – Redgar wstał z miejsca i zaczął rozmasowywać swoje obolałe nogi. – Słyszysz, Bjarni? Pieśń skalda niesie się gdzieś po dolinie. Sądzę, że to ten, którego szukam od lat. Gdy powtórzy mą opowieść, ubierając ją w strofy, wiatr rozniesie ją na wszystkie światy strony!

– Ruszymy zatem wraz z tobą – powiedział najemnik. – Kto wie, jakie dziwy kryją się we wnętrzu tej krainy. Mój miecz może być ci pomocny. Nie żądam zapłaty.

Te słowa nie spodobały się krukowi.

– Zapłata, zapłata – szepnęła Grimo. – Z tego można czasem zrezygnować... Wymagałbym jednak od ciebie więcej rozwagi. Napytamy sobie zapewne jakiejś biedy...

* * *

Nie potrafili policzyć, ile czasu zajęła im podróż do wnętrza doliny, ale każdy z trójki miał inne odczucia. Bjarniemu zdawało się, że upłynęła jedynie chwila od momentu, gdy wstali od ogniska. Redgar twierdził, że idą już kilka dni. Z kolei boczący się na dwójkę mężczyzn Grimo przestał się odzywać i oznajmił, że upływ czasu i tak ma dla jego wieloletniej bytności inny, sekretny bieg.

Schodząc z boczem, kłócili się często, ale gdy w końcu znaleźli się we wnętrzu jaru, posłyszeli trwożliwy głos niewiasty i wycie, które musiały dobrać się z gardzieli potwora. Ziemia się trzęsła.. Słychać było też świszczący, wznecający podmuchy wichru, powiew.

– No pięknie! – zaskrzeczał Grimo, gdy próbował coś dojrzeć. – Wydaliliśmy się na żer jakiejś bestii!

– Wzleć zatem wysoko – warknął Bjarni – i poczekaj tam sobie bezpiecznie, dopóki dolina nie spłynie krwią potwora. Twoje zawrodozenie nam nie pomoże.

– Czujecie? – Redgar zaczął drżeć. – Ziemia się trzęsie, gdy potwór się porusza.

– Przed chwilą... Wczoraj... – Bjarni nie potrafił oszacować upływu czasu, więc machnął tylko ręką. – Kiedyś tam, kiedykolwiek by to było, narzekales, Redgarze, że pieśni układają się jedynie o wojownikach i zdobywcach. Może nie każdy da radę chodzić w ich butach?

– Ja nie zdezerteruję! – zawołał kruk i uniósł się nieco wyżej. – Niemniej rozejrzę się, bo gdy trzeba walczyć z bestią, dobrze ją chociaż zobaczyć.

Grimo wzleciał wysoko, znikając w oparach, a po chwili zjawił się

ponownie. Nie przynosił dobrych wieści.

– Widziałem jedynie grzbiet stwora – rzekł z przejęciem. – I sterczący ponad oparami ogon, zbrojny na koniuszku w ostrą łuskę, która przypomina grot włóczni. A jeśli oko mnie nie myli, to głów ma wiele, a gardziele zbrojne są w zęby podobne do szabel.

– Kto wierzy w dobrą wolę bogów, niech do jakiegoś skieruje swoje myśli – powiedział Bjarni i wyciągnął miecz zaraz po tych słowach.

Nie wiedzieć czemu, ale mglista zawiesina zaczęła szybko rzednąć i po chwili trójce zbłąkanych wędrowców ukazał się niezwykle widok. We wnętrzu doliny rzeczywiście rozsiadł się jakiś piekielny stwór. W każdej z jego licznych paszczek mógł zmieścić się wół. Miał tuzin par zbrojnych w pazury łap. Jego ciało pokrywała łuska i śluz, który błyszczał w dziwnej poświacie. Potwór zasiadał na zgliszczach potężnej niegdyś warowni niczym na tronie, a w koło widać było jakby pierścień zasieków usypany z ludzkich kości i z zardzewiałego oręża, należącego do tych, którzy próbowali przez lata zgładzić bestię.

W jednej z łap stwór trzymał zemdloną dziewczę. To dziewczę musiało właśnie niedawno krzyczeć, ocknąwszy się tylko po to, by przerazić się śmiertelnie po raz wtóry.

Gdy bestia poruszyła się, ziemia zadrżała.

– A już myślałem, że przyjdzie mi całą wieczność brodzić wśród mgieł, zamiast zmierzyć się z jakimś wyzwaniem! – zawołał Bjarni.

Grimo sfrunął na ziemię i zaskrzeczał:

– Chyba nie chcesz ruszać do boju?

– Znasz mnie za dobrze, Grimo – powiedział Bjarni z uśmiechem. – Nie cofam się przed wyzwaniem, ale nie idę też na pewną śmierć.

– Pozwolisz zatem na to, by ta dziewczyna zginęła w szponach bestii? – zapytał Redgar.

– Do tego bym nie dopuścił – odparł Bjarni. – Musiałby mieć jednak choć cień nadziei, że to co widzę, można nazwać realnym.

– Nic się nie bój, Redgarze – rzekł Grimo. – Zdaje mi się, że staliśmy się częścią czyjeś opowieści. Mam też wrażenie, że jesteśmy jedynie jej tłem... Poczekajmy zatem na dalszy bieg wypadków. Musi tu działać silna iluzja!

– Jestem pewien, że to skald, którego szukam, jest sprawcą tego zamieszania – powiedział Redgar, a w jego głosie słychać było nadzieję.

– To wielce prawdopodobne – zauważył Bjarni.

– My tu gadu, gadu – odezwał się Grimo – a przed naszymi oczami wyrasta kolejny zwid...

Z mgieł wyłonił się jeździec, ubrany w lśniącą kolczugę i z długą kopią w dłoni. Jego oblicze przesłaniał hełm z piórami. W lewej dłoni trzymał tarczę wzmocnioną stalowymi guzami.

– Nie trwóście się! – zawołał jeździec zobaczywszy zbłąkanych wędrowców.
– Ubiję potwora i uratuję damę!

– Musisz przyznać, Bjarni – powiedział z przekąsem Grimo – że z dzielnym człowiekiem przyszło nam się spotkać. Nie myśli o ryzyku, tylko rusza na spotkanie przeznaczenia. Ach, ci bohaterowie!

– Też mi coś. – Czarnobrody wzruszył ramionami. – Zrazu widać i słyhać, że to nie człek z krwi i kości, a wymysł jakiegoś zniewieściałego trubadura!

– Och nie bocz się już, nie bocz... – odparł Grimo. – Wiesz dobrze, że to tylko przywidzenie.

– Skąd przybywasz? – zawołał Bjarni w kierunku odjeżdżającego jeźdźca. – Gdzie spotkać można pieśniarza, z którego rzuconych na wiatr słów zrodziła się twa chwała?

Nieznajomy chyba nie usłyszał tych słów, a przynajmniej pozostał na nie obojętny. Wojownik ruszył w kierunku potwora, który wyprężył swe ciało i plunął ogniem. Snop piekielnego żaru rozprysł się na tarczy bohatera. Jeździec uniósł kopię i natarł z całą mocą. Wkrótce przeraźliwy wrzask bestii zabrzmiał jak przetaczający się grom.

Szybko jednak widok zaczął się rozmywać i nikt nie mógł dojrzeć śmiałka i poczwary, choć wspomnienie o nich wciąż wydawało się żywe.

– Czy właśnie to uważasz za szczęście, Redgarze? – zapytał Grimo. – Pewnie każdemu, kto przechodzi tędy, ukazuje się podobny obraz zrodzony z pieśni. Czy chwałą jest pozostać wiecznym mirażem?

– Wieczny miraż... – powtórzył starzec. – Lepsze to niż zapomnienie!

Bjarni zaczął się wsłuchiwać w dźwięki, które biegły z jakiejś oddali.

– Skoro nikt w tym przeklętym kraju nie wskaże nam drogi do skalda – odezwał się Bjarni w końcu – to sami musimy ją znaleźć. Jest chyba na to sposób. Od jakiegoś czasu wzmaga się wicher. A każdy jego podmuch przynosi strzępki nieznanego mi pieśni.

– I ja słyszę ją coraz wyraźniej – przytaknął Grimo. – Ten, który rzuca słowa na wiatr musi znajdować się niedaleko.

* * *

Wzgórze stromo wznosiło się ku błękitnemu niebu, po którym leniwie przesuwwały się puchate chmury. Gdy weszło się dostatecznie wysoko, miało się wrażenie, że to skalista wyspa wśród morza mgieł. W pobliżu szczytu, na wystającym głazie, z jedną nogą zwieszoną w dół i z harfą trzymaną w dłoniach, zasiadał mężczyzna, który patrzył w dal. Miał płową, długą brodę i jasne włosy. Nosił prosty, podróżny strój. Wicher poruszał strunami jego złotej harfy. Każdy dźwięk przywoływał podobne do snów choć realne, pełne zapachów i dźwięków obrazy.

Trójka wędrowców przystanęła w osłupieniu.

– To zapewne skald, którego szukasz – powiedział Bjarni.

– Rzeczywiście – odparł Redgar, nie kryjąc wzruszenia. – Udało się, przyjaciele... Tyle lat... – Pokręcił głową, a po jego policzku zaczęły spływać łzy. – Chodźcie ze mną! – rzekł, biegnąc co sił, jakby nagle wróciła mu młodość.

– Ruszaj, ale sam! – zawołał Bjarni. – To twój wielki dzień. – W końcu dotarłeś do kresu swej podróży. Mieliśmy ci towarzyszyć w trudnej drodze, ale nic poza tym. To twoje sny powinny się tutaj ziścić. Może gdy skończy się twa opowieść, my wrócimy do własnej? Może spotkamy się jeszcze kiedyś przy jednym ognisku i powspominamy dawne dzieje?

Redgar potaknął głową ze zrozumieniem, a potem zaczął wspinać się po stoku. Jego stare nogi niosły go jak za dawnych lat.

Grimo przyglądał się z uwagą nieznanemu pieśniarzowi, którego otoczyła jakaś jasna, płynąca z innego świata poświata.

– Nie wiem, czy to skald, którego szukał Redgar, ale i ten dysponuje wielką mocą – powiedział kruk – Jednak to nie człowiek. Nikt z ludzkiego rodu nie ma takiej mocy, by pieśń pętała czyjaś wolę dłużej niż chwilę. Nieraz któryś z pieśniarzy zamiesza ludziom w głowach, by na moment odmienić świat wokół, ale żaden nie odmieni go rzeczywiście.

– Ten jednak zdaje się potężniejszy od pozostałych.

– Tak, a jego harfa jest magiczna. Najcichszy dźwięk zrodzony z jej strun, to potężne zaklęcie. Nie zdziwiłbym się też, gdybym na jego języku zobaczył runy...

– Któż to zatem, jeśli nie człowiek?

– Myślę, że to bóg Bragi, pieśniarz – odparł Grimo bez zastanowienia. – A jeśli tak, to nie wiem, czy wysłucha śmiertelnika. Może być głuchy na wołanie Redgara. Wiesz dobrze, że bogowie mają swoje sprawy i bywają kapryśni. Pomyśl tylko, poświęcić życie na poszukiwanie uludy...

Bjarni zamyślił się.

– Coraz ciekawsze osobistości objawiają się nam w tej dolinie. Czy nie wypada podejść i się przywitać? Nieczęsto widuje się bogów.

– Sam przyznałeś, że nie to nie my jesteśmy bohaterami tej opowieści. Ktoś inny stanie się legendą... Spójrz, Bragi dojrzał Redgara! – zauważył Grimo, widząc, jak bóg porusza się i pochyla w kierunku starca, jakby chcąc lepiej słyszeć jego słowa. – Zaczęli ze sobą rozmawiać.

– Rzeczywiście – powiedział Bjarni, mrużąc oczy. – Redgar nie wygląda na szczęśliwego.

– Masz chyba rację.

Bragi tłumaczył coś starcowi i słuchał jednocześnie z uwagą jego wyjaśnień. Pochyliwszy się ze stroskaną miną, chłonał najwyraźniej każde słowo wędrowca. Nie dało się nic usłyszeć, bo wicher zagłuszał słowa, ale wiele można było

wyczytać z twarzy rozmówców.

A w pewnym momencie, ku zdziwieniu Bjarniego i Grima, Redgar zmienił się w srebrny pył, by ulecieć wraz z wichrem i magiczną melodią.

Bragi wstał z miejsca i zaczął schodzić po zboczu. Wicher szarpał struny jego harfy, zanosząc czarowne dźwięki ku odległym góróm. Skald stanął wkrótce tuż obok Bjarniego i zasiadającego na jego ramieniu Grima. Bóg przypominał teraz strudzonego wędrowca albo żebraka. A jednak w smutnych i nieobecnych oczach skalda odbijały się miraże dalekich krain i dostojęństwo przydane nieśmiertelnej istocie.

– Witajcie – odezwał się głębokim głosem, który otwierał bramy do innych światów. – Czy znacie drogę do najbliższej gospody? Z chęcią zasiadłbym przy ogniu, rozgrzałbym swoje kości, wypił trochę słodkiego miodu i opowiedział stęsknionym uszom jakąś historię. Znam ich bez liku, jeśli tylko znajdą się chętni, by posłuchać.

– Kłaniam się nisko, panie – odezwał się Grimo – I nam miło byłoby trafić do karczmy, ale zdaje mi się, że czeka nas długa wędrówka. Szliśmy przez to pustkowia wiele... dni? – Kruk sam nie wiedział, ile zajęła im podróż. – Obawiam się, że straciliśmy rachubę czasu.

– Możemy ci jednak towarzyszyć – dodał Bjarni – jeśli tylko sobie tego życzysz. Powiedz nam jednak, co stało się z Redgarem? Zniknął z naszych oczu. Czy i on był jedynie złudzeniem?

– Mówisz o tym starcze, który rozmawiał ze mną? – Bragi zamyślił się. – Na pewno istniał, tyle wiem. Opowiedział mi pewną smutną i zajmującą opowieść. Świat ją teraz zapamięta!

– A zatem spełniło się to, czego pragnął – rzekł Grimo, machając z zadowoleniem skrzydłami. – Znak, że pora opuścić tę nieprzyjazną krainę...

Wicher wiał z wielką siłą i szybko rozwiał mgły, które zalegały wokół. Dolina pełna cieni odmieniła nagle swa oblicze.

– Piękne widoki! – zawołał z ochotą Grimo, a potem zerwał się do lotu i przez jakiś czas szybował nisko nad łagodnymi pagórkami porośniętymi kwiatami i zieleń. Nad sobą miał bezmiar błękitu, pod sobą morze szumiących traw. Chciał zakrakać z radości, ale stwierdził, że ten złowieszczy śpiew nie pasowałby do szczęśliwej krainy.

Wzlatując wysoko, Grimo dostrzegł coś, co ucieszyło go najbardziej.

– Gospoda! Gospoda! – zawołał, lądując na powrót na ramieniu Bjarniego. – I to niedaleko. Zdamy przed zmierzchniem. Słońce znowu wędruje po niebie w stałym rytmie.

– Czy to wzgórze, tam na zachód – powiedział Bjarni wskazując dłonią – to nie to samo, które mijaliśmy wkraczając do doliny?

– Tak mi się zdaje – przytaknął Grimo. – A jeśli tak, to przez te mgły

musieliśmy nieźle pobłądzić.

– Chodźmy zatem – rzekł Bragi. – Nim słońce dotknie swą tarczą horyzontu, zasiądziemy przy stole, by najeść się do syta i bajać.

* * *

Ogień wesoło tańczył w palenisku, zalewając gospodę ciepłym blaskiem. Noc była bezchmurna i przed otwarte odrzwia, które zapraszały strudzonych wędrowców, dało się dojrzeć usiany gwiazdami granat nieba oraz strzegący gwiazdozbiorów sierp księżyca. W izbie widać było roześmiane, rumiane twarze. Wśród wesołych dokazywań gospodarz rozlewał do rogów miód.

– Mówiłeś Bjarni, że już nie powrócisz. – Młoda dziewczyna o kasztanowych włosach zasiadła na kolanach wojownika. – Noc dała mi jednak nadzieję. Przyszedłeś do mnie we śnie i wziąłeś w ramiona.

– Nie kłamałem, droga Astrid – odparł Bjarni, kładąc dłoń na piersi dziewczyny. – Nigdy nie zawracam z obranego szlaku. Tym razem jednak otworzył się przede mną świat pełen mar. Nic w nim nie było warte zachodu...

– Czyś nie widział tam piękniejszych ode mnie?

– Czy mogłem naprawdę popróbować słodyczy ich ust? Czy mogłem dotknąć ich rozgrzanego ciała? Mara jest marą! Nie może mnie kusić.

Kruk Grimo, który zasiadał u powały, zatrzepotał skrzydłami.

– Żebyś ty słyszała, kochaneczko, jak twój złotousty zwraca się do mnie! Przekleństwo goni przekleństwo w jego codziennych przemowach. Tak zwykle Czarnobrody reaguje na zawartą w mych przestrobach gorzką prawdę i ostrzeżenia... – Grimo zleciał na ławę i łypiąc okiem na piękną i młodą Astrid, zaczął wyjadać skwarki z ustawionej przed Bjarnim miski. – I znowu wyszło na moje!

– Może i miałeś rację – powiedział z uśmiechem Bjarni – ale to jeszcze nie powód, by zabierać się za moją wieczerzę. Sio! – zawołał, wstając od stołu, a Astrid tylko się zaśmiała, widząc jak Grimo uskakuje przed pięścią Bjarniego.

Kruk zaczął latać pod powałą, wołając głośno:

– Spójrzcie, ludzie! To ten, którego nazywają Krukiem, swemu skrzydlatemu bratu żałuje skwarek!

Tymczasem stara baba wychynęła zza drzwi i podeszła bliżej biesiadującej trójki. Grimo sfrunął niżej i zasiadł na ramieniu Bjarniego. Pogromca Olbrzymów spojrział na kobietę z zaciekawieniem, Astrid zaś – z pewnym lękiem.

– Czciгодna czarownico... – zaskrzeczało ptaszysko, kłaniając się staruszce. – Jeszcze niedawno złorzeczyłem na ciebie, uważając, że omamiłaś mojego kompana.

– Ostrzegałam go, by nie szedł przez dolinę – powiedziała stara, krzywiąc usta. – Mieszają się tam porządki światów i niczego nie jest się pewnym. Ale

jednocześnie przyznaję, że można tam odmienić nawet i to, co już przeminęło, bo sen może stać się ciałem, a rzeczywistość marą. Najemnik powiedział, że skoro tak się sprawy mają, wybiera ten właśnie szlak.

– A mnie powiedział, żeś to ty go namawiała! – rzekł Grimo. – Już nigdy mu nie uwierzę...

– Gdybyśmy jednak nie ruszyli swego czasu niepewnym szlakiem – odezwał się Bjarni – tego wieczora nie moglibyśmy się cieszyć opowieściami największego spośród skaldów!

– To prawda – powiedziała wiedźma, pocierając swój haczykowaty nos i spoglądając na zasiadającego przy ognisku mężczyznę, który dzierżył w dłoniach złotą harfę. Dźwięki wyzwolone z pomocą jej strun raz po raz przywoływały wizje. – Wcale ładnie nam ten skald baja... – dodała, westchnąwszy. – Czy uwierzycie, gdy powiem, że przed stu laty, byłam najpiękniejszą dziewczyną w tej krainie, i to o mnie układano pieśni?

– Śmiem twierdzić, że niewiele uleciało z tego uroku, jeśli cokolwiek! – zaskrzeczał Grimo.

– A mnie się wydaje, kolego – odezwał się Bjarni – że nie potrafisz ani kłamać, ani prawić komplementów.

– Co to znaczy? – obruszyła się wiedźma, ale wojownik nie odezwał się już ani słowem, a zasiadająca na jego kolanach Astrid nie mogła przestać się śmiać. – Ach, śmiecie się, śmiecie ze starej! Dam wam jednak dobrą radę. Nie żartujcie sobie z wiedźm! Na wasze szczęście dzisiaj jestem w dobrym nastroju... Nieczęsto znajduje się okazja, by słuchać tak cudnych pieśni.

Bragi na moment odłożył harfę i, zebrawszy zewsząd słowa uznania, podszedł do stołu, przy którym siedział Bjarni z resztą towarzystwa.

– Osiągnąłeś mistrzostwo w snuciu opowieści, panie – ocenił Bjarni.

– Ja natomiast słyszałem niejedną pieśń – powiedział skald, spoglądając w jakąś, sobie tylko znaną dal – która sławiła wojownika o czarnej brodzie, przekłętego przez potężnego Glamrunga. Ten, którego zowią Krukiem i Pogromcą Olbrzymów, wędruje odtąd po świecie, nie mogąc zagrzeć nigdzie miejsca, bo gdzie się pojawi, tam rodzą się koszmary, z którymi można walczyć, ale bój to beznadziejny.

Astrid spojrzała na Bjarniego z lękiem i podziwem.

– Czy jesteś tym, którego sławią pieśni? – zapytała.

– W niejednej opowieści zawiera się częśćka mego życia, w żadnej nie brakuje też kłamstwa... Cóż jednak z tego? Nie lubię słuchać o sobie.

Grimo także podleciał bliżej i usiadł przy palenisku.

– Czy w pieśniach, które słyszałeś, panie, pojawia się też dzielny i mądry kruk imieniem Grimo? – zakrakało ptaszysko.

– I o tobie dowiedziałem się wiele, roztropny magu – odparł Bragi

z uśmiechem, co ucieszyło kruka. – Drogi Bjarni – skald zwrócił się do Czarnobrodego – czy nie lepiej byłoby odmienić zakończenie w opowieści, w której dzielny wojownik nie zdradza olbrzymowi swego prawdziwego imienia?

– Można byłoby powtarzać zmienioną pieśń, w której wojownik podstępem pokonuje olbrzyma i nie daje się unieść pysze – odparł Bjarni. – Czy opowieść zajęłaby jednak słuchaczy? Czy znaleźliby się chętni, by powtarzać ją dalej? Czy ktoś odczytałby jej morał? Zasmakowawszy boskiego miodu poezji, mógłbyś opowiedzieć tę historię na nowo, panie, zawierając w niej silny czar. Słuchacze pewnie widzieliby potyczkę z Glamrungiem jak żywą... Ale przekleństwo olbrzyma wciąż dźwięczałoby w mej głowie, a za sprawą echa powtarzane byłoby wśród szczytów i dolin. Można stworzyć nową ułudę, zakryć nią ziarno prawdy, tak jak perła okrywa ziarenko piasku wewnątrz muszli, ale nie da się odmienić wszystkiego. Ziarno to będzie kłuło mnie wciąż w oko... Zrozumiałem, że nie zmienię już tego, co się wydarzyło.

– Niewiele robisz sobie z siły opowieści – odparł Bragi, wzięwszy do ręki róg z miodem – Polubiłem cię, drogi Bjarni!

Grimo zaczął wiercić się niespokojnie.

– Tak, tak! – zaskrzeczał kruk. – Ach ci wojownicy i ich nonszalancja! A gdyby tak ułożyć małą pieśń o wyznającym się na magii kruka, który ratuje z opresji Pogromcę Olbrzymów? Albo znajduje złego czarnoksiężnika Holgiego i wyłupuje mu dziobem oczy?

– Albo o pięknej dziewczynie, którą młody jarl porwałby na koniec świata, by rzucić do jej stóp kosztowności i jedwabne suknie... – powiedziała z westchnieniem Astrid.

– Nie zapomnij też, drogi skaldzie – odezwała się wiedźma – zawrzeć w swej pieśni słowo o cudnej Heldze, która radziła ludziom jak unikać kłopotów, wyznawała się na ziołach, a w swej młodości była najpiękniejszą w dolinie!

Zaraz cała trójka, Grimo, wiedźma i dziewczeczka, zaczęła się przekrzykiwać. Bjarni z Bragim wstali zatem od stołu i śmiejąc się stanęli obok ognia, który tańczył w palenisku.

– Znowu ruszasz w drogę? – zapytał bóg.

– Bez celu i nadziei – odparł Bjarni. – Z jedną tylko myślą, by nie przeminać i wydać na świat opowieść, która przyćmi pieśń o feralnej potyczce z Glamrungiem. To jedyna szansa, by wyzwolić się z magii złego przekleństwa. – Pogromca Olbrzymów zamyślił się, a potem rzekł: – Wciąż myślę nad tym, co przytrafiło się Redgarowi... Jeśli nie chcesz, panie, to nie zdradzaj szczegółów waszej rozmowy, ale jestem ciekaw, co sobie powiedzieliście.

– Nie znajdziesz, Bjarni, pośród żywych pieśniarza – zaczął wyjaśniać Bragi – który nie usłyszałby wycia wichru i unoszonych przez niego słów Redgara opracionych w moją poezję. Starzec opowiedział mi historię o młodzieńcu, który

chciał zdobyć rękę pięknej dziewczyny i nie przez swoją winę stracił życie. A gdy niesłusznie ścięto mu głowę, kat zobaczył w oczach chłopaka obraz jego ukochanej.

– I nam Redgar o tym opowiadał – powiedział Bjarni, przypominając sobie miniony czas wędrówki przez tajemniczą krainę.

– Czy wspominał wam także o tym, że bąbał o własnym synu?

– Nie... – przyznał się Bjarni. – Tego się nie dowiedzieliśmy z jego opowieści, choć można się było tego domyślać.

– Redgar opowiedział mi tę historię z nadzieją, że dzięki mej pieśni pamięć o niesłusznie osądzonym nigdy nie zginie. Wyjawiłem jednak Redgarowi, że ułożywszy pieśń o zakochanym młodzieńcu, nie będę mógł ułożyć kolejnej o nim samym, a przecież ci, którzy przybywają do mnie, tego właśnie pragną. Redgar jednak nie zmartwił się tym, że jedna pieśń, to nie dwie ani trzy. Muszę trzymać się pewnych zasad. Starzec chciał, by opowiadano o jego synu. Poświęcił się dla niego.

– Sam zaś zmienił się w pył, który rozwiął wiatr wraz z dźwiękami harfy... Czy to twoja moc to sprawiła?

– Owszem – odparł Bragi. – Skoro mogłem ułożyć jedną tylko pieśń na cześć naszego spotkania, lepsza zatem zdała mi się historia o człowieku, który poświęcił swe życie, by zanieść największemu ze skaldów opowieść o nieszczęściu ukochanego syna! W tej historii zawarła się pamięć o potomku, ale także i samym Redgarze Nieustępliwym. W ten oto sposób i ojciec, i syn nie rozmyją się w ludzkiej niepamięci.

– Nie na darmo jesteś bogiem bąbarzy – powiedział z podziwem Bjarni.

– I czuję, że miód poezji znów krąży w moich żyłach!

Bragi ponownie zasiadł przy ogniu i wyciągnął swoją złotą harfę. Jej jasne dźwięki sprawiły, że wszyscy umilkli, nawet Grimo, Astrid i stara Helga, kłócący się o swój udział w pieśni. Miraże zrodzone z bąbań wydały się prawdziwsze od tego, co mogły uchwycić zmysły.

Wieś pośród pól zamigotała feerią barw, zrodzoną dzięki zakwitającym na polach kwiatom. Pewien mężczyzna, który opłakiwał śmierć syna, zasłuchał się w przyniesioną przez kupca historię. Gdzieś w dalekiej krainie miał mieszkać skald, dzięki mocy którego każda opowieść mogła stać się wieczną.

Tak to się wszystko zaczęło.

Bjarni sam słuchał z zaciekawieniem, a kiedy spojrzał na zdumionych ludzi, spijających słowa ze słodkich od miodu poezji ust bąbarza, zdawało mu się, że dostrzega wśród zebranych siwowłosego starca, a obok niego młodzieńca, zapewne syna. Obaj uśmiechali się z radością, patrząc na skalda, który powtarzał historię ich życia.

* * *

...Wystarczyło, że ktoś spojrział w jego oczy i od razu widział w nich blask podobny do tego, który płynie do nas z przestworzy podczas gwieździstej nocy. Jestem pewien, że gdyby gwiazda spadła na rubieżę naszego świata, wypaliłaby wszystko do cna. On także nosił w sobie ten płomień, który rozpalać może nadzieję pośród przenikliwej ciemności, palić żywym ogniem w gniewie oraz bitewnym szale, a także rozświetlać mroki podziemnych królestw. Tak poznałem niegdyś historię o tym, jak człowiek przezwany Krukiem wstąpił do podziemnych pałaców, zamieszkałych przez istoty do szpiku zła...

Z „Sagi o Kruku”

VII. Nieśmiertelny płomień

W trzewiach pochmurnej nocy zajaśniał blady ognek; zdawało się, że byle podmuch może go zagasić, że zrodził się tylko po to, by zadziwić świat na chwilę i zostać zduszonym przez czerń, która władała bezgwiezdą nocą. Płomyk przybierał jednak na sile, rósł i zbliżał się do wnętrza pustki, co zadziwiło przyglądającą się mu istotę.

Zakryta przez mrok postać, niezauważalna dla żywych i umarłych, poruszyła się. Było to dziecko podziemnego świata, który sięgał jeszcze bliżej korzeni ziemi niż sekretne sztolnie karłów. Wyściubiając głowę ze skalnej jamy, wybałuszając lśniącego ślepią, stwór przyglądał się z zaciekawieniem światu ludzi, obcemu i straszemu.

– *Czy widzisz to, co ja, Shaadrahu?* – Poczwara z niemałym zdziwieniem odezwała się do swego towarzysza, spoglądając na kołyszący się w ciemnościach płomyk. Jej mowa przypominała bulgot bagiennych wyziewów.

– *Widzę blask, mój przyjacielu, i mniemam, że ty również* – odparła równie pokraczna, choć nie całkiem podobna do swego podziemnego druha istota. – *To taki płomień, co nie razi w oczy, mimo że drzemie w nim siła równa tej gwiezdnej! Wiesz co, Gwaahu?* – rzekła poczwara, również wychylając głowę z grotu. – *Takiego światła się nie boję! Nienawidzę słońca i przeklinam białą tarczę, która odbija jego promienie, nie dając wytchnienia nawet nocą... A te gwiezdne świetliki? Co to za pomysł?* – Shaadrah zaczął kręcić głowę z dezaprobatą. – *Jeśli ci wstrętni bogowie urządzili już świat tak, że połową jego życia rządzi światłość, mogli oddać drugą część pod władanie całkowitej ciemności!*

– *A może to jednak jedna z gwiazd, tyle, że bliższa?* – wątpił Gwaah, widząc płomyk, który bez reszty uwięził jego spojrzenie.

– *Nieeee...* – Poczwara skrzywiła się z odrazą słysząc o – jak je sama nazywała – niebiańskich ognikach. – *Noc dzisiaj pochmurna, mój drogi kompanie. Niebo jest zakryte szczelnie oparami i blask żadnej z gwiazd tutaj nie dociera. A poza tym, czy kiedykolwiek mogłeś znieść widok gwiezdnej światłości dłużej niż przez moment?*

– *Tak, masz rację* – przytaknął Gwaah. – *Nocą świat mógłby być piękny, przynajmniej w księżycowy nów. Gwiazdy wydają się bardzo dalekie i zawsze błyszczą ponad chmurami, to fakt. Gdyby udało się zakraść na szczyt najwyższych gór, może dałoby się sięgnąć po jedną z nich. A ten płomyk przybliży się, jakby wprost pchał się w nasze ramiona. On sunie niemal przy ziemi. Przedziwne.*

Shaadrah zamyślił się głęboko.

– *To może być światło, którego z dawna już nie widzieliśmy* – odparł, wykrzywiając swoje długie, giętkie palce i oblizując je szerokim jęzorem, na którym widniały ropne bąble. – *Wieczne światło zamknięte w ciele śmiertelnej istoty.*

– *Wieczne światło?* – powtórzył Gwaah, dziwiąc się okrutnie. – *Mówisz zagadkami! Przechadzają się tędy śmiertelne istoty, to prawda. Słyszę głosy wielu nawet teraz. Niektóre lubią mrok jak i my. Większość wędruje na czterech kończynach. Inne potrafią się wzbić w powietrze. Ich ciała sycą, gdy czasem czuję głód wywracający moje trzewia. Nie widziałem jednak nigdy blasku uwięzionego we wnętrzu śmiertelnych istot.*

– *Po ziemi stąpają też dziwne, dwunożne stworzenia, które władają tą podłą dziedziną* – wyjaśnił Shaadrah. – *Rzadko tu się zapuszczają, bo chyba się nas boją. Choć to dziwne, bo są ponoć okrutne i nieczule.*

– *Boją się nas? Jesteśmy przecież mili... Zwłaszcza, gdy czyjeś ciało nasyci nasz głód. Ale nieważne... Powiedz lepiej coś więcej o tych dwunożnych dziwakach!*

– *Żyją chwilę tam, na górze, a potem ich ciało gnije i wydaje kuszące zapachy. Płomyk, który noszą w sobie nie gaśnie jednak, ale ulatuje do całkiem innego miejsca, nieznanego nawet bogom. Tam już płonie na wieki i nic nie jest go w stanie zagasić.*

– *To zastanawiające...* – rzekł Gwaah zamyślając się. – *Światło, na które spoglądam teraz, wydaje się inne od tego, przed którym uciekamy i którego nienawidzimy.*

– *Czy słyszysz?* – Shaadrah zaczął miotać się, gdy dobiegły go odgłosy płynące z wnętrza ziemi.

– *Nasi bracia!* – zawołał Gwaah z zadowoleniem. – *Tak rzadko opuszczają podziemne królestwo. Boją się podejść bliżej, ale także muszą widzieć ten blask. Nie sposób go nie dojrzeć.*

– *Bardzo chciałbym pochwycić ten ogień!* – zasyczał Shaadrah chciwie, szczerząc długie zęby i oblizując swoje wykrzywione paluchy.

– *Cóż stoi na przeszkodzie?* – zauważył Gwaah. – *Jest tak blisko! O, zobacz! Wystarczy podejść i wyciągnąć dłoń...*

* * *

Bjarni Kruk z zadowoleniem spoglądał na sielski widok, który w promieniach wschodzącego słońca sycił zaspane jeszcze oczy. Sięgające horyzontu pastwiska falowały lekko pod dotykiem ciepłych podmuchów wiatru. Soczystą zieleń przetykały żywe barwy kwiatów oraz górskiego ziela. Domy z kamieni i torfu, zbite w niewielkie sioła, wyrastały pośrodku łąk. Okolica zaczęła budzić się do życia – zewsząd dobiegały ludzkie nawoływania. W dali szarzało

pasmo gór, nad którym trwała niezmacona przez chmury połać błękitu. Na górskich szczytach jaśniała biel śniegów, szkląca się w pierwszych promieniach słońca i zdawać się mogło, że ktoś rozsiał wśród wzgórz złoty pył.

Jeśli coś mogło zakłócać spokój tego widoku, to jedynie sylwetka starego kruka, który zasiadał na gałęzi samotnego drzewa i spokojnie przeczesywał dziobem siwiejące pióra. Kto by go nie znał, mógłby uznać, że to wypatrujący padliny żalobny posłaniec.

– Jak minęła noc, Grimo? – zapytał Bjarni, przymykając powieki, by samemu przywołać w pamięci błogi obraz ze snów.

– Niespokojnie i bezsenne – odparł kruk z pewnym wyrzutem. – Trudno było oko zmrużyć, bo jęczał ktoś okrutnie wewnątrz chaty, na której dachu spędzałem noc. Mężczyzna – jak mniemam, ty – wraz z jakąś dziewczką oddawali się miłosnym uniesieniom. A potem ktoś okrutnie chrapał, jakby zmęczył się wielce!

– Nie przesadzasz aby?

– Nie sędzę.

– No cóż... – westchnął Bjarni. – Widać, że piękny sen na jawie dla jednych, to koszmar dla drugich.

– Nie pora na dysputy o snach albo ich braku – zawołał Grimo z gałęzi. – Dawno już po świtaniu, a to pora, byś zatroszczył się o jakiś sycący posiłek dla wiernego towarzysza niedoli. Kawalek sera mógłby się nadać. Albo jakaś skórka ze świeżej słoniny.

– Nie jestem twym sługą! – rzekł Bjarni z poirytowaniem. – Rozruszaj swoje stare skrzydła i upoluj sobie jakąś mysz albo żabę!

– Gdybym był pospolitym ptaszyskiem, może bym tak zrobił. Ale nie zapominaj, że jestem magiem i mędrce jedynie zaklętym w pierzastą postać! Takim jak ja nie wypada uganiać się za zwierzyną.

– To będziesz mędrce z pustym brzuchem! – odparł Bjarni, wzdychając raz jeszcze. – Mnie nie chce się kiwnąć palcem, tak się rozleniwiłem...

Grimo zakrakał jakby niegrzecznie, a potem zaczął trzepotać skrzydłami.

– Gnuśniej zatem dalej! – zawołało ptaszysko. – Skoro śniadanie nie chce przyjść do uczonego kruka, to kruk-mędrzec sam wybierze się po posiłek. Żegnaj, póki co! W górach na pewno czeka na mnie jakieś tłusta jaszczurka.

– Jak znam życie, podkradniesz coś z czyjejś spiżarni!

Grimo puścił tę uwagę mimo uszu i wzbił się w przestworza. Czarny punkt wkrótce rozmył się na błękitnym niebie.

Na twarzy Bjarniego zagościł uśmiech. Niewiele było potrzebne do szczęścia, zwłaszcza gdy siedziało się na progu przyjaznego domu z garncem chłodnego, mętneho piwa w rękę. Delektując się ciszą poranka, mężczyzna zaczął pić z ochotą, aż gęsta piana spłynęła strużkami po kruczoczarnej brodzie.

Po chwili poruszył się i powstał, słysząc ciche stąpanie. Dziewczyna, która –

jeśli dobrze tylko pamiętał – nosiła imię Freydhis, wyszła z izby i stanęła tuż obok niego. Miała włosy koloru zbóż i pokrytą piegami krągłą twarz, która zarumieniła się na słońcu. Pod prostą suknią rysowały się obfite piersi. Freydhis podeszła bliżej, schwyciła Bjarniego w pasie i tuląc głowę do silnego ramienia, zaczęła także wpatrywać się w dal.

– Zostaniesz na dłużej? – zapytała po chwili.

– Muszę ruszać przed siebie – powiedział Bjarni bez namysłu, choć z pewnym westchnieniem. – Jestem wdzięczny za gościnę, ale zabawiłem tutaj dzień i noc. To wystarczy. Mógłbym zostać dłużej, to prawda... I pewnie któregoś dnia zauważyłbym, że minął rok, albo wieczność! – Bjarni zaśmiał się. – To się dzieje z nieostrożnymi. Są zaklęcia, które nie potrzebują magii, ale bywają bardziej zwodnicze od niej i od pieśni skaldów także.

– Nic z tego nie rozumiem – westchnęła Freydhis. – Co to za zaklęcia, o których mówisz?

– Spokój. To jedno z takich zaklęć – powiedział Bjarni, z żalem wspominając porzucone krainy. – Jednym jest potrzebny do życia, a drugich zabija. Czyś słyszała kiedyś z ust bazarza pieśń o śmiałku, który zgładził olbrzyma, a potem nie mógł zagrzać nigdzie miejsca przez klątwę, rzuconą przez pokonanego giganta?

– Słyszałam – powiedziała. – Choć zdaje się, że to koniec świata, to i tu docierają opowieści o Pogromcy Olbrzymów. Jednak, jeśli mam być szczerą, wyznam ci, że nie wierzę w jego istnienie.

Bjarni zaśmiał się.

– Gdybym powiedział ci, że jestem nim właśnie, pewnie byś nie uwierzyła?

– Niełatwo mnie oszukać – odrzekła Freydhis. – A choć wierzę w twoje męstwo, trudno mi sobie wyobrazić, że mógłbyś pokonać jednego z gigantów, z którymi sami bogowie toczyli potyczki.

– Czy nie dzielnie spisywałem się nocą? – Bjarni objął dziewczynę i pocałował.

– Nie na tyle jednak, bym uwierzyła, żeś równy Thorowi!

– A widzisz! – Bjarni zaśmiał się w głos. – Ale w opowieści o człowieku, którego zwano Krukiem, kryje się prawda o losie każdego z nas. I mnie się czasem zdaje, że jestem tym pogromcą Glamrunga i gdy tylko zatrzymam się gdzieś na dłużej, wnet zostaję otoczony koszmarami. – Bjarni wtulił twarz we włosy dziewczyny. – Chciałbym zostać, ale któregoś dnia poczułbym, że ziemia się trzęsie, a olbrzym gotowy jest zdeptać moje domostwo.

– Skoro nie możesz zostać, to może weźmiesz mnie ze sobą? – powiedziała Freydhis.

Mężczyzna obrócił dziewczynę na pięcie, przybrał groźną minę, a potem zaczął wymieniać.

– Martwe pustkowie lodu, ślepiec bestii czających się w mrokach, złorzeczenia szczerbatych wiedźm i zsyłające szaleństwo na ludzi zaklęcia okrutnych czarnoksiężników... Czy porzucisz tę spokojną krainę, w zamian dostając niepewny los? Spójrz. – Bjarni wskazał dłonią na dolinę. – Wokół widać domy pełne radosnych ludzi i stada owiec pasących się na bujnych pastwiskach. Ta ziemia nie zna niepokojów, głodu i ognia wojen. Po co szukać szczęścia gdzieś indziej?

– Opowiadasz podobne bzdury każdej napotkanej dziewczce? – spytała, spoglądając Bjarniemu w oczy. – Może jestem prostą, wiejską dziewczyną, ale nie jestem głupia!

– Opowiadam tylko tym, które chcą porwać się na rzeczy niemożliwe.

– Cóż, jeszcze mnie nie znasz – odparła i nerwowo zacisnęła wargi. Bjarni uśmiechnął się tylko. Trwali przez moment w bezruchu, przytuleni do siebie i nieobecni jednocześnie. Jedno chciało zostać, drugie zobaczyć kawałek świata, ale żadne nie mogło dostać tego, czego pragnęło.

Spokój poranka szybko zmałował jednak głos rozpaczających kobiet, przenikliwy i przywołujący niepokój. I chociaż słońce dalej zalewało okolicę ciepłym blaskiem, jasność nagle gdzieś uciekła.

– Czy ktoś zmarł w tym domu? – zapytał Bjarni, spoglądając na pobliską chatę, z której wnętrza dobiegały dźwięki żałobnych pieśni. Domostwo wyróżniało się rozmiarem. Przypominało raczej dwór, bo zbudowano je z drewnianych bali. Stało zresztą w otoczeniu innych chat i zabudowań gospodarczych. Tamtejszego gospodarza stać było najwyraźniej na utrzymanie służby.

– Nie pomyliłeś się bardzo – powiedziała z pewnym lękiem Freydhis. – A może nawet powiedziałeś jak jest, choć chciałabym się jeszcze ludzić... Minęło kilka dni, odkąd młodzieńca Svanlaug, jedyna córka Ulfa, który jest starym wdowcem i panem tego domu, zaginęła w górach. Od tamtej pory oplakują ją służące. Są tacy, którzy uważają, że mógł spotkać dziewczynę los gorszy od śmierci... Ponoć Svanlaug była nieostrożna i nocą znalazła się opodal Bramy Piekieł.

– Bramy Piekieł? – Bjarni zmarszczył czoło.

– Zapomniałam, że nie jesteś stąd... – powiedziała Freydhis z pewną obawą, jakby niezadowolona, że musi opowiadać o sprawach, których lepiej nie przywoływać nawet w myślach. – Tutaj każdy słyszał o skalnej pieczarze biegnącej w głąb ziemi. Znajduje się ona niedaleko szlaku, który prowadzi wyżej w góry. Ludzie opowiadają, że jaskinia sięga mrocznych, podziemnych krain, gdzie mieszkają straszne i okrutne, nienawidzące światła istoty. Pochmurną nocą, gdy mrok spada na góry, potwory wypływają ze swej siedziby i porwują nieostrożnych, którzy zawędrowali w pobliże pieczary. Nie wiem, co o tym myśleć... Sama nigdy nie widziałam tych poczwary i oby już tak zostało!

– Nieważne, czy coś istnieje – dodał Bjarni, przeczesując palcami brodę, co zwykł robić, gdy pojawiała się w jego sercu nadzieja na podjęcie jakiego wyzwania. – Ważne, czy ludzie w to wierzą. Są opowieści, których czar jest bardziej namacalny od ziemskich, codziennych spraw.

– Nie znam człowieka z doliny, który własnowolnie zapuściłby się nocą w tamte okolice.

– Czemu zatem Svanlaug miałyby tak postąpić? – zapytał Bjarni i przysiadł na trawie. Freydhis uklękła tuż obok. – Dlaczego zbliżyła się do przekłętego miejsca, skoro wszyscy omijali je szerokim łukiem?

– Tylko miłość jest silniejsza niż strach – odpowiedziała Freydhis, przypatrując się uważnie Bjarniemu. – Mówią, że Svanlaug wymykała się wieczorami, by spotkać się ze swym ukochanym, który mieszka w sąsiedniej wsi. Długo udawało się jej utrzymać to w tajemnicy, ale wiesz dobrze, Bjarni, że plotki pokonają każdą przeszkodę i mają nadprzyrodzony dar, który pozwala im docierać do niepowołanych uszu. Młodzi spotykali się ukradkiem, gdy Svanlaug szła paść gęsi lub nad strumień, po wodę. Ktoś musiał ich w końcu zobaczyć. Mówiło się trochę o tym, że wybranek Svanlaug to prosty parobek, a przecież Ulf chciał kogoś lepszego dla swej jedynej córki. Stary wdowiec jest najbogatszym gospodarzem w całej dolinie. Ma liczne stado owiec i kufer, w którym nie brak srebra. Mówią, że mógłby wydać córkę jedynie za równego sobie albo nawet oddać ją jarlowi jako jedną z kolejnych żon. I podobno Ulf znalazł odpowiedniego kandydata, który nie mógł się spodobać Svanlaug. Dziewczyna uciekła do swego kochanka, gdy dowiedziała się o planach ojca. Wybrała najkrótszą drogę przez góry, myśląc, że zdąży przed zmrokiem, by o poranku spotkać się z ukochanym i uciec z nim w świat.

– Miłość jedno, rodzinne interesy – drugie – zawyrokował Bjarni. – Jeśli Ulf chciał córce wybić z głowy zaloty do parobka, to trudno dziwić się jego zapobiegliwości. Uczucie odchodzi szybko, a życie w nędzy bywa przekleństwem.

Freydhis spojrzała z wyrzutem na Bjarniego.

– Może i masz rację – rzuciła, wzruszając ramionami.

– Co było dalej? – Bjarni był najwyraźniej zainteresowany.

– Dziewczyna cztery dni temu poszła w góry nocą, jak sądzili wszyscy, do swojego ukochanego. Ale jeden z wieśniaków przechodził za dnia obok Piekielnej Bramy i usłyszał zawroźnienie Svanlaug, które dobiegało z wnętrza pieczary. Słyszeli jej wołania także inni, ale głos szybko ucichł pod wieczór. Nikt nie odważył się zapuścić do najczarniejszych tuneli. Kilkoro mężczyzn poszło z pochodniami w rękach, ale gdy zobaczyli w ciemnościach setki złowrogo świecących się oczu, uciekli. Od tamtej pory minęło dość czasu, by nadzieja, że Svanlaug wróci cała i zdrowa, mocno zbladła. Ulf jest stary i schorowany, a teraz, po tym wszystkim, trawi go gorączka, z której objąć pewnie już żywy się nie

wywinie. Gdy stary ojciec umrze, jego majątności przypadną jedynej córce i jej wybrankowi. Choć... – Freydhis zawahała się. – Nikt już chyba nie wierzy, że dziewczyna wciąż żyje. Mówi się co prawda, że gdy ktoś trafi do podziemnego królestwa, nie umiera szybko. Mroczne istoty chcą nacieszyć się strachem i bólem śmiertelnych. Straszliwy los spotkał Svanlaug!

– Co jednak stanie się z majątkiem, gdy dziewczyna nie odnajdzie się, a Ulf umrze? – zainteresował się Bjarni.

– Ulf nie miał więcej dzieci. Żyje jeszcze jego młodszy brat, Bjorn, który pochodzi z sąsiedniej wsi.

– Czy jakoś dopomógł w poszukiwaniach bratanicy?

– A jak myślisz? – Freydhis spochmurniała. – Ludzie mówią, że jest bardzo łąsy na ten majątek.

– Co z tym, którego kochała?

– Podobno też zniknął. Mówią, że wyruszył na poszukiwanie dziewczyny. Może i on przekroczył Bramę Piekieł po to tylko, by już nie powrócić do żywych?

Bjarni zamyślił się i zaczął targać brodę.

– Może jednak zatrzymam się w tej dolinie, choćby na dzień dłużej... – powiedział po chwili – ...skoro są tu sprawy, które mogą mnie zająć?

Oblicze Freydhis spąsowiało w jedną chwilę. Dziewczyna zerwała się z miejsca. Nagle z łagodnej i pełnej uroku, zmieniła się w gradową chmurę, gotową zniszczyć wszystko.

– Ty łotrze! – zawołała i zaczęła okładać Bjarniego pięściami. – A więc to tak!

– Uspokój się, dziewczyno! – Czarnobrody odskoczył jak poparzony od szalejącej Freydhis. – Co cię opętało? Czy nagle postradałaś zmysły?

Kobieta z gniewem rzuciła się do drzwi chaty, a potem wybiegła z nich, trzymając w rękach gliniany dzban.

– To ty zarzekasz się, że nie możesz zostać, a gdy słyszysz o jakiejś młodej dziewczynie na wydaniu, to oczy ci się świecą? Co sobie myślisz? Że uratujesz śliczną Svanlaug, a ona zostanie twoją żoną? Niedoczekanie twoje! Nie jesteś dla niej dość dobry. Ty psi synu! Ty zadzie barani! Lepiej najmij się jako parobek u Ulfa! Tam twoje miejsce, w chlewie! Pogromca Olbrzyma! – zaśmiała się. – Patrzcie go... Włóczęga szukający naiwnej dziewczyny! Obszarpaniec, któremu marzy się zająć młódcę pod spódnicę!

Ludzie powychodzili z chat, by przypatrzeć się osobliwej scenie. Bjarni śmiał się głośno, trzymając się za boki, słuchając jak Freydhis, rumiana jak jeszcze nigdy, wymyśla coraz to podlejsze wyzwiska. Dobry humor nie opuszczał go, choć raz po raz musiał uchylać się, gdy któreś z glinianych naczyń, rzucanych przez wściekłą z miłości dziewczynę, leciało w stronę jego głowy.

Na gałęzi dębu, o którego pień roztrzaskało się tego dnia wiele naczyń,

wylądował w końcu Grimo. Stary kruk dzierżył w dziobie upolowaną mysz. Zręcznym ruchem pochwycił zdobycz w pazury i zaczął z zaciekawieniem łypać okiem na Bjarniego i Freydhis.

– No, no, no! – zaskrzeczał. – Wystarczy cię na chwilę spuścić z oka, a ty już dokazujesz z dziewczkami!

– Zamilknij! – zawołał Bjarni, uchylając się przed kolejnym garncem, który poszybował w jego kierunku. – Dobrze ci radzę.

– Mierzyłeś się z czarnoksiężnikami i olbrzymami, ale cóż to znaczy w porównaniu z zazdrosną kobietą! – powiedział Grimo i zabrał się ze spokojem za upolowaną mysz. – Niegodny to posiłek dla uczonego kruka, ale w słoneczny poranek, przy takim widowisku, smakuje wybornie!

* * *

W mrokach bez dna kłębiły się czarne ciała, podłużne, chude, z długimi, giętkimi kończynami, z materii zrodzonej ze złych snów. Ludzkie oko nie mogłoby tego dostrzec, chyba, że z pomocą magii.

– *Słyszysz, Shaadrahu? Krzyki tej istoty stają się cichsze... Ledwo, ledwo je teraz słychać.*

– *Tak!* – przytaknął Gwaah. – *Słabną z każdą chwilą. Ale to wcale nie jest najgorsze!*

– *Płomień... Płomień, który nie razi i nie pali! On gaśnie. Czyżby nie miała już sił?*

– *Nasi bracia lgną do niknącego blasku. Jest ich coraz więcej.*

– *Nie zagaście, nie zagaście płomienia, głupcy!* – zawołał Shaadrah z żalością w głowie. – *Im bardziej go pragniecie pochwycić, im mocniej oplatacie go swymi ciałami, tym staje się węższy!*

* * *

Bjarni schodził ostrożnie górską ścieżką w głąb podłużnej doliny, gdzie widać było niewielkie sioło, opatulone przez podnoszące się z łąk opary. Ponad dachami domostw unosił się dym palenisk. Na przeciwległym stoku wypasano wielkie stado owiec, podobne do obłoków, które spadły na soczystą zielenią traw.

– Pewnie szłoby mi się znacznie wygodniej – odezwał się Bjarni – gdyby na moim ramieniu nie siedziało ciężkie ptaszysko...

– Proszę mnie nie obrażać! – obruszył się Grimo. – Dbam ostatnio o wagę i można powiedzieć, że jestem wręcz smukły. Zważ także na to, że zapewne znużyłaby cię podróż przez góry, gdyby nie rozumny, zabawiający rozmową towarzysz.

– A zatem, skoroś taki chętny do dysput, powiedz mi, drogi Grimo, co sądzisz o zniknięciu Svanlaug?

– Myślę, że nieroztropnie jest mieszać się w sprawy tutejszych wieśniaków, dopomagać im jakoś szczególnie, czy obdarzać zaufaniem – odparł kruk. – Nie przystoi to komuś o twojej reputacji, Bjarni... A mojej tym bardziej! To po pierwsze... Po drugie zaś, nocą, zamiast wypoczywać, co w moim wieku byłoby wskazane, wybrałem się, za twoją usilną namową, w podniebną podróż i dowiedziałem się tego, jak również i owego. Czego by nie mówić o tutejszych zabobonnych prostakach i ich starodawnych gusłach, muszę przyznać, że w opowieściach o groźnych istotach, które wylażą z Bramy Piekieł, czai się jakieś ziarno prawdy.

– I ja w to nie wątpię – rzekł Bjarni, ześlizgując się po stoku. – Czyżby czarne elfy wylażyły z tej pieczary?

– Nawet jeśli nie one, to stworzenia, które przywołały tutaj podobne lęki i tajemnicze podszepty. Pewien stary puchacz, który zwykł od czasu do czasu przesiadywać na starym, sękatym drzewie strzegącym wejścia do osławionej jaskini, nie raz widział w mrokach pieczary czerwone ślepia i słyszał dobiegający stamtąd charkot.

– Gadasz z puchaczami? – zdziwił się Bjarni.

– Gdy sytuacja tego wymaga! Zresztą to nic strasznego czy przykrego. Puchacze to zwykle bardzo roztropne stworzenia. Nie można tego powiedzieć o sokołach, którym powietrzny pęd wywiał resztki rozumu z głowy, czy o łasych na świecidełka srokach, podobnych do wpatrzonych w pierścionki chciwych karłów. Z kolei dziwne ptaszyska z Południa o pstrej barwie i mocnych dziobach, co powtarzają ludzką mowę bez namysłu, są jak nudni skaldowie, którym pożałowano miodu poezji... Ale czy interesują cię w ogóle takie sprawy jak ptasie manieri i obyczaje?

– Rzeczywiście, mało mnie to zajmuje – przyznał Bjarni. – Czy dowiedziałeś się czegoś jeszcze?

– Nocą sprawiedliwi śpią i z rzadka dobiegają wtedy ludzkie głosy, poza twym gromkim chrapaniem. Sądzę, że po północy słychać wyraźnie mowę jedynie tych, co knują przeciw śpiącym. Gdy przelatywałem w blasku księżyca ponad górami, słyszałem zbyt wiele szyderczych chichotów dobiegających z doliny, która otwiera się teraz przed nami. A było to dawno po tym, jak kur zapał po raz drugi!

– Na śmierci Svanlaug najwięcej zyska brat Ulfa, który mieszka we wsi, co maluje się przed nami. Byłbym wielce zdziwiony, gdyby okazało się, że nie przyczynił się do zniknięcia dziewczyny.

– Uknuł zapewne jakiś spisek – przyznał Grimo. – I mnie się tak wydaje!

– A że w najkrótszej drodze ku Bramie Piekieł, trudno nie przejść obok sioła, gdzie marny i zawistny żywot wie dzie Bjorn, warto grzecznie wypytać gospodarza o parę spraw, które nas nurtują.

– Spójrz! – powiedział kruk, trzepocząc piórami. – Wieśniacy zbierają się

już, by cię powitać.

Bjarni spostrzegł również, że kilkoro mężczyzn wyszło z chat i stanęło w pobliżu płotu, który opasał sioło. Miny malujące się na ich twarzach były srogie.

– Są ostrożni – rzekł Bjarni. – Trudno im się dziwić, żyją w odludnej krainie, a gość nie może zwiastować tutaj niczego ponad kłopoty. Zwłaszcza, gdy towarzyszy mu gadający kruk...

– Mam wrażenie, że ty i ci wieśniacy napytacie sobie kłopotów po równi – odparł Kruk, a wznosząc się wyżej, zaskrzeczał – Zrozumiałem jednak aluzję. Już znikam. Poczynię zwiad z powietrza! I będę ci podpowiadał co i jak!

Bjarni nie powiedział już ani słowa, poprawił jedynie miecz i zaczął uważnie przyglądać się każdemu szczegółowi okolicy. Czwórka barczystych mężczyzn o nalanych, pokrytych zarostem twarzach nie spuszczała go z oka. Gdy zbliżył się wystarczająco, podniósł dłoń w pozdrawiającym geście.

Zaraz miało się okazać, że wieśniacy nie witają obcych z otwartymi rękami. Każdy z kmieci dzierżył w dłoni widły bądź pałkę.

I wkrótce zapragnęli zrobić z nich użytek.

* * *

Gdyby z rzadka uczęszczanym szlakiem przejeżdżał właśnie jakiś podróżny, pewnie dziwiłby widokowi roztaczającemu się za skalnym wyłomem. Bardzo też możliwe, że zbłąkany wędrowiec, zamiast zatrzymać się i zastanawiać nad tym, co widzi, popędziłby chabetę ciągnącą wóz albo szybciej wyciągałby nogi, byle opuścić nieszczęsne miejsce, w którym dzieją się dziwy.

Po co bowiem kusić los, nawet, gdy ten stawia nam na drodze takie osobliwości? Na pochylonym, ogołoconym z liści drzewie, powieszono za nogę skrępowanego i zakneblowanego człowieka. Tuż pod nim, na wielkim kamieniu, zasiadał pochmurny człek o gęstej, czarnej brodzie. Zbrojny ostrzył miecz o kamień i pogwizdywał, grzejąc się jednocześnie przy ognisku; ostrze zaś zdawało się być pokryte świeżą jeszcze krwią. Widoku dopełniał wielki, sędziwy kruk, przestępujący na spróchniałej gałęzi drzewa z nogi na nogę. Żeby tego było mało, ptaszysko odzywało się raz po raz ludzką mową i można by rzec, że gadało dwornie, a czasem to nawet z sensem.

Wszystko to w dodatku działo się opodal wejścia do górskiej pieczary, którą zwano Bramą Piekieł i która dla okolicznych mieszkańców była przeklętą.

– Mówią o tobie, drogi Bjornie, żeś bardzo łasy na srebro – rzekł Bjarni. – Nie oceniam chciwców źle, sam w końcu lubię zanurzyć dłoń w sakwie pełnej monet... Gorzej jednak, gdy ktoś dla kosztowności plami się zbrodnią!

– Wmówiłeś zakochanemu w Svanlaug parobkowi, że dopomożesz ich miłości – powiedział Grimo. – Posłałeś sługę, by namówił dziewczynę do ucieczki z domu, przed losem, który zgotował jej twój brat. Wiedziałeś, że bratanica kocha

innego niż ten, który został jej wyznaczony przez Ulfa. Poszła najkrótszym szlakiem przez góry, a gdy przechodziła opodal Bramy Piekieł, zabiliście ją, a ciało zaciągnęliście do górskiej pieczary. Gdy zaś ukochany udał się na poszukiwania dziewczynki, wbiłeś zdradziecki sztylet w jego plecy, a ciało porzuciłeś w lesie wilkom na pożarcie. Wiem to od moich pobratymców, którzy są biegli w szukaniu padliny. Tej jednak nie ruszyli! Nawet wrony zapłakały nad losem parobka! Teraz pozostaje jedynie czekać, aż stary i schorowany Ulf odejdzie w zaświaty, a rychle to terminy...

Bjarni podszedł do wiszącego na drzewie Bjorna i wyciągnął z jego ust knebel. Mężczyzna ledwo widział na spuchnięte od ciosów oczy, a w jego ustach brakowało dwóch przednich, wybitych zębów. I tak skończył lepiej niż kilku jego rozplątanych mieczem towarzyszy.

– Nie pora, byś znowu kłamał – powiedział Bjarni. – Czy mój pierzasty przyjaciel pomylił się, kreśląc swą kruczą mową wypadki ostatnich dni?

– Nie bardzo... – wyjąkał Bjorn, krztusząc się własną krwią i wypluwając trzy zęby. – W jednym... W jednym tylko się pomyliłeś. Sam nie ufałem opowieściom, których usłyszysz w okolicy bez liku. Nie wierzyłem, że górską pieczarę zamieszkują piekielne stwory. Ale... – Bjorn zakrztusił się. – Tamtej nocy, po zmierzchaniu, rzeczywiście coś musiało się stać, bo dziewczyna, idąc górskim szlakiem zniknęła... Szedł z nią mój sługa, gotowy poderżnąć jej gardło, ale stracił Svanlaug z oczu, gdy przechodziła wraz z nim obok pieczary... Nikt z nas nie zdążył podnieść na nią ręki. Może... Może jednak stare opowieści nie kłamały? Wziąłem ze sobą młodziana, którego umiłowała dziewczyna i powiedziałem, że jakieś zło spotkało Svanlaug opodal przekłętej jaskini. A kiedy doszliśmy na miejsce... Z pieczary dobiegał przerażony, dziewczęcy głos.

– Czy wybranek nadobnej Svanlaug ruszył do wnętrza? – zapytał Bjarni.

– Chciał, ale nie zdążył – wyjaśnił Bjorn. – Skręciłem mu kark, a ciało rzeczywiście porzuciłem w górach. Kto wie? Czasem miłość jest w stanie dodać sił. Za dużo słyszałem opowieści o tym, jak miłującemu młodzieńcowi udawało się pokonać piekielne bestie, by uratować wybrankę serca. Nie mogłem... Nie mogłem ryzykować!

– Przynajmniej jesteś szczery – rzekł Czarnobrody.

– Pewnie sądzisz – Grimo zwrócił się do Bjorna – że podążymy na poszukiwania i już nie wrócimy, a ty wymkniesz się karze? Aj, naiwny...

Bjarni spojrział w czernią zagłębiającą się we wnętrzościach gór Bramy Piekieł. Rzeczywiście, dziwne głosy dobywały się z czeluści.

– Co zatem mi radzisz, Bjornie? – zapytał Pogromca Olbrzymów.

– Wypuść mnie, panie i poniechaj poszukiwań – odparł mężczyzna. – Gdy Ulf wyzionie ducha lada dzień, a Svanlaug zostanie uznana za martwą przez starszą, co musi stać się wkrótce, odziedziczę majątek brata. A wtedy podzielę

się z tobą jego dobrami.

– Tak nisko cenisz sobie własne życie? – Czarnobrody nachylił się nad ospowatą twarzą wisielca i uśmiechnął się. – Pół majątku jakiegoś kmiecia ma mnie zadowolić?

– Oddam ci wszystko, jeśli chcesz, ale wypuść mnie!

– To już lepsza propozycja – zauważył Bjarni i zerknął raz jeszcze w bezdnie pieczary. – Co sądzisz, Grimo?

– Cóż... – rzekł kruk, namyślając się. – Chyba będziemy musieli przyjąć tę propozycję.

– Ja mam inną, Bjornie – powiedział wojownik, nachylając się do ucha wisielca. – Bardzo chciałbym, by twoje słowa okazały się prawdziwe. W końcu jesteś już pospolitym mordercą, gorzej, gdybyś miał okazać się być i kłamcą. Jeśli prawdę rzekłes, że Svanlaug znalazła się w piekielnej głębi, to jest jeszcze odrobina nadziei, że odnajdziemy ją żywą. To jak będzie? Twoje życie za życie pięknej Svanlaug? Niezbyt intratna to oferta, nawet jak dla bezrozumnych poczwary, ale nie zaszkodzi spróbować... Może istoty zamieszkujące tę oślizgłą siedzibę przystaną na taki układ. Czy to czarne elfy, czy inne poczwary, których może nikt, kto przy życiu został, nie oglądał, warto spróbować się dogadać.

– Nie! Błagam! – zawołał żałośnie Bjorn. – Nie każ mi schodzić do wnętrza pieczary!

– Przyłączam się do apelu, Bjarni! – zawtórował mu Grimo. – Możesz wierzyć lub nie, ale rzeczywiście z wnętrza tej bezdni dobiegają złowieszcze szepty, w języku, którego uczony kruk nie potrafi rozpoznać... A mądry, stary puchacz rzekł mi zeszłej nocy, że żyjące tutaj istoty nigdy nie okazują miłosierdzia.

Bjarni wysłuchał tych uwag, ale nie powiedział nic, tylko uderzeniem miecza przeciął linę, z pomocą której uwiązał wcześniej za nogę Bjorna.

– A mnie się zdaje, że to wszystko tylko czar starych, złowrogich opowieści, które przegoniły z tej krainy radość.

* * *

– *Nic... Nic już niemal nie zostało z kuszącego blasku!* – zawołał z trwogą Shaadrah.

– *Coście, bracia, czynili...* – Gwaah rozłożył z żalem szponiaste dłonie i z wyrzutem spojrzął na swych pobratymców.

Wtem Shaadrah zaczął poruszać się niespokojnie.

– *Czy słyszysz?*

– *Co znowu?*

– *Ktoś ku nam się zbliża* – rzekł Shaadrah, sam dziwiąc się własnym słowom.

– *Nikt... Nikt nie śmiał nigdy nas odwiedzać!* – zawołał z lękiem Gwaah. –

Czego chce? Czego szuka? Już my zgotujemy mu odpowiednie powitanie!

* * *

We wnętrzu jednej z podziemnych grot kłębiło się od bytów zrodzonych z łona złej magii. Tak przynajmniej uważał Grimo. Gdy szli przed siebie, uczony kruk ciągle powtarzał, że ktoś im się przygląda i ich podsłuchuje. Pióra na ciele maga jeżyły się nieustannie.

Jednak gdyby nie mroki i zła sława, która łączyła się z tym miejscem, można by się było zachwycić jego pięknem, a przynajmniej szczątkami piękna wylawianymi przez liche światło. Skalne sople, kolumny, nawisy, szklące się zielonkawą barwą podziemne jeziora – ich oczom ukazywały się najprawdziwsze komnaty, dobre i dla krasnoludzkich królów.

– Bądź ostrożny, Bjarni – zakrzyczał Grimo.

– To tylko jaskinia – odparł wojownik, popędzając skrępowanego i zakneblowanego Bjorna. – Owszem, mroczniejsza i wilgotniejsza od wielu, ale to najlepszy powód tego, że nie została zamieszкана. Podejrzewam, że Svanlaug skryła się we wnętrzu tunelu, gdy udało się jej wyrwać słudze Bjorna. Pewnie zorientowała się, że nie miał on dobrych zamiarów. Nietrudno jednak skrócić tutaj nogę, ale wpaść do jakiejś skalnej studni.

– Czuję tu obecność złowrogich istot – powiedział Grimo. – Zaklęcia, które zrodziły te byty, są starsze niż świat.

– Czyżby oznaczało to, że dawno przestały działać? – rzekł z przekąsem Bjarni, ale i on czuł się nieswojo. Trzeba było zachować wiele rozwagi, gdy schodziło się po wilgotnej, śliskiej skale. Woda kapiała zewsząd i kaptur najemnika przemakał już, a płomień dzierzzonej w dłoni pochodni zaczął przygasać.

– I co, Bjornie? – odezwał się Czarnobrody, szarpiąc za linę, którą obwiązał bogatego kmiecia. – Gdzie Svanlaug? A może jednak ją zabiłeś, a ciało porzuciłeś w innym miejscu?

Mężczyzna zajęczał, a w jego oczach widać było tylko strach.

– Słyszysz Bjarni? – odezwał się Grimo. – To te istoty... To one! Jesteśmy zgubieni!

– Tak... to chyba czyjś głos. Bardzo słaby – odparł Bjarni, wyężywszy słuch, a potem krzyknął: – Svanlaug!!! Czy to ty?!

– Bjarni... – szepnął Grimo i schował dziób w skrzydła. – Co za brak roztropności. Głupiec...

Krzyk wojownika odbijał się od ścian górskiej pieczary, roznosił po jej korytarzach, niósł aż do przedsionka piekieł, gdzie jaskinia zdawała się sięgać.

– Brawo, herosie, brawo! – zaskrzeczał kruk. – Jeśli jeszcze ktoś w jądrze tego przeklętego, podziemnego świata nie wiedział, że się skradamy, to już nie tylko sam czuje się zaproszony do uczyty złożonej z naszych ciał i dusz, ale

i przywołuje z ochotą swych towarzyszy!

– Któż miałby nas usłyszeć, poza Svanlaug, jeśli jest jeszcze wśród żywych?

– zapytał Bjarni, zaciskając ze złości zęby.

– Są tutaj, wyczuwam ich obecność! – zawołał Grimo. – Dziesiątki, a może setki. Kłębią się w ciemnościach, niewidoczne z pozoru, podobne do cieni wśród mroków nocy. Nienawidzą widać hałasu i gości, bo ich ciała zapłonęły złą magią, z której są zrodzone.

Grimo oniemiał. Wyszepcane przez niego zaklęcie sprawiło, że kruk mógł przeniknąć na moment przez pierwotną ciemność. Grota ukazała się mu w całej swej okazałości. Wysokie kolumny, pokryte skalnymi naroślami, wspierały upstrzony czarnymi stalaktytami strop. Istoty o ciałach giętkich i oślizgłych, niepodobnych do ludzkich, przypatrywały się z nienawiścią gościom, gotowe rzucić się na żywych i porwać ich ku głębszym jeszcze czeluściom.

– Biada, biada nam! – zakrakał kruk na trwożę, zemdlony niemal widokiem zebranych w grocie groteskowych ciał i wydzielanym przez nich odorem.

– Nie widzę chyba tego, co ty, Grimo – szepnął Bjarni, zaniepokojony dziwnym zachowaniem towarzysza i trzymając mocno szarpiącego się Bjorna. – Jedyne czerń wypełnia tę grootę.

– Czy ktoś, kto nie jest sokołem, potrafi dojrzeć małego królika z przestworzy, gdy ten chowa się wśród traw? Znam się na magii i dostrzegam jej przejawy tam, gdzie inni nie. A teraz mówię ci, uciekajmy!

I Bjarniemu zdało się, że słyszy jakieś głosy i czuje czyjąś obecność. Odruchowo sięgnął po miecz. Bjorn strwożył się i osunął na kolana.

– Już przyglądają się nam z ochotą! Ratujmy się! Bierzmy nogi za pas! – wołał Grimo, a Bjarni zamachnął się ostrzem.

Płomień pochodni zagasł na dobre i czerń pochłonęła wszystko.

* * *

Mroczne postaci uciekały głębiej w kierunku korzeni potężnych gór, bliższych podziemnym krainom niż ich wierzchołki niebiosom. Tam można było liczyć na bezpieczne leże, dalekie od świata ludzi, żalonych istot gotowych wmieszać się w przerastające je sprawy.

– *Widziałeś? Widziałeś to, Shaadrahu?*

– *Tak, tak! Widziałem to i słyszałem także!* – odparła trwożnie istota. – *Dwóch ludzi, w tym jeden jaśniejący niezwykle silnym płomieniem, silniejszym niż kiedykolwiek widziałem. Groźnym i nieprzystępnym! O drugim nie warto mówić... Zagasić go łatwo, a choć płonie, to brak w nim miłego światła.*

– *Ale to nie największy dziw przecież!* – zawołał Gwaah. – *Trzeci... Trzeci płomień!*

– *Mocny i jasny, nieśmiertelny płomień w ciele skrzydlatej istoty, która nie*

powinna go nosić! Ileż to ja latających stworzeń oskubałem z pierza, by dostać się do sycącego, ciepłego mięsa... Żadna jednak z tych istot nie miała w sobie duszy! Ta zaś była wyjątkowa... To magia, której należy się lękać!

– Spójrz, zabierają nam ogień, który cieszył nas ostatnio. Zostawiają za to inny!

– A niechże go biorą ze sobą! Prawie już zgasł... Pora zanurzyć się w mrok. Tam nam będzie najlepiej.

– Masz rację, masz rację!

** * **

Bjarni prowadził ostrożnie swego rumaka trzymając wodze w jednej dłoni, drugą zaś ręką podtrzymywał Svanlaug, siedzącą przed nim, wciąż pozbawioną zmysłów. Dziewczyna była bardzo osłabiona, ale wydawało się, że pod odpowiednią opieką szybko odzyska siły.

Pogromca Olbrzymów, pogwizdując radośnie, przyglądał się wiosennemu krajobrazowi.

– I co, Grimo? – spytał skrzydlatego towarzysza, który zasiadał mu na ramieniu. – Nie miałem racji? Żadnych złych mar nie widzieliśmy w pieczarze. Narobiłeś rabanu i jeszcze przypadkiem przeciął bym cię mieczem.

Kruk zakrakał na znak protestu.

– Powinieneś powiedzieć: „Ja, Bjarni Kruk, nie widziałem żadnych mar w pieczarze”. Tak byłoby poprawnie, skoroś ślepy!

– Tylko mrok i wilgoć. Nic poza tym. I trochę przesądów, które mogą namieszać w głowie podatnym na klechdy!

– Gdy czyjeś ciało różni się od ludzkiego tak bardzo – zaczął wyjaśniać Grimo – że niepodobna określić jego materii, a stworzone zostało z zamysłem, by ukrywać się w ciemnościach, niełatwo je dostrzec czy dotknąć. Może stać się na jakiś czas podobne do dymu albo i cienia, który przeniknie skałę, a na powrót przybrać bliskie naszemu oblicze, gdy trzeba kogoś skrzywdzić, przeciąć żyłę pazurem, wbić się zębami w czyjeś gardło albo zadusić życie gadzią, wijącą się cielesnością... Natomiast język niektórych istot może przypominać szmer podziemnego źródła lub stukot spadających kamyków – wszystko po to, by nie rozpoznały go żadne uszy, którymi natura obdarzyła śmiertelników. Byli wśród nich królowie, strażnicy, dworzanie i podli słudzy... Wydawało mi się, że wyłapałem niektóre słowa, choć nie śmiałybym powtarzać tych zaklęć teraz, gdy świat zdaje się budzić do życia.

– I śmiesz twierdzić, żeś to wszystko widział i słyszał w tamtej jaskini? – zdziwił się Bjarni.

– Tak, właśnie tak! – powiedział bez wahania Grimo. – W którymś momencie te przedziwne stworzenia odstąpiły jednak, jakby czegoś się

wystraszyły. I tego nie rozumiem, bo nie wydawało się, by twój miecz wydał im się straszny...

– Może przeraziły się gadatliwego kruka? – zaśmiał się Bjarni. – Zaskrzeczałeś w pewnym momencie tak, że sam podskoczyłem.

– Co by nas nie uratowało, to mieliśmy sporo szczęścia. – Grimo nastroszył pióra. – Jesteśmy żywi, ale nie śmiałybym się już zbliżyć do tego miejsca...

Bjarni chciał sobie jeszcze zażartować, ale minorowy ton, który zabrzmiał w głosie kruka, dał mu do myślenia. Może rzeczywiście jakaś groza czaiła się w zapomnianej przez ludzi i bogów pieczarze?

– Zostawiłeś tam Bjorna – odezwał się Grimo po chwili. – Czy to nie okrutne?

– A co żeś się zrobił taki sentymentalny? – obruszył się Bjarni. – Jeszcze żałujesz go po tym, czego się dopuścił? Może jego kompanii pobiegną mu z pomocą?

– Wiesz dobrze, że nikt z tutejszych nie wejdzie do wnętrza jaskini.

– Doprawdy? – Bjarni wyszczerzył zęby. – No to Bjorn jest w kłopotcie.

Kruk załopotał skrzydłami.

– Co będzie, gdy Svanlaug się przebudzi i dowie się, że jej wybranek nie żyje, zamordowany przez własnego stryja?

– Pozna prawdziwą opowieść o tym – rzekł Bjarni – jak została w niecny sposób oszukana. Zapewne prawda pozbawi dziewczkę zmysłów raz jeszcze i oszpeci widoki na przyszłość. Ale będzie to najprawdziwsza z prawdziwych opowieści, która oskubie jej życie z wiary w dobrze kończące się historie...

Przez resztę podróży nie mówili już nic. Wkrótce dojechali do skraju znajomej wsi, a kiedy zostali zoczeni, szybko plac zapełnił się wieśniakami. W dosiadającym karego rumaka mężczyźnie nietrudno było rozpoznać tajemniczego przybysza, który niedawno nawiedził dolinę. Musiała jednak minąć chwila, nim wieśniacy zorientowali się, że czarnobrody jeździec wiezie z sobą młodzieńką Svanlaug, którą wielu już przecież widziało w objęciach śmierci.

– Witajcie, witajcie, poczciwi wieśniacy! – zawołał Grimo. – Zabierzcie Svanlaug, połóżcie ją na posłaniu i zawołajcie kogoś, kto wyznaje się na ziołach. Zaraz zarządzę kurację, która postawi dziewczkę na nogi. Poświęciłem wiele lat życia na studiowanie medycznych ksiąg i wiem to, a nawet wiem i owo w temacie!

– Nie wiem, jak się odwdzięczymy, panie – powiedział jeden z mężczyzn, zwracając się do Bjarniego. Pokażna grupka kobiet i mężczyzn, pozdrawiających jeźdźca uśmiechami i ciepłym słowem, stłoczyła się wokół rumaka.

– Jak zwykle wojownik o zakutaj głowie spija całą śmietankę! – szepnął Grimo i zaraz musiał ulecieć na gałąź okolicznego grabu, uciekając przed próbującą go zrzucić dłonią Bjarniego.

– Nie potrzebuję nic w zamian. Może poza noclegiem... – rzekł Pogromca

Olbrzymów, ale gdy dojrzał przy niedalekim czerwona ze złości Freydhis, która trzymała w dłoni sękaty kij, dodał: – Choć zdaje mi się, że powinienem wyruszyć niezwłocznie.

– Czyżby wojownik – zaskrzeczał z gałęzi kruk – który udał się do przedsionka piekieł i mimo swej nieroztropności, ocalał przed gniewem do cna złych istot, ponownie miał cofnąć się przed furią zazdrosnej kobiety?

– Nazwij mnie tchórzem, Grimo – powiedział Bjarni i machnął wieśniakom na pożegnanie ręką – ale z pewnością mało wiesz o bojowej taktyce.

– Podejrzewam, że przeczytałem więcej uczonych pergaminów o prowadzeniu batalii, niż ty ich stoczyłeś! – stwierdził Grimo, zasiadając ponownie na ramieniu towarzysza i spoglądając na zaskoczonych wieśniaków.

– Czyś słyszał coś może o... – Bjarni zawahał się szukając dobrego określenia – Czyś słyszał kiedy o taktycznym odwrocie?

– Mało to honorowe, ale często rozropne – przytaknął Grimo z zadowoleniem.

– A zatem wybieram rozwagę.

– Oby częściej!

Popędzając rumaka, Bjarni ruszył w kierunku nieznanego szczytu gór.

– Żegnaj, Freydhis – zawołał do stojącej u płotu dziewczyny, gdy wieś mieli już za sobą. – Zawsze będziesz dla mnie jasnym wspomnieniem, iskrą pamięci rozświetlającą mroki przeszłych dni.

Rumiana dziewczyna, wygrażając dłonią, zawołała.

– Tylko nie mów tego kolejnej dziewczce, w kolejnej wsi!

– Możesz być pewna, pani – odparł Grimo, machając z zadowoleniem skrzydłami – że następnej napotkanej wymyśli całkiem nową bzdurę! Zawsze jednak będzie wspominać z błogością hardą i korpulentną Freydhis, co nie bała się ciskać glinianymi garncami w Pogromcę Olbrzymów, bohatera rozlicznych sag!

* * *

...Ciężka ma robota i niewdzięczna... Tyleż kłamstw na świecie teraz, że zakrywają jądro prawdy. Czy jednak da się wyplenić z historii zmyślenie, tak jak wyrzywa się chwast na polu? A przecież bywało dawniej, że i nieprawni w bajaniu układali strofy o Bjarnim, przez co wiele z powtarzanych w nich zmyśleń, choć nieudanych, wykielkowało w ludzkich umysłach niczym chwast właśnie i pozostaje wciąż w pamięci słuchaczy, zacierając wiedzę o rzeczywistych czynach i słowach.

Tak już czasem bywa, że chore drzewo cień kładzie na zdrowym zagajniku, który karleje i w jego nieszczęsnym towarzystwie do ziemi rośnie...

Z „Sagi o Kruku”

VIII. Lekcja bajania

Musiało być już po północy, kiedy na placu, w kręgu ubogich domostw, pojawiło się niemałe zgromadzenie. Ziemia zadrżała od wesołych podskoków; wszyscy zaś zebrani dokazywali i śmiali się w głos. Noc pojaśniała od rozpalanych pochodni. Piszczalki i bębny zagrały głośno, ludzie podawali sobie dzbany pełne pianistego piwa. Poznać można było od razu, że to jakieś wesele, bo pieśni intonowano za zdrowie młodych.

Stara szopa, w której dwójka wędrowców odpoczywała po licznych przygodach, aż trzęsła się w posadach. Bjarni podniósł nieśmiało prawą powiekę, niepewny czy śni, czy może rzeczywiście dobiegają go ludzkie głosy i dźwięki skocznej muzyki. Światła pochodni przesunęły się w szczelinach między deskami. Harmider zdawał się nieznośny, zwłaszcza gdy ktoś budził się w środku nocy po dniu pełnym niebezpieczeństw. Westchnąwszy, Czarnobrody obrócił się na drugi bok i nakrył słomą, naiwnie myśląc, że odetnie go to od nocnego zgiełku, który zamiast cichnąć, nabierał jeszcze mocy.

Jeśli zaś Bjarni miał jeszcze jakąś nadzieję na zaśnięcie, to rychło okazała się ona płonną. Wystarczyło, że najemnik posłyszał znajome krakanie.

– Wesele! Wesele, drogi Bjarni! – zaskrzeczał Grimo, który siedział niewidoczny w cieniu, na belce biegnącej gdzieś wyżej. – Widzę wszystko doskonale przez dziurę w ścianie, jakbym zerkał do wnętrza magicznych krain. Cóż za wspaniałe korowód! Dziwne, że nikt nie zaprosił na biesiadę ponurego najemnika... Pewnie bali się, że gbur popsuje im zabawę albo wina zbraknie, gdy dorwie się do dzbana! – Grimo sfrunął z powały i przysiadł opodal Bjarniego. – Co z tobą? Dawniej byś pospieszył ku weselu, poszedł w tany, schwycił jakieś dziewczę i dokazywał aż do białego rana!

– Śpijże, niewdzięczniku... – mruknął Bjarni – Zmęczony jestem... A jeśli dziób ci się nie zamknie, to oskubię cię z piór i zaniosę weselnikom, by przygotowali z ciebie łykowate pieczyste!

– Czy wiesz chociaż kto i z kim się żeni? – rzekł Grimo, ulatując znowu na belkę i wyglądając przez szczelinę w deskach.

– Zapewne nie omieszkasz mi powiedzieć...

– A jakże, bo wielce to interesująca sprawa! Pamiętasz może kulawego dziada z bielmem na oku, suchą nogą i z dwoma jeno zębami na przedzie, co wędrował po okolicy i prosił o wspomnienie?

– Pamiętam... Ale co on ma do tego wesela? Być może dziad proszalny czeka, aż mu jakaś kość ze stołu spadnie, bo przecież nikt by go nie zaprosił...

Zowią go tutaj Olf, nieprawdaż? Jak dla mnie człek ten jest nazbyt nachalny i przez to odpychający, bo gdy dasz mu miedziaka, to zanim zdąży go wziąć w garść, to już drugiego woła.

– Tak! Tak! – przytaknął Grimo. – Ten sam! Olf na niego wołają, jak słusznie zauważyłeś... A dzisiaj, choć wciąż w żebraczej kapocie, choć nadal z sękatym kosturem pod pachą, to jednak w pierwszym szeregu zacnych gości idzie. No, no... I zdrowe oko święci mu się do wybranki, która strojna w białe suknie! Tak, Bjarni... Trudno w to uwierzyć, ale to kulawy Olf jest dzisiaj panem młodym!

– Nie może to być... – Bjarni podniósł się lekko na ramionach. – Coś ci się zwidziało. Kto by chciał takiego dziada za męża?

– Udzielę ci odpowiedzi, drogi przyjacielu, byś się nie dręczył tym pytaniem za długo... Nie kto inny pod ramię z Olfem podąża, jak nadobna Ormiga, córka jarla zza góry, u którego gościliśmy przed tygodniem! A jaki przegląd zacnych gości tu mamy! Ha! Ojciec młodej pani w pierwszym szeregu, w płaszczu złotą nicią wyszywanym i z diademem na czole, w którym tkwi największy rubin, jaki kiedykolwiek widziałem... A cóż to za wspaniałe orszak wojowników! Fiu, fiu... Nie zdziwiłbym się, gdybym jakiegoś króla czy sławnego maga wnet ujrzał!

Bjarni mruknął, uświadomiwszy sobie, że kruk najpewniej stroi sobie z niego żarty.

– Bujda... Prawie się nabrać dałem, Grimo. Że też starego kruka takie dowcipy się trzymają... Widać sobie wieśniacy jakoweś święto urządzili, a że my nie z tych stron, wzięliśmy dzisiejszą noc za całkiem powszednią. Idź spać, Grimo! Oczywiście jeśli w tym harmidrze oko zmrużymy, bo w to wątpię... A nawet, gdy nie masz zamiaru spać, daj innym usnąć, dobrze ci radzę!

– Śpij, kochany wojowniku – zaskrzeczał Grimo. – Nikt ci nie broni... Oczęta zmruż, pomyśl o szczęśliwszych czasach. Czary pod twym nosem się dzieją, a ty nim kręcisz, zamiast wietrzyć przygody! Wypoczywaj, wypoczywaj... Tak już role na tym świecie rozpisane, że najemnicy odpoczywają przed kolejną bitwą, a mędrcy bez ustanku biedzą się nad istotą zdarzeń, nie mając chwili spoczynku! Rzeknę ci tylko jeszcze tyle... Rzeknę, że... Bjarni?

Grimo westchnął głęboko, bo wnet stodoła zadrżała się od głośnego chrapania, którego nie były w stanie zagłuszyć nawet dźwięki wesela wciąż trwającego na placu, wśród przeróżnych dziwów.

– Ale skoro smacznie śpisz, Bjarni, ja udam się na zabawę – powiedział Grimo, czesząc swoje pióra – Nic tak nie uświetni weselnego przyjęcia pełnego czarów, jak obecność mędrca i maga w jednej osobie, który w dodatku zna liczne krotchwile i tańczyć potrafi dwornie!

* * *

Gdy świt nastał, a jasna luna zaczęła rozpalać granat nieba, dało się słyszeć miarowe i głuche uderzenia, coraz głośniejsze, jakby ktoś walił w wielki bęben. Bjarni otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że nie śni, a dźwięk ten naprawdę wypełnia mu czaszkę i stępia zmysły.

– Co... Co to za hałasy? – jęknął z trudem Czarnobrody. – Czuję się... Czuję, jakbym dokazywał przez trzy dni i trzy noce na weselisku, a teraz się zbudził... Grimo? – Bjarni spróbował się podnieść, ale schwycił się jedynie za głowę. – Gdzie jesteś? Grimo... Któż tak w bęben wali bez opamiętania?!

– Gdy trwoga, to się mędrca wzywa! – powiedział kruk, zleciawszy z powały i przysiadłszy obok cierpiącego katusze najemnika. – Nic to, Bjarni, nic... Przymknij oczko, jeśli chcesz, może sen się jeszcze zjawi... Świtać po prostu zaczyna, drogi najemniku! Ranek ciężki nastał tuż po weselu, a niektórzy dopiero kończą harce... Ty spałeś, a inni w tym czasie tańczyli i jedli do syta!

Bjarni usiadł na słomie, przeciągnąwszy się.

– Pamiętam... – Pogromca Olbrzymów podrapał się po głowie. – Gadałeś coś bez sensu o weselu... Czemu jednak poranek nie przynosi z sobą radości? Mimo hałasów spałem potem jak zabity, choć nie pamiętam własnych snów... Powinienem wstać wypoczęty! Moja głowa... Aj! – Bjarni dotknął pulsujących bólem skroni. – Dziwne...

– Ano dziwy, dziwy! – przytaknął Grimo. – A dzień nie zapowiada się wcale zwyczajniej jak noc, która minęła we wsi wśród śmiechów i tańców. I o poranku sprawy malują się w podobnych, magicznych barwach. Powiem ci tylko, że kur zamiast zapać o brzasku, wzleciał wysoko i zniknął gdzieś w chmurach, zachwalając uroki wolności, jaką dają podniebne podróże. Towarzyszyły temu wręcz słowicze trele, a nie zwyczajowe piania... Nie wiem zatem, czy z winy tegoż koguta, czy może jeszcze innej siły, słońce zmyliło przed chwilą swój szlak i wstało na zachodzie...

– Coś... – Bjarni złapał się za bolącą głowę. – Coś ty powiedział?

– To, co żeś słyszał! – rzekł Grimo i nerwowo zaczął układać swoje lotki. – Mówię chyba wyraźnie? Słońce wzeszło na Zachodzie i, jak gdyby nigdy nic, przemierza teraz przestworza w fałszywym kierunku. Daj mi jednak moment lub dwa, a coś wymyślę... Zresztą zaraz czas dziwów powinien się skończyć. Sądzę, że przyczyna znowu tkwi w czyjejs wyobraźni, która w porę nie została pohamowana...

Pogromca Olbrzymów poczuł, że głuche, miarowe uderzenia stały się nieznośne.

– Czy tylko ja słyszę ten niemiłosierny hałas? – zapytał Bjarni.

– Ależ skąd! Nie tylko ciebie dręczy... – odparł Grimo. – I ja nie mogę się skupić, słysząc ten rumor, lecz boję się wyjść na zewnątrz, bo zbyt wiele dziwów w nocy widziałem, bym miał siłę z nowymi się mordować, gdy dnieje. Jeszcze nie

udało mi się rozwikłać tych nocnych zagadek...

Bjarni, którego dopadły złe myśli, powstał z niemalym trudem i zeskoczył na klepisko. Kiedy zmierzał niepewnym krokiem ku drzwiom, chybotającym się w takt głuchych uderzeń, najemnik chrząknął nerwowo, bo już przez szczeliny w deskach dojrzał znajomą, choć niemiłą mu sylwetkę, która górowała nad okolicą, przysłaniając słońce. Przypasał zaraz stojący przy ścianie miecz, nasunął na głowę hełm z nosem przysłaniającym twarz, a tarczę zarzucił na plecy, bez słowa gotując się do walki. Wyjrzał jeszcze raz przez szczelinę, przykładając do niej prawe oko. Nie mogło być wątpliwości. Lodowaty pot zrosił czoło wojownika, nogi stały się miękkie.

Rozwarłszy odrzwia, Bjarni ruszył w kierunku placu, ale przystanął obok opasającego szopę płotu, czując zawroty głowy. Wsparł się na żerdzi, która zatrzeszczała pod jego ciężarem. Kruk też wyleciał z szopy i przysiadł na płocie.

– Uszczypnij mnie swym dziobem, Grimo – rzekł Bjarni, szarpiąc za własną brodę – bo znowu śnię na jawie, a nie jest to miły dla mnie sen.

Czarnobrody przecierał oczy ze zdumienia. Pośrodku placu siedział Glamrung, któremu strzechy okolicznych chat sięgały najwyżej do mocarnej, zdobnej w złoty łańcuch piersi. Olbrzym rzucał podłużny cień, który spowijał szopę i samego Bjarniego. Słońce, nieśmiało wznosząc się – na Zachodzie! – bladą luną oświetlało zacieklą twarz giganta. Jeden z oczodołów ział czernią najgłębszych kraterów. W drugim świdrowało bystre oko, badające każdy szczegół otoczenia.

– Witaj, Bjarni! – zawołał Glamrung wesoło, a jego głos wzburzył wicher. Czarnobrody musiał przytrzymać się płotu, by go nie zmiotło. – Znowu się spotykamy, choć tym razem dziwną żeś mi rolę wyznaczył w swym śnie na jawie! Ale skoro mogę powstać z zaświatów i trochę rozprostować kości, to czemu nie?

– Sen, mara... – szepnął Bjarni i spojrzał pytająco na Grima, który nerwowo przechadzał się po płocie.

– Cóż ci mam rzec? – zaskrzeczał kruk. – Żeśmy się wpakowali w jakąś nową awanturę!

Tymczasem olbrzym, trzymając w dłoniach dwie okrwawione i oderwane od korpusów ludzkie głowy, uderzał nimi o siebie, jakby łupał orzechy; towarzyszyło tej czynności głuche bębnienie, nazbyt głośne, aby nie podejrzewać, że stoi za tym jakaś magiczna siła. Gdy w końcu Glamrungowi udało się zrećźnie rozkruszyć czaszki – widać było, że miał w tym wprawę – wyjadł z nich ze smakiem mózgi, jakby wypijał zawartość świeżych jaj.

– Znakomite śniadanie, drogi Bjarni... – powiedział olbrzym oblizując się. – Może i wy, przyjaciele, dołączycie do zanej biesiady? Starczy dla trojga! Mózg wieśniaka nie tak smaczny i pożywny jak ten, który można znaleźć pod czaszką mędrca, ale dobry i taki posiłek, wszak pokrzepi skutecznie o poranku. Zadowolili

się podobnym jadem i surowy najemnik, i adept czarnoksięskich sztuczek!

Bjarni poczuł, jak wzbiera w nim złość. Wśród błota widać było niezłe pobojuwisko. Ciała wieśniaków piętrzyły się, a posoka zalewała plac i wsiąkała w ziemię. Glamrung wybił do nogi tych, którzy nie zdołali uciec przed jego gniewem, nie robiąc różnicy dla kobiet i dzieci.

Czarnobrody dobył miecza i ruszył w kierunku olbrzyma. Szedł z trudem, czując, jak siły go opuszczają. Zawroty głowy też nie pomagały.

– Aj Bjarni, Bjarni... – Glamrung pokręcił głową i rzuciwszy rozłupane czaszki, wziął się pod boki. – Zawsze gotowy, by odegrać tę samą, bohaterską komedię, która nikogo jednak już nie bawi. Zachowujesz się ciągle tak, jakby to bogowie wyznaczyli nam role! Nie korci cię, by spróbować czegoś nowego? Wspólnie moglibyśmy wiele zdziałać: zadrżałyby fundamenty wielu królestw, a na mym ramieniu przemierzyłbyś morza, by odnaleźć nowe lądy! Nawet głębia oceanu, który oddziela znany nam świat od dziewiczych krain, sięgnie mi najwyżej pod szyję. W mojej czuprynie będzie ci wygodnie, a ty mną pokierujesz, spoglądając w gwiazdy sposobem, jakim to tylko twój lud potrafi kierować się na kurs, nawet w pochmurny dzień!

Najemnik, nie przejmując się słowami olbrzyma, wpadł na plac i poczuł od razu, że grząsko zrobiło się tu od wsiąkającej w ziemię krwi. Ciężko było iść nie depcząc wywleczonych z brzuchów jelit i wylewających się z rozłupanych czaszek mózgów. Niedobrze się zrobiło Bjarniemu, ale powstrzymał wymioty. Zadarł głowę wysoko i dojrzał zmierzwioną brodę Glamrunga, podobną do skłębionej chmury i cielsko wielkie niczym pagórek.

– Czy mam położyć swą dłoń i zmiażdżyć cię, kochany Bjarni, jak to zwykłem czynić w opowieściach o cnych bohaterach? Choć ziemia tak grząską tutaj od krwi, że pewnie prędzej udusisz się w błocku... Czy naprawdę myślisz, że twój miecz może mi zrobić jakąkolwiek krzywdę? – Olbrzym zaśmiał się głośno, a potem rzekł w kierunku Grima: – Rozumiem, że wojownik, któremu miecz bratem, a dziećmi krwawe szczątki wrogów, niewiele z tego rozumie, ale ty? Uczony kruk i mag? Nie daj się zwieść pozorom, Grimo! Rozpoznajesz już chyba, że nie dzieje się tu nic podług praw świata, a raczej chorych fantazji z czyjegoś snu?

Grimo wzleciał wyżej, a potem zasiadł, na jednej z gałęzi i z zaciekawieniem zaczął się przyglądać pobojuwisku.

– Masz rację, Glamrungu! – zawołał kruk. – Przypatrz się dobrze, Bjarni. Schowaj miecz! Wyrzuć ze swej głowy majaki! Albo chociaż spróbuj... Nie widzisz wcale pokłosa krwawej rzezi, a pozostałości hucznej biesiady. Czasem jedno i drugie są do siebie bliźniaczo podobne...

Gdy Bjarni przetarł oczy raz jeszcze, przejrzał nareszcie, a widok jatki rozwiązał się. Jak okiem sięgnąć, na placu i ubitych ścieżynach, rozchodzących się na

wszystkie światła strony, rozpoznać można było jedynie chrapiących, rumianych mężczyzn, których, po wypiciu znacznych ilości trunków, morzył jeszcze sen. A to, co najemnik brał jeszcze przed chwilą za jęk konających, było postękiwaniem nieszczęsnych, którzy uświadamiali sobie po raz kolejny, że nie da się wypić kilku garnców piwa bez bólu głowy o brzasku. Nie krew też uczyniła plac grząskim, a porozlewane trunki.

Glamrung zaśmiał się głośno, potem zastukał raz jeszcze wielkimi kamieniami, które wcześniej Bjarni brał za ludzkie głowy.

– Skrzesać chciałem jeno iskrę, by się ogrzać – rzekł olbrzym. – Zimny mamy poranek... Ale deszcz zrosił strzechy domów i żadna nie chce się zająć płomieniem!

– Sen to czy jawa? – zapytał Bjarni, wbijając miecz w ziemię.

– Zawitaj do karczmy – poradził z uśmiechem Glamrung – a poznasz tego, kto wypił nieopatrznie miodu natchnienia i znów zmieszał prawdę z bajaniem!

– Słusznie olbrzym prawi, nawet jeśli jest jedynie marą! – zawołał Grimo, a potem wleciał przez okno do gospody. – Teraz mi się przypomniało, skąd to całe zamieszanie...

Ogromne cielsko olbrzyma zaczęło się rozwiewać przed Bjarnim, jakby utkane zostało z mglistej powłoki. Zaraz potem w jego miejsce pojawił się stary Olf, który szczyrzył swoje dwa przednie zęby, w tym jeden szerniał, i trzymając dwa garnki, uderzał nimi o siebie, płacząc nad minioną chwałą.

– Oszalałeś, włóczęgo? – zawołał Bjarni.

– Jeśli oszalałem – odparł Olf – to nocą cały świat zwariował i był mi poddanym! Byłem równy jarlom, najemniku... Piękne dziewczę całowało mnie w usta i obiecywało rozkosze! Tak, zwariowałem i żałuję, że powróciłem do zmysłów! Teraz wszystko jest po dawnemu... – zmartwił się starzec i zapłakał, patrząc na pobojuwisko.

* * *

W smugach słonecznego blasku widać było porozbijane kufle i dzbany, poprzewracane i potraskane stołki. Oprócz dwóch śpiących pod ławą mężczyzn, za jednym ze stołów zasiadał młodzian, z płowym, rzadkim zarostem i długimi włosami splecionymi w warkocz. Miał podkrążone oczy i mętny wzrok. Trochę blasku ze świetlika padało na jego oblicze, a światło zdawało się razić wielce jegomościa. Nieznajomy uniósł kufel do spierzchniętych warg, jednak łyknąwszy z niego odrobinę płynu, skrzywił się tylko.

Nie w smak był mu też najwyraźniej widok wielkiego kruka, który przechadzał się po tym samym stole, przy którym młodzian zasiadał, zagadując coś nerwowo i stukając przy tym ze złością dziobem o deski.

– Czy to ty bajałeś przez całą noc? – zapytał kruk. – Czy ty zmieniałeś obraz

rzeczy oraz kpięś sobie z praw żywiołów i z dawna ustalonych przez bogów i ludzi zasad?

– Może i ja... – powiedział młodzian bez wyrazu, a podniósłszy wzrok, zaczął przecierać oczy i dłubać w lewym uchu. – Gadający kruk.. Hmm... Nic mnie już nie zdziwi... A zresztą, czy w opowieściach o Pogromcy Olbrzymów nie pojawia się kruk-gaduła? To by była heca, gdybym stał się częścią pieśni o Bjarnim Kruku!

– Gaduła powiadasz? – obruszył się Grimo. – Gaduła, gaduła! Patrzcie go... Gadułą możesz nazwać, mój panie, kogoś, kto plecie zbyt wiele i w dodatku trzy po trzy! Ja zaś, jeśli co rzeknę, to zwykle z głową i nikt nie ma wątpliwości, że warto tego słuchać! – Kruk stanął bliżej młodzieńca i dumnie wypinając pierś zapytał: – Jak ci na imię, zuchwalcze? Jak zowią tego, kto śmie mnie przezywać gadułą?

– Jestem Hafgrim, syn jarla Rolfa – odparł młodzian, prostując się nieco i próbując przybrać hardą minę, co być może i by się udało, gdyby nie złe samopoczucie.

– Powiedziałeś to z taką pewnością w głosie i butą, jakby cały świat znał twoje imię. A przynajmniej znać powinien.

– Bo kiedyś tak będzie! Stanę się wkrótce najślawniejszym wśród skaldów! Ale... Ale teraz strasznie boli mnie głowa... – Chłopak zasłonił oczy dłońmi i z trudem powstrzymywał mdłości.

– I jeszcze trochę poboli, oj tak! – orzekł kruk, przechadzając się dziarsko po stole. – Przemądrzałe to to... Największym spośród skaldów będzie! Proszę, proszę... Kijanka królem stawu pełnego ropuch się nazywa! – powiedział z przekąsem Grimo, a na myśl o ropusze poczuł nagłe ssanie w żołądku, więc uznał roztropnie, że dysputy muszą zejść na dalszy plan. – Czy ktoś pilnuje tego dobytku? Hejże, podjadłbym czego! Karczmarz chyba sam popił... Zgroza! To i śniadania nie będzie? Co prawda próbowałem wielu potraw podczas wieczery, ale... Śniadanie to śniadanie, i trzeba co zjeść, gdy znowu ma się w świat wyruszyć, by z nowymi wyzwaniem się bratać!

Nagle z cienia wyłonił się Bjarni, który dotąd tylko przysłuchiwał się rozmowie, a teraz poczuł chęć, by się do niej przyłączyć. Hafgrim, który po torsjach nieco już wydobrzał, spojrział na Czarnobrodego. Potem w piersiach chłopaka zaczął narastać śmiech, który, zrazu tłumiony, rozlał się wkrótce gromko po izbie. Zdawało się, że skald oszalał; szybko jednak złapał się za brzuch, a jego ciałem wstrząsnęły nowe drgawki. Po chwili zaś, gdy żołądek mu się opróżnił, zemdlał.

– Nie pora obrzydzać komuś poranka, zwłaszcza, gdy jeszcze się śniadać nie zaczęło... – powiedział Bjarni z niezadowoleniem i pokręcił głową. – Ach, gdzie się podziały dawne biesiady? Niegdyś żeśmy cztery dni na umór pili, a rankiem wstawali niczym skowronki, chwyтали za miecz i biegli z pytaniem na ustach, komu

głowę ściąć! A wszystko to z myślą o kolejnej biesiadzie, i tak w koło...

Wnet podeszła do nich zażywna karczmarka, kobieta wysoka i szeroka w barach, która piersią własną mogłaby osłonić niejedno królestwo od zguby. Widać zajmowały ją dotąd inne sprawunki.

– No, nareszcie! – zawołał Grimo. – Wiem, że wcześniej zawitaliśmy, ale skoro niektórzy nie zdążyli jeszcze wyjść, to nie nastreczymy kłopotu... Wiem, dobra kobieto, że z lękiem możesz spoglądać na mnie i mojego towarzysza, ale słowo daję, żeśmy niegroźni. Pewnie żeś nas z sieni obserwowała, bojąc się wychynąć?

– Skądże! – rzekła gospodyni, zerkając na nowych biesiadników surowym wzrokiem. – Musiałam jeno wyrzucić dwóch takich, którzy do izby mi wleźli... – Kobieta spojrzała na uśpionego skalda. – Ten tutaj, to wasz znajomek?

– W żadnym wypadku – odparł Bjarni. – W nocy spać nam nie dał, więc przyszliśmy go upomnieć.

– Dam wam zjeść na mój koszt, jeśli weźmiecie go ze sobą. Spójrzcie, jakie pobojuwisko! – Karczmarka złapała się za głowę i omiotła wzrokiem izbę, w której panował zaduch i bałagan. – Kto to widział?

– Minionej nocy działy się cuda – zauważył Grimo – a i poranek dowodzi niezbitcie, że nawet magiczne miody nie są w stanie wiecznie zakrywać przed nami zgryzot codzienności. Nic nowego... Tak, drogi Bjarni! Gdy spałeś wczoraj słodko, postanowiłem zbadać jak się sprawy mają i udałem się na weselisko. Wnet przekonałem się, że dziw dziwem dziwy pogania w czasie rzeczony biesiady. Nic to, że stary Olf z młódką tańczył, jarlowie się chłopom kłaniali, a pieczone kurczęcia przechadzały po weselnych stołach! Zdarzało mi się podobne rzeczy widywać, wszak jestem magiem i na niejednej biesiadzie pełnej czarów, czasem i zręczniejszych, bywałem... Ale dziwy te nie powstały za sprawą magii, a bajania, i to nie przez mistrza snucia opowieści prawionego, a tego tu... o!... – Grimo wskazał dziobem z pewną pogardą młodego człowieka – który na skalda dopiero chce się wyuczyć.

– Wielce utalentowany być musi! – powiedział Bjarni z uśmiechem, bo karczmarka przyniosła miskę pełną stawy i dzban, po którym spływała gęsta piana. – A może mu lekcji udzielił sam Bragi, z którym i nam biesiada wypadła?

– Albo to sprawka jakichś sił tajemnych... – zawyrokował Grimo i nachylił się nad dzbanem, z którego w nocy młodzian popijał trunek. – Tak, tak... Czuję, że ktoś dołał mu do dzbana miodu natchnienia!

– Chyba nikt z wioski...

– Może sam duszę zaprzedał za kropelkę? Kto wie? Nawet jeśli wszedł w jego posiadanie, to starczyło na upojną noc, która przyniosła trochę sławy wśród wieśniaków i zrodziła jeszcze jedną, nieco kaleką opowieść o Bjarnim Kruku i Glamrungu!

– Nie wspominaj już tego imienia! Wystarczy, że od innych nieustannie o nim słyszę...

– Nie bój nic – powiedział Grimo z zadowoleniem. – Olbrzym rozwiął się wraz z porannymi mgłami...

Bjarni z ochotą zabrał się za przyprawioną skwarkami kaszę, a Grimo wciąż rozmyślał. Po pewnym czasie młody Hafgrim poruszył się, otworzył najpierw lewe oko, potem prawe. Twarz miał bladą, ale pojawił się na niej jakiś rumieniec, kiedy przez moment wahał się, czy to, co widzi, nie jest wciąż snem. Siedział wszak przed nim wojownik z długą, czarną brodą, z licem naznaczonym szramami, z szeroką piersią i z mieczem u boku. A do tego po stole przechadzał się sędziwy kruk, który gadał coś po ludzku i to nawet do rzeczy. Ten widok coś młodzieńcowi przypominał.

– Witaj ponownie wśród żywych! – zawołał Grimo. – Zaraz nam wytłumaczysz, skąd żeś wziął miód natchnienia!

Hafgrim podrapał się po głowie i wciąż spoglądając na niespodziewanych towarzyszy biesiady, zaczął wyjaśniać:

– Mój ojciec, który za czterema górami jest jarlem i ma pod sobą wielu ludzi, chciał, bym został wojownikiem jak moi bracia. Ale ja zwidiałem sobie inną drogę, bo od zawsze lubiłem opowieści! Ojciec uznał, że skoro taka ma wola, to nie będzie się jej sprzeciwiał. Ale przestrzegł też, że skoro mam być skaldem, to dobrym, takim, który rozbudza radość i chwałę w sercach... Nigdy we mnie nie wierzył i dlatego wydał sporo, by zdobyć kropelkę miodu dającego natchnienie... Przyjąłem dar, ale powiedziałem ojcu, że nigdy się nie wspomogę tym prezentem, bo wierzę we własny talent! Był to z jego strony dowód niewiary we mnie, który wielce mnie uraził... Ale wczoraj chciałem choć raz kogoś zadziwić i wypilem zawartość buteleczki niemal do dna! Cóż mi po miodzie? Nie wolno korzystać z podobnych napitków podczas nauki... Ech! – Hafgrim westchnął i schował twarz w dłoniach. – Mnie zaś wyrzucono ze szkoły, bo nie zdałem ważnego egzaminu... Powrócę teraz jak biedak do domu mego ojca, o ja nieszczęsny! I co on powie? Wiem, wiem... Rzeknie mi tylko, że miał rację, a nawet miód natchnienia na nic się zdał! Co mi tam... Lepiej wraz z kulawym Olfem ruszę w świat, by prosić dobrych ludzi o grosz...

– Tak to się teraz wspomagają czeladnicy, gdy pragną bajać! – Grimo pokręcił z dezaprobatą głową. – Miody natchnienia... Ho, ho! Cóż może zdziałać możny ojciec, który nie szczędzi srebra ni złota. Za moich czasów tak się sprawy nie miały...

– Czyżbyś sam dawniej próbował zostać skaldem? – zapytał Bjarni z zaciekawieniem.

– Gdybyś słuchał mnie uważnie co dnia, wtedy wiedziałbyś, że jestem nim wciąż, i to wcale z ręcznie plotącym wątki! Ale czy najemnik może się na tym

wyznać? – Grimo pokręcił głową. – Ale tak, były takie czasy, gdym, jeszcze w ludzkiej postaci, a nie liczyłem wtedy więcej jak czternaście wiosen, wstąpił w progi zacnej uczelni, która kształciła przyszłych pieśniarzy... Odszedłem jednak stamtąd, stwierdziwszy, że są na świecie zaszczytniejsze funkcje, bardziej godne mej osoby!

Hafgrim, trochę onieśmielony, odważył się w końcu zadać pytanie, które krążyło mu po głowie, odkąd zobaczył przed sobą Bjarniego.

– Wybacz, panie, ale zdawało mi się... Powiem wprost: wyglądasz jak ten, którego zwą w pieśniach Pogromcą Olbrzymów.

– Niestety, Niestety... – westchnął Bjarni. – Nie pierwszym jesteś, który mi to mówi. Ciężki mój los... Przez mą czarną brodę i czuprynę wszyscy mnie z nim myślą! A ja pokojowym człkiem jestem, układnym i brzydzącym się przemocy. Szramy na mej twarzy noszę po napadzie zbójów... – Czarnobrody, niczym komediant, który na jarmarkach występuje, załamał teatralnie ręce i wzniósł wzrok w niebiosa. – A czy to jeden raz mnie ktoś wyzywał na pojedynek, by się sprawdzić z bohaterem albo dręczył, bym rozprawił się z jakimś potworem, myśląc, że każdy, kto czarną brodę nosi i miecz ma u pasa, od razu pokotem będzie kłaść dziesiątki olbrzymów!

– A ja myślę, że to przez twe oschłe maniery za Pogromcą Olbrzymów cię biorą – odezwał się Grimo. – Słyszysz się bowiem w opowieściach, że Bjarni nie grzeszy ogładą, podobnie jak ty... – Kruk uskoczył, gdy najemnik zamierzył się pięścią. – Czemu to jednak Hafgrimie wieszczysz, że nie będzie z ciebie skalda, skoro żeś całkiem ładnie bąjał nocą, a przed chwilą wróżyłeś sobie wielką sławę? Czyżby wino przestało szumieć w młodej głowie? Może jeszcze nazbyt pewny siebie, ale gdy poćwiczysz, możesz dojść do nie byle jakiej wprawy!

– Wyrzucili mnie z nauk, bom nie był w stanie sprostać ostatniemu i najważniejszemu zadaniu należycie, przynajmniej według tych, którzy mieniają się Mistrzami Pieśni.

– A jakież to zadanie? – zaciekawiał się Grimo.

– Każą teraz każdemu adeptowi nową pieśń o Bjarnim Kruku układać i to taką, która wzbudzi poklask u dziesiątki znudzonych życiem starców, do tego młodym się spodoba, znawcom, bogaczom i prostej ciźbie również... Tak, tak... Właśnie o Bjarnim należało ułożyć strofy na wieńczących naukę egzaminach!

Czarnobrody aż się zakrztusił.

– To i was męczą historiami o tym zabijace? Zgroza! Krew tylko i flaki oraz bezmyślna siła. Gdzie tu poezja?

– Szczęśliwie, przed dziesiątkami lat – rzucił Grimo z przekąsem – nas nie katowano podobnymi wymysłami...

– A teraz męczą, oj męczą! – zawołał ze złością Hafgrim. – Jeszcze o świecie próbowałem coś ułożyć, podług kanonów, które nam do łba kładą, ale ja się nie

nadaje, by iść ścieżką przez innych wydeptaną... Ileż to można słuchać o potyczce z Glamrungiem? A gdzie się nie ruszysz, w każdej karczmie i na każdym rozstaju dróg, przy ogniskach, gdzie zebranych choćby dwójka, wciąż słysząc prośby o nowe bajania o Kruku!

– Racja to, racja... – Bjarni pokiwał ze zrozumieniem głową i wziął do rąk dzban z piwem, dziwiąc się, że jeszcze go nie napoczął. – Sam często słyszę o tym całym Pogromcy Olbrzymów, aż głowa od tego boli!

– Mawia się u nas w szkole – kontynuował skald – że ten, kto monetę ma przy boku, pieśniarzowi wyznacza tematy. Ci, którzy bajali o tym, co sami chcieliby głosić, z głodu zmarli albo na starość proszalnymi dziadami się stali... He, he... Takie czasy! Ale krew się we mnie burzy! – Hafgrim wstał i uderzył pięścią w stół. – Wymyślać wciąż pieśni o czarnobrodym włóczędze? Niedorzeczność!

– Twoje zdrowie! – krzyknął Bjarni wznosząc dzban, z którego zaczął pić duszkiem, a zaraz potem wrócił do zajadania kaszy. – Grimo, skosztujesz trochę? Zaczne skwarki kryją się tej potrawie! A i kawałek tłusciutkiego mięsiwa się znajdzie, jak dobrze poszukać... – Bjarni podniósł wzrok znad miski. – Ale my tu o śniadaniu, a artysta o ważkich rzeczach prawi! Taki Pogromca Olbrzymów, to pewnie tylko dziczyznę na królewskich dworach zajada, albo inne frykasy, a kasza mu nie w smak!

– Hejże! – dało się słyszeć głos karczmarki. – Prosiłam byście zabrali tego młodziana z gospody, a nie wszczynali nowe harce.

– Spokojnie, dobra kobieto – rzekł pojednawczo Grimo. – Zaraz się wynosimy. Posprzątałabyś trochę! Tu miska, tam kubek rozbity, wszędzie kruszyny i odpadki, a szczury, niczym konie, po gospodzie ganiają!

– Zawsze uważałem, że to jedna wielka bujda, ta cała historia z Glamrungiem – powiedział Hafgrim, ścisząc nieco głos. – Widział kto bowiem olbrzyma na własne oczy? Tylko w sagach się pojawiają! A nawet gdyby istniał gigant, choćby i jeden, samiuteńki i nieduży bardzo, człek nie byłby go w stanie zgładzić...

– I ja podejrzewam, że Bjarni to zmyślenie – przytaknął Czarnobrody, mrugając w kierunku Grima. – Za dużo dziwów przewija się w opowieściach o nim.

Hafgrim uśmiechnął się chytrze.

– A ja postanowiłem sobie zakpić z jego legendy i ułożyłem pieśń, w której ukazuję Bjarniego Kruka jako strachliwego głupca!

– Toś mi brat! – rzekł Pogromca Olbrzymów i poklepał młodzieńca po ramieniu. – Lubię, gdy sobie kto dworuje z tych, co nie zasłużyli na uznanie...

– Tyle, że to mym mistrzom było nie w smak – Hafgrim znowu się zafrasował.

– Nudziarze o skostniałych umysłach... – osądził Bjarni. – A przecież

w młodości siła!

– Opowiesz nam, jaki to koncept sobie zamyśliłeś? – zapytał Grimo z zaciekawieniem. – Bjarni Kruk jako strachliwy głupiec? Jakbym go widział przed sobą!

Czarnobrody kopnął w stół, a kruk aż podskoczył.

– Zaraz wam opowiem – powiedział skald, ale przez moment próbował wstrzymać atak nudności, które powróciły w najmniej dogodnym momencie. Nie powiodła mu się jednak ta próba. – Zaraz... O! Już mi lepiej – dodał, ocierając usta. – Chcecie posłuchać?

– Owszem, owszem! – zachęcił wesoło Bjarni. – Nic tak nie dodaje wigoru o poranku jak zajmująca opowieść.

– A było to tak... – Hafgrim zawiesił głos, a potem zaczął bająć: – Pewien najemnik, którego zwali Krukiem, rozsiadł się w portowej karczmie. Tam dowiedział się od wędrującego wieszca, że na górskim szlaku spotkać można olbrzyma, który zasmakował w mięsie podróżnych i pasterzy...

– Hola, hola! – zawołał Bjarni, wygrzebując łyżką z miski resztkę kaszy. – Zaczyna się tak, jak zawsze... Nuda!

– Czekaj, czekaj, panie... – zaprotestował młody skald. – W tej opowieści Czarnobrody wcale nie chciał rozprawić się z Glamrungiem, tylko postanowił się przebrać za niewidomego żebraka, by wzbudzić litość u giganta i przemknąć szlakiem bez straty choćby włosa!

– To dobre! – przyklasnął Grimo.

– Naopowiadał zatem najemnik w karczmie, że zmyślił sobie fortel, z pomocą którego olbrzyma pokona, podczas, gdy chciał przed nim jeno uciec. Czy mógł się przyznać do tego, że na myśl o wyzwaniu ugięły się pod nim kolana?

– Zaczyna się robić ciekawie – pochwalił Bjarni, zacierając ręce.

– Ruszył zatem górskim szlakiem – kontynuował Hafgrim – aż dotarł do miejsca zasnutego ludzkimi i zwierzęcymi kośćmi. Wśród nich, niczym na tronie, zasiadał olbrzym, który nosił imię Glamrung. Dech jego mógł przewrócić wóz, a gdy gigant powstał, by przywitać przybysza, głową dotknął chmur...

– Jakbym go widział! – przyklasnął Bjarni. – Choć pewnie w rzeczywistości nie był wyższy od świerku....

– „Kim jesteś i dokąd zmierzasz?” – zapytał olbrzym. „Mówią na mnie Ingolf, jestem wędrownym żebrakiem, który prosi od dobrych ludzi wspomnienia. Rzekli mi ludzie w portowej osadzie, że tędy wypada bezpieczny szlak”. Glamrung zaśmiał się gromko: „Okłamali cię zatem twoi pobratymcy, co mnie nie dziwi, bo ludzki ród jest wielce występny”. „Daruj mi życie, gigancie!” – zawołał żałośnie Ingolf. „Nie mogę tego zrobić, bo wielce jestem głodny” – odparł olbrzym – „A zresztą ucierpiałaby na tym moja reputacja. Ludzie jeszcze skłonni pomyśleć, że mam miękkie serce!”

– I co było dalej? – zapytał Bjarni z zaciekawieniem i zawołał na karczmarkę, by przyniosła jeszcze jeden garniec piwa. Ta z niechęcią spełniła prośbę.

– Mówże jak to się skończyło, bo mnie aż skręca! – zakrakał Grimo.

Młodzieniec, najwyraźniej zadowolony, że słuchaczom podoba się jego opowieść, kontynuował:

– Bjarni Kruk poczuł, jakby grunt mu się zapadał pod nogami. Glamrung wcale nie chciał okazać mu łaski. Śmiałek zaczął się zatem zastanawiać, co tu począć, a po chwili rzekł zdesperowany: „Daj mi chociaż szansę, okrutny Glamrungu. Zagraj ze mną o me życie!”. Olbrzym zaczął się zastanawiać. „Zagrać o twe życie? Cóż... lubię hazard... Właściwie czemu nie? Jak jednak miałyby wyglądać nasza rozgrywka?”. Żebrok wyciągnął z zawiniątka dwa skórzane kubki – do jednego zwykł zbierać grosz, w drugim pijać to, co udawało mu się za tego grosza zakupić. „Schowam pod jednym z kubków kamyk” – zaczął wyjaśniać Ingolf – „a potem zakręcę dwoma i spróbuję cię zmylić. Ty zaś wskażesz, pod którym kamyk się znajduje. Jak trafisz, będziesz ze mną mógł zrobić co chcesz, jeśli pożreć, to moja bieda... Podoba ci się takie rozwiązanie?”. Glamrung zamyślił się i drapiąc się po głowie odparł: „Cóż, szansa jedna na dwie. Uczciwa to propozycja. A odrobina hazardu doskonale zaostrza apetyt!”. Bjarni Kruk schował zatem kamyk pod jeden z kubków i zaczął kręcić dwoma na wielkim gładzie, aż olbrzymowi mieniło się w oczach...

– I co, i co? – Grimo bił teraz skrzydłami z podniecenia. – Glamrung wskazał na właściwy kubek!

– Nie tak szybko... – powiedział Hafgrim z uśmiechem. – Najpierw należy się srebrna moneta, bo jej blask pomoże mi ożywić pamięć!

– Ot, nicpoń! – zawołał Bjarni i sięgnął do sakiewki. – I jak go tu nie lubić?

– Widać wyuczył się czegoś w tej swojej szkole! – zawyrokował Grimo.

Kiedy zaś Hafgrim otrzymał swoją zapłatę, kontynuował opowieść:

– Bjarni zamieszał kubkami i zaczął modlić się do bogów, by mu się poszczęściło. „Wybieraj!” – zawołał w kierunku olbrzyma. Glamrung biedził się i zastanawiał, czując jednocześnie, że im dłużej rozmyśla, tym mniej wie, a głód jego się wzmacnia. W końcu jednak uśmiechnął się, bo szelmowska myśl pojawiła się w jego głowie, i ukradkiem, po cichutku, wziął w dwa palce stojący po jego prawicy kubek i lekko go uniósł. Już chciał Bjarni zaprotestować, ale uświadomił sobie, że przecież odgrywa ślepego Ingolfa, więc nie mógłby zobaczyć tego, co Glamrung czyni!

– To dobre! – Czarnobrody wziął się za boki. – Tego Bjarni nie przewidział... A przecież wiadomo, że olbrzymy są bystre i przebiegłe!

– Nieostrożny i zbyt pewny siebie... – dopowiedział Grimo. – Za takiego go zawsze miałem.

– Glamrung podejrzawszy, że pod jednym z kubków nie ma kamyka, zaraz odstawił go po cichutku i wskazał na drugi, a Bjarni aż zbladł. „Lewy mówisz? Czyś pewny? Po mej lewicy jednak, czy po twojej?”. „Nie, po mojej” – rzekł olbrzym i zaśmiał się gromko, wiedząc, że wygrał i nic już nie uratuje ślepcę. Upokorzony Bjarni podniósł wskazany kubek, pod którym widniał kamyk...

– I tak olbrzym pożarł głupca, który sam wpadł w jego ręce! – dokończył Bjarni.

– Nie tak od razu... – zaprzeczył młody skald. – Ślepiec zapłakał głośno, przeklinając swój los, a potem desperacko spróbował raz jeszcze podejść olbrzymowi: „Co ci przyjdzie, Glamrungu, z tego, że mnie pożresz? Nasycisz głód moim lichym ciałem nie na długo, a potem znowu ci w brzuchu zaburczy. Czyś nie zauważył, że dawno już nikt tym szlakiem nie wędrował? Kupcy dowiedzieli się, że droga jest nieprzejezdna, a pasterze ze swymi stadami uciekli w inne partie gór. Co by było jednak, gdyby na dwór jarla zaszedł nieuzbrojony ślepiec, który nie miał innej drogi niż ten szlak i poszedł w góry bez strachu, oszukany przez złych ludzi? Wnet by wszyscy pomyśleli, że skoro komuś takiemu udało się przedrzeć przez przeklętą dolinę, znak to być musi, iż olbrzym opuścił kraj...”

– Hmm... – mruknął Grimo. – Wyjdzie jeszcze na to, że ten Bjarni to wcale nie taki kiep!

– Glamrung zaczął przemyśliwać słowa ślepcę – opowiadał dalej Hafgrim – i doszedł do wniosku, że jest w nich wiele racji. Przekonał się także, dzięki oszustwie przy rozgrywce, że rzeczywiście ma do czynienia z niewidomym, który groźnym być nie może i nie próbuje go oszukać. „Dobrze, puszcę cię... Ale zanim to zrobię, musisz dać mi słowo, że zaświadczysz za górą o tym, że szlak już bezpieczny!”. Żebrak uśmiechnął się tylko i rzekł: „Po tym jak mnie oszukano i wysłano na śmierć, z ochotą zemszczę się na tych, co skłamacili szpetnie, wskazując ten szlak. Możesz być pewnym, że z największą radością myślę teraz o tym, że najesz się wkrótce do syta!”

– I Glamrung puścił Bjarniego? – zdziwił się Grimo.

– Puścił, puścił... – powiedział Hafgrim, a zaraz potem się zamyślił. – Ale... No właśnie... Jak to było? Chyba pamięć mi znowu szwankuje...

– Niech będzie... – Czarnobrody ponownie sięgnął do kiesy i położył na stole kolejną srebrną monetę.

– Tym razem dwie... – szepnął skald, nachylając się w kierunku wojownika. – Wszak finał ważniejszy niżli środek powieści, nieprawdaż?

– Hultaj! – zakrakał Grimo, a Bjarni z uśmiechem wyłożył dwie srebrne monety na stół.

– I kiedy Bjarni odchodził już w dal, Glamrung dostrzegł, że ślepiec zostawia za sobą krwawy ślad, który czerwienił się na śniegu. „Czyżbyś był ranny?” – zapytał zaniepokojony olbrzym – „W takim stanie nie dojdiesz do

osady...” – rzekł i sięgnął swą długą ręką, chwytając ślepcę – „Cóż to?” – zdziwił się Glamrung, odslaniając połę żebraczej kapoty. Pod nią, przywiązany u pasa, znajdował się ociekający krwią miecz. „Czy to nie słynne ostrze Bjarniego Kruka, które zawsze spływa posoką? Czyś nie chciał mnie oszukać, drogi Ingolfie... Czy naprawdę nie jesteś owym Bjarnim z legend, który próbował wybadać, jak się sprawy u mnie mają, by potem zebrać drużynę i zabić?”. I tak Glamrung zmiażdżył w dwóch palcach najemnika i pożarł na obiad!

– Wcale ładnie – pochwalił Grimo. – Z tą jednak różnicą, że miecz Bjarniego zaczął spływać krwią dopiero po tym, jak Czarnobrody zabił w napadzie szaleńcza Herjolfa, powróciwszy już z gór. Był to jedynie akt ślepej wściekłości...

– To szczegół, szczegółik właściwie – rzucił Bjarni, a potem zwrócił się do młodego skalda, klepiąc po ramieniu: – Nieźle się spisałeś.

– Ja bym coś jeszcze dodał – odpowiedział Grimo – że Bjarni kwilił, o litość prosił, a potem spoglądał na własne wnętrze przez paluch olbrzymia na śnieg wywleczone...

Gdy Hafgrim się uśmiechnął, rad z pochwały, najemnik podniósł się z krzesła i dobył miecza, a następnie wbił ostrze w stół. Młodzieniec z lękiem spostrzegł, że po wyszczerbionej klindze zaczynają spływać stróżki krwi. Zaraz potem siły opuściły Hafgrima i omdlawszy, opadł na ławę.

– Co by nie mówić, miał dość odwagi, by opowiedzieć historię o Pogromcy Olbrzymów na nowo i to w obecności bohatera bajania – powiedział Bjarni, chowając miecz. – Zdolności mu nie brak, by kłamać za złoto, tylko trochę pokory by się zdało, ale to z wiekiem przychodzi...

– Rzuć srebrnikiem karczmarce, Bjarni – rzekł Grimo – i ruszamy ponownie w drogę! Miło jest słuchać o naszych przygodach, zacznij jednak i weselej samemu brać w nich udział!

Wyszli na zewnątrz, pozostawiając sowitą zapłatę na stole, ale z Hafgrimem, który, nie odzyskawszy jeszcze pełni sił, wspierał się na ramieniu Bjarniego – wszak dali słowo karczmarce, że go wyprowadzą. Na skąpanym w blasku placu wieśniacy właśnie wracali do życia, a słońce, wędrujące już właściwym szlakiem, budziło świat ze srogich majaków.

Wnet rozległy się oklaski i słychać było radosne głosy.

– Wiwat Hafgrim!

– Chwała największemu spośród skaldów!

Grimo pokręcił z dezaprobatą głową.

– Tak to już jest. Można spisać dziesiątki mądrych ksiąg, spędzić dziesięciolecia na badaniu prawideł liczb lub tajemnych alfabetów, a co najwyżej pięciu najmędrszych starców skłoni głowę na taką sztukę... A gdy sobie trochę nawymyślasz bzdur przy ogniu, kłamstwo za kłamstwem podając, zrećnie być może, ale jednak nie z mistrzostwem, to ci tęgie brawa biją, jakbyś samym królem

był! Kuraka na niebie umieścić, proszalnemu dziadowi dla draki przydać dziewczę z bogatego rodu, słońcu kazać w inną stronę iść, a już uciecha w ludziach i skłonność do pochwał! Ech...

– Czyżbyś żałował, że porzuciłeś niegdyś marzenia o karierze pieśniarza? – zapytał Bjarni.

– Czy dąb żałować może, że ktoś zrywa kwiaty na łące i cieszy się ich zapachem oraz zwiewną urodą? Kwiat rychło więdnie, o jego woni zapomną, a dąb będzie stał jak stoi!

Bjarni wsiadł na swego rumaka, Grimo zasiadł na ramieniu Czarnobrodego, a Hafgrim został we wsi, wciąż oklaskiwany przez wieśniaków, którzy liczyli naiwnie na to, że czas cudów jeszcze się nie skończył i nowe, czarowne mary wyłonią się wkrótce zza krytych strzechą chałup.

* * *

Cały pogodny dzień upłynął im w podróży, którą przerwał krótki, ale obfity popas. Humory dopisywały, a kiedy słońce zaczęło powoli chylić się ku zachodowi, Grimowi zebrało się na wynurzenia.

– Ach ta dzisiejsza młodzież... – Kruk rozpoczął z westchnieniem swoją tyradę. – Strachliwe to to, przed byle wyzwaniem się cofa, szybko się poddaje... Gdy bryza znad morza zaciąga, młodzieńcy wołają dzisiaj, że to wicher, co pokotem lasy kładzie! Kiedy karzeł stąpnie pod progiem domu, trwożą się zaraz i chowają, myśląc, że olbrzym susy sadzi! A wymagają, a żądają, a wszystko im się należy; królowie im się kłaniać mają, brzegi rozstępować przed nimi, by nogawic sobie nie pomoczyli w słonej wodzie. Gdy zaś idą w ciźmach skórzanych, stałą podbitych, tam, gdzie dziadowie ich na bosaka biegali, mówią, że ich kamyki w stopy uwierają i że odciski od tego... Ojców swych, co za ogon smoki łapali, młodzi za nic mają i śmiało twierdzą, że dawne wieki wyzwań nie stawiały takich, jakie przed nimi teraz wyrastają, podobnych to niby do gór nieprzebranych i oceanów wezbranych, a przecież przypominających w rzeczywistości krecie kopce i kałuże po deszczu byle jakim!

– Czy nie podobni byliśmy, gdy kilkanaście wiosen na karku zdawało się żadnym ciężarem?

– Nie, nie i po trzykroć nie! – zaprotestował stanowczo Grimo. – Ty nie narzekałeś jako gołowąs, że tu cię uwiera, tam w uchu szumi, gdzieś zakuło lub zaswędziało, tylko cieszyłeś się chwilą, za nic mając bzdury! Strumienie wtedy zdawały nam się bardziej wartkie, szukaliśmy gór wysokich i byle okruszyna była nam za stawę, ale wszystko to nas cieszyło i ważne było tylko tyle, aby zobaczyć coś nowego, słowo zamienić z kimś, kto widział cuda większe niż te, któreś w snach ujrzał... Nie żądałeś, Bjarni, gór złota, gdy żeś ledwo miecz trzymał, ale śmiałeś się z ochotą, gdy ktoś chociaż piwem za trud poczęstował! Spoglądałeś za

to z szacunkiem i uwagą na tych, co wydeptali ścieżki w czasach, gdy świat nie był skarłały, słuchałeś z przejęciem o ich przygodach... A teraz? Teraz z tego, kto pierwszy wszedł na górę, zaśmiewają się młodzi w głos, mówiąc, że sami są w stanie wspiąć się szybciej i sprawniej. Ale zapominają, że im ktoś wcześniej linę uwiązał u tego szczytu i spuścił w przepaść, by szlak utorować! Takie to czasy...

– A coś ty nagle stał się takim krytykiem młodzieży? – zapytał Bjarni, skracając ze szlaku, co uszło uwadze Grima. Z pewnością kruk oponowałby, widząc, że obierają drogę wśród trzęsawisk, które bulgotały jakimś chorym wyziewem. Kto wie czy to nie przez to bulgotanie właśnie nie posłyszeli w porę dziwnych pochrząkiwań i jęków.

– Bo ktoś na głos musi wyrzec to, co razi! – zawołał Grimo.

– Mnie się jednak zdaje, że zazdrosny jesteś, a cała ta heca ze skaldem przypomniła ci czasy młodości i niespełnione marzenia o bajaniu.

– Tylko nie zazdrość! – zaprotestował stanowczo kruk. – To uczucie, których ludzi oraz kruki o małym duchu cechuje, nie mędrców.

– Sam jednak mówiłeś, że musiałeś porzucić ścieżkę skalda. Czyżbyś nie sprostał jej wymaganiom?

Kruk rozżłościł się i nerwowo zaczął bić skrzydłami – może dlatego uszło uwadze Grima, że słońce już niemal w całości schowało się za górą, a ziemia zaczęła miarowo podnosić jakby wraz z czyimś oddechem, co nie leżało przecież w jej naturze.

– Gdym wstępował w progi najznamienitszej uczelni, która kształci pieśniarzy, już podczas pierwszego roku nauki zabierano każdego z nas łodzią na samotną skałę pośrodku nienawistnego morza i albo się komu udało powrócić za sprawą zmyślonej łodzi, albo zostawał tam na wieki!

– Ciekawe, co mówisz... – powiedział Bjarni, zamyśliwszy się. – Byłem jeszcze młodym człowiekiem, kiedy z pokładu statku, którym płynąłem ku nieznanemu, zobaczyłem wraz z innymi żeglarzami wysepkę pełną szkieletów i lutni...

– A teraz w szkole biedzą się nad bajaniem o Pogromcy Olbrzymów!

– Grimo...

– Cóż to za wymysły! – zaskrzeczało ptaszysko. – Nie godzę się, by obniżać poziom...

– Czy umilkiesz na moment? – Bjarni był najwyraźniej zaniepokojony.

– Umilknę, kiedy świat wysłucha mego lamentu nad upadającą sztuką składania rymów i tworzenia iluzji!

– Ciii... – Bjarni przyłożył palec do ust, a Grimo zaniemówił, widząc, że na twarzy towarzysza pojawiła się powaga.

– Słońce już zaszło – zauważył kruk. – A okolica wydaje się nieciekawa. Zagadaliśmy się nierozważnie...

– Zagadaliśmy? Rzeczywiście, ktoś za wiele kłapał dziobem.

Wnet ziemia zaczęła się lekko podnosić, czemu towarzyszyły jakieś postękiwania i mlaskanie błotnych trzęsawisk. Niewiele dało się dojrzeć w zapadającym mroku – łuna zachodzącego słońca paliła się jeszcze purpurą na skraju pasma wzgórz – ale Bjarniemu i Grimowi zdawało się, że drzewa poruszają się, choć nie było wichru. Smrodliwie zagotowało się w bagnie i zewsząd było słychać złowrogie nawoływania, z pewnością nieludzkie, choć układające się w jakieś słowa, niepodobne do niczego i nieprzyjemne.

Nim wędrowcy zdążyli się zorientować, trzy sosny uniosły się wysoko, a ich wierzchołki znalazły się pośród zapalających się gwiazd. Wielki kawał darni widniał teraz na głowie pokraccznego stwora. Gruby nochal, zwalista postać i smród bijący od cielska niechybnie świadczył, że to stary troll, który przysnął gdzieś opodal szlaku i przez dziesięciolecia nie wstawał, obrastając puszcza.

– Spójrzcie! Patrzcie! – zawołał potwór. – Dawno nikt tędy nie jechał, a teraz na trakcie koń, na koniu człek, a na człeku ptak swarliwy przysiadł... Dziwne... Ludzie unikają tych bagien, bojąc się mnie i mej rodziny... Co to za śmiałek? Czy świecidełka jakieś ma? Czy nada się na strawę? Trzeba to zbadać, oj trzeba! Ejże! Dzieci i wnuki, wstawajcie! Gości mamy...

Po tym jak troll zawołał gromko, w ciemnościach dało się dostrzec niewyraźne ruchy. Zewsząd dobiegał też żwawy tupot małych stóp, któremu towarzyszyły złośliwe chichoty. Raz po raz, gdy z kolei któryś z wielkich jak drzewo trolli przemieszczał się mrokach, ziemia lekko drżała.

– Bjarni... – Grimo nastroszył pióra.

– Ciszej. Wzrok u nich nietęgi. Może nas nie zauważą, gdy znieruchomiejemy...

Były to jednak płonne nadzieje. W ciemnościach jaśniało teraz kilkadziesiąt par oczu, czasem ogromnych jak koło od wozu, innym razem nie większych od miedziaków, a wszystkie kierowały się w stronę nieszczęsnych podróżnych.



Największy z rodu trolli przesunął się – zdawało się, że to pagórek poruszył się w posadach – a potem położył swoje dwie wielkie, pokryte szlamem i porośnięte bagienną roślinnością dłonie na ścieżce, odcinając zbłąkanym w ciemnościach drogę ucieczki.

– Teraz mi się nie wymkniecie! – zaśmiał się troll, a pokraczne postacie zaczęły tańczyć w krąg, intonując radosne pieśni. – Biesiada po latach postów będzie miła... Nawet gdy ledwo na ząb dla mnie starczy!

Bjarni wyciągnął swój miecz, ale Grimo wyczytał w spojrzeniu najemnika, że nie ma dla nich wielkiej nadziei. Ach, gdyby świt się zbliżał, byłaby jeszcze

szansa na ratunek, botrolle lękają się słońca – ale przecież tarcza dopiero co opadła za pasmo wzgórz. Pogromca Olbrzymów i kruk zdawali sobie sprawę, że krąg tańczących stworów zbliża się do nich. Słysząc było głośne mlaskanie i ucieszne zacieranie błoniastych dłoni.

– Złapać! Trzymać! Nie wypuszczać... – radził stary troll. – Zadusić, żebra połamać, trach! Wypatroszyć potem, albo i nie, bo szkoda czasu, a flaki też są pożywne... Uczta, uczta nas czeka zacna!

Bjarni zaczął już wymachiwać mieczem, a kruk zastanawiał się, czy uciec w przestworza, czy trwać przy towarzyszu, gdy nagle na zachodzie zajaśniało. Troll mruknął niespokojnie, a kiedy spojrzął na pasmo wzgórz, zobaczył, że pomiędzy szczytami rodzi się blask niespodziewanego świtu.

Wnet słońce rozjaśniło okolicę, a Bjarni z Grimem mogli w całej okazałości zobaczyć szpetne plemię, którego gruzłowate, kostropate ciała pokrywał błotny szlam i mech. Co większych spośród niego porastały niewielkie drzewa, a przynajmniej krzewy. Ten zaś, który przemówił, ogromny był niczym góra i za kompana mógłby mieć samego Glamrunga. Sosny na czubku jego głowy przypominały koronę. Gdy zaś otworzył gębę, zdawało się, że rozwarła się wielka jaskinia, z której stropu zwisały stalaktyty krzywych, ale ostrych zębów.

– Słońce... już razi me oczy. Czy to czary? Zdawało się, że słońce dopiero co zaszło, a teraz podnosi się znów... – Troll spojrzął na najemnika i kruka, który skrzeczał na ramieniu zbrojnego. – Z czarnoksiężnikami musimy mieć do czynienia. Już czuję, jak promienie palą moją skórę. Uciekajmy! Uciekajmy!

I choć nie było to w naturze rozleniwionych długoletnim snem pokrak, to czym prędzej poczłapały w głąb bagien, jakby je kto gonił.

– My także nie mitrężmy czasu – powiedział Grimo. – Popędzaj rumaka, Bjarni. Wynośmy się stąd!

* * *

Siedzieli potem przy ognisku, w cieniu pochylonej wierzby, patrząc jak świtać ponownie zaczyna, tym razem na wschodzie, jak to bogowie mądrze urządzili. Młody Hafgrim z uśmiechem brzdąkał na lutni i coś podśpiewywał pod nosem.

– Czyż to nie będzie wspaniała pieśń? Dwójka bohaterów uratowana przez skalda! Dobrze, że znalazłem jakąś chabetę i was dogoniłem.

– Mieliśmy szczęście – rzekł Grimo – że ci jeszcze na dnie dzbana coś z tego miodu natchnienia zostało.

– Jesteśmy ci winni podziękowania – powiedział bez radości Bjarni, cały czas myśląc o tym, że w ten czy inny sposób i tak dałby sobie radę z trollami.

– Nic to... Nic... – powiedział Hafgrim z szelmowskim uśmiechem. – Musisz jednak przyznać, panie, że największym jestem spośród skaldów, a magia pieśni

potężniejsza od oreża!

– No, nie pozwalaj sobie na zbyt wiele... – mruknął pod nosem Bjarni.

– Czy nie pora jednak pomówić o tym, jak moglibyście mi się odwdzięczyć?

– Odwdzięczyć? No cóż... – Grimo wzleciał i usiadł na szczycie wierzby. –

Masz rację, że należy ci się nagroda.

Pogromca Olbrzymów sięgnął do kiesy, ale Hafgrim powstrzymał go ruchem dłoni.

– Srebro i złoto to nic! Choć przyjmę monetę... Czemu by nie? Zrozumiałem nareszcie, że muszę spełnić swoje marzenia. A choć potrafię składować i czarownie bając, to przecież nie będę mógł tego robić bez stosownych pozwoleń. Chciałbym powrócić do szkoły i poprosić mych nauczycieli, by dali mi jeszcze jedną szansę... Ach, co to będzie za pieśń! I w dodatku nie znajdzie się w niej ani kapka zmyślenia. Opowiem jak to ramię w ramię z Bjarnim Krukiem stawałem, od opresji go ratując!

– Nie przesadzaj, ponownie ci radzę – powiedział Czarnobrody. – Nie przesadzaj.

– A kto mi powie, że egzaminu nie zdałem, gdy sam Bjarni Kruk zjawi się u mego boku! Hejże, świat znowu zdaje się być miejscem, gdzie rodzą się radosne baśnie!

Bjarni westchnął, Grimo zaczął przedrzeźniać młodzieńca, ale, chcąc nie chcąc, musieli mu dopomóc.

– Ciekawe, czy mnie tam jeszcze pamiętają? – rzekł kruk, zamyśliwszy się. – W końcu byłem najzdolniejszym z uczniów! Gdy niektórym się udawało sklecić z pieśni byle jaką łupinę, by z wyspy, o której opowiadałem, uciec, ja postawiłem z pomocą słów i czarownych dźwięków most dłuższy niż ten, co prowadzi do Asgardu!

A kiedy Grimo się przechwalał, a Bjarni złościł, że przyjdzie im trochę czasu zmitrężyć na podróż z Hafgrimem, kur sfrunął z nieba i zapiał trzykrotnie, jakby przypominając sobie poniewczasie o zadanej mu przez bogów robocie.

* * *

...Ci, którzy szli z nim ramię w ramię, którzy z jednego garnca miód pili i z tych samych szczytów wzgórz dziwili się ogromowi i pustce świata, zwykli wspominać, że człowiek zwany Krukiem nie bał się niczego poza niewolą i zapomnieniem.

Nie łańcuchy jednak i lochy wież go przerażały, a urok złych słów. Gdzie bowiem nie przybył, sława o jego czynach wyprzedzała jego kroki, a wraz z nią szło przekleństwo. Wiedziano o nim więcej, niż Bjarni sam mógł rzec o sobie. A zawsze dowiadywał się z opowieści ludzi czegoś nowego i zdawało się, że w legendach ludzi ogląda obcą postać. Szybko zdał sobie sprawę, że nie jest ważne, kim się jest

rzeczywiście, istotne zaś jest tylko to, za kogo nas mają.

Nie zniósłby zatem nigdy tego, że ktoś zawładnąłby jego losem, a czuł, że w świecie opowieści nie jest to trudne. Kto bowiem nosił w sobie dar snucia bajania, ten mógł tego dokonać, zmieniając dolinę w szczyty gór, a bohatera w tchórzliwego głupca.

Było jednak raz tak, że i Bjarni, i uczony kruk imieniem Grimo, poplątali przede losu, pieczętując nieopacznie swą zgubę, choć zdawało się im obu, że przybliży ich to do dokonania zemsty na Holgim...

Z „Sagi o Kruku”

IX. Przędza losu

Wciąż czujny, choć wycieńczony przedłużającą się potyczką, obserwował przekrwionymi oczami okolicę. Z owiewanego wiatrem zbocza roztaczał się widok na cienistą dolinę, która ciągnęła się aż po horyzont i pasmo niskich wzgórz, majaczących w oddali. Wszędzie widać było ludzkie szczątki – stare kości i świeże trupy. To do nich ciągnęły stada wron, kruków i bezpańskich psów. Żaden z padlinożerców nie głodował w tym miejscu, a większość ledwo mogła się poruszyć z przejedzenia.

Jeśli walka ustawała w tej krainie bez imienia, to jedynie na moment i tylko po to, by oddziały najemników mogły się przegrupować i odpocząć chwilę. Nikt nie martwił się tutaj pochówkiem, nikt nie ścigał z placu boju ciał poległych. Śmierć spowszedniała przez wieki nieustannej jatki.

Pogromca Olbrzymów splunął i wziął głęboki oddech. Powietrze przesycone było trupim odorem i chłodem nadchodzącej zimy, która przynosiła ze sobą pierwszy śnieg, nieśmiało jeszcze proszący. Bjarni przetarł oczy. Zdawało się, że w zbierającym się towarzystwie padlinożerców dostrzega znaną sobie sylwetkę. Wielki kruk, z osiwiiałymi ze starości piórami, przechadzał się pomiędzy ludzkimi szczątkami, szukając posiłku. Ale czy Grimo, który był mędrcom oraz magiem, mógł zasmakować w takim jadle? Czyżby i on dał się ponieść krwiożerczemu instynktowi? W dniu bitewnego szału na bok odchodził czar pieśni i dworskie obyczaje.

Bjarni westchnął, odwracając wzrok od ponurego krajobrazu, który, odcięty od słońca powałą wiecznych chmur, dawno już nie zaznał blasku i nikał w szarościach podobnego do nocy dnia.

– Nie muszę wyobrażać sobie, jak wygląda przedsiónek krain oddanych pod władanie oszalałym bogom – powiedział Bjarni, jakby do siebie. – Mam go przed sobą w całej okazałości.

Velkor, najemnik z dalekiej krainy, postawny mężczyzna o szerokich barkach i zaplecionej w warkocz rudej brodzie, słysząc słowa kompana niedoli, tylko się uśmiechnął. We dwóch jedynie strzegli wejścia do wąskiego przesmyku. Reszta zbrojnych poległa.

Rudobrody poprawił topór bojowy u pasa, a potem rzekł:

– Naciesz oczy tym widokiem, Bjarni. Tyle dni, a my wciąż wśród żywych! Zobacz ilu z naszych zginęło...

– Zdażyłem się już znużyć tym krajobrazem – odparł Bjarni, ścierając świeżą krew z ostrza swego wyszczerbionego miecza. – Bitewna pożoga nie jest dla mnie

žadną nowością.

– I ja miewam jej czasem dość, przyjacielu – powiedział Velkor, patrząc w dal. – Czy pozostało nam jednak coś innego? Czy mógłbyś zasiąść przy palenisku i doglądać dziatwy albo poganiać parobków?

– Czasem chciałbym zeznać i tego. – Czarnobrody westchnął. – Byłaby to miła odmiana.

Bjarni powstał i wbił w ziemię miecz, czując, że ostrze bez trudu zagłębia się w błotnistym gruncie. Zdawało się, że rdzawa, grząska gleba przesiąknięta jest krwią. Kiedy wojownik wyjął ostrożnie ostrze z grząskiego podłoża, ujrzał na nim ponownie smugę świeżej krwi, jakby przed chwilą jej nie ścierał.

– Widziałeś coś takiego, Velkorze? – Bjarni podniósł miecz, po którym ściekała posoka. – Ziemia pojona jest tu krwią od wieków. Magia włada tą krainą.

– Magia, mówisz? – rzekł postawny najemnik, a na jego twarzy pojawiło się zasepienie. Wielkolud wpatrywał się w szarzejącą dal z wyraźnym niepokojem, co nie uszło uwadze Czarnobrodego.

– Skąd ten pochmurny wzrok? – zapytał Bjarni. – Czyżbyś przejął się nagle losem tych, których rozplatałeś bojowym toporem? Jakbym widział jastrzębia, co roni łzę nad pochwyconą myszą.

– Słyszysz? – zapytał Velkor, nadstawiając ucha. – Dziwne głosy, jakby nie z tego świata... – Wojownik zaczął się zastanawiać, a potem wskazał palcem w kierunku krańca doliny. – Dobiegają ze wzgórza zakrytego przez mgły. Zawsze gdy po bitwie spoglądam na dolinę, słyszę podobne dźwięki. Jakby ktoś nucił wesołą pieśń... – Rosły najemnik podrapał się po głowie. – Wesołą? Hmm... Nie, to złe słowo! To pieśń szaleńca, kogoś, kto śmieje się wbrew rozsądkowi, kto zatracił się całkiem, kto postradał zmysły! Tak, tak właśnie... Nigdy nie zgadłem, co oznacza ten śmiech. Wiem tylko jedno, Bjarni: zapowiada kolejną potyczkę i krwawe żniwa, jakby ktoś drwił z nas nieustannie! W krainie opłukiwanej przez krew poległych, niedobrze jest słyszeć śmiechy, zwłaszcza szaleńcze. Nie mogą one przepowiadać niczego dobrego...

– Słyszę tylko głuche wycie wichru – odparł Bjarni, zarzucając nagi miecz na ramię i wytężając słuch. – To wiatr wygrywa tajemnicze pieśni, wpadając do pustych, ludzkich piszczeli. Wtórują mu też padlinożercy. Nie podejrzewasz nawet, jakie głosy potrafią dobyć się z kruczego gardła... Wędrowałem kiedyś z pewnym krukiem na ramieniu, wiem zatem, co mówię. – Wycie wichru przez chwilę stało się nieznośne, a niebiosa przybrały purpurową barwę. – Pewnie takimi pieśniami raczy się każdej nocy Hel.

– Nie wiem, kim jest twoja Hel – rzucił Velkor – choć mniemam, że jakimś straszliwym bóstwem, skoro cieszą ją podobne widoki i dźwięki... Wiem, Bjarni! – Wojownik wstał nagle, a w jego oczach zabłysnął ognik. – Słyszę szalone, kobiece śmiechy, zniekształcone przez wicher, ale dość wyraźne, by ich nie lekceważyć.

Ale to nic! Słyszę też turkot kołowrotek! Jakby ktoś przął nasz los! Nie podoba mi się to... Chciałbym decydować o każdej ze swych chwil.

Wiatr wzmógł się, niosąc od wzgórz zapach nadchodzącej zimy, ostry i niepokojący. Bjarni schwycił nić, która wplątała się w jego brodę, i trzymając ją w dwóch palcach podniósł wyżej. Długa nitka unosiła się przez moment na wietrze, a potem, wypuszczona przez Pogromcę Olbrzymów, poszybowała w dal.

– Czy nie za późno na babie lato? – zapytał Bjarni. – I co to za odgłos?

Teraz wśród przynoszonych przez wichry głosów rzeczywiście dało się rozpoznać kobiece śmiechy i niejednostajny turkot kołowrotek, jakby ktoś przął i śpiewał jednocześnie.

Przez moment Bjarni widział roześmiane prząśniczki. Siedziały w wielkiej, zalanej blaskiem hali. Ściany ich siedziby pokrywał ogromny gobelin. Potem otworzył oczy i zobaczył jak dobrze znana mu dolina wypełnia się gęstymi oparami.

Gdy z mgieł wyłonili się wojownicy, Kruk otrząsnął się z letargu. Zbrojni w tarcze i miecze, deptając kości swych braci, szli pewnie przed siebie. Było ich trzech. Wypoczęci i gotowi pomścić poległych towarzyszy, ochoczo pokrzykiwali.

– A nie mówiłem! – zawołał Velkor. – Te głosy z dali, to niezawodny znak, że znowu zbliża się jatka. – Wielkolud machnął ręką, a potem ruszył przed siebie. Pod ciężkimi butami najemnika trzaskały ludzkie kości. – Tym razem pójdę sam.

– Poradzisz sobie? – zapytał Bjarni z uśmiechem.

Velkor zaśmiał się w głos.

– To tak, jakbyś spytał rybę, czy potrafi pływać!

– Dobrze, idź zatem! Następnym razem to ja uderzę w pojedynek.

Niebo ciemniało. Chmury kłębiły się, przybierając rdzawy odcień, jakby bogowie skąpali swe królestwa we krwi.

Szczęk oręża przegnał ptactwo, które wzbiło się wyżej i zaczęło kołować nad polem bitwy. Wkrótce dało się słyszeć jęki konających. Ktoś upadł, a ciężka kolczuga zbrojnego zachrzęściła, gdy ciało uderzyło o skalisty grunt. Jakiś mężczyzna wyłonił się z mgieł. Szedł powoli, z jego ust wylewała się krew. Prawą dłoń miał odrąbaną tuż ponad nadgarstkiem. Spojrzał jedynie na Bjarniego, który obojętnie żuł źdźbło trawy, a potem padł jak długi, wydając z siebie tylko zduszony jęk.

Velkor powracał uśmiechając się szeroko. Jego twarz była czerwona od krwi wrogów, a oczy płonęły żądzą mordy.

– Skończone – powiedział, dysząc ze zmęczenia i przysiadając na kamieniu.

– Przynajmniej na razie.

– Uwinąłeś się, nie powiem.

– Wprawa, nic więcej.

– Mój miecz zdążył się już wyszczerbić na czaszkach naszych wrogów,

Velkorze. – Bjarni powstał z miejsca i wznosił wciąż czerwieniące się od krwi ostrze – choć minęły zaledwie dwa tygodnie, odkąd oddałem swe usługi władcy, którego imienia już nie pamiętam. Trup ściele się gęsto w tej dolinie, a ja wciąż nie dowiedziałem się, co poróżniło tutejsze rody. Jedni atakują drugich bez planu i celu. Ciągłe przychodzi nam stawać do boju. Jaki jest tego sens?

– Pocieszę cię, że i ja tego nie wiem – powiedział Velkor, wyciągając zza pasa topór. – Nikt nie pamięta już, co poróżniło tutejszych książąt... Pytałem mieszkańców doliny, ale rozkładają jedynie ręce.

– Zabijają się od wieków, nie znając przyczyny?

– Niechaj ci, którzy układają pieśni zastanawiają się nad tym jak doszło do sporu i co było jego przyczyną. Jedni podnoszą rękę na drugich, a pokrzywdzeni pragną zemsty. To słuszne może, choć zgubne dla wielu prawo rządzi światem. Gdy wybiją ci oko, nie omieszkaj wypalić przeciwnikowi dwóch, by pozostał ślepy na zawsze. A że i ten czyn spotka się z rewanżem? Tego nas uczą od wieków. Dzisiaj kazano nam strzec wejścia do wąwozu...

– I wycinamy każdego, kto tylko się zbliża. Czy nie masz wrażenia, że ci ludzie idą na rzeź bez zastanowienia?

– Czy nie chowasz do swej skrzyni pękatego od złota mieszka, Bjarni? – zapytał Velkor z uśmiechem. – Dostaliśmy monety... To najważniejsze. Powiedz jednak, przyjacielu, co sprawia, że ty sam łakniesz krwi? Dlaczego wędrujesz przez świat i ofiarujesz swój miecz na usługi?

– Złoto to mało. Jego blask nie wyjaśni wszystkiego.

– Tak, wiem. Nie jesteś przecież zwykłym najemnikiem... – Velkor podszedł do Bjarniego i nachylił się do jego ucha. – Mógłbyś zostać panem w swym kraju i wieść szczęśliwe życie, spoglądając z tronu na własną domenę. Zimą grzałbyś się przy ogniu, patrząc jak dorastają dziarscy potomkowie, wiosną wyruszał na wyprawę i łupił krainy za morzem. Ty jednak nie chcesz nigdzie zagrzać miejsca. Coś sprawia, że nieustannie szukasz nowego celu. Jesteś tu z nami od niedawna, a już mówisz o dalszej drodze, choć nie brak w dolinie zajęcia dla wojownika i nasz pan nie szczędzi złota. To dziwne... Już wiem! – Velkor spojrzał Bjarniemu w oczy. – Nie podążasz za wyzwaniem, ale przed czymś uciekasz... Komu człowiek, którego przezywają Krukiem, założył za skórę?

– Niejednemu – odparł Bjarni, spoglądając z niechęcią na Velkora. – Z tych, którzy weszli mi w paradę, żaden jednak nie został przy życiu.

– Nawet ten, którego zlorzeczenia wciąż odbijają się echem wśród gór?

– Nawet on – odrzekł Czarnobrody. – Nie pora jednak na to, by wspominać dawne dzieje. Jeśli nie wykrzeszemy z siebie dość sił, nie doczekamy kolejnego dnia.

– Odsiecz już ku nam zmierza – powiedział wielkolud, preżąc pierś. – Słyszę głosy naszych towarzyszy. Ale zanim tutaj dojdą, trzeba stawić czoła kolejnemu

oddziałowi.

– Teraz moja kolej – rzekł Bjarni, podnosząc się z miejsca.

– Będzie ich z tuzin – zawyrokował Velkor, nasłuchując głosów z doliny, bliższych, niż nawoływania idących z odsieczą.

– Mówisz, że nie dam rady?

– To już samobójstwo! Ruszymy razem... Czyś gotowy?

Bjarni wzniósł miecz.

– Jak jeszcze nigdy – odrzekł z uśmiechem. – Choć upieram się, że dałbym sobie radę sam.

Chwilę potem zanurzyli się w mglistą zawiesinę, uderzając niemal na oślep. Czarnobrody z krzykiem ciął mieczem, który raz po raz ześlizgiwał się po czyjejś kolczudze, czasem zaś odcinał dłoń lub zagłębiał się we wnętrzościach, zraszając świeżą krwią sterty kości.

– Uderzaj, Bjarni, uderzaj! – krzyknął Velkor, po tym, gdy rozplątał toporem jednego z napastników. – Czy jest piękniejsza robota od tej? Pogromca Olbrzymów nie zna litości! Czy nie tak właśnie nazywają cię w pieśniach? Niechaj ich jedynym pocieszeniem będzie to, że zginęli od miecza, który ciął niegdyś ciało giganta!

Bjarni nie słyszał słów towarzysza. Wymachiwał wściekle orężem, wyrzesując z siebie ostatek sił. Jeszcze więcej cieni zamajaczyło we mgle. Głosy biegnących z odsieczą kompanów odezwały się głucho.

Stary kruk wylądował na jednej z czaszek i ledwo poruszał skrzydłami, jakby nażarł się za wszystkie czasy. Niebo oblekło się w żalobną czerń, przez którą sączył się czerwony blask. Przynoszona przez wiatr tajemnicza pieśń wzmogła się jeszcze. Turkot kołowrotekó zagłuszył każdy inny dźwięk, mimo że po bitewnym polu niosła się pieśń rzezi. Czy Bjarni zwariował? A może tylko mu się to śniło?

Upadając na kolana, widział przed sobą jedynie trupy poruszających się jeszcze w konwulsjach wrogów. Ich krew skrzepla na twarzy Bjarniego niczym maska. Dzwoniło mu w uszach, a świat wokół przesłoniła czarna płachta.

Ta bitwa trwała trzy długie dni. Stanowczo za długo.

* * *

Bjarni podniósł z niechęcią prawą powiekę. Przez moment spoglądał na rozmywający się świat bez ochoty, czując nieprzyjemne ukłucie niepokoju oraz ból, pulsujący w świeżo zasklepionych ranach i pogruchotanych kościach. Łuna wschodzącego słońca wpadała do opanowanej przez półmrok izby, ale blask był mdły.

Głośne krakanie zmąciło spokój chłodnego poranka. Bjarni nie był sam w komnacie. Pod powałą, na podłużnej belce, zasiadał Grimo, trzepocząc skrzydłami i gadając coś w swej ptasiej mowie. Wydawał się grubszy niż zwykle, jakby napęczniał od nieustannych biesiad.

Bjarni z niezadowoleniem obrócił się na drugi bok i wyszeptał:

– Nieszczęśliwa to kraina, w której nie budzi cię ze snu młoda niewiasta albo chociaż kogut, tylko zrzędzący, złośliwy kruk...

– Tak mnie witasz po dłuższej rozłące?

– Nie powiem, brakowało mi twego krakania za uchem. Jesień spędzona bez przekomarzania się z tobą zdała mi się nudna i odarta z humoru.

– Pozwoliłem sobie zatrzepotać głośniejszymi skrzydłami – odezwało się ptaszysko – i raz czy dwa zakrakać, bo dzieją się w okolicy dziwne rzeczy. Może mój głos cię otrzeźwi, Bjarni. Pora otworzyć oczy! Im dłużej pozostajesz w tej krainie, tym większa szansa, że napytasz sobie biedy! A gdy tobie źle się wiedzie, problemy zaraz spadają i na mnie...

– A, tutaj zgoda! Tarapaty cię czekają, to niemal pewne – burknął Bjarni. – Już za chwilę gderliwy kruk zostanie oskubany z piór! Chyba że zamilknie i pozwoli mi chwilę pospać...

– Dość złośliwości! – zawołał Grimo i zleciał z belki biegnącej wzdłuż stropu na podłogę, a potem, z wyraźnym trudem poderwawszy się ponownie do lotu, zasiadł na krześle, skąd mógł wyglądać przez niewielkie okno. Na murach twierdzy, w której znaleźli gościń, nie było widać żywego ducha. Wiekowe fortyfikacje kruszały, porośnięte bluszczem wieże przechylały się niebezpiecznie, a z wielu okien ziała pustka. Dalej rozciągał się pejzaż odmalowany jakby dłonią bogów śmierci, nie upiękuszony żadną nadzieją, najślabszym choćby słonecznym promieniem; dolina, z której mało kto uszedł z życiem.

Ptaszysko zaczęło, w typowy dla siebie sposób, przestępować nerwowo z nogi na nogę.

– Co za widok! – zawołał Grimo. – Kuszący i przerażający zarazem! Czy nie masz już dość tego krajobrazu? Strzeżesz samotnej, opustoszałej twierdzy, niegdyś dumnej i tętniącej życiem, teraz pilnowanej przez kilku opłacanych przez bezimiennego pana najemników...

– Czego ode mnie chcesz? – Wojownik podniósł się na ramionach, a w jego oczach widać było błyskawice. – Wczoraj położyłem pokotem dziesięciu zbrojnych, sam zebrawszy trochę razów. Czy nie mam prawa do chwili wytchnienia? Obudź mnie, gdy słońce znajdzie się w zenicie. Zadbaj też, by powitał mnie dzban z miodem i jakaś strawa. Gdyby śniadanie podane zostało przez dziewczynę, której delikatna, ciepła skóra ukołoby moje rany, też bym się nie obraził... Ech! Ręce bolą mnie od wywijania mieczem, a żebra aż trzeszczą po tym, jak jeden z wojowników zdzielił mnie obuchem.

– A czy głowa nie boli cię od huku kołowrotek i szaleńczych pieśni?

Bjarni tym razem zerwał się z posłania.

– Skąd wiesz?

– Jestem w końcu uczonym krukiem, ot co! – odrzekł Grimo

z zadowoleniem. – Widzę, słyszę, czuję więcej niżli śmiertelnicy.

– Czy to jakieś czary?

– Pewnie tylko takie, które sami sobie lubimy wymyślać... – powiedział kruk, rozkładając skrzydła. To nadało mu groźnego wyglądu. – I ja słyszę ten nachalny turkot, więc możesz być spokojny. Nie postradałeś zmysłów, choć to marna pociecha. Znaczy bowiem, że świat zwariował, nie ty, a to większa trwoga... Turkot kołowroteków dobiega z miejsca, do którego nikt nie chciałby się udać dobrowolnie, a nawet jeśli zdecydował by się na wędrówkę, to nie dotarłby do celu, bo droga jest ciężka. Nie dlatego jednak, że liczona jest w setkach staj, a szlaki wiodące na tajemnicze wzgórze są oblodzone lub nazbyt strome, ale ponieważ śmiertelnym trudno bez pomocy magii pokonać zagubiony trakt, który prowadzi do krainy, gdzie wstęp mają wybrańcy.

– Dlaczego my zatem mielibyśmy tam pójść? – zapytał Bjarni. – Bo czuję, że do tego właśnie zmierzasz.

– Mawiają, że nikt, kto wdał się w tutejsze waśnie, nie wyszedł z doliny żywy. Wszyscy padają tu jak muchy, to jedynie kwestia czasu! Kilka jest twierdz wokoło, a w każdej mieszka władca, który zapomniał już kim jest jego przeciwnik i o co toczy się bój. Choć skarbcze niemal już puste, starczy złota, aby opłacać najemników jeszcze przez lata... Każdy z wojowników powtarza sobie, że zostaje w dolinie tylko na chwilę, a potem ginie lub usycha niemal, gdy nie jest już w stanie nieść broni. Zatem więcej duchów strzeże tej twierdzy niżli żywych! Gdzie spojrzysz, tam szara zjawa, która jak i za życia, tak i po śmierci włóczy się po murach, wypatrując wroga. Ciężko mi przelecieć nisko, bo mącę takim spokój...

– Przejmujesz się cudzym losem?

– Nie chciałbym, by stało się tak i z nami. Zginąć tu, wśród setek trupów czy próbując uciekać? Odpowiedz sobie sam na to pytanie. W tej drugiej ewentualności zawiera się jeszcze jakaś nikła nadzieja. Tu nie czeka nas nic poza marnym końcem!

– I myślisz, że możemy tak po prostu odejść? – zapytał Bjarni, zmartwiony faktem, że znów ktoś pragnie stanąć na ścieżce jego losu. – Nie zmienisz świata i praw, które nim rządzą.

– Czy przyjrzałeś się polu bitwy, Bjarni? Moi pobratymcy ledwo już wzbijają się w powietrze. Niektórzy siedzą na puszczelach jak na konarach drzew, bo z przeżarcia nie są w stanie choćby poruszyć skrzydłem. Nie znasz nawet imienia pana, który wydaje ci rozkazy. Zawładnęła tobą żądza zabijania, jak każdym, kto tu zawitał. Nie powiem, i ja się objadłem przez te dwa dni mego krótkiego pobytu w dolinie, choć z pewną niechęcią myślę o takiej strawie. Ale instynkt padlinożercy to zbyt wiele, by się jemu przeciwstawić, nawet pozjadawszy wszystkie rozумы... Pora jednak wyrwać się z zaklętego koła!

– Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz powstrzymać się przed kosztowaniem ludzkiego mięsa? – warknął Bjarni z obrzydzeniem.

Grimo zaskrzeczał z oburzeniem.

– Od kilku dni zabijasz podobnych do siebie, nie wiedząc nawet dlaczego i w czyim imieniu. Czy zatem wolno ci prawić morały? W czym jest lepszy rzeźnik od tego, kto zasiadł w gospodzie? Nieważne... Gdy wyjrzysz przez to okno, zobaczysz, że po okolicznych siołach przechadzają się jedynie kobiety, dzieci i kilku najemników, którzy, podobnie jak ty, szukają grosza. I rzesze zjaw! Choć to akurat będzie nieuchwytnie dla twego oka...

– Co nam do tego? Wkrótce wyjadę w nową dal...

– Przecież mówiłem ci już, że to nie takie proste! Czy słyszałeś chichot Glamrunga w swojej głowie? A może nie? Mijają dni, tygodnie, a ty wciąż nie możesz się doczekać, aż klątwa zacznie cię dręczyć... – Grimo widząc tępy wzrok Bjarniego zatrzepotał skrzydłami. – A zatem nie usłyszysz głosu giganta, przepowiadam ci to! Może on tutaj rzeczywiście nie docierać... Nawet ten, co cię przeklął i życzy najgorzej, wolałby nie zachodzić do krainy, którą włada śmierć i z której może nie być powrotu.

– Nie pomyślałem o tym...

– Nie od myślenia głowa wojownika, ale od noszenia hełmu! Masz jednak mnie, pozwól zatem, że uświadomię ci, iż jesteśmy w nie byle jakim kłopotcie! – rzekł Grimo stanowczo. – Nie myśl też, żeś uciekł do problemów z klątwą Glamrunga, bo to tak, jakbyś chroniąc się przed deszczem wskoczył do beczki z wodą, z której się już nie wydostaniesz, bo ciasna i krępuje ruchy... Vessyana zobaczyła cię w swym śnie.

– Vessyana? Chyba nie znam niewiasty o tym imieniu... Jednak niejedna kobieta o mnie śni, żadna to nowość! – powiedział wojownik, podnosząc się z posłania. – Nie dziwi mnie zatem fakt, że nawiedzam jako senna mara twą przyjaciółkę... Czy na jawie miałem z nią kiedy do czynienia? – Bjarni podrapał się po głowie. – Tego wykluczyć nie mogę.

– Wątpię, by tak było... – Grimo przysłonił skrzydłem ślepią.

– Jak jednak doszło do tego, żeś to ty właśnie spotkał się z kobietą sam na sam? – Bjarni wstał niechętnie i zaczął się przeciągać. – Już nie wystarczy ci towarzystwo padlinożerców? I kim jest ta Vessyana, że wszystko wie? Wiedźmą czy karczmarką, która wysłuchuje ludzkich opowieści, a potem przekazuje je dalej, aż tracą sens?

– Bywa wieszczką, bo widzi więcej niż śmiertelnicy – wyjaśnił Grimo. – Przybyła do tej krainy, idąc za podobnym do ciebie zabijaką. Jej wybranek szukał szczęścia na polu bitwy, ale nie znalazł go... Vessyana mieszka w jednej z komnat wieży, która dawniej należała do jej ukochanego. Przestrzega innych, choć nikt sobie wiele z jej słów nie robi. Nie chciała zdradzić o co chodzi, ale powiedziała,

że twoje życie wisi na włosku. Zaśmiała się nawet i dodała: „Dosłownie na włosku”!

– Co to znaczy? – Najemnik zaczął palcami rozczesywać zmierzwioną brodę.

– Czyś nie słyszał nigdy o Nornach?

– Niejeden raz – odparł Bjarni, przecierając oczy. – Czy jednak nie jesteśmy w kraju, w którym stworzone w naszych opowieściach istoty nie mają wiele do powiedzenia?

Kruk przestał nerwowo z nogi na nogę.

– Owszem, owszem... Nie doleci tu włócznia twego Odyna, ani młot gromowładnego Thora nie znajdzie czaszki, którą można by było rozłupać na dwoje. Ale czy w każdej krainie, którą odwiedzasz, nie odnajdujesz bogów i nieśmiertelnych istot, podobnych do tych, co wtykają nos w ludzkie sprawy w dziedzinie twoich ojców? Ludzie są tak podobni do siebie. Kochają się i nienawidzą, zabijając i chronią własne dzieci. Zwłaszcza zaś boją się tego, co czeka ich po śmierci. Czy można dziwić się temu, że z ludzkich opowieści, bez względu na to, gdzie są snute, rodzą się podobne dziwy?

– Kołowrotki... Nici... – Bjarni przeciągnął się raz jeszcze, wpatrując się w rysującą się w oknie dal. – Czyżby ktoś bawił się przędzą naszego losu?

– Sądzę, że tak może być!

– Jest na to rada?

– Co najwyżej magiczna...

– A idź precz z magią! – Bjarni splunął siarczyście na podłogę. – Mało to nam biedy napytała?

– Ale i nie raz pomogła. Czy nie zaufasz mi i tym razem? Chodźmy do Vessyany!

Bjarni westchnął.

– Dobrze, Grimo! Rozmówię się z tą twoją kochanką czy powierniczką, kimkolwiek jest. Jeśli może to czemuś dopomóc... Ale teraz nadeszła pora, by podejść do piwnicy i najeść się solidnie. Czeka mnie dzisiaj znowu robota, a nie da się machać mieczem o pustym żołądku.

Grimo pochylił żałośnie dziób i opuścił skrzydła.

– Och... Ja już nie przełknę ani kęsa!

* * *

Tajemne cienie przechadzały się po wnętrzu mrocznej komnaty i trudno było zgadnąć, czy to tylko widziadła, wprawione w ruch przez tańczący w palenisku ogień, czy może błakające się bez celu i wytchnienia szerniały od zła dusze. Bjarni wolał nie zgadywać. Spoglądając jednak na nieobecne oblicze młodej kobiety, zastanawiał się, czy w jej bystrych, niebieskich, hipnotycznych oczach nie czai się

jakieś zagrożenie.

Vessyana miała włosy koloru kasztanów, które opadały na wątle ramiona, przysłonięte prostą suknią. Zdawało się, że jej świadomość więzi inny, obcy wymiar. Jej oczy patrzyły w pustkę. Siedziała za wielkim kotłem, znad którego unosiły się senne opary. Dymy rozlewały się na ginące w półmroku pomieszczenie, gdzie pełno było ziół i zapachów przywołujących pamięć o światach porzuconych przez śmiertelnych.

– Jesteś tym, który przybył z Północy – powiedziała dziewczyna, spoglądając na Bjarniego z uwagą, gdy już oswoiła się z jego obecnością. – Grimo opowiadał mi trochę o tobie, ale jeszcze więcej dopowiedział wicher, powtarzający legendy o chmurnym człowieku, który nigdzie nie potrafi lub nie chce zagrazać miejsca na dłużej...

– I w tej krainie nie zabawię długo – odparł Czarnobrody, rozglądając się po komnacie.

– Tak, masz rację – odrzekła Vessyana, dorzucając do kotła jakieś zioła. – Został ci dzień życia. Albo dwa. Oczywiście jeśli wypadki pobiegną rytmem nadanym przez bogów.

– Chcesz mnie nastraszyć?

– Ostrzec – powiedziała dziewczyna, uśmiechając się. – Zresztą co lepsze, życie czy śmierć? Wszystko można jeszcze odmienić.

– Nie ufam wróżom. Jeden już mnie oszukał. Nie tak dawno zresztą. Gdyby nie on...

Grimo, który zasiadał na ramieniu Bjarniego, zaskrzeczał głośno.

– Słowom Vessyany możesz jednak zawierzyć – oznajmił pewnie kruk, broniąc swej nowo poznanej przyjaciółki. – Wiele wiedziała o tym, co mnie spotkało. Przejrzała moje myśli. Przypomniała o zapomnianych sekretach.

– Czy dojrzałaś też przyszłość mego pierzastego towarzysza? – zapytał Bjarni z przekąsem, zwracając się do wieszczki, która spoglądała teraz tęsknie w mroczny kąt komnaty.

– Vessyana zawyrokowała, że czeka mnie świetlana kariera w mieście magów, które zowią Yarratah i które leży wszędzie i nigdzie – wyjaśnił z ochotą Grimo. – Mam tam być jednym z pierwszych! Musiałbym tylko... No, nieważne. Zawsze moje sprawy muszą czekać...

– Ty wśród najpotężniejszych magów? – zawołał Bjarni, śmiejąc się w głos. – Znak to też, że słowa wieszczki były przymilne, ale nie prawdziwe. Póki co jesteś jedynie gadatliwym padlinożercą!

Kruk odezwał się w swojej skrzekliwej mowie, której Bjarni nie potrafił rozpoznać, ale Vessyana uśmiechnęła się, słysząc to złośliwe zapewne krakanie.

– Spójrz, Bjarni – powiedziała dziewczyna, zapraszając bliżej gestem dłoni. Po chwili rozgoniła opary i wskazała na taflę jaśniejącej wody, która bulgotała

w kotle. Z czasem ciecz przestała wrzeć i oczom Bjarniego ukazało się szkliste zwierciadło przybierające nierzeczywiste barwy.

– Chcesz mnie omamić? – zapytał Bjarni.

– Wiem, że należysz do tych, co gdy nie zobaczą na własne oczy, to nie uwierzą. Sam ocenisz, czy widzisz prawdziwy widok, czy może jedynie zwid.

Chcąc nie chcąc, Kruk spojrział w miraż, który szybko zaczął przybierać konkretne kształty. Bjarni mógł wejrzeć do wnętrza sporej chaty, gdzie jarzyły się kolorowe światła. W izbie, pod ścianą, ustawiono wielkie, wypełnione barwnikami kadzie. Najemnik prawie mógł poczuć mdły, nieprzyjemny zapach.

Ale nie to było najdziwniejsze. Wszędzie widać było kołowrotki – połączone z sobą w wielki mechanizm terkotały głośno. Te stukoty wydały się Krukowi znajome. Słyszał przecież ich echo w dolinie.

– Co to za miejsce? – zapytał Bjarni.

– Widziałeś je już, prawda? – Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Jedynie w snach... – Czarnobrody zaczął błędzić gdzieś myślami. – Także tych na jawie.

– To warsztat okolicznych Norn – wyjaśniła Vessyana. – Tak przynajmniej nazywacie te istoty na Północy, choć noszą różne imiona w różnych opowieściach. Niewielka chata, położona na samotnym wzgórzu, gdzie przybywają wichry ze wszystkich stron świata, kryje wiele tajemnic.

– Czy tam płaczą się przędze losu?

– Zgadza się.

– Czy pokażesz mi te, które mogą zmienić bieg spraw?

Dziewczyna uśmiechnęła się tylko. Obraz w kotle zaczął się rozmywać, a potem znowu wyostrzył się. Tym razem Bjarni dostrzegł falującą pod dotykiem wiatru łąkę. Przechadzały się po niej trzy młode niewiasty. Ich skóra była niemal biała, włosy odpowiednio koloru miedzi, zboża i kruczego pióra, a stopy bose. Śmiały się głośno i tańczyły. W oczach rozochoconej trójki dziewcząt paliły się iskry obłędu.

– Jeśli tak wyglądają Norny – odezwał się Bjarni – to są nieskalanie piękne, ale i niespełna rozumu...

– Za dużo krwi przelało się w dolinie – powiedziała Vessyana. – Prząśniczki, z samotności i nadmiaru pracy, oszalały. Jak bowiem nie postradać zmysłów, gdy każdego dnia żegna się tak wielu młodzieńców? Norny nie dbają już o swoją robotę. Wszystko im się płacze i to nie tak, jak powinno. Gdy ktoś zatrzyma się w dolinie, nić jego losu, podobna do babiego lata, zaniesiona zostaje przez wicher na szczyt wzgórza. Pewnie już zdążyły pochwytać twój los. Spójrz! – Vessyana wskazała na obraz szamoczących się na wietrze istot. – Czy w tym szaleńczym tańcu nie jest łatwo przerwać nić?

– Dlaczego miałbym ci ufać, Vessyano? – zagadnął Bjarni. – Skąd mam

wiedzieć, żeś nie znalazła się na czyichś usługach, choćby tych, którzy nastają na wojowników mego pana?

Dziewczyna odeszła w ciemny kąt komnaty, znikając na moment z oczu Bjarniego i Grima. Nagle w zakamarkach rozblęsnęło światło świecy. Bjarni aż powstał z miejsca.

W kącie, na posłaniu, leżał zasuszony trup. Jego czaszka wyzierała spod zszarzałej, pękającej skóry. Szponiaste dłonie zaciskały się na rękojeści miecza. Długie, starannie rozczesane włosy ułożone zostały na poduszce.

Vessyana pochyliła się nad ciałem.

– Nawet teraz nie chce puścić broni – powiedziała, głaszcząc swojego dawnego wybranka po policzku. – Nie mogłam zostawić go tam, wśród gnijących trupów. Nie mogłam też pochować go w ziemi, gdzie zostałyby pożarty przez robaki... Czy to rozumiesz, Bjarni? Z czasem zdałam sobie sprawę, że w każdej ze znajdujących się w dolinie twierdz żyją setki, a może tysiące podobnych do mnie. Tak wiele kobiet oplakuje kogoś w tej nieszczęsnej dolinie, a ja chciałabym, by to się wreszcie skończyło. Czy mi wierzysz?

– Jest szalona... – szepnął Bjarni do Grima, widząc, jak czule przeczesuje palcami włosy poległego kochanka.

– Nie mylisz się – rzekł kruk. – Co nie oznacza, że kłamie... A jeśli Norny rzeczywiście postradały zmysły, na co wszystko wskazuje, to czy ktoś równie szalony jak one nie wejrzał najlepiej w ich myśli?

– Nie twierdzę, że prządki, które zaplatają ludzki los istnieją naprawdę – powiedziała Vessyana. – Ale skoro tak łatwiej komuś wyobrazić sobie bieg spraw?

– Czy mogę temu jakoś zaradzić? – zapytał Bjarni. – Czy mogę wyrwać nić swojego losu z ich palców? Nie znoszę, gdy ktoś zaprzęta sobie głowę moimi sprawami. A jeśli próbuje zmienić bieg czekających mnie zdarzeń, to już stanowczo za wiele!

– Musiałbyś udać się na szczyt wzgórza – odparła Vessyana, wstając od łoża i czule uśmiechając się do swego zmarłego wybranka. – Rozmów się z tymi, które w twym kraju zwiecie Nornami. Czy cię wysłuchają? Wątpię. – Dziewczyna zaśmiała się, podchodząc ponownie pod kocioł i patrząc w taflę wody. Norny wily się wśród traw, jakby najadły się szaleju. – Ale czy masz coś do stracenia?

– Czy znasz drogę, która prowadzi na wzgórze?

– Owszem. Nie było jednak dotąd odważnego.

– Pójdę zatem pierwszy.

– A ja wraz z tobą! – zaskrzeczał kruk. – Choć wcale mi się to nie podoba... Pora jednak, bym wmieszał się w twe sprawy, boś mi coś obiecał dawno temu, a już zapomniałeś o przyrzeczeniu – dodał w kruczej mowie, którą zrozumiała Vessyana, ale Bjarni już nie.

* * *

Pogromca Olbrzymów szedł śmiało poprzez pokrytą kośćmi dolinę, deptając czaszki i piszczele poległych. Grimo zasiadał na jego ramieniu, przyglądając się z uwagą okolicy. Mijali wojowników, którzy z krzykiem na ustach nacierali na wrogów. Miecz uderzał o miecz, topór o topór – aż leciały iskry. Na twarzach walczących widać było zmęczenie, a ich szaty przesiąkły krwią.

– Aleś przytył! – stwierdził wojownik, czując na ramieniu większy niż zazwyczaj ciężar ptaszyska.

– To niezbyt grzeczna uwaga z twojej strony... – obruszył się Grimo.

– Stwierdzam tylko fakt. Nie przeszkadzałoby mi to wcale, gdybyś unosił się pod chmurami, a nie podróżował na mym ramieniu. Ale ty chyba nie możesz wzbić się teraz w przestworza, prawda? Boję się, że wkrótce całkiem zatracisz zdolność latania. Pora na dietę!

– Jestem tutaj tylko dwa dni i musiałem trochę podjąć, by nabrać sił po czasochłonnej wyprawie, która kosztowała mnie wiele energii i wymagała sporo roztropności.

– Czyś wytropił Holgiego?

– Wiem tylko tyle, że wkrótce nasze losy znowu się przetną. Przynajmniej jeśli trochę pomogę szczęściu... – szepnął cicho, by Czarnobrody nie usłyszał, a potem głośno dodał: – Przybyłem zatem, by wyrwać cię z tej matni i przypomnieć, że przyrzekłeś mi dopomóc w zemście.

– Nie zapomniałem o tym – rzekł Bjarni ponuro.

Wiatr dął z północy, niosąc przesycone chłodem powietrze. Niebo nabrzmiało od chmurnej czerni. Samotna góra, obłożona mgłami, przyciągała wzrok wędrowców. Zza pleców Bjarniego dobiegał wciąż szczełk oręża i głosy bitewnego szału.

– Walczący nie zauważyli nas, choć przechodziliśmy tuż obok – zauważył najemnik. – Byliśmy dla tych wojowników podobni do snującej się mgły.

– I nie usłyszeli również – dodał Grimo. – Jesteśmy jakby martwi, przyjacielu.

– Jakby? – Bjarni zmarszczył czoło. – A co jeśli nie „jakby”? Nie przeszło ci to przez myśl? Vessyana poczęstowała nas napitkiem, który miał pozwolić nam dotrzeć do miejsca, gdzie Norny bawią się ludzkim losem. Uśpieni zostaliśmy wiecznym snem, a teraz snujemy się po świecie zmarłych bez celu. Czy nie tak? Co będzie, gdy nie wybudzimy się z tej wiecznej maligny? Znajdą kiedyś może i nasze zasuszone truchła w komnacie twierdzy...

– Gdybyś nie zaryzykował, następnego dnia spocząłbyś w tej dolinie na wieki – odparł kruk. – Co za różnica?

– Może tak, może nie – powiedział Bjarni, zatrzymując się na moment. – Kto wie, czy nie będę po raz wtóry narzekał, że dałem się zwieść wróżbie... Dziwnym

jest dla mnie przechodzić obok pola bitwy bez zainteresowania. To jakby rybak miał brodzić w płytkich wodach pełnych ryb i ktoś wzbraniał mu zarzucić sieć. Wolałbym teraz dobyć miecza!

– Czy słyszysz?

Bjarni pokiwał potakująco głową.

– Stukot kołowrotek staje się coraz głośniejszy – mruknął wojownik.

– Zbliżamy się zatem do wzgórza.

– Oby nie okazało się, że porzuciłem swych towarzyszy na polu bitwy na darmo.

– Im już nie pomożesz – zauważył Grimo. – Gdy znajdziemy się na szczycie, odnajdę chatę, w której schowane są magiczne kołowrotki. Użyję swej wiedzy i naprawię mechanizm.

– Chcesz zabawić się w Nornę?

– Chcę, by zapanował w dolinie spokój na dziesięciolecie lub dwa. Ci, co żyją i mają w sobie jeszcze choć garstkę nadziei, spłodzą dzieci, które zaczną dorastać. Świeże trupy zmieniają się w kolejną stertę kości. A potem, choćby i na chwilę, ludzie zapomną o jatce. Słońce rozpali ziemię i choć jest nawilgła od krwi, wszędzie na niej ponownie trawa...

– Piękne plany – powiedział Bjarni. – Cóż ja będą robił w tym czasie?

– Ty być może zawalczysz o własne życie. Kto wie? Może to będzie najtrudniejsza z potyczek, jakie do tej pory stoczyłeś? Ktoś musi odwrócić uwagę Norn, gdy ja będę bawił się ich wrzecionami.

– Jak mam to zrobić?

– Ach, tego już nie wiem! Choć obdarzone boską mocą, to wszak nadal kobiety... Czy jakakolwiek dama oparła się twojej męskiej sile?

– Nie przypominam sobie – odparł Pogromca Olbrzymów z dumą.

– A widzisz!

– Już słyszę ich głosy – powiedział Bjarni, wsłuchując się w pieśń wiatru.

– Ja również – zaskrzeczał Grimo.

Zamilkli zaraz potem, gdy śmiech istot władających losem stał się bliski, namacalny, rozdzierający wnętrzości i oplatający duszę zimnym uściskiem. Ciężko jest zapanować nad lękiem, gdy głos tych, które decydują o ścieżkach życia, zdaje się obłąkany.

Nić babiego lata wplotła się w brodę najemnika. Bjarni szarpnął za nitkę, rozrywając ją na dwa kawałki.

– Cóżś narobił! – zaskrzeczał Grimo. – A gdyby to była twoja nić życia?

– Może była... – rzekł Bjarni, a potem, gdy weszli w zawiesinę mgieł i zaczęli piąć się na szczyt, dodał: – Czy zastanawiałem się nad tym, czyją nić życia przerywam, gdy ciąłem przez lata swym mieczem na oślep?

* * *

Bjarni stał pośrodku szumiących fal, które sięgały mu do pasa. Zdawać by się mogło, że bezkres zieleni ugina się na skinienie jakiejś potężnej siły, która dyryguje jego ruchami, ale bez ładu i składu. Była to najwyraźniej ręka szaleńca. Wicher zawiewał raz z jednej, raz z drugiej strony, czasem cichł zupełnie. Nici babiego lata unosiły się na wietrze.

– *Kim jesteś?*

Bjarni usłyszał obok siebie kobiecy, dźwięczny głos. Rozejrzał się wokół, ale nikogo nie dostrzegł.

– *Jak masz na imię?* – zapytał inny głos, tak samo czarowny, choć chyba weselszy.

– *Czyś zabłąkał się tutaj?* – odezwał się i trzeci głos. – *A może przybyłeś z rozmysłem, obrawszy właściwy szlak, ukryty dla śmiertelnych?*

– *Pokażcie się!* – zawołał Bjarni, obracając się we wszystkie strony. – *Nie mam zwyczaju rozmawiać z omamami!*

Pogromcy Olbrzymów odpowiedziały jedynie ciche chichoty.

– *Nie masz takiego zwyczaju? A przecież słyszałyśmy, jak ktoś podobny do ciebie toczy dysputy z olbrzymem, który nie istnieje... Dobrze, już dobrze. Nie denerwuj się tak... Skoro przebyłeś taki szmat drogi za nic mając czas i przestrzeń, zasłużyłeś na to, by nas zobaczyć. Czy aby jednak spodobamy się tobie? Kto wie? Nikt nas od dawna nie odwiedzał.*

Wszystko nagle zbladło i pograżyło się w półmroku, jakby słońce, kryjąc się za chmurą, pozbawiło barwy wyrazistości. Ale na niebie nie było widać ani jednego obłoku.

W półcieniu pojawiły się trzy, na wpół efemeryczne postacie. Zbliżyły się do Bjarniego, płynąc wśród traw. Były nagie, a ich bladej skóry nie znaczyła żadna skaza. Gdy znalazły się na tyle blisko, by móc je dotknąć, Czarnobrody dojrzał, że każda ma inny kolor oczu. W jednych igrała szara barwa wzburzonego morza, w drugich rozplómienny słonecznym blaskiem bursztyn, w trzecich zielen sosnowych lasów.

Zadawało się też, że ich postacie rosną, a rozwiewane przez wicher, mieniające się różnymi kolorami włosy wtapiają się w połąć nieba. Bjarniemu zamigotało w oczach. Jawa mieszała się ze snem, jak w opowieści snutej przez szalonego guślarza.

Wesołe dziewczęta zaczęły okrążyć przybysza, przysłaniając swoje piersi i łona, jakby w nagłym przypiływie zawstydenia, które było zaskakujące dla nich samych. Rumieńce pojawiły się na ich bladych twarzach.

– *Zawstydzasz nas, choć zapomniałyśmy, co to wstyd.*

– *Mężczyzna... Tak chyba nazywa się ta istota.*

– *Jak udało ci się tutaj dotrzeć?*

– Nie wiem, jak tu się znalazłem – odparł szczerze Bjarni. – Choć wydaje mi się, że to kraina ze snu.

– *Z wiecznego snu!* – zawołała Szarooka.

– *Skąd on jednak? Czy nie przebywał dotąd w dolinie, z której nie ma ucieczki?*

– *Ot, tajemnica...* – odparła ta, której oczy były zielone, przyglądając się jednocześnie Bjarniemu.

– *Cóż zatem z tobą poczniemy?* – zapytała trzecia, patrząc na siostry.

– *Tak dawno nie widziałyśmy tutaj nikogo. Żaden nie chce nas odwiedzać... Boją się nas chyba. Mówią... Mówią, żeśmy szalone!*

Ta, której oczy były szare, podskoczyła wysoko i zdawało się, że unosi się w przestworzach. Jej smukłym ciałem targał wicher, a słoneczny blask przenikał przez nią, jakby była niemal przezroczysta. Obracając się i śmiejąc, chwyciła w palce nici babiego lata i rozrywała je na strzępy.

– *Słyszycie?* – zawołała Piwnooka. – *Znów w dolinie stal uderza o stal. Dziwne harce sobie tam urządzają owi mężczyźni...*

– *Mężczyźni...* – wyszeptwała Szarooka, opadając z przestworzy i zbliżając się do Bjarniego. – *Tak, to będzie właśnie jeden z nich... Czy się mylę, drogie siostry? Zbadajmy sprawę* – Norna położyła dłoń na ramieniu przybysza i zaczęła go obwąchiwać. – *Pachnie brzydko... Włosy porastają jego twarz i całe ciało również. Patrzy na nas jak na zwierzynę. Krew ma za paznokciami i brzydkie szramy na ciele, które psują skórę... No cóż, nasz gość wydaje się ohydny, a jednak jest w nim coś interesującego... Nie ma wątpliwości, to mężczyzna!*

– *Zgadza się!* – Zielonooka aż klasnęła w ręce. – *To właśnie to stworzenie! Dzikie i nieustępliwe.*

– *Tak dawno nie miałyśmy tutaj mężczyzny...* – westchnęła dziewczyna o oczach koloru jasnego bursztynu.

– *Twoje słowa zabrzmiały jak zaklęcia.* – Jedna z Norn chwyciła w palce nić przywianego przez wiatr babiego lata. – *Czy to nie twój los, wędrowcze? Nić wije się, gdy trzymam ją między palcami. Łatwo jest ją przerwać. Wtedy znikniesz! Znikną wraz z tobą wszystkie pytania, na które nie znalazłyśmy dziś odpowiedzi. Koniec wszelkim trudom! Po co rozmyślać? Dla bólu głowy? Nie będziemy musiały się tym kłopotać. Depczesz naszą łękę, sprowadzasz na nas zamęt... Pora zatem byś zniknął!*

– *Nie, nie rób tego!* – Jedna z dziewcząt złapała swą szaloną towarzyszkę za rękę. – *Ten człowiek może się nam jeszcze przydać. Z mężczyzn bywa też pożytek, jeśli dobrze pamiętam. Sprawiali się niezłe w pewnych czynnościach... Gdybyśmy tylko przypomniwały sobie w jakich?*

– *Puść! Puść nić na wiatr!* – zawołała Piwnooka. – *Ten, którego wicher przeżywa Krukiem musi nam przypomnieć o zapomnianych sprawach! Raz na kilka*

setek lat zdarza się podobna okazja, nie możemy jej zmarnotrawić!

Nim Bjarni się spostrzegł, nic babiego lata odfrunęła hen, w daleką przestrzeń, a dłonie jednej z Norn oploty jego ciało. Nie mówił nic, bo zdawało się, że jego słowa nie znaczą tutaj wiele. Miał zresztą wrażenie, jakby spowiło go błogie rozmarzenie, które towarzyszy upojeniu gęstym miodem.

– *Teraz jesteś w naszym władaniu* – rzuciła Szarooka.

– *Albo my w jego!* – zauważyła Zielonooka.

Szybko zaczęły się śmiać, dotykając jednocześnie piersi Bjarniego. Śniady mężczyzna i trzy bladolice kobiety, które miały moc boginek, utonęły razem w morzu traw, dotykając i całując się nawzajem, wśród rozbłysków gwiazd.

* * *

Stary kruk zasiadł na samotnym drzewie i z najniższej gałęzi, układając jednocześnie swe posiwałe lotki, zaczął dziwić się światu, po raz tysięczny może i na pewno nie ostatni.

Zaiste przedziwny był to widok: nagie kobiety, o ciałach lśniących od potu, bladych i bez żadnej skazy, leżały pośród szumiących ździebeł, ziół i kwiecia. Musiały spać, zmęczone jakimś niezwykłym trudem, ale na ich twarzach widać było przecież radość i rozmarzenie. Pewnie śniły o czymś miłym. Wśród z nich spoczywał mężczyzna. Miał czarną brodę, jego ciało było muskularne, a na skórze widać było wiele blizn i sińców. Przypominał dzikie stworzenie, czyhające na niewinność tych nadobnych dziewcząt. Ale teraz nie miał w sobie sił, podobnie jak jego ofiary.

– Cóż to za widok! – zawołał Grimo, który zasiadł na samotnym drzewie. – Może to najpiękniejsze niewiasty, jakie widziałem w swym bardzo długim życiu, ale co robi wśród nich ten straszliwy, brodaty satyr, od którego czuć niemytym ciałem?

Bjarni Kruk poruszył się nieznacznie, a potem otworzył jedno oko.

– Gdzie jesteśmy, Grimo?

– Z pewnością nie w świecie, jaki znamy od naszych narodzin. Z pewnością też nie w miejscu, w którym powinniśmy przebywać.

– Czuję się wycieńczony! – zawołał Bjarni, przeciągając się na trawie.

– Cóż ja mam powiedzieć? Podczas gdy ty oddawałeś się miłosnym uniesieniom, które spadły także na te trzy, wciąż uśpione, nieśmiertelne istoty, ja zapanowałem nad mechanizmem magicznych kołowrotek!

– Miłosnym uniesieniom? Nic z tego nie pamiętam. Och! – Bjarni westchnął, spoglądając na śpiące niewiasty. – Strach zapomnieć, gdy dziw stał się naszym udziałem.

– Wstawaj, wstawaj! – zaskrzeczał Grimo. – Pora ruszać! Ale zanim znajdziemy się na powrót tam, skąd wyruszyliśmy, chciałem byś odwiedził jeszcze

jedno miejsce i coś zobaczył.

Bjarni wstał niechętnie z trawy i zaczął szukać swego odzienia.

– Tak jest! Ubierz się! Ubierz... – poradziło ptaszysko stanowczo. – Niedobrym obyczajem jest wystawiać swe nagie członki na pokaz.

– Mam wrażenie, jakby ta kraina była dziewicza i nie znała manier cywilizowanych łądów.

– Nawet jeśli masz rację, to cywilizowane maniery posiada uczonego kruk!

– Piękne... – powiedział Bjarni, przyglądając się Nornom. – Czy nic im nie będzie? Wyglądają, jakby nigdy nie miały się przebudzić.

– Nie martw się o nie, Bjarni. Zmęczone Norny pośpią sobie dzień lub dwa, co może oznaczać i kilka dziesięcioleci w naszym świecie. Stałeś na wysokości zadania i dałeś im chwilę uciechy. Gdyby nie to, pewnie nic twego losu zostałyby przerwana. A ja w tym czasie, niezauważony nawet dla nieśmiertelnych, mogłem działać... Ludzie w dolinie nareszcie odpoczną chwilę od bezsensownych żniw, jakie urządziła sobie śmierć. – Kruk zerwał się do lotu, ale z trudem, niemal pacnąwszy na ziemię. – Skończmy jednak dyskusje! Chodź, chodź za mną, bo muszę ci pokazać coś ważnego.

– Idę, już idę – odparł Bjarni, a potem, odwracając głowę raz po raz i spoglądając na uśpione dziewczęta, podążył do miejsca, gdzie pojedyncze nici losu składały się na wielką opowieść.

* * *

Z zewnątrz była to biedna chata, porzucona gdzieś wśród traw i mgieł. Nawet strudzony wędrowiec tuż przed zapadnięciem zmroku, musiałby zapytać sam siebie, czy to dobry pomysł, by poprosić o nocleg w takim miejscu. Czy mieszkał w niej jakiś ubogi diabeł, czy stara zielarka, do której z rzadka ktoś tylko zachodził, zostawiając co najwyżej miedziaka lub dobre słowo za fatygę? Czas wgniał zniszczone domostwo w ziemię, zmieniając je w ruinę.

Ale gdy przestąpiło się tylko próg, oczom ukazywał się niezwykle widok. Każdy wędrowiec spodziewałby się zastać wewnątrz biedną, ciasną i źle oświetloną izbę. Rzeczywistość jednak musiała zadziwić nawet tych, którym magia już nie raz mąciła zmysły – za progiem roztaczał się widok na ogromną salę, podobną do tych, w jakich można się było rozgościć na dworach królów i najzamożniejszych jarłów. Jednak zamiast stołów, trofeów i tronu, całą przestrzeń wypełniały kadzie z barwnikami i obracające się ze stukotem, połączone w jeden mechanizm kołowrotki. Strop spowijała płatanina kolorowych nici.

– Imponujące! – powiedział Bjarni.

– Użyłem swej wiedzy i magicznych zdolności, by naprawić mechanizm – wyznał Grimo. – Postaraj się niczego nie dotykać i nie zepsuć.

Przeszli przez halę, schylając się i przeciskając pomiędzy kołowrotkami.

Bjarni musiał się schylać niejednokrotnie. Grimo zgrabnie podskakiwał, obracając głowę raz po raz.

Wkrótce znaleźli się w sąsiednim pomieszczeniu, w którymś ktoś zawiesił olbrzymi gobelin.

– Przypatrz się uważnie, Bjarni – powiedział Grimo.

– Widzę na tej tkaninie setki, może tysiące wojowników...

– Wszyscy złączeni w tańcu śmierci. Bezsensownym, rzekłbym... Ale najemnik pewnie uważa inaczej?

– Ktoś znowu wmieszał się w moje sprawy – mruknął Czarnobrody.

– Nie inaczej! – przytaknął Grimo. – Przyjrzyj się fragmentowi, który utkano niedawno. Widać na nim przynoszącego śmierć. To ty, Bjarni.

– Jest i Velkor!

– Rzeczywiście, on również bierze udział w tej maskaradzie.

– I pada martwy na polu bitwy. – Bjarni zmarszczył czoło, spoglądając na zwałistą sylwetkę rudobrodego wojownika, w którego piersi tkwiła strzała. – Pomszczę go!

– Tak, Velkor poległ niedawno – przytaknął Grimo. – Może od zbłąkanej strzały, może przez uśmiech złego losu, który z niego zakpił... Byłeś zbyt nieuważny, Bjarni, i sam poplątałeś ścieżki losu.

– Co masz na myśli?

– Przypatrz się dobrze. Czy nie widzisz na gobelinie kruka, który trzyma w dziobie nić czyjegoś losu? To ty ją przerwałeś.

– Kiedy? – zachnął się Bjarni. – Przecież... – Nagle przypomniał sobie moment, w którym, idąc przez cienistą dolinę, rozerwał w palcach nić babiego lata.

– Tysiące razy przerywałeś z mieczem w ręku nić czyjego losu. Sam się przecież do tego przyznałeś. Czy to tak wielka różnica? Nie na darmo zowią cię Krukiem!

Bjarni bez słowa odwrócił się i zniknął w hali wypełnionej kołowrotkami.

– Nie obejrzałeś do końca zapisanych na gobelinie scen – szepnął Grimo sam do siebie. – A ujrzałyś tam wiele ciekawych wypadków, które czekają na ciebie... Bjarni? Bjarni! – zawołał kruk, ale pozostało mu tylko westchnąć. Pogromca Olbrzymów zawsze chadza własną ścieżką.

Grimo spojrzał raz jeszcze na ogromny gobelin. Trzy piękności tańczyły pośród morza traw, oplatając swą magią wojownika. Sędziwy kruk rozczytywał zagadki wielkiego mechanizmu. Posępny mężczyzna w długim płaszczu trzymał w dłoni kruka, a ten wydziobywał mu oczy.

– Tak długo na ciebie czekałem, czcigodny Holgi! – zaskrzeczał Grimo. – W końcu zobaczymy się ponownie!

Stary kruk wyleciał przez niewielkie okienko, zostawiając za sobą samotną chatę i szybując nad połacią szumiących traw, którą przemierzał chmurny

wojownik. Kilka mocnych uderzeń skrzydłami i udało się dogonić towarzysza. Grimo wylądował na ramieniu Bjarniego.

– Zmaganie się z mechanizmem musiało kosztować cię wiele sił – zauważył Bjarni. – Wyszczuplałeś.

– Ty również przypominasz cię człowieka. Skoro jednak spróbowałeś miłosnej sztuki z trzema nieśmiertelnymi istotami, to może to większy wyczyn niż przechytrzenie olbrzyma czy położenie pokotem setki wojowników... Nawet bogowie są skazani na wyroki Norn.

– Dokąd teraz? – zapytał Bjarni. – Znowu straciłem z oczu cel.

– Przed siebie! Przed siebie! – zawołał Grimo z radością. – Aż los wskaże nam drogę!

– Dziwi mnie optymizm w twoim głosie – mruknął Bjarni. – Czyś aby czego nie zmajstrował, bawiąc się mechanizmem?

– Rozplątałem jeno to i owo, a potem zaplątałem podług własnych potrzeb...

– odparł zagadkowo kruk. – Teraz już wszystko popłynie właściwym rytmem.

– Obyś miał rację.

– Ku przygodzie, drogi Bjarni!

– A skoroś znowu wysmukłał po obżarstwie, jakie przyniosły szczątki mych wrogów – zawołał wojownik – może jednak wypada wzlecieć wysoko i podróżować o własnych siłach, co?

– Zrozumiałem aluzję, ale się nie gniewam, bo znowu czuję się jak młodzieniaszek! – Grimo wystrzelił w kierunku błękitnych niebios, a potem zaskrzeczał: – Lecę wypatrywać Holgiego! Zajmie mi to dzień, tydzień, może całą zimę... Czuję ostatnie poddmuchy jesiennego wichru, po nich nadejdzie mróz... Jak znam życie, ruszysz ku nowej przygodzie, a długie noce to dobry moment, by szukać czarnoksiężnika. W ciemnościach bezrozumnych czasów magia lśni jaśniej!

– Co tam wołasz z przestworzy?! – zawołał Bjarni, ale nie usłyszał odpowiedzi. W dole ujrzał zasnutą kośćmi dolinę. Bitwa się skończyła. Szczęk oręża ustał. Cisza spowijała okolicę. Gdzieś wśród sterty ciał leżał waleczny Velkor. Bjarni wiedział, że musi odnaleźć towarzysza i urządzić mu pogrzeb.

Grimo przeleciał nisko nad doliną, a Bjarniemu zdawało się, że kruk trzyma w dziobie nić babiego lata. Czyim losem rozporządzał teraz?

Najemnik machnął tylko ręką, ale w jego głowie dało się słyszeć stłumiony chichot, który dobiegał z nierzeczywistej dali i przeganiał go ku nieodkrytym jeszcze krainom.

* * *

...Mówią, że włóczył się sam, szukając szczęścia, a raczej uciekając przed pechem. Co krok jednak przypominał sobie o złej sławie. Zima zmroziła świat, odzierając go z barw. Samotny, nie miał otworzyć do kogo gęby. W tym czasie

Grimo przemierzał znane ludziom krainy i poddane magii przestrzenie, szukając czarnoksiężnika Holgiego.

Idąc przez pustkę, Bjarni zadawał sobie wciąż pytanie: „Czy jestem jeszcze człowiekiem, czy już tylko zwidem?”. Wkrótce miał się dowiedzieć, gdy przyszło mu się zmierzyć z podobnym do siebie. Bo tamten też nie mógł na świecie znaleźć miejsca i był człowiekiem tylko w części.

Kruk startł się z wilkiem w dziedzinie króla Eskila i nie wiadomo, kto z tej potyczki wyszedł zwycięsko...

Z „Sagi o Kruku”

X. Słowo Honoru

Przez kłębowisko ośniezonych gałęzi przedzierały się jedynie wątłe pasma księżycowego blasku, które miały wzrok, niewiele mu podpowiadając. W ciemnościach za to wyostrzał się słuch. Leif wiedział zatem, że ktoś za nim podąża, krok w krok, drocząc się nieustannie, żywiąc się jego strachem, jakby czerpiąc z niego moc. Nieustannie słyszał nieludzkie odgłosy węszenia. Czerwone ślepie błyskały w gęstej czerni i za każdym razem zdawały się bliższe. A przecież ten, kto polował w mrokach na ludzi, szczerząc wilcze zęby, sam był jeszcze niedawno człowiekiem.

Leif dostrzegł przed sobą odrobinę blasku i podążył za nim, mając nadzieję, że luna go poprowadzi. Księżycowe światło, coraz intensywniejsze, zaczęło malować wyraźniej skraj lasu, ożywiając wzrok. Srebrzysta poświata stała się przewodnikiem wojownika. Wkrótce porzucił zarośla i znalazł się na rozległej polanie. Potężna sylwetka opuszczonego młyna, który stał opodal ciągnącego się przez góry szlaku, rysowała się niewyraźnie. Szmer potoku, złudnie spokojny, mącił ciszę.

Wśród śniegów przechadzała się dziewczyna, nucąc rzewną pieśń. Leif nie miał wątpliwości, że to jedynie zjawa.

Spojrzał za plecy raz jeszcze. W mroku ponownie zapłonęły ślepie. Wilk? Jeśli tak, to samotny, wielki basior. Cielsko przesunęło się w ciemnościach z szelestem. Czy to możliwe? Czy tropiąca go bestia chodziła na dwóch nogach jak człowiek?

„Majaki, nic więcej”, pomyślał. Był zmęczony ucieczką. Miał prawo widzieć rzeczy, które nie istnieją.

Skrzypienie śniegu stało się głośniejsze. Płonące czerwienią ślepie przybliżyły się. Bestia łamała gałęzie, zmierzając po swą ofiarę. Gotowy na śmierć, schwycił mocniej topór. Pragnął jedynie, by jego życie nie okazało się nazbyt tanie.

Nagle Leif usłyszał czyjś głos, zwiewny i delikatny:

– *Nie bój się... Haldor znalazł już ukojenie.*

Stała przed nim piękna dziewczyna w powłóczystej, białej sukni. Jej tren unosił się, falował pośród lodowatego powietrza, choć wiatr nie zawiewał z żadnej strony. Miała niebieskie oczy i skórę niemal tak bladą jak śnieg. Księżycowa poświata spowijała ją i otaczała pierścieniem blasku.

– To ty... – wyszeptał, patrząc na dziewczynę ze snów i czując, że nogi pod nim miękły.

– *Musi być ci zimno... – powiedziała z troską. – Widzę, że drżysz. Mnie nigdy*

nie jest zimno. Już nie... Chciałabym coś czuć, choćby pustkę. Wiedziałabym wtedy, że jestem naprawdę, że istnieję. – Dziewczyna spojrzała w czerń umarłego lasu. – *On nadchodzi, prawda?*

– Tak... Chyba tak – rzekł Leif, ze strachem patrząc, jak biała szata dziewczyny zaczyna czerwienić się na wysokości łona i piersi.

– *Boję się go. Nie jest już człowiekiem. Nie jest tym, który przychodził do mnie z uśmiechem. Czulałam wtedy w sercu ogień... Nic nie jest takie, jak jeszcze było kiedyś... Ty jesteś Leif i dawno temu przybyłeś wraz z nocą, by zabić mnie i moich rodziców. Pamiętam dobrze...*

Leif cofnął się dwa kroki. A kiedy otworzył usta, by coś powiedzieć, ktoś runął na niego z impetem.

Upadł na podłoże, gruchocząc zebra. Ból przeszył pierś, zaś topór wypadł mu z ręki. Cienie przesunęły się przed zamglonymi oczami. Gwiazdy migotały, a księżyc zdawał się tak bliski, że można go było dosięgnąć. Ale najpierw trzeba było unieść rękę, a ta była złamana; wisiała bezwładnie. Leif przeraził się zatem nie na żarty.

Serce waliło jak oszalałe, ale wojownik nie czuł bólu. Był lekko ogłuszony. Gdzie dziewczyna? Gdzie napastnik? Miotał się wśród śniegu, słysząc śmiechy i wilcze wycie. Może to jedynie sen? Bogowie, sprawcie by tak było!

Nie miał czasu, by się zastanawiać. Jawa przysła do niego, krocząc z wolna. Ogromne cielsko przygniotło Leifa do oblodzonego gruntu. Nie widział wiele. Krew zalała mu oczy. Człowiek czy wilk? Mocował się z bestią rozrywającą jego ciało pazurami, duszącą go mocarnym uściskiem wielkich łap. Czerwień, biel i czerń, wymieszane w tyglu wirujących chwil pełnych bólu.

Wrzask Leifa rozległ się w głuszy, skupiając na moment uwagę tych stworzeń, które upodobały sobie noc. Ale krzyk przerażenia szybko zamarł, gdy ostre kły zagłębiły się w gardle nieszczęśnika, przegryzając krtań.

– *Nie jest już człowiekiem... Nie jest...*

* * *

Fragmenty ludzkich wnętrzności czerwieniły się na śnieżnej połaci, a pod samotną skałą, w kałuży krwi, poniewierało się niekompletne ciało. Lewa ręka ofiary była wyrwana i można ją było dostrzec nieco dalej od okaleczonego korpusu. Z ubrania pozostały jedynie okrwawione strzępy, brzuch został rozszarpany, a jelita wały się na śniegu w promieniu kilkunastu kroków. Na odsłoniętych zębach widać było kawałki mięsa, którym zgodnie dzieliły się wrony.

Bjarni z pochodnią w ręku pochylił się nad ciałem, ale nie potrafił rozpoznać nieszczęśnika, bo zakrzepła czerwień zakrywała jego twarz. Czarnobrody miał pewne podejrzenia. By się jednak upewnić, machnął ręką na swojego przewodnika,

który czał się w cieniu drzew.

Młodzieniec imieniem Gjord, ponaglony gestem Bjarniego, wychynął z ukrycia. Zdjął kaptur, ukazując wiecheć rudych włosów i bladą twarz, naznaczoną piegami, które zlewały się na nosie w niemal brunatną plamę. Po chwili wahania podszedł spieszenie, najwyraźniej nie chcąc zdenerwować chmurnego najemnika, który od niedawna służył na dworze króla Eskila.

– Podejź tu, chłopcze – powiedział Bjarni. – Ostrzegam cię jednak, że to niezbyt przyjemny widok.

– Nieraz już widywałem martwych – odrzekł chłopak z udawaną pewnością w głosie. Stanąwszy za plecami Bjarniego, nachylił się lekko.

– Martwych może i widywałeś, ale nie rozerwanych na kawałki i rozrzuconych po okolicy, jakby ktoś czerpał radość z samej makabry... – Czarnobrody położył dłoń na kościstym ramieniu młodzieńca. – Rozpoznajesz go?

Gjord przez moment próbował objąć wzrokiem pozostałości jatki. Zatrzymując się krok przed rozszarpanymi zwłokami, lekko się zachwiał. Bjarni przytrzymał go.

– To... – Chłopak zająknął się. – To Leif, jeden z wojowników króla Eskila.

Nie dało się co prawda rozpoznać rysów na pokaleczonej przez pazury twarzy, z której zdarto skórę i wygryziono policzek, ale zwisające u brody warkoczyki i srebrny kolczyk tkwiący w prawym, naderwanym uchu mogły zdradzić wiele.

– Jesteś pewien? – Bjarni spochmurniał, ale darował sobie dalsze pytania. Gjord oparł się o skałę i zaczął wymiotować – powietrzem jedynie, bo dawno już nic nie jadł.

– Leif, powiadasz... – Kruk przysiadł niedaleko zwłok. – Mnie też się tak wydaje, ale lepiej byśmy obaj potwierdzili tę wersję, bo żadnemu z nas z osobna nie zechcą uwierzyć, a tak dajemy sobie szansę. Nikt z nas nie będzie znosił ciała do doliny, słowo honoru musi zatem wystarczyć. – Bjarni przysiadł na głazie. – Wrony i leśne zwierzęta dokończą dzieła. Trudno, nie doczeka się godziwego pogrzebu... Trzy dni temu brat Leifa, Haldor, teraz on sam. Mężczyznom z rodu Valthjofa niebezpiecznie jest błądzić pośród górskich lasów. To chyba nie przypadek, że podobny los spotkał braci?

– Czy to... Czy to mogła zrobić bestia? – zapytał chłopak, gdy ustały torsje. – Gerda widziała z bliska potwora. Cztery dni temu ogromny wilk, który ponoć potrafił chodzić na dwóch łapach, przemykał obok naszej wsi, krążąc wokół ziem przyległych do dworu króla Eskila. Tej samem nocy znaleziono rozszarpane ciało Haldora. Rozpoznano go jedynie po broszy na przedramieniu i trzech zębach, które pozostały mu w górnej szczęce.

– I z brata niewiele zostało, jak widzisz – rzekł Kruk, wstając z miejsca i badając ślady. Na szczęście nie zatarła ich zadymka, która atakowała wędrowców

raz po raz podczas ich marszu przez góry, omijając jednak to miejsce i nie zakrywając tym samym śladów. Teraz jednak się zachmurzyło, a śnieg zaczął padać coraz gęściej. Bjarni musiał się spieszyć.

Wiedział jedynie, że Leif długo krążył po lesie. Czegoś lub kogoś w nim szukał. Czyżby sam chciał ubić bestię, która zagryzła jego brata? Jeśli tak, to spotkał się z nią oko w oko, niedaleko opuszczonego młyna. Wilk musiał potem zaciągnąć ciało aż tutaj.

Wilk? Czy na pewno? Bjarni sam chciałby wierzyć, że tak było, ale coraz więcej faktów przeczyło tej wersji. Pogromca Olbrzymów spoglądał ze zdziwieniem na niknące ślady. Jeśli był to basior, to rzeczywiście ogromny. I wszystko wskazywało na to, że rzeczywiście chodził na zadnich łapach. Niedorzeczność.

– Tak, to musiał być spory wilk, ale nic więcej – skłamał Bjarni, być może próbując oszukać samego siebie raz jeszcze.

– Czyżby? – zapytał chłopak z lękiem. – Widzieliśmy go pośród drzew. Jeśli biegł, to na dwóch nogach.

Bjarni wiedział, że Gjord miał rację. Ale łatwo się pomylić, gdy widoczność ograniczają pochmurny dzień i zarośla.

– Może goniliśmy za jakimś zbłąkanym pustelnikiem? – odparł Czarnobrody. – Żyją w tych lasach dzicy, bardziej podobni do zwierzyny niż do człowieka...

– A oczy, które płonęły czerwienią? Widziałeś je i ty, panie! To nie były ślepie, a oczy... Oczy kogoś, kto kieruje się myślą, a nie tylko instynktem.

– Dajże spokój! – zawołał Bjarni, machnąwszy ręką. – Może po prostu miesza nam się w głowach od tej gonitwy wśród zasp i widzimy rzeczy, których nie ma. A przynajmniej nie powinno być... – mruknął pod nosem, patrząc jak kruki dobierają się do odsłoniętej wątroby Leifa.

– Wracamy? – zapytał Gjord, którego twarz stała się blada niemal tak samo jak otaczająca ich śnieżna pokrywa. Nawet piegi rozjaśniły się na policzkach chłopaka i wydawało się, że jego oblicze jest jakby przezroczyste.

– Tak, wracamy – odparł Bjarni, ponownie przyglądając się zmasakrowanym szczątkom. – Pod warunkiem jednak, że dasz radę iść, bo nie mam zamiaru nieść zemdlonego człeka. Nie przyniesiemy do wsi pomyslnych wieści, ale nikt chyba nie spodziewał się ich usłyszeć. Będziemy musieli...

Nie zdążył dokończyć. Przeciągle, wilcze, zwielokrotnione przez echo wycie rozbrzmiało w górach. Żaden odgłos nie mącił dzikiej pieśni. Zdawało się, jakby cały świat przysłuchiwał się teraz dzikim nawoływaniom samotnego drapieży.

Czarnobrody miał wrażenie, że w wilczym wyciu słychać także ludzki śmiech.

– Biegnij lepiej – powiedział do chłopaka i rzucił się w kierunku, z którego

słysząc było pół wilczy, pół ludzki głos. – Niech chociaż jeden z nas wróci! – zawołał.

– Panie... ja... – Gjord poczuł, że głos grzęźnie mu w gardle.

Ciemne obłoki szczelniej zakryły niebo. Cień padł na okolicę. Śnieg zaczął na powrót padać, a z daleka dobiegały niepokojące dźwięki. Lada moment miało zmierzchać.

Gjord znowu zachwiał się na nogach. Stado wron spoglądało raz na niego, raz na okrwawione szczątki.

* * *

Gdy Bjarni zjawił się w osadzie, szybko otoczył go krąg gapiów, większość zebranych miała zaś w dłoniach pałki bądź widły. Spojrzenia miejscowych nie były przyjazne. Na zniszczonych przez trudy życia twarzach malowała się niechęć, którą już wcześniej Bjarni dostrzegał – teraz jednak ta naturalna obawa przed uzbrojonym posłańcem wydawała się być jeszcze czymś podsycona. Przyglądali mu się i zaczęli szeptać między sobą. Najemnik szybko uświadomił sobie, co jest powodem tego ożywienia. Na jego twarzy widać było wszak świeżą ranę, która znaczyła czoło, nos i policzek. Zostawiły ją pazury, jakby wilcze, ale łapa musiała być naprawdę wielka.

Wojownik, spoglądając na szepczącą między sobą ciżbę, odezwał się:

– Gjord pewnie powiedział wam już o wszystkim, ale przybyłem, by potwierdzić jego słowa. Leif nie żyje. Szczątki syna Valthjofa zostały pożarte przez padlinożerców. Rozszarpał go zapewne wilk, być może większy niż te, które widuje się zwyczajnie. Ubiję bestię, ale nie uda się to bez waszej pomocy. Gdzie chłopak? – zapytał rozglądając się. – Dotąd on jeden okazał się być pomocny. Chcę go znowu zabrać w góry.

– Tu jestem, panie. – Piegowaty młodzieniec wyszedł z tłumu, chwiejnym krokiem, przeciskając się pomiędzy wieśniakami. – Chciałem oddać mieszek z monetami, które dałeś mi w zamian za pomoc.

– Co oni ci zrobili? – zapytał Kruk, spoglądając na chłopaka, którego oko było podbite, a twarz posiniaczona.

– To nic – odparł Gjord. – Nie mogę jednak ponownie iść w góry, panie.

Bjarni zazgrzytał zębami.

– Wasz król, Eskil, zlecił mi, bym wytropił wilka, który zagryzł Haldora, a teraz i Leifa. Czy zdajecie sobie sprawę, że i wam może grozić niebezpieczeństwo? Wilki unikają siół, wiecie o tym dobrze. Ale ten zasmakował w ludzkim mięsie i nie przestanie szukać swojej nowej, sycącej stawy, dopóki ktoś nie wyprawi jego skóry i nie powiesi nad paleniskiem dla ozdoby. Jutro może zginąć ktoś z was!

Zgarbiona starucha stanęła przed Bjarnim i nachylając ku niemu zrytą przez

zmarszczki twarzy, powiedziała:

– Nic nam się nie stanie, panie. Ryglujemy drzwi i nie oddalamy się od wioski. A bestia opuści dolinę już niedługo.

Bjarni na powrót schował miecz do pochwy, zdając sobie sprawę, że spływające krwią ostrze budzi lęk i niechęć wieśniaków.

Omiótł ich wzrokiem raz jeszcze. Widział w spojrzeniach zacięcie. Potem podszedł do staruchy i spojrzał jej w oczy. Dało się w nich rozpoznać pewność i dumę. Przewodziła tym ludziom od dziesięcioleci. Nie lękała się niczego. Kolejne wiosny i zimy, spędzone na rozczytywaniu sekretów świata, pozwalały jej czuć się równą z każdym.

– Widziałem go i wiem, że nie jest to wilk. – Bjarni nachylił się nieco ku kobiecie, by inni nie słyszeli. – Nie wiem jednak, czy to może być wilkołak... Wiem jedno: w oczach bestii zobaczyłem ból, taki sam, jaki widzi się w ludzkim spojrzeniu. Jeśli mam go zabić, chcę wiedzieć, czy jest w nim jeszcze coś z człowieka.

– Mógł cię zabić, a jednak tego nie zrobił – powiedziała kobieta, patrząc na świeże, biegnące przez twarz Bjarniego ślady pazurów. – Chyba zasługujesz na wyjaśnienia. Widzę to w twoich oczach... Zawsze idziesz własną ścieżką.

– Masz me słowo, że czegokolwiek bym nie usłyszał, to twym ludziom nie stanie się krzywda. Miałem ubić wilka, ale nie wiem, czy z nim mam do czynienia...

– Dzieją się na świecie rzeczy gorsze niż koszmary ze starych opowieści – rzekła starucha.

– O tym zdążyłem się już przekonać na własnej skórze.

* * *

Gwiazdy gasły na niebie, gdy ciężkie, gnane przez wicher obłoki nadciągnęły z północy. Choć biesiada wciąż trwała, to humor i siły zebranych w komnacie ludzi dogasały, podobnie jak ogniki w palenisku. Żar przyciągał zamglony wzrok dworzan, którzy spoglądali na siebie ukradkiem i z podejrziwością. Król Eskil, rosły mężczyzna o jasnych włosach i szczupłej sylwetce, ze zdobiącą czoło złotą koroną, podniósł do ust puchar. Biesiadnicy również wznieśli naczynia. Brakło jednak radosnego toastu. Miny nie były tęgie.

Eskil siedział u szczytu stołu wraz ze swą małżonką Hekią. Bjarni co chwila zatrzymywał wzrok na urodziwej kobiecie. Jej blada twarz, jasne włosy i pewne siebie ruchy przyciągały uwagę mężczyzn, podobnie jak harde, rzucające wyzwanie spojrzenie. Królowa także wodziła wzrokiem po komnacie, najczęściej zaś, choć ukradkiem, patrząc na tego, którego zwano Pogromcą Olbrzymów.

– Pamiętasz, co mi obiecałeś, Bjarni? – odezwał się w końcu Eskil szorstkim głosem. Pozostali biesiadnicy także spojrzeli na zadumanego mężczyznę, który

niedawno dołączył do ich drużyny, a teraz, jak gdyby nigdy nic, obgryzał tłuste mięso z wielkiej kości.

– Nie musisz się martwić, królu – odpowiedział Bjarni, ocierając twarz i przeczesując palcami swoją długą, czarną brodę. – Przyniosą ci skórę tego wilka, własnoręcznie przez mnie wyprawioną... Bo przecież z wilkiem do czynienia mamy? – Najemnik uśmiechnął się zagadkowo. – Słyszysz się jednak różne bajędy...

Zdawało się, że wszyscy teraz spoglądają na ślady pazurów, jakie widniały na czole, nosie i części policzka Bjarniego. Po okolicy zdążyły się roznieść plotki, że ten, którego zwali Pogromcą Olbrzymów, spotkał się oko w oko z bestią i z trudem uszedł z życiem.

– A jednak nie udało ci się ubić wilka, choć znalazłeś się tak blisko – zauważył Eskil. – Wiem, co mawiają prości ludzie: uważa się, że to bestia... Łowczy rozkładają bezradnie ręce i nie mogą znaleźć żadnych tropów, jakby wilk pojawiał się i znikał. Czy zatem nie jest słuszne przypuszczenie, że ktoś, komu nie straszny był potężny olbrzym, powinien zmierzyć się z zadaniem, któremu śmiertelnik nie mógłby sprostać? Pewnie bogowie zesłali nam ciebie...

– Najpierw biedny Haldor, a potem Leif – odezwała się Hekia. – Cień padł na synów Valthjofa, z którymi tak blisko był nasz czcigodny Ulfar...

Bjarni uśmiechnął się. Hekia była bardzo przenikliwa. Czarnobrody dostrzegł, że jej słowa nie spodobały się Eskilowi. Dworzanie także zaczęli szeptać. Mieli najwyraźniej swoje sekrety. Reakcji samego Ulfara, czarnoksiężnika i doradcy króla, Bjarni już nie mógł dojrzeć, poza tym, że człek ten poruszył się nieznacznie w kącie. Okrywając się kapturem i powłóczyłą szatą, Ulfar z rozmysłem zasiadł obok Eskila, ale w półmroku, z dala od stołu, jakby chciał przyglądać się wszystkim, samemu pozostając w pewnym ukryciu.

– Może mrok padł na nich nie bez powodu? – zapytał Bjarni, jakby samego siebie, a słowa te wywołały poruszenie. Nie tak jednak wielkie, jakby można się było spodziewać. Musiało się mówić na dworze to i owo.

– Co przez to rozumiesz, Pogromco Olbrzymów? – Eskil najwyraźniej był poddenerwowany. – Byli to moi najlepsi wojownicy. I nigdy nie zawiedli!

– Nie śmiałybym twierdzić, że było inaczej – rzekł Bjarni spokojnie. – Ale ktoś, kto jest nieustraszony, bywa jednocześnie nieostrożny. Zwłaszcza zaś, gdy czas zdaje się spokojny, a cienie przeszłości niewyraźne... Może to właśnie pewność siebie zgubiła synów Valthjofa? A może jeszcze co innego?

– Czy domyślasz się, co to było? – spytał Eskil dziwnym tonem, jakby wołał nie usłyszeć odpowiedzi.

– Z jakichś względów wilk zaczął się na Haldora i Leifa, masakrując ciała, nie żywiąc się jednak ich mięsem, jakby rozsmakował się jedynie w zadawaniu bólu. Czemu ich właśnie spotkał tak okrutny los? Czyż nie łatwiej byłoby napaść na dziecko czy kobietę? Dotąd nikt nie lękał się spacerować górskimi szlakami,

nawet nocą, zwłaszcza gdy księżyc przyświecał. Okazji zatem było wiele. Skoro zaś Haldor i Leif byli przybocznymi twego doradcy, panie, czy nie roztropnie przypuścić, że i jemu zagraża niebezpieczeństwo? Mówię to jedynie z troski.

Słowa te nie spodobały się Ulfarowi na tyle, że postanowił włączyć się w końcu do dyskusji. Czarnoksiężnik podniósł się nagle ze stołka i wyszedł z cienia, ukazując się zebrany. Miał długie, czarne włosy, ostrą bródkę i zapadłe policzki. Jego wzrok wydawał się czujny i nieufny. Mężczyzna podszedł bliżej miejsca, gdzie siedział Bjarni.

– Nie pora snuć uczone przypuszczenia, gdy nie ma się rozumu zbyt wiele – odezwał się Ulfar. – Wybacz, Bjarni, ale jesteś człowiekiem, który włada sprawnie mieczem, nie umysłem. Czy sam aby nie nadajesz zwykłemu wilkowi nadprzyrodzonych cech, by szeptać potem skaldom bajki o własnej roztropności? Znam takich jak ty, oj tak... Zjawisz się tutaj kiedyś z zapchlona skórą byle chudziny, a zaczniesz opowiadać, że to jakiś piekielnik, który jednym uderzeniem łapy może powalić woła... – Ulfar wykrzywił twarz w grymasie politowania. – Są na świecie ludzie, co z panoszącego się na trakcie zbója uczynili giganta! Gadać bzdury jedynie po to, by dodać splendoru własnym czynom? Oto metoda współczesnych herosów! Dlaczego zatem wilka nie przemienić w samego Fenrira, skoro można zyskać dzięki temu poklask?

W hali rozbrzmiały pojedyncze śmiechy. Bjarni, jak gdyby nigdy nic, odstawił obgryzioną kość i oderwał udko od pieczonego kurczaka. Choć Ulfar z niego kpił, to dało się jednak wyczuć w głosie czarnoksiężnika pewną obawę.

Spoglądając z uśmiechem na królewskiego doradcę, napychając sobie mięsiwa do ust, Bjarni rzekł niewyraźnie:

– Czy na mej twarzy nie widzisz śladu pazurów? Spotkałem się z nim Ulfarze. Wiem także, że szuka swych ofiar z rozmysłem. Dlaczego? To jeszcze dla mnie tajemnica, ale wkrótce ją rozwiążę... Masz jednak rację, że słowa znaczą wiele. Krążące po okolicy opowieści zdążyły zmienić oblicze wilka, który przybiera nierzeczywiste kształty i obdarzany bywa na wyrost nadprzyrodzonymi mocami i gabarytami. Może i tak... Ale gdy opowiadasz o tym wilku, jakby był igraszką i wymysłem układających bajędy mamek, to oszukujesz sam siebie. Ci, którzy poszli w góry, by go szukać, wiedzą swoje...

Widać było, że wielu z zebranych potakuje. Niektórzy zaś zachowali stosowne milczenie.

– Nie może to być zwykły wilk – rzekł król. – Nasi łowczy rozkładają bezradnie ręce.

– I tu właśnie zmierzamy do sedna – powiedział Bjarni, ocierając rękawem twarz. – Są okoliczności, które utrudniają łowy, mnie również, choć zdawało mi się, że jestem krok od celu.

– Jakież to okoliczności przeszkadzają wojownikowi, którego imię powtarza

echo wśród gór? – zachnął się Ulfar. – Twój strach? Za duża ilość wypitego miodu?

Pojedyncze śmiech rozbrzmiały w sali, ale szybko umilkły.

– Zdaje się, że wszystkie okoliczności sprzysięgły się przeciw poszukiwaczom – powiedział Bjarni ze spokojem. – Łowcy ruszają w góry i wracają z niczym. Czy się mylę? Także wy, drodzy zebrani, doświadczyliście złowrogiej ciszy na górskich szlakach. – Bjarni rozejrzał wymownie po hali. – Gdy trop jest wyraźny, śnieżna zawierucha gubi ślady i czyni bestię niemal niewidzialną. Wilk pojawia się i znika, jakby mgła była mu kompanem. Psy nie chcą podjąć tropu, tylko jeżą sierść i warczą, raczej na tych, co ich ponaglają niż na bestię. Czyżbym zmyślał? – Kruk zwrócił się do zebranych. – Czy to jedynie bujda, jak twierdzi Ulfar? A może jest tak, jak mówię?

– Prawdę rzekł najemnik – odezwał się ktoś z zebranych, ale zaraz potem spuścił wzrok, jakby obawiając się reakcji czarnoksiężnika.

– To cud, że wyszedłem żywy ze spotkania z kimś – kontynuował Bjarni – komu instynkt i zmysły podpowiadają więcej... Niechże i będzie zwykłym wilkiem! Co jednak, jeśli pomaga mu jakaś siła tajemna? Mogło by się wydawać, że ktoś tu postradał zmysły. Nie mówię, że ze mną tak właśnie się nie stało, ale wtedy musielibyśmy przyznać, że my wszyscy jesteśmy ofiarą złego zaklęcia... – Czarnobrody nalał do pucharu miodu. – Te same problemy dręczą nas, gdy wyruszamy na poszukiwania. Czy cały świat aby nie sprzysiągł się, ukrywając bestię w leśnych ostępach?

– Jak tłumaczysz sobie te dziwne przypadki, Bjarni? – zapytała Hekia.

– Na to pytanie nie potrafię jeszcze odpowiedzieć, choć mam swe podejrzenia – odparł wojownik, odgryzając kawał ociekającego tłuszczem udka kurczęcia. – A co, jeśli miałyby kryć się w tej historii szczypta magii? I echa pewnej opowieści... – dodał pod nosem, ale w hali było na tyle cicho, że każdy dobrze usłyszał.

– Cóż możesz wiedzieć o magicznych sprawach? – zapytał Ulfar kpiąco. – A tym bardziej o tym, co kiedyś się tu działo?

– Bywałem trochę w świecie – odparł Bjarni, wkładając jednocześnie do ust kawałek mięsiwa. – Słyszałem na przykład o tych, co potrafią zmieniać swe oblicze. W dzień być ludźmi, a nocą dołączać do wilczej sfory lub też stać się na wpół ludzkim, na wpół zwierzęcym potworem.

– Podróż za górę, w której cieniu znajduje się rodzinna wioska, nie czyni jeszcze z nikogo bywalca – powiedział czarnoksiężnik, podchodząc jeszcze bliżej do czarnowłosego wojownika. Przez moment mierzyli się wzrokiem. – Nawet, gdy z tej góry strąca się olbrzyma albo rosłego zbója, który mógł nim prawie być... A klechdy o wilkołakach to nic więcej jak bzdury mamiące naiwnych.

– Może, może... – Kruk wypluł na talerz chrząstkę i zjadając dalej mięso

z udka kurczęcia, kontynuował, choć z pełnymi ustami: – Jeśli herosi czasem zmyślają, nadając potworom, z którymi przyszło im się mierzyć, nierzeczywiste cechy, to i czarnoksiężnikom udaje się często sprzedać proste sztuczki jako magiczne arkana... Zmęczyła mnie ta dyskusja. Ale nic to... Wsiowym czarodziejom zawsze zdaje się, że pozjadali wszystkie rozumy! – Bjarni wstał od stołu, odwracając się od wściekłego Ulfara. – Wybacz Eskilu, wybacz pani. – Wojownik skłonił się. – Czas na mnie. Pora już późna, a mnie czekają jutro dalsze poszukiwania.

Eskil podniósł się na swym tronie, ale nie powiedział już ani słowa. Ulfar ze złości uderzył pięścią w stół.

– Ach ci mężczyźni! – powiedziała Hekia z uśmiechem. – Tylko swary i kłótnie.

– Trzy dni, Bjarni – odezwał się Eskil. – Trzy dni! Liczę, że głowa bestii zawiśnie na ścianie w moim dworze.

– Nie musisz się obawiać, Eskilu – odparł Bjarni, popijając miód i wychodząc. – Ukatrupię wilka. Wilka albo człowieka... Tego jeszcze nie wiem. Będzie jednak tak, jak obiecałem. A trzy dni to aż nadto... Znowu słyszę chichot dobiegający z dalekiej doliny, który przegania mnie z tego kraju. Znak to, że nie mogę dłużej zabawić.

Być może jedynym, który zrozumiał te słowa, był Ulfar. Czarnoksiężnik sam nie wiedział, czy rychły wyjazd Bjarniego by go ucieszył, czy zmartwił. Czarnobrody dostrzegł tę dwuznaczność w spojrzeniu doradcy Eskila i porzucając biesiadną komnatę, zaczął się zastanawiać, co ona może oznaczać.

Wiedział jednak już jedno. Ulfar nie był bez winy.

* * *

Płomyki świec rozpraszały nieśmiało mrok, który wypełniał sypialną komnatę. Bjarni zbliżył się do Hekii. W spojrzeniu królowej widać było iskrę pożądania.

– Jesteś pewna, że nikt się nie domyśla, pani? – zapytał, całując jej szyję.

– Czyżby ten, który spoglądał z wysokich szczytów na krańce świata, bał się kobiety?

Bjarni uśmiechnął się.

– Jeśli się boję, to nie o siebie, Hekio.

– Eskil szuka sobie kolejnej żony. Znudziłam mu się... Król nie zachodzi już do mojego łóżka i przestał się interesować, czy ktokolwiek inny odwiedza mnie w tej komnacie.

– Jakże może być tak nieczuły na twe uroki? – dziwił się Bjarni, patrząc na kształtne piersi i białą skórę ud królowej.

– Żadne zaklęcia nie są wieczne, a te, które rzuca starzejąca się kobieta,

słabną z każdym dniem – powiedziała z żalem Hekia. – Czy sam zostałeś u boku jakiejś wybranki na dłużej?

Bjarni zaczął pieścić piersi królowej.

– Być może żadna kobieta nie rzuciła jeszcze na mnie wystarczająco silnego zaklęcia? Pokonać złowieszczą magię przekleństwa to nie taka prosta sprawa. Mówi się o mnie, że nie mogę pozostać w jednym miejscu na dłużej. Czyś zapomniała, co opowiadają skaldowie? Ale może ty, pani, znasz jakieś sekretne zaklęcie?

– Nie sędzę, bym miała taką moc, która byłaby w stanie przemóc klątwę Glamrunga – odparła Hekia, całując najemnika w szyję. – Ale spróbuję spętać cię urokiem. Co ty na to?

– Próbuj, pani – odparł Bjarni, obejmując żonę króla i przyciągając ją do siebie. – Zmagalem się już z czarnoksiężnikami i wiedźmami. Znam moc zaklęć i ich zgubną uludę.

Bjarni czuł zapach pachnideł, którymi skropiona była skóra królowej. Ciepło drugiego ciała przyciągało go i hipnotyzowało. Hekia wbiła palce w plecy wojownika i zaczęła lekko gryźć skórę szyi. Czas niewinnych zalotów nie trwał jednak długo. Zbyt byli sobie spragnieni. Dwa ciała złączyły się wśród jęków i spazmów. W tym gwałtownym, dzikim tańcu szybko i instynktownie odgadywali swoje potrzeby. Nie mogli się sobą nasycić, ale w końcu, próbując złapać oddech, oddzielili się i znowu byli samotni w ciemnościach i chłodzie. Zimowa noc miała być długa i pełna magii, choć nie zawsze tej dobroczynnej i przeganiającej koszmara.

Leżeli przytuleni, słuchając bicia własnych serc i gotowi trwać tak bez końca. Wreszcie Hekia odezwała się:

– Czy chcesz poznać sekret?

– Najpierw pęta mnie swą magią, potem chce zdradzać sekrety... – Bjarni spojrzał z uśmiechem w zielone oczy kochanki. – Wiedźma jak nic.

– Mogę nią być rzeczywiście – odparła Hekia. – A na pewno mogę się nią stać, jeśli tego pragniesz.

– Ja z kolei mógłbym słuchać twego głosu i myśleć, że to pierwsza wśród elfów śpiewa mi do ucha...

– Posłuchaj zatem historii, której nikt ci nie wyjawia ze strachu, że może to sprowadzić nieszczęście.

– Jesteś także skaldem? – zapytał, całując pierś Hekii.

– Mam wiele oblicz – odrzekła, kładąc głowę na ramieniu Bjarniego. – Chmurna noc jest dobrą porą, by snuć opowieści, zwłaszcza te najbardziej przerażające, choć prawdziwe.

Królowa wzięła głęboki oddech

– Czy w tej opowieści znajdę odpowiedź na wiele pytań, które mnie dręczą?

– zapytał Bjarni.

– Może zrodzi ich jeszcze więcej? – Hekia położyła się na pościeli i wpatrując się w Bjarniego zaczęła opowiadać: – Piętnaście lat temu na dworze młodego jeszcze jarla, który miał zostać potem królem, zjawił się czarnoksiężnik. Niedoświadczony mag szybko wkupił się w łaski władcy. Od pierwszego wejrzenia nie spodobał się jednak żonie pana dworu, która zauważyła, że jej mąż zaczyna słuchać podszeptów przybysza i staje się bezwolną kukłą...

– Nie on pierwszy... Czarnoksiężnicy znają przymilne słówka, którym mamia łaskawie nam panujących.

– Nikczemnikowi spodobała się pewna młoda kobieta z wioski, córka młynarza, piękna dziewczyna bez skazy, która nosiła imię Yornalei – kontynuowała Hekia. – Czarnoksiężnik chciał ją pojąć za żonę, a właściwie wziąć jako swoją brankę, chwilową zabawkę... Król wyraził zgodę. Przytakiwał w końcu swemu doradcy na wszystko.

– Czy w górach, opodal bystrego potoku, nie stoi opuszczony młyn?

– Tak, masz rację, Bjarni... Czy jednak jeden młynarz chodzi po świecie? Nie zdradzajmy zbyt wiele... – rzekła Hekia, całując kochanka. – Któregoś dnia czarnoksiężnik powrócił z gór wściekły. Wziął potem ze sobą dwójkę zbrojnych. A kiedy za drugim razem widziano go na dworze króla, śmiał się jak szaleniec.

– Czy wyrządził pięknej Yornalei jakąś krzywdę?

– Nikt jej już potem nie widział, podobnie jak nikt nie zobaczył młynarza i jego małżonki. Choć mówiło się, że to nie błyskawica sprawiła, iż młyn spłonął. W młynie znaleziono też ciała. Czy ktoś ich powiązał, że nie zdążyli uciec?

Bjarni poruszył się w ciemnościach.

– I ja poznałem pewną historię... To opowieść o pięknej dziewczynie, której ojciec był młynarzem.

– Doprawdy?

– Ta, o której mówię, mieszkała opodal potoku, z kochającym ją ojcem i matką, a serce swe oddała młodzieńcowi imieniem Harald. Był on wolnym człowiekiem i służył swym mieczem panom z gór... – Bjarni objął Hekię. – Któregoś dnia zajechał pod młyn zakapturzony jegomość, który wyglądał na czarnoksiężnika. Kto wie? Może chciał oznajmić ojcu dziewczynki, że weźmie ją za żonę? Ta jednak nie chciała go, bo przecież kochała szczerze innego. Trzech okrytych czernią jeźdźców zjawiło się nocą. Siepacze zabili młynarza. Czarnoksiężnik posiadał siłą dziewczynę, a potem poderżnął jej gardło... Tacy jak on nie znoszą sprzeciwu i urażona duma ważniejsza bywa niż uczucie.

Hekia uśmiechnęła się gorzko.

– Zdaję się, że opowiadamy tę samą historię, choć dwie jej wersje nie są identyczne... Pozwól zatem, że dokończę... Aby uniknąć niepokojów, czarnoksiężnik wyjechał na jakiś czas z doliny wraz ze swoimi sługami, bo różne

plotki zaczęły krążyć po okolicy. Któregoś dnia powrócił jednak, gdy jarl był już królem, myśląc naiwnie, że ludzie w dolinie zdążyli zapomnieć. Ale tutaj wszyscy pamiętają słodką Yornalei, nawet strumień, w którym przeglądała się wiosenną porą wciąż ukazuje jej odbicie...

– Mówią też – dokończył Bjarni – że Harald, który kochał dziewczkę, dowiedział się wszystkiego od samej Yornalei, bo jej zjawę można było spotkać opodal młyna. Wojownik uciekł w góry i zaprzysiął zemstę. Chciał pewnie rozplatać Ulfara mieczem na dwoje, ale jarl, pod którym Harald służył, i zapatrzony w czarnoksiężnika Eskil żyli ze sobą w zgodzie. A zresztą czarnoksiężnik stał się nazbyt ostrożny, by zemsta mogła się szybko ziścić... Harald wędrował długo po bezdrożach, próbując na powrót odnaleźć swoje miejsce w świecie. Rozmawiał z czarownikami z dzikiego górskiego ludu, którzy poznali sekrety leśnych stworzeń, ich mowę i zwyczaje. Harald stał się na wpół dziki. Niedawno ponoć znowu widziano go w górach, choć nie wszyscy zgodzili się, że wciąż jest człowiekiem. Ale kto wie? Może to tylko bajania...

– Sama jestem częścią tych bająn – powiedziała Hekia ze złością.

– Mówisz to z żalem, królowo. Czy źle znaleźć się w baśni?

– Czarnoksiężnik z opowieści nigdy nie znał umiaru i nie miał w sobie szacunku do kobiet. Gdy kiedyś zapragnął żony króla, ten nawet nie mrugnął okiem i pozwolił mu na wszystko.

Bjarni zacisnął w gniewie pięść.

– Ulfar...

– Obiecaj mi, że zemsta się dokona w pełni – powiedziała Hekia, szepcząc Bjarniemu na ucho. – Trzy ludzkie istnienia, za trzech, którzy stracili życie bez winy. Nie mów mi, że to niesłuszny rachunek! Pośród żywych został już tylko Ulfar. Tylko on... Niech umiera w cierpieniach! Wszyscy mu tego życzą, ale każdy boi się czarnoksiężnika. Byli tacy, którzy stanęli przeciwko niemu otwarcie, albo knuli, jak się go pozbyć. A potem znikali gdzieś lub dławili się kością na śmierć podczas biesiady. Ulfar wie, że ktoś próbuje się zemścić, ale wyszydza wszystkich, którzy twierdzą, że bestia jest czymś więcej niżli wygłodniałym wilkiem... On się boi, Bjarni. Straszliwie się boi, bo dobrze wie, że wilkołak pragnie zabić przede wszystkim jego! Haldor i Leif byli wtedy młodzi. Zawinili, ale to kto inny nimi kierował... Niechaj bestia rozszarpie Ulfara! Pragnę tylko tego!

– Ciii... – szepnął Bjarni na ucho Hekii, głaszcząc ją jednocześnie po policzku.

– Obiecaj mi.

– Bestia... – mruknął Bjarni, przywołując obraz palących się czerwienią oczu.

Hekia dotknęła ran na twarzy kochanka.

– Widziałeś go... Powiedz, zatem – czy ma w sobie jeszcze coś z człowieka?

Czy aby nie tylko w ludzkiej duszy może czaić się potrzeba zemsty? Czy to w końcu nie jest słuszna zemsta? Chciałeś odpowiedzi, a ja ostrzegałam, że może będziesz musiał zastanowić się nad nowymi pytaniami.

– O czymś zapomniałaś, Hekio – odparł Bjarni ponurym głosem. – Dałem twemu mężowi słowo, że przyniosę skórę bestii, która zagryzła jego poddanych.

– Wypełnij zatem zadanie, jakiego się podjąłeś! Ale najpierw pozwól dokonać się zemście. Wszyscy pragną tylko tego...

– Podobałaś mi się dużo bardziej, gdy byłaś wiedźmą, a nie wieszczką snującą ponure opowieści – powiedział Kruk, wsłuchując się w obcą pieśń nocy, wygrywaną przez szalejący wichur. – Co ma być, to będzie. – Bjarni odwrócił się i pocałował Hekię. – Pragnę zaznać jeszcze szczypty magii.

Wzrok królowej zdawał się być martwy.

– Czy zrobisz wszystko, by czarnoksiężnika spotkała zasłużona kara?

– Daję ci słowo honoru, że zemsta dosięgnie Ulfara – odparł Bjarni ponurym głosem. – Po tym, co usłyszałem, nie może być inaczej.

Hekia uśmiechnęła się nie bez goryczy.

– Teraz mogę na nowo stać się wiedźmą... A wiedźmy mają także i swoje rady. Sprzedam ci jedną za namiętny pocałunek.

* * *

Człowiek, którego szukał pośród górskich ostępów znał sekrety natury, mowę zwierząt i potrafił przyrządzić z ziół magiczne mikstury, które mogą kogoś zabić bądź zmusić do miłości. Ludzie bali się go i szanowali zarazem, choć był przewodnikiem dzikich – tyle Bjarni dowiedział się o nim, zanim jeszcze rozpoczął poszukiwania. Wiedział też, że spotka go jedynie wtedy, gdy Yilwah sam pozwoli się odnaleźć, pewny szczerych intencji. Czarnobrody krążył zatem pośród lasów i skał, wsłuchiwał się w szmer górskich strumieni, głosy zwierząt i wichru, aż w końcu, odprowadzany wzrokiem dzikiego ludu, zawędrował do pustelni

Teraz jednak, zasiadając we wnętrzu górskiej groty, grzejąc się przy ogniu, Bjarni konfrontował opowieści z rzeczywistością. Tajemniczy mężczyzna wyglądał jak żebrak. Był nim zresztą po części, bo nie mieszkał nigdzie na stałe, wędrował po tutejszych lasach, ukazując się tylko tym, którym chciał, często biorąc coś od napotkanych, rzadko dając coś w zamian. Jego włosy posklejane były w kołtun, a zmierzwiona, siwa broda opadała na pierś. Nosił na sobie kapotę z pozszywanych skór, brudnych i cuchnących. Przewracał oczami, ukazując białka albo wystawiał język prawie jak wąż. Gdy blade światło paleniska padało na jego twarz, dostrzec można było ostre rysy i przerażającą mimikę.

Starucha we wsi powiedziała, że Yilwah jest szalony. Nie myliła się. Przekonywała jednak, że tylko on może pomóc, wskazać drogę.

– Czego szukasz pośród gór, Kruku? – zapytał pustelnik, dorzucając dREW do

ognia. – Nie masz zbyt wiele czasu na swoje sprawunki. Sam czułem dzisiaj drżenie ziemi. Glamrung zbliża się! Idzie po ciebie... Człap! Człap! Aż dudnią jego kroki pośród górskich ostępów! Tak, tak... A wraz z jego przybyciem czeka cię czas niepokoju... Musisz uciekać. Uciekać!

– Szukam odpowiedzi, Yilwahu, a czasu mam wciąż dość, by ją usłyszeć i zrobić z niej użytek – odparł Bjarni, rozglądając się po grocie, która chwilowo była domem szalonego starca. Mężczyzna zaśmiał się, a jego chichot nie ustawał. Trwało to na tyle długo, by Bjarni zorientował się, że ma do czynienia z obłąkanym.

– Interesowały mnie zawsze pytania – powiedział w końcu Yilwah, gdy skończył się jego napad śmiechu. – Jest ich tak wiele... Ludzie je zadają, myśląc, że moje odpowiedzi mają jakąś wartość.

– Więc i ja zapytam o coś, jeśli pozwolisz. Czy odwiedził cię niegdyś młody mężczyzna, który szukał sposobu na zemstę?

– Było takich wielu! Nie zgadniesz ilu... – zaśmiał się przerywając wywód. – Braknie mi palców u rąk i stóp, by pokazać wszystkim, którzy chcieli się zemścić. Pytali mnie, jak zabić tego albo tamtego, by kto inny się nie dowiedział. Ciągłe się nad tym biedzą. Chcieliby trucizną, wyznawać się na złych urokach, by zsyłać liszaj lub boleści... Tak, nie zliczę wszystkich, którzy mnie pytali o pomoc!

– Ten, o którym mówię, potrafi zmienić się w wilka. A przynajmniej w stworzenie, które go przypomina, bo ma też w sobie coś z człowieka.

– W wilka, powiadasz? – Starzec zachichotał. – Był tu kiedyś taki, w którego oczach zobaczyłem strach i nienawiść... Ha! Wiesz, co mu wtedy powiedziałem? Że już wygląda jak wściekły, wygłodniały wilk, któremu wszystko jedno... He, he... Po co zatem stawać się nim naprawdę?

– A ty odpowiedziałeś mu jak się przemienić – powiedział Bjarni z ponurą miną.

– Są na to sposoby, rzeczywiście – potaknął Yilwah, kiwając się to w jedną, to w drugą stronę i szarpiąc swoją posklejaną brodę. – Nawet wojownicy z twych ziem przywdziewają skóry niedźwiedzia albo wilka, wpadają w trans i za sprawą magicznych formuł i trujących grzybów stają się jednym bądź drugim.

– Bajania – rzekł Bjarni i oblizał spierzchnięte wargi.

– Masz prawo tak uważać... Mówiłem ci już, że nie znam odpowiedzi.

– Dałeś mu jednak wilczą skórę. Zdradziłeś sekret, jak wprowadzić się w trans i jakich czarów użyć. Nie wiem, czy jest rzeczywiście wilkiem, ale bardzo w to wierzy...

– Uprościłeś sprawę, Kruku – odparł czarownik, zaśmiewając się. – Ale mogło być rzeczywiście tak, jak to przedstawiłeś. Sam nie wierzyłem, że mu się uda... Gdybyś jednak widział jego oczy! Kiedyś może i był człowiekiem, ale zmienił się w bestię. He, he... Stał się nią. Widziałeś go przecież, prawda? –

Yilwah wyciągnął dłoń, by dotknąć zadrapań na twarzy Bjarniego, ale ten odtrącił rękę starego.

– A zatem pragnął tylko słusznej zemsty? – powiedział Czarnobrody. – Prawdę mówią opowieści?

Starzec potaknął głową.

– Chciał zemsty, co godne, ale poznał smak ludzkiej krwi i mięsa. A to kusząca strawa... Tak... Raz możesz skosztować z głodu, powiedzcie, że tak wypada, bo umierasz, a twój pusty brzuch domaga się posiłku. Potem możesz oszukiwać się sam, przekonując, że nie potrzebujesz podobnych przysmaków już więcej. To jednak złudzenie. Ludzkie mięso ma niezwykle kuszący smak... Sam próbowałem nie raz!

Yilwah ponownie zaczął się obłąkańczo śmiać. Bjarni położył dłoń na rękojeści miecza, choć wiedział dobrze, że starzec mu nie zagraża. Ale wnętrze groty, pełne naprędce rozwieszanych skór i kości, być może ludzkich, budziło rzeczywisty niepokój.

– Chcę go odnaleźć! – powiedział Bjarni stanowczo. – Muszę z nim porozmawiać, jeśli jeszcze nie zapomniał ludzkiej mowy, bo zdało mi się, że w jego ślepiach widzę nie tylko pragnienie krwi.

Pustelnik zaczął kręcić niespokojnie głową i kiwać się raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Daj mi tylko słowo, że nikt się o mnie nie dowie... – odezwał się w końcu. – Chcę żyć w spokoju... Jak mogłem odmówić Haraldowi? Yornalei była nieskalanym kwiatem, Bjarni... Kimś, kogo bałbym się dotknąć, choć i ja spoglądałem na nią lubieżnie... He, he... Patrzyłem na jej piersi, na uda, na to co między udami... – Starzec zaczął oblizywać wargi. – Zazwyczaj wiosną myła się w leśnym strumieniu, a ja lubiłem wędrować jego korytem... Yornalei... Cudna, czysta Yornalei... – Yilwah powstał. – Daj mi także słowo, że nie zabijesz go, przynajmniej wówczas, jeśli tli się w nim wciąż ludzka dusza, choćby jej strzępki. Wtedy wypełni się, co ma się wypełnić, a Harald przestanie zabijać. Ma prawo do zemsty!

– Żądasz wiele – powiedział Bjarni. – Ale jeśli wciąż jest człowiekiem, to zostawię go wśród żywych. Masz moje słowo.

– Dobrze zatem!

Yilwah zerwał się z miejsca, a potem rozpoczął swój dziwny taniec, mamrocząc coś pod nosem.

– Krucze pióro... Gdzie je położyłem? – powiedział w końcu, mieszając coś w kotle i gestykulując. – Czy mamy krucze pióro? – Starzec podszedł do Bjarniego i wejrzał mu w oczy. – Jesteś nim... Jesteś padlinożercą, Kruku! Gdzie stąpnie twa stopa, tam pojawia się śmierć... Widok kruka zawsze zwiastuje kłopoty, choć twoi pobratymcy cieszą się, gdy prowadzi ich w bitewnym szale... Czy nigdy się nad

tym nie zastanawiałeś?

Dymy podniosły się w grocie. Yilwah znowu zatańczył, przybierając dziwne pozy. Cienie przesuwaly się po chropowatej skalnej ścianie.

Bjarni mimowolnie kołysał się w takt pojękiwań starca. Nie znał języka, w którym Yilwah coś sobie mamrotał, ale z czasem zaczął rozpoznawać znaczenie słów.

To były słowa w kruczym języku. Szybko zagłuszył je trzepot skrzydeł.

* * *

Kruk szybował ponad leśnym bezkresem, wypatrując padliny. Co chwila zrywała się zawierucha i padający obficie śnieg zakrywał ślady. A kiedy śnieżycy odchodziła, pojawiała się gęsta mgła i nie dało się dojrzeć dalej niż na kilkanaście kroków. Kto szukał czegoś lub kogoś tego dnia, mógł jedynie pluć sobie w brodę.

Spoglądając z przestworzy, kołując nisko, kruk śledził wilczą watahę, która podążała przez bezdroża, przystając raz po raz, czasem przyspieszając. Wkrótce wataha zatrzymała się na polanie, gdzie wśród śniegów dało się dojrzeć samotnego mężczyznę. Kapota z wilczej skóry zakrywała jego muskularne ramiona, głowę i część twarzy.

Trzepot skrzydeł wyrwał samotnika z odrętwienia. Czarne ptaszysko wylądowało na wielkim kamieniu.

– To ciebie zwą Krukiem? – odezwał się nieznajomy głosem, w którym słuchać było dzikość i obcą naturę – Nie bez przyczyny, jak widzę... Widzieliśmy się już kiedyś. Wtedy ty byłeś człowiekiem, a ja bestią. Widać role odwróciły się... Czyżbyś zwietrzył, Kruku, martwą zwierzynę?

Bjarniemu kręciło się w głowie. Wyciągnął ręce przed siebie. Zobaczył zmarznięte dłonie. Dłonie, nie skrzydła. Co za majaki! Jeszcze przed chwilą miał wrażenie, że unosi się w przestworzach.

– Za to ty, Haraldzie, stałeś się wilkiem. Przynajmniej możesz się nim stać... Takim cię zobaczyłem ostatnio w blasku księżycy i ledwo uszedłem z życiem.

– Dobrze mi w jego skórze – odparł wilkołak, a kiedy wyszczerzył zęby, Bjarniemu zdawało się, że widzi kły dłuższe niż te ludzkie. – Chcę jedynie, by dokonana się słuszna zemsta. Służąc Eskilowi i słuchając podszeptów przekłętego Ulfara, jesteś mi wrogiem.

Bjarni uważnie zmierzył Haralda wzrokiem. Kim był? Człowiekiem czy wilkiem? Pogromca Olbrzymów nie potrafił stwierdzić jednoznacznie. Twarz Haralda była wciąż ludzka, choć nieco wydłużona i zapadła. Nozdrza unosiły się raz po raz, jakby mężczyzna ciągle węszył. Zielone oczy wydawały się czujne. Nieludzkie, wąskie źrenice wodziły uważnie po okolicy, ciągle jednak zatrzymując się na Bjarnim.

– Mylisz się i pochopnie mnie oceniasz – odparł Czarnobrody. –

Przychodząc tutaj i rozmawiając z tobą, chcę ci udowodnić, że służę tylko sobie... Ani Eskil, ani tym bardziej Ulfar, nie wydają mi poleceń.

– A jednak wicher przyniósł słowa twej przysięgi – powiedział ze złością Harald. – Daleś Eskilowi słowo, że mnie ubijesz!

Mężczyzna rzucił się na Bjarniego nagle niczym wygłodniała bestia. Kruk uskoczył, przechylając się na bok i zaraz zaczął zsuwać się po stoku. Trwało chwilę nim uderzył o jedną ze skał. Jęknął z bólu, ale szybko stanął na nogi, zerwawszy się żwawym ruchem. Harald był już przy nim, szczerząc kły.

Rzucili się na siebie, biorąc za bary. Czarnobrody poczuł pierwotną siłę i pazury wbijające się w jego ramię. Mocowali się przez chwilę, spoglądając sobie w oczy, widząc w nich zaciekłość. Bjarni oswobodził się z uścisku nagłym ruchem, a potem zdzielił Haraldą, uderzając go pięścią w podbródek. Zamroczyło to napastnika, który upadł i zaczął skowyczeć. Nie miał tyle sił, co w blasku księżyca.

– Nie chcę cię zabić – warknął Bjarni. – Przynajmniej teraz...

– Czyżby? – Harald wstał pospiesznie, schylając się. – Co jeśli ja pragnę zabić ciebie? Jeszcze niedawno polowałeś na mnie. Skąd ta odmiana?

– Muszę cię zabić, masz rację... I kiedyś cię rzeczywiście zabiję, bo dałem słowo. Ale to różnica – chcieć, a być zmuszonym przez słowo, które się dało komuś.

– Cóż za godna postawa! – powiedział Harald z kpiną.

– Zamilcz! Chcę się z tobą rozmówić, póki jeszcze masz w sobie coś z człowieka. Kto wie, kim staniesz się, gdy spowije cię księżycowe światło? – Bjarni stanął twarzą w twarz z Haraldem. – Jakąkolwiek przysięgą nie byłbym związany, najpierw dopomogę słusznej zemście. Musisz mi zaufać.

Harald spojrzał mętym wzrokiem na kruczowłosego mężczyznę. Nie wyczytał w spojrzeniu Bjarniego żadnego podstępu.

– Chcesz mi pomóc? – zapytał Harald, zasiadając na ośnieżonym głazie. – Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Niewiasta, którą pokochałem, została zhańbiona przez Ulfara. – Bjarni zawył z wściekłości i to Harald zaczął zastanawiać się teraz, czy ma do czynienia z człowiekiem, czy raczej bestią. – Wiesz dobrze, że nie kłamię... Ludzie oszukują tak często, że zapomnieli, jak rozróżnić prawdę od fałszu. Ty potrafisz, nie jesteś tylko człowiekiem...

– Mów dalej.

– Ulfar jest sprytny, trzeba mu to przyznać – rzekł Bjarni. – Haldor nie spodziewał się, że może natknąć się na ciebie, więc nie zachowywał się ostrożnie. Leif wyszedł ci na spotkanie, dręczony wyrzutami sumienia, które odbierały mu spokojny sen od lat. To były łatwe ofiary. Ale Ulfar, to co innego. Wie dobrze, że na niego polujesz. Boi się ciebie, więc nie wychynie z dworu, dopóki nie zginiesz. Przeprowadzę ci go zatem.

– Zdradzisz swego pana? – Harald spojrział na Kruka z zadziwieniem i rozczarowaniem jednocześnie.

– Tego nie powiedziałem – odparł Bjarni, uśmiechając się zagadkowo. – Przyprawdzą ci Ulfara. Ale będziesz musiał potem stanąć ze mną do walki. Będzie to uczciwy pojedynek. Jeśli wygrasz i zabijesz mnie, oddam czarnoksiężnika tobie. Zrobisz z nim co zechcesz. Wgryziesz się w jego gardło, pazurami rozszarpiesz wnętrzności, potem odejdiesz wolno. Jeśli zaś wygram ja... Cóż... Zginiecie obaj!

– Kusząca propozycja... Wygłodniały wilk i zwiastujący śmierć posłaniec, podążający ramię w ramię... – Harald zaczął się śmiać. – Ta kraina nie знаła jeszcze podobnego pojedynku. Ty jednak ryzykujesz więcej... Ja mam przynajmniej pewność, że Ulfar zginie.

– Więc jak będzie? – zapytał Bjarni, a Harald odchylił do tyłu głowę. Z jego gardła dobiegło przeciągłe wycie. Wataha wilków odpowiedziała gdzieś z oddali. Głucha, beznamiętna pieśń wypełniła dolinę trwogą i las zamilkł na moment.

A Bjarni nie miał już wątpliwości, czy Harald jest jeszcze człowiekiem, czy już tylko wygłodniałym wilkiem.

* * *

Słoneczna tarcza częściowo schowała się już za pasmo postrzępionych gór. Niebo przybrało szary odcień, rozpalony gdzieś plamami czerwieni, jakby któryś z bogów poderzwał gardło pozostałym i zaczął malować krwią okrutne pejzaże.

Bjarni szedł przed siebie, brodząc w śniegu i prowadząc za wodze wałacha. Na wierzchołku zasiadał skrępowany Ulfar, szamocząc się i próbując coś powiedzieć. W pewnym momencie czarnoksiężnikowi udało się wypluć knebel.

– Zapłacisz... Zapłacisz mi za to, Bjarni! Będziesz konał w bólach! Obiecuję ci! – Ulfar zaczął rozglądać się nerwowo. – Hej, hej! Czy słyszy mnie ktoś?!

– Krzycz sobie do woli – odparł wojownik. – Nikt cię nie usłyszy, a nawet jeśli, to nie przybiegnie z pomocą, zoczywszy, że wodzę na postronku czarnoksiężnika Ulfara. Zbyt wiele osób źle ci życzy.

– Zdradziłeś swego pana. Okryłeś się hańbą. Jesteś przeklęty!

– Wyjątkowo muszę się z tobą zgodzić – powiedział z rozbawieniem Bjarni. – Przeklęty jestem już od pewnego czasu. Reszta twoich przypuszczeń jest natomiast zupełnie nietrafiona, ale nie mogę mieć ci za złe, że myślisz o mnie w ten sposób... Nie obawiaj się jednak o swe życie. Posłużysz mi jedynie za przynętę.

Ulfar aż spłoszył się na twarzy.

– Posłużę ci za przynętę? Ja mam... ja mam być przy... przynętą?

– Sam nie zdecydowałbyś się mi pomóc, a to jedyny sposób, by wywabić z lasu bestię. Wilkołak poluje na ciebie. Haldor i Leif nie byli przypadkowymi

ofiarami. Wiem o tym, co zrobiłeś lata temu, gdy pojawiłeś się we młynie, z dwójką siepaczy przy boku. Ten, który kochał prawdziwie Yornalei znalazł sposób na zemstę.

Ulfar spojrział na Bjarniego złowrogo, ale w tym nienawistnym spojrzeniu igrał też przelotny uśmiech.

– Jesteś bardzo przenikliwy, Bjarni. Może nawet zbyt przenikliwy jak na wojownika. To czyni cię niebezpiecznym. Ostrzegałem Eskila wielokrotnie. Wyjątkowo nie chciał mnie słuchać. Myślał o tobie jak o herosie równym bogom. Wsłuchiwał się wcześniej w pieśni skaldów, widząc cię takim, jakim się w nich stałeś. To błąd... Nikt nie jest taki, jak się o nim mówi. Pieśni uszlachetniają bohaterów, którzy naprawdę są występni, chciwi, zdradzieccy. Nie różnią się od innych ludzi. Stało się jednak... Gdybyś zgładził Haralda, kimkolwiek... – Ulfar zawahał się – czymkolwiek się stał... byłbym rad. Ale pozbyć się jednego wroga, otwierając drzwi innemu, być może potężniejszemu? Tak to widziałem... Zapomnijmy jednak o urazach. Mogę się odwdzięczyć za twój trud. Wracajmy do dworu, Bjarni. Niechaj bestia obejdzie się smakiem. Po co ryzykować? Obdaruję cię złotem. Moje zaklęcia będą na twoje usługi.

– Pozostaw swoje czułe słówka dla innych uszu – powiedział Bjarni. – Znasz się na magii tyle, co kura na lataniu... Gdybyś rozporządzał magiczną wiedzą, bez trudu byś się teraz oswobodził. Czarnoksiężnikom wystarczą dwa słowa. Ty udajesz orła, co wzlatuje w przestworza pełne dziwów, ale jesteś jedynie kogutem. Masz może i skrzydła, w amoku wskoczysz na dach, więc niektórzy myślą, że jesteś ptakiem... Dość to, by nabrać innych. Potrafisz jednak tylko szeptać kłamstwa i knuć. W tym żeś doszedł do mistrzostwa, więc chylę czoła... Oddając ci honory, przyznam jednocześnie, że to często skuteczniejsza broń niż magiczne arkana.

– A zatem bądź przeklęty! – zawołał Ulfar i zaczął się szarpać.

– Ha! – Bjarni pogładził z zadowoleniem swoją brodę. – To właśnie lubię! Znowu gadasz jak Ulfar, którego znam... Masz jednak moje słowo honoru, że włos ci dzisiaj z głowy nie spadnie.

Słońce już całkiem skryło się za horyzont, a oni jechali wciąż przed siebie. Ulfar milczał, zastanawiając się widocznie, jak wybrnąć z tarapatów. Gdy mrok spowił okolicę, zatrzymali się w głuszy. Bjarni rozniecił ogień i rozpalil pochodnię. Czarnobrody szybko dostrzegł, że twarz wciąż skrepowanego czarnoksiężnika wykrzywiła się w grymasie strachu.

– Bjarni...

– Co znowu? Nie wierć się tak!

– Bjarni! Patrz! Na skraju lasu...

– Nie jestem ślepy. Widzę przecież.

– To... To on...

– Wilkołak we własnej osobie – odparł najemnik, spluwając na śnieg. – Pora zatem się przywitać.

Poświata księżycą wydobywała z ciemności złowrogi cień. Z wieczornych mgieł, które oplatały skraj lasu, wyłonił się wilk. Czy aby na pewno? Jeśli tak, to ogromny. Kiedy podniósł swe cielsko i zaczął iść na dwóch nogach, serce Ulfara zamarło. Wilkołak szedł przygarbiony, podobny tyleż do człowieka, co zwierzęcia, mając najlepsze przymioty obu. Dłonie wydłużały się u niego i kończyły ostrymi pazurami. Z pyska toczyła się piana

– Zasłonić ci oczy, Ulfarze, czy wolisz patrzeć na to, jak jeden z nas kona? – zapytał Bjarni. – Jego zęby oraz pazury czy mój miecz? Gdyby czyniono zakłady na dworze Eskila, na kogo byś postawił mieszek ze złotem?

– Chwytaj za łuk! – zawołał czarnoksiężnik. – Ubijesz bestię zanim dojdzie do nas!

– Wszystko tu służy jego sprawiedliwej zemście – odparł Bjarni. – Ludzie, zwierzęta, drzewa, nawet wichry... Wypuściłbym strzałę i wiatr poniósłby ją hen daleko! To właśnie magia, na której nie potrafisz się wyznać.

– Głupcze, chcesz zginąć?!

– Chcę zaważczyć z nim po raz trzeci. Tym razem i jeden, i drugi, będzie w swej prawdziwej postaci.

Bjarni odrzucił pochodnię, która szybko zaczęła przygasać duszona przez śnieg. Ulfar nie mógł zatem dostrzec wiele, bo zapadła przeraźliwa ciemność, zwłaszcza gdy księżyc schował się za gęste chmury.

Wilcze wycie i głośnie krakanie. Dwa czarne cienie okrążające się czujnie. Dwaj ludzie? A może wilk i kruk? Dwie, walczące na śmierć i życie bestie, to czarnoksiężnik widział na pewno.

Zakręciło się wkrótce Ulfarowi w głowie, a kiedy ludzki krzyk spłoszył leśną zwierzynę, mag zemdleł, myśląc, że wkrótce i jego czeka śmierć.

* * *

Biesiada trwała w najlepsze. Po okresie trosk dwór Eskila huczał od wesołych rozmów i śmiechów. Dworzanie podawali sobie z rąk do rąk dzbany z pieniącym się piwem i ociekające tłuszczem udźce dziczyzny. Tylko Hekia wydawała się posępna i – co mogło umknąć uwadze zebranych – spoglądała raz po raz na Bjarniego z pewnym wyrzutem.

Skald Grimolf zasiadł na ustawionej pośrodku izby beczce i patrząc na wyprawioną wilczą skórę, która zawisła u powały izby, zaczął intonować pieśń:

– *Gdy kres dnia wejrzał mrocznym obliczem...* Och, tak jest niedobrze. Nie, nie, i po trzykroć nie! *Czarny płaszcz mrok zarzucił na zęby świata...* – Grimolf pokręcił głową. – Zęby świata, czyli wzgórze... Ładnie, prawda? Tak lepiej, ale to jeszcze nie to! Wymaga opowieść o Kruku i Wilku większego kunsztu, mocy,

czaru, siły... Rzecz przecież o najstraszliwszej bestii, jaka nawiedziła te strony i o tym, który zyskał przydomek Pogromcy Olbrzymów!

– Czyżby bogowie poskąpili ci tym razem miodu poezji? – zapytał król Eskil, śmiejąc się i wychylając do dna kolejny róg ze słodkim winem. – Noc w lochu może pomoże ci znaleźć odpowiednie słowa?

Te słowa być może zesłały na skalda natchnienie.

– *Krwawą luną dzień się kończył, a wilczy głos zapowiadał koniec dni, co został przepowiedziany dawnymi czasami!* – zawołał Grimolf, ale nikt go nie słuchał. Zbyt już kurzyło się zebranych w głowach. – Mam już pierwsze wersy! Och, czuję, że natchnienie wraca...

– Bardzo pięknie skaldzie, ale przejdź do rzeczy – rzekł ponownie Eskil, a potem dodał z uśmiechem, który ukradkiem rozjaśnił jego twarz. – Gdy będziesz śpiewał o czynach Bjarniego, nie zapomnij wspomnieć też o dzielnym i sprawiedliwym władcy tych ziem.

Grimolf skłonił się nisko.

– Ten, kto płaci skaldowi, zwykle najmocniej wychwalany jest w pieśni – odparł pieśniarz. – Pora jednak zająć się głównym bohaterem opowieści i należycie go przedstawić. A będzie to tak... *Szedł sam, z nagim mieczem, po którym spływała krew, magiczną siłą toczona. Wkrótce na skraju mrocznej puszczy zoczył bestię, dziecię Fenrira...*

– Raczej wilka... – powiedział Bjarni i wziął do ręki połowę pieczonego zająca. – Co najwyżej takiego, który zasmakował w ludzkim mięsie.

– Nie musimy trzymać się faktów – powiedział Ulfar. Czarnoksiężnik siedział dotąd bez słowa, racząc się mięsami i przednim winem. – Wypadałoby też wspomnieć o pomocy, jaką przyniósł dzielnemu wojownikowi pewien zdolny mag... Wiem, wiem! Pieśni rządzą się swoimi prawami i kiedy pojawiają się w nich czarnoksiężnicy, to zwykle jako okrutnicy i szubrawcy... Czy dlatego, że skaldowie nie znoszą konkurencji? Jedni i drudzy odmieniają stan rzeczy, prawie żeśmy jak bracia, choć nie znosimy się, zazdrośni o względy, jakimi obdarzają nas władcy. Skaldowie wywołują uludę, my zaś chcemy odmienić świat prawdziwie... W kłamstwach skaldów musi być ziarno prawdy, by miały moc przywoływania wizji!

– Zwykle jest w nich więcej prawdy niż zmyślenia, drogi Ulfarze – wyjaśnił skald. – Ale czy pieśniarz odpowiada za przekłamania innych, którzy powtarzają ułożone przez niego strofy?

Hekia, słysząc pytanie Grimolfa, obruszyła się.

– O właśnie, kłamstwo! Czy słowo dane przez bohatera nie powinno mieć większej wagi? – rzekła z przekąsem. – Czy można wychwalać kogoś, kto nie potrafił wypełnić obietnicy?

– Przecież Bjarni dotrzymał danego mi słowa – powiedział król. – Przyniósł

skórę bestii, jak mi obiecywał! Czyż nie wisi na ścianie mego dworu? – Pijany Eskil wstał z miejsca i wznosił puchar. – Za Bjarniego! Zdrowie Pogromcy Olbrzymów, który stał... stał się... – Czkawka zaczęła męczyć Eskila. – Stał się moim... mym bratem. Chwała Bjarniemu, Łowcy Wilkołaków!

Wszyscy biesiadnicy wstali i wiwatując spełnili toast. Bjarni tylko uśmiechnął się i korzystając z chwili zamieszania podszedł do Hekii, by szepnąć jej na ucho:

– Możesz być pewna, pani, że zawsze dotrzymuję słowa. Wkrótce się o tym przekonasz.

Czarnobrody nie miał czasu na wyjaśnienia. Ulfar przybliżył się do niego i zaprosił do biesiady.

– Nie podobają mi się co prawda metody, z których korzysta nasz dzielny wojownik – rzekł czarnoksiężnik, mrugając okiem. – Ale... chyba jestem skłonny wybaczyć mu ostry język i porywczość, biorąc pod uwagę, że wilk został ukatrupiony. Zdawało mi się jednak, przynajmniej zanim... – Czarnoksiężnik chciał dodać: „zanim zemdlałem”, ale w porę się zreflektował, rozumiejąc, że stawiałoby go to w niezbyt korzystnym świetle, więc ciągnął dalej: – Zdawało mi się, że bestia była większa niż zwykły wilk i miała w sobie wiele ze zdziczałego człowieka... Aż strach wspomnieć! Miałem też wrażenie, że to ogromny kruk walczy z wilkołakiem! Co było jednak potem... Zobaczyłem tylko Bjarniego z okrwawionym mieczem i czerwieniącą się skórę, którą zedrzeć musiał z bestii.

– To był rzeczywiście wielki basior, ale nic ponadto – odparł Bjarni. – Jego skóra jest tego dowodem.

– Czy Bjarni to nie prawdziwy bohater? – zapytał Eskil zebranych. – Inni wymyślaliby niestworzone historie o ubitym potworze.

– Cieszysz się i dokazujesz, Ulfarze, co najmniej tak, jakby bestia polowała i na ciebie – powiedziała Hekia, nalewając sobie wina.

– Każdy z nas był narażony, pani – syknął czarnoksiężnik.

– Zostaniesz z nami, Bjarni, czy ruszasz przed siebie? – odezwał się Eskil, podchodząc bliżej i obejmując wojownika ramieniem.

Pogromca Olbrzymów westchnął tylko, zasiadając znowu obok króla.

– Zbyt długo zabawiłem w tutejszych górach – wyjaśnił Bjarni. – Zima się wkrótce skończy, zaś wiosna nie pozwala mi siedzieć w miejscu.

Czarnobrody spojrzał ukradkiem w kierunku Hekii. Królowa z trudem ukrywała żal.

– Jak wolisz – powiedział Eskil, a jego twarz spąsowiała od nadmiaru miodu – ale pamiętaj... pamiętaj, że zawsze... zawsze masz miejsce w mojej drużynie!

– Dziękuję, królu – rzekł Bjarni, patrząc kątem oka na Ulfara. – Teraz nikt w dolinie nie musi się już lękać bestii.

Czarnoksiężnik wznosił puchar do góry.

– Za zdrowie naszego wybawcy! Czas trosk minął! Znow można się radować.

– Jak długo? – szepnęła Hekia, przybliżając się do Bjarniego.

– Jutro Ulfar pewnie pójdzie na przechadzkę – powiedział najemnik na ucho królowej. – Tak dawno nie mógł nacieszyć się samotną wędrówką wzdłuż górskich szlaków... a przecież kocha podobne podróże...

– I co tam znajdzie, Bjarni? Co znajdzie na szlaku?

– Raczej kogo, Hekio. Kogo znajdzie, powinnaś zapytać... Już nie bestię, a człowieka. Przyniosłem skórę wilka. Pokonałem go. Harald nosił ją na swoich ramionach, zrosiła ją jego krew... Ale ten, kto nosił skórę, kto przemienia się w prawdziwą bestię nocą, wciąż żyje pośród gór i cierpliwie czeka.

Królowa uśmiechnęła się tylko i nałała miodu do pucharu Bjarniego.

* * *

Bjarni dostrzegł jeszcze majaczącą w dali sylwetkę dworu, którą niknęła wśród mgieł i porzuconych nadziei. W pochmurny dzień dwór rozbłyskiwał światłami. Czarnobrody jechał zasypanym przez śnieg szlakiem, widząc czarne plamy na białym bezkresie i słysząc złowieszcze krakanie, w którym rozpoznawał radość ze zbliżającej się uczy. Poganiając wierzchowca, zrównał się w końcu z uschniętym drzewem, gdzie na linie wisiało ciało czarnoksiężnika Ulfara. Sądząc po widoku zmasakrowanej twarzy, przed śmiercią czarnoksiężnik poddany został licznym i bolesnym torturom.

Na świeżym śniegu widać było ślady ludzkich stóp. Gdzieś wśród drzew przemknął cień. Słysząc było też czyjś śmiech.

– A jednak człowiek... – powiedział Bjarni do siebie i patrząc w daleki horyzont, ruszył dalej. – Tylko ludzie bywają szaleni.

* * *

...Dziwnie plotą się losy ludzi, zwłaszcza zaś tych, którzy zmieniają oblicze świata, wciąż wkładając ostrze swego miecza w żarna mielące czas. Kryje się za tym jakaś tajemnica i chyba nikt nie wątpi, że czasem bogowie mieszają się w nasze sprawy, choć nie ujawniając przy tym swych zamiarów. Gdyby wszyscy znali prawdę, musieliby przyznać, że prządki losu igrają z nami, podobnie jak mały chłopiec bawi się wystruganym z drewna orszakiem wojowników. Żebrakiem stał się ten, kto obrawszy królewski trakt, napotkał na nim zbójców, bogaczem zaś ten, komu szczęście dopisało, gdy wszedł na zapomnianą ścieżynę prowadzącą przez góry i natchnął się na pieczarę pełną skarbów.

Mało kto zna opowieść o tym, jak Bjarni poprowadził wojów króla Elowena przeciwko smoczey bestii. On sam tym się nie chępił, jakby ubicie wielkiego jaszczura nie było wyczynem. Złośliwi powtarzali, że nie Bjarni, a jego giermek,

którego imienia zapomniano, zadał ostateczny cios.

Byli też tacy, którzy twierdzili, że gadzina nie była większa od sporego psa, w dodatku bezskrzydła, nie zionęła ogniem i nie była chroniona pradawną magią. To jednak zapewne zawistne głosy niedowiarków i ludzi prostych, którzy nie czytali kronik pewnego królestwa, gdzie te doniosłe wydarzenia opisano ze szczegółami. W annałach stoi też jasno, że rycerz z czarną brodą, który przybył z za morza, poprowadził orszak rycerstwa i zgladził ogromną bestię.

Ja zatem wolę powtarzać tę właśnie wersję, ufając mądrym i utalentowanym pieśniarzom z kraju światła i elfów, szczęśliwej dla poezji przystani...

Z „Sagi o Kruku”

XI. Łowy na smoka

Huk fanfar zatrzęsął zamkowymi murami, oznajmiając zebrany, że oto nastał czas uroczystej biesiady. Gdy rozwarło na oścież wielkie wrota, do wnętrza rozświetlonej komnaty wlała się liczna gromadka paziów oraz kuchennych pomocników; każdy z nich trzymał na ramieniu połączane patery, na których piętrzyły się stosy mięs, owoców i ciast. W ruch poszły dzbany pełne przednich win i miodów. Barwny korowód komediantów jak burza przetoczył się pomiędzy stołami, zbierając zewsząd moc oklasków. Wśród huku werbli zakotłowało się od błaznów, żonglerów i połykaczy ognia.

Pośród tłumu roześmianych dworzan tylko jeden mężczyzna wydawał się niepokieszony, jakby wspaniałości suto zastawionych stołów i pokazy kuglarzy nie mogły rozproszyć gnieźdzącego się w sercu smutku. Jego ciemne oczy wciąż spoglądały w okno komnaty, szukając tęsknie jakiegoś jasnego punktu w widoku dalekich wzgórz, na które spadła właśnie czerń bezgwiazdnej nocy.

Zwano go Krukiem. Zakrywał często swe oblicze czarnym płaszczem i kapturem, przez co wielu mówiło, że najemnik ten zwiastuje śmierć. Odróżniał się od innych rycerzy z orszaku króla Elowena czarną czupryną, szerokimi barami i długą brodą. W przeciwieństwie do dworzan z rzadka żartował i nie lubił tańczyć. Jadł za to dużo i pił na umór, często dokazując i żartując. A, osądzając po bliźnach znaczących jego czoło i ręce, towarzyszące jego przybyciu opowieści musiały zawierać ziarno prawdy. Z tego też powodu budził lęk, podszyty jednak ciekawością. Jego mroczna postać tak pasowała do radosnej biesiady, jak żalobny stos do wesela.

Młodziutka Gunn, jedna z królewskich dwórek, zasiadła zatem obok Bjarniego z pewną obawą. Słyszała o nim już wiele, a każda z powtarzanych historii była posępna, w każdej też śmierć plątała ludzkie ścieżki. Pogromca Olbrzymów dzierżył teraz w dłoniach złoty puchar, jakby było to berło.

– Widzę smutek w twych oczach, panie – odezwała się dziewczyna, nachylając się do ucha najemnika. – Wydawałoby się, że to noc pozbawiona trosk.

– Masz rację – odparł Bjarni, widząc po raz pierwszy młodą dwórkę. Długie, faliste włosy opadały na kształtne ramiona dziewczyny, a w jej niebieskich oczach dało się dostrzec głębię i troskę. – Jak mogłem cię dotąd nie zauważyć... – Czarnobrody schwycił puchar z winem i podał go dwórcę. – Zdaje mi się, że ta noc może obiecywać znacznie więcej rozkoszy, niż mógłbym się spodziewać po wspaniałościach, które widziałem dotąd na dworze twego pana.

Gunn zmieszała się. Słowa wojownika nie zabrzmiały szorstko, a przecież po

niepiśmiennym barbarzyńcy nie spodziewała się oglady. Na bladym policzku dziewczyny pojawił się rumieniec. Nie uciekło to uwadze Bjarniego.

– Mówisz... tak dwornie, panie – odrzekła, spuszczać wzrok.

– Mowa z mych rodzinnych stron jest dobra, gdy nadchodzi wojna – wyjaśnił Bjarni z zadowoleniem. – Łatwo dzięki niej zapanować nad zbrojnymi, bo brzmi twardo i stanowczo, a każde wykrzyżane słowo jest jak rozkaz, któremu trudno się sprzeciwić. Sprawdza się też, gdy trzeba opowiedzieć o bitwach, wyliczyć martwych i wspomnieć o okrwawionych kościach, a także wyciekających z rozbitych czaszek mózgach... – Bjarni spostrzegł, że dwórka się strwożyła. – Wybacz, pani. Prostack ze mnie... Gdy jednak wypowiada się słowa w twym języku, mają one urok pieśni, nawet gdy wspominamy zwyczajne sprawy.

Bjarni szybko uświadomił sobie, że dziewczyna nie miała jeszcze mężczyzny, bo pełne zachęty spojrzenie najwyraźniej ją peszyło. Była niewinna jak wiosenny kwiat, który on miał ochotę zerwać, odzierając z płatków. Pożądanie walczyło w nim jednak z ojcowską troską. Dzieliło ich tak wiele wiosen i doświadczeń... Bjarni czuł, jakby ktoś rzucił nagle urok, pętając jego wolę. Ale przecież nikt nie dolał mu niczego do wina, nikt nie szepnął złowróbnego zaklęcia.

Gdy wzrok Gunn uciekł w kierunku kąta sali, gdzie stał młody dworzanin, Bjarni zdał sobie sprawę, że dziewczyna darzy już kogoś uczuciem.

– Nie wyznaję się wiele na tych waszych dworskich obyczajach – rzekł, biorąc w dwa palce kawałek pokrajanego mięsiwa. – Wino macie tu dobre, ale podejrzewam, że niektórzy szepczą, iż go nadużywam... – Bjarni zajrzał na dno opróżnionego pucharu, którego widok wywoływał w nim smutek. – Może rzeczywiście tak być!

Gunn wzięła w dłonie dzban i naląła miodu do pucharu.

– Wiele jednak dobrego mówi się o tobie, rycerzu. Wraz z twym przybyciem dotarły na dwór opowieści o Pogromcy Olbrzymów, a my tak bardzo lubimy pieśni o wielkich czynach. Sam król jest zadowolony z twych usług.

– Król Elowen powierzył mi pewne zadanie, któremu sprostałem, ot cała tajemnica – odrzekł Bjarni.

– Czyś słyszał, panie, co mówił dzisiaj monarcha?

– Wiele o kolejnych wyzwaniach, które musi podjąć jego drużyna.

– Także o smoku, który pustoszy rubieże.

– Smok... – przytaknął Bjarni i podniósł do ust puchar z winem. – To by było coś! Ale muszę przyznać, że nie przysłuchiwałem się słowom króla... Wątpię też, by jeszcze jakiś smok chadzał po świecie. A nawet gdyby? Cóż, muszę ruszać dalej! Zrobiłem, co należało do mnie i nowe przygody przede mną, w krainach, których nazw nawet nie znam – rzucił z uśmiechem. Przykładając puchar do ust spostrzegł, że Gunn najwyraźniej się zmartwiła. – Nie sądzę, byś miała tęsknić za

mną... – powiedział, dotknąwszy jej policzka. – Powiedz, dziecko, co cię trapi, a może będę mógł zaradzić coś na twe zgryzoty?

– Kocham, panie, pewnego młodzieńca – odparła dwórka. – I wiem, że i on miłuje mnie.

– Wtedy należy się cieszyć, nie smucić... – poradził Bjarni z fałszywym uśmiechem, bo widząc błysk w oku dziewczyny, zdał sobie sprawę, że jego zaloty są skazane na niepowodzenie. – Cóż może być na świecie bardziej oczywistego, a jednocześnie przysparzającego nam więcej radości?

– Moi rodzice nie żyją – zaczęła wyjaśniać dziewczyna. – Ojciec był niegdyś rycerzem na dworze króla Elowena. Zginął w jednej z bitew, gdzie wykazał się wielką odwagą i...

– Wypijmy zatem za jego pomyślność w zaświatach! – powiedział Bjarni, wznosząc do ust puchar.

– ...po jego śmierci król zaczął traktować mnie jak własną córkę – dokończyła Gunn. – Chce dla mnie jak najlepiej. W to nie wątpię...

– Ale nie w smak mu wydawać ciebie za giermka z podłego rodu – dokończył Bjarni, a dziewczyna przytaknęła kiwnięciem głowy. – Giermka, który spogląda na nas nerwowo – dodał, zerknąwszy w róg sali, gdzie jeden z dworzan miał srogą minę. – Najwyraźniej złości się, że rozmawiasz z innym mężczyzną... Co, jeśli twój wybranek będzie chciał przeszyć mnie mieczem w zemście? – Bjarni uśmiechnął się.

– Nigdy by tego nie uczynił! – obruszyła się Gunn. – Jest dzielny i prawy!

– Ach, młodzieńcza miłość! – zawołał Bjarni i wypił do dna zawartość pucharu. – Uderza do głowy i czyni nas... czyni nas pijanymi! Zagajnik zmienia się dzięki niej w las, w którym tańczą elfy, sioło w miasto o złotych wieżach, a jezioro w niezbadany ocean pełen cudów... – Najemnik wstał i spróbował obrócić się na pięcie. – Bogowie, gdzie te wszystkie zmarnowane lata! Muszę się jeszcze napić miodu... – powiedział, sięgnąwszy po stojący na stole dzban, z którego zaczął pić z ochotą, nie przelewając zawartości do pucharu. Dworzanie spojrzeli na niego krzywo.

– Gdyby jednak mój Bideven został pasowany na rycerza, to co innego... – szepnęła Gunn. – Musiałby mieć wcześniej szansę, by wykazać się i zasłużyć na ten zaszczyt. Gdyby któryś z rycerzy króla wziął go ze sobą na wyprawę, wtedy kto wie?

– Masz na myśli mnie? – spytał Bjarni, odrywając dzban do ust. Czerwone jak krew wino zaczęło spływać mu po brodzie. – A jednak oprócz ślicznej buzi masz jeszcze tupet... No, no...

– Słyszałam, jak inne dwórki mówiły, że jeśli ktoś jest w stanie sprostać temu zadaniu, to tylko czarnobrody przybysz z Północy. Nasi rycerze zgnuśnieli, panie. Częściej teraz tańczą i układają pieśni niż władają orężem.

– Czas... czas pokoju ma też swoje mroczne strony. – Bjarni pokiwał głową ze zrozumieniem, czując, że ta cięży mu coraz bardziej.

Dziewczyna spojrzała na wojownika błagalnie.

– Panie, zrobiłabym wszystko, żeby się odwdzińczyć.

– Wszystko? – zapytał Bjarni, spoglądając raz jeszcze na niewinne oblicze dwórki. – Obiecujesz bardzo wiele. Zbyt wiele... Mogłabyś żałować, a twój prawy i dzielny Bideven nie zechciałby już na ciebie spojrzeć. Pamiętaj, że...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Król Elowen powstał i podniósł rękę, by uciszyć biesiadników. Zebrani, widząc jego dostojną postać, zamilkli. Tylko błazen imieniem Zolvo wciąż wędrował po stole marszowym krokiem i przewracał niedopite puchary.

– Wiecie już, moi drodzy – zaczął władca – że szukam ochotników, którzy sprostają wyzwaniu. Smok pustoszy wieś za górami.

Po sali przebiegł szmer, a zaraz potem znowu nastąpiła cisza. Błazen zasiadł na stole obok króla, machając dziarsko nogami. Szczercząc zęby, raz po raz potrząsał czapką – przyszyte do niej dzwoneczki dźwięczały. Karzeł zdawał się łypać jednym okiem na Bjarniego.

– Och, królu, nasz zatroskany królu... Zapytaj rycerzy, czy ruszą na wyprawę! – odezwał się w końcu trefniś, a potem fikiął kozła na stole i poprzewracał złote puchary. – Nie kieruj tylko swego wezwania do dworzan przywykłych do wygod, zajętych haftem i pieśniami. – Zolvo przyłożył dłoń do czoła i rozglądął się po sali. – Zaraz, zaraz... Chyba nie ma rycerstwa pośród twych poddanych, panie. A zatem sam będą musiał chwycić za buławę!

– Zanim znowu zacniemy słuchać bardów – mówił dalej Elowen, nie przejmując się docinkami błazna – pora wybrać tych, którzy dostaną szansę, by unieśmiertelnić swe imię w pieśniach. Wierzę, że podczas kolejnej biesiady poznamy strofy o ich czynach... To niebezpieczna misja, ale wiem, że znajdą się śmiałkowie. Kto skłonny jest oddać życie w tej sprawie?

Rycerze spojrzeli po sobie. Nie było widać chętnych.

– Może ja! Może ja! – zawołał Zolvo, przerywając ciszę i wymachując dłonią. – Skoro nie ma odważnych w całym królestwie...

– Mogę... Mogę wyruszyć – powiedział Bjarni, wstając od stołu i przewracając naczynia. Wszyscy skierowali wzrok na najemnika. – Obawiam się, że jestem... jestem pijany, królu Elowenie... Bądź jednak pewny, że moje słowa należy traktować poważnie. Pójdzie ze mną, kto zechce, nie będzie przymusu... A jeśli smok pilnuje złota, nie wezmę z tego... – Bjarni czknął głośno – nie wezmę z tego nic. Połowa trafi do ciebie, panie, połowę podzieli między sobą drużyna...

– Ponurak zwany Krukiem! – zawołał błazen. – Tylko on ma dość odwagi? A może wino zaszumiło mu w głowie za mocno?

Elowen uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Myślałem, że wyruszasz niedługo i opuszczasz nas, Bjarni.

– Miałem... miałem rzeczywiście taki za... zamiar, ale ktoś gotów jeszcze pomyśleć, że boję się wyzwania. Nie mogę sobie pozwolić na to... by podobne oszczerstwa znalazły się... znalazły się w pieśniach. Zresztą, skoro mogę się jakoś przysłużyć... – rzekł mrugnawszy w kierunku Gunn. – Podejmę wyzwanie. A teraz niechaj biesiada trwa. Wina... wina mi nalejcie! Noc dopiero się zaczęła, nie pora myśleć o troskach!

– Bravo! – krzyknął Zolvo, fignawszy kozła na stole. – Polejcie miodu brodaczowi z czerwonym nosem!

* * *

Rankiem czas dziwów wcale się nie skończył, choć magia stała się złowróźbna. Zamkowy dziedziniec przemienił się w błotnisty plac, wieżyce skarłały. Po obronnych murach z białego kamienia pozostało jedynie wspomnienie i zwykła palisada. Barwnie ustrojeni dworzanie zmienili się w ubłoconą ciżbę, a kare rumaki w ciągnące wozy bydło. Świat zdawał się marnieć w promieniach wschodzącego słońca, jakby cała potęga królestwa widoczna była jedynie w blasku wieczornych pochodni, wśród dźwięków czarodziejskiej lutni. Wszystko, co przyniosła ze sobą noc, okazało się być jedynie słodkim snem, ulotnym jak poranne mgły. Ale ludzie nie dostrzegali jawy; wciąż pętał ich zmysły zwodniczy czar.

Bjarni zasiadł na beczce niczym na tronie i przyglądając się okolicy z wysokości ziemnego wału, zarządzał przygotowaniami do wyprawy. Gdzie jednak jego niezwykłe zastępy? Zbrojni orszak rycerstwa wyparował, a na placu stali jedynie wojowie w byle jakich kolczugach. Gdzie dzielny, piękny, młody Bideven, smukły wybranek nadobnej Gunn? W szarej opończy, ubłocony, z czyrakami na policzku, nie był przecież tym, o którym wkrótce miano układać pieśni. Przaśne dziewczęta spoglądały na uwijających się w ukropie mężczyzn. Czy w trwożliwym spojrzeniu jednej z nich Bjarni nie rozpoznał władającej miłosnymi zaklęciami dwórki, z którą rozmawiał podczas biesiady?

Schwyciwszy się prawą dłonią za bolącą głowę, najemnik westchnął jedynie. Gliniany dzban się przewrócił i kilka kropel czarownego miodu skapnęło na grząską ziemię. Naczynie było puste.

– Dalej, żywo! – zawołał Pogromca Olbrzymów, ale zaraz potem jęknął. Zdawało się, że obuci w stal zbrojni przemaszerowali po jego głowie. – Trzeba nam siarki, lin, łuków, smoły, beczek... Ach! Cóż za ciężki poranek...

Zakręciło się Bjarniemu w głowie. W szarościach leniwego, deszczowego dnia paliło go pragnienie i poczucie niesmaku. Nie trwało jednak długo, nim przed oczami najemnika zakotłowało się od jaskrawych barw. Zolvo, który pojawił się nagle, jakby przywołany przez czarnoksiężką sztuczkę, skłonił się nisko, szorując ziemię czapką. Tylko kubrak nadwornego błazna zachował swą jaskrawość.

– Witaj, Bjarni Kruku... Bądź pozdrowiony, Pogromco Olbrzymów, chorąży królewskiego orszaku, bywalcu zapomnianych krain, ulubieńcu pieśniarzy i pożeraczu serc niewieścich!

– Karle... – Bjarni schwycił się za głowę.

– Czyżby dzwoneczki u mej czapki były nazbyt głośne? – Zolvo uśmiechnął się złośliwie.

– Zdaje się, że przywołują huk trąb, które nawołują wojowników do bitwy. Nawet martwi wstaliby z kurhanów, by się przyłączyć do tej eskapady...

Trefniś fiknął kozła, a potem, przyglądając się uważnie Bjarniemu, rzekł:

– Smutny to widok... Zmierzwiona broda. Przekrwione oczy. Koszula splamiona winem. Czy tak wygląda ten, który pragnie poprowadzić rycerzy naprzeciw wielkiej jak góra gadzinie?

Bjarni skrzywił się tylko.

– Nie gadałbyś tyle po próżnicy, Zolvo. Przynieś lepiej jakąś zacną baryłkę z piwniczki! To mnie może dzisiaj poratować... Smok, o którym mówisz, nie większy jest od krowy, a zdaje mi się, że może i od świniaka.

– Wspominasz tę gadzinę, panie, co zburzyła wieżycę miast? – Zolvo rozdziawił teatralnie usta.

– Raczej płoty biednych wsi... I nie wspaniałe grody, a jeno omszały dwór, gdzie władca krainy czasem przystaje na popas.

Karzeł pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Wszak bestia musi mieć skrzydła i zionąć ogniem!

– Bajki to jedynie... Widziałem ja te wszystkie smoki z legend. Niektóre wielkie były, a i owszem. Inne w dłoń byś złapał, ale magicznymi mocami rozporządzały – dla przykładu barwy mogły zmieniać i obracać ślepiami we wszystkie strony! Żaden jednak nie latał i nie zionął ogniem... Nie znaczy to jednak, że ten, przeciw któremu się wyprawiamy, nie stanie się potężnym w pieśniach waszych bardów. I na to przyjdzie czas...

Zolvo nerwowo potrząsnął czapeczką.

– Z pogardą odnosisz się do nas, choć sam żyjesz w podłej dziedzinie, gdzie lud nie zna pisma, gdzie strach i wieczna zmarzlina gubi wszelkie ciepło... Czy nie przesłyszałem się, gdy ktoś powtarzał, że Bjarni Kruk tylko rozpowiada po karczmach, że ubił olbrzyma, a sam naprawdę nie jest w stanie ustać prosto na nogach? Ileś musiał, panie, zapłacić w złocie, by wszyscy powtarzali zmyśloną przez ciebie śpiewkę?

Czarnobrody wziął w dłonie miecz i zamachnął się. Zachwiał się jednak i trafił jedynie w kamień, krzesząc iskry. Błazen zręcznie i bez trudu odskoczył i zaśmiał się w głos.

– Każdy ma prawo do swych kłamstw, drogi Bjarni. Niechże to nas pogodzi... Niechaj marnują czas na prawdę ci, którym w smak marniejący świat!

Lepiej żyć w ułudzie, pełnej pięknych dam, potężnych twierdz i wyzwania godnych bogów. Czy nie tak?

– Wina... – rzekł Bjarni, złapawszy się za głowę. – Wina mi przynieść, a świat znów będzie pełen czarów i dziwów. Wtedy pogadamy o olbrzymach i smokach... Dzięki trunkowi staną się godne naszych wysiłków!

* * *

Gdy nocą biesiadnicy utopili smutki w strumieniach miodu, a pieśni bardów otworzyły bramy do krain efemerycznych istot, pospolity świat nabrał znowu barw i słodkich zapachów, a zamkowe mury pięły się ku niebiosom jak dawniej.

Bjarni nie przywykł do luksusów. Jedwabne poduszki były dla niego mniej wygodne niż słoma czy położony na skałach koc. Ale gdy piękna, złakniona miłości kobieta zaprasza do swej komnaty, nie można odmawiać.

– Mówisz zatem, że wyruszasz, by ubić smoka... – powiedziała Bradana, kładąc się obok Bjarniego i muskając pierś wojownika swymi kasztanowymi włosami.

– Nie stało się to jednak z mej własnej, nieprzymuszonej woli – odparł Czarnobrody.

– Czyżby wino pomieszało ci zmysły?

– To też... – przyznał Bjarni, schwyciwszy dwórkę za udo. – Zresztą, gdy trunek szumi mi w głowie, świat zdaje się piękniejszy, a wasze królestwo szczęśliwsze... Ktoś rzucił na mnie urok. Na was zresztą też...

– Twoje myśli krążą dzisiaj gdzieś daleko. – Bradana wstała z posłania i naga stanęła w blasku świec, ukazując uroki swego ciała. – Doniesiono mi, że podczas niedawnej biesiady rozmawiałeś z młodziutką Gunn – powiedziała, okrywając się szalem.

– Ja? – Pogromca Olbrzymów mruknął. – Nic nie ukryje się przed kobietą... Jakbyście nie musiały uczyć się tajników magii, tylko nosiły ją w sobie.

– Nie dziw się, Bjarni, że wiem sporo. Nie ma na tym dworze tajemnic, które ukryłyby się przede mną. Czy to powód twojego smutku? Nie sądzę... Tak, rzucono na ciebie urok, jeśli pytasz. Zauroczyła cię młodość i niewinność.

– Jakbym znowu ujrzał wiosnę swego życia! – westchnął Bjarni, przeciągając się na łożu. – A ja zrobiłem z siebie głupca. Co pomyśli sobie o mnie ta dziewczeczka? Pijany knur!

– No proszę! – Bradana zaśmiała się i położyła obok wojownika. – Dzieląc łożę ze mną, śmiesz mówić o innej... I do tego młodszej! Czyżbyś nie wiedział nic o kobietach? Gdyby pod twym nosem szkił się puch pierwszego zarostu, mógłbyś pozwolić sobie na podobne bzdury! W tym wypadku jednak wybaczam... Bjarni, pamiętaj jednak: Gunn to dobra dziewczyna! I nieskalana... Nie zbliżaj się zatem do niej i nie myśl, by ją skrzywdzić, bo wydrapię ci oczy!

– Nie mógłbym zrobić jej jakiegokolwiek krzywdy – odparł Bjarni. – Pomogę jej tylko.

– Ależ to szlachetne! Bjarni Kruk, ten, którego boją się czarnoksiężnicy i królowie, pragnie pomóc biednemu dziewczęciu, a także jej wybrankowi.

– Nie kpij sobie. – Najemnik zazgrzytał ze złości zębami.

– A potem zażadasz od niej wiana w postaci jej dziewictwa?

– Za kogo mnie masz!

– Za barbarzyńcę, mój drogi Bjarni – odpowiedziała, a potem powróciła na łożo i położyła głowę na piersi przybysza z Północy. – I dlatego budzisz podziw wśród kobiet na zamku. Dlatego też dreszcz przeszywa je, gdy widzą ciebie, gdy czują zapach twojej skóry, daleki od perfum sprowadzanych zza mórz. Ci wymuskani dworzanie... – Bradana skrzywiła się. – Aż się w żołądku przewraca! Wolę mojego nieposkromionego, niedomytego...

Bjarni przywarł nagle do dwórki i położył palec na jej ustach.

– Bradano... – szepnął, gasząc stojącą przy łóżku świecę. Potem zaczął głaskać dwórkę po nodze i całować jej stopy. – Miałem wiele kobiet, ale żadna nie była tak pewna siebie jak ty... Gdy wrócę, będziesz mogła obuć swe piękne stópkę trzewikami ze smoczej skóry!

* * *

Jechali w ciszy, nie mówiąc nic – ponury rycerz i jego onieśmielony giermek. Za nimi ciągnął orszak zbrojnych pod barwnymi sztandarami, w ciężkich kolczugach, które lśniły w słońcu. W dali słychać było jeszcze wiwaty żegnających ich mieszczan i dworzan.

Gdy znaleźli się już jakąś milę za zamkiem króla Elowena, skąd roztaczał się widok na grząskie łąki, porośnięte delikatnymi kwiatami rozsianymi tutaj przez nadchodzącą wiosnę, młodzieniec w końcu się odezwał.

– Panie, to dla mnie zaszczyt. – Bideven, w lśniącym napierśniku i haftowanym płaszczu, nie krył zachwyty, a jego porośnięta młodzieńczym zarostem twarz promieniała. – Wiele się mówi o twym męstwie.

– Wiele też mówicie o moich skłonnościach do miodu i kobiet... – Bjarni chwycił za bukłak. – A większość tych opowieści nie jest przesadzona.

– Możesz być pewny, że będę wiernie ci służył... – Giermek schylił głowę. – Zrobię wszystko, by dopomóc w zgładzeniu okrutnego smoka!

– Ach, gdzież są niegdysiejsze bestie! – powiedział z uśmiechem Bjarni. – Nie ma już na świecie smoków, z którymi walczyli nasi dziadowie. Mylą się ci, którzy sądzą, że można wciąż dokonywać wielkich czynów na skarłałym świecie!

– Lecz smok, z którym przyjdzie się nam potykać, spalił rozległą krainę! Wielki jest ponoć jak góra.

– Mawia się też, że zamek króla Elowena nie ma sobie równych w świecie...

– szepnął Bjarni i spojrzął za siebie. Zamiast ogromnej twierdzy, strzeżonej przez cztery rosłe wieże i obronnych murów, szerokich tak, że mógłby nimi przejechać wóz, zobaczył jedynie obwarowany wałem dwór, częściowo tylko wzniesiony z kamienia, z drewnianą palisadą i takąż bramą. Wokół dworu znajdowały się obłożone mchem i torfem chaty, biedne i niepozorne.

Bjarni uśmiechnął się tylko. Miód i czar opowieści musiały sprawić, że widział siedzibę Elowena odmienioną. Znowu pociągnął łyk z bukłaka, z nadzieją, że rozproszy to mroki smutnego dnia.

– O czym mówisz, panie? – Bideven nie krył zdziwienia. – Pojawiali się na naszym dworze kupcy z najdalszych zakątków świata i każdy nie mógł się nadziwić potędze zamkowych murów!

– Może, może... – odparł Bjarni, głaszcząc swą długą brodę. – Zdaję się, że przez lata spokoju zaczęliście żyć w świecie, którego naprawdę nie ma. Skoro jednak tak się sprawy mają, nie warto zatruwać baśni gorzką prawdą... Przynajmniej dopóki jesteśmy jej częścią! Czasem lepiej posmakować miodu we śnie, niż przekonywać kogoś na jawie, że piołun, choć gorzki, ma prawdziwszy smak. Jeśli kiedyś twierdziłem inaczej, to przysięgam, że zmieniłem zdanie! Ale co tam... – Czarnobrody machnął ręką. – Śnijmy na jawie!

Bideven spojrzął dziwnym wzrokiem na rycerza. Co jeśli miód wciąż trzymał Pogromcę Olbrzymów w uścisku słodkiej maligny?

* * *

Minęły trzy dni i trzy noce, odkąd wyruszyli z zamku króla Elowena. Zdążyli już nabrać do siebie szacunku, niezbędnego ludziom skazanym wyłącznie na własne, ponure towarzystwo. Przemierzali głuszę, choć jeszcze niedawno były to ziemie żyzne, bogate, pełne pól i pracowitych wieśniaków. Teraz jednak, jak okiem sięgnąć, majaczyły tylko w oddali pogorzeliska, zwęglone kikuty drzew, resztki spalonych osad, powalone wieże i mury. Przy każdym zrywie wichru popiół cisnął się do ust i oczu. Po mlekiem i miodem płynących krainach zostało się jedynie dzikie i jałowe pustkowię, gdzie nie widywało się żywego ducha i gdzie tylko wiatr hulał, rozwiewając ludzkie szczątki.

W końcu dotarli na skraj przepaści, za którą rozciągała się pogrążona w mgłach i dymach dolina, pulsująca czerwienią dogorywającego ognia. Kraj ten był spustoszony i wypalony do cna. Gdyby zaś opary odsłoniły dolinę, oczom ukazałby się żleb po smoczym cielsku, szeroki i głęboki jak pozostałość wyschniętego jeziora. Niedaleko rozpadliny rozbili swoje obozowisko i nieustannie dodając sobie otuchy, zaczęli szykować się do potyczki, która miała przejść do historii.

Upewniwszy się, że potwór skrył się w swej jamie, Bjarni wziął ze sobą najmężniejszych, by zakraść się do wnętrza doliny i podrzucić zatrute jadło. Smok

wtedy spał, zmęczony obracaniem w gruzy setek lat ludzkich starań. Podczas nocnej eskapady śmiałkowie nie mówili nic, nie chcąc zbudzić gadziny. Naszpikowanego trucizną woła ciągnęli za sobą, czyniąc możliwe najmniej hałasu. Odziani w czerń, niewidzialni pośród chmurnej nocy, parli przez ciemność i chorobliwe opary, aż do ogromnej groty, z której dobywały się trujące wyziewy i przedziwne odgłosy. Zostawiwszy zatrutą padlinę, uciekali z doliny szczęśliwi, jakby wyrwali się właśnie z wnętrza piekieł. Potem czekali cierpliwie w obozowisku. W końcu głuchy łoskot oznajmił im, że smok wstał ze swego leża.

Wsluchując się w głośnie mlaskanie potwora, mierzyli się ze swym lękiem. Nie ujrzeli jednak gadziny, bo dymy przykryły dolinę. Słuch, węch oraz drżąca nieustannie ziemia, pozwalały jednak wyobrazić sobie ogrom bestii. Gdy zaś słońce wstało, kryjąc się za chmurami, a przede wszystkim za dymem pogorzeliisk, dało się słyszeć głośnie chrapanie, od którego drżały posady gór, a ziemia rozstępowała się.

– Pożarł to wszystko, cośmy mu zostawili i nie zginął? – zdziwił się Bideven, stojąc u skraju przepaści.

– Większy to i potężniejszy smok niż przypuszczaliśmy – zawyrokował Bjarni. – Nie oznacza to jednak, że wszystko stracone.

W gęstej, mlecznej zawieszynie pulsowała czerwień. Raz po raz ziemia trzęsła się, a do uszu dobiegało przeciągłe chrapanie.

– Najadł się solidnie i nadal śpi – rzekł Bjarni, stojąc na skale i wyciągając wszystkie zmysły, próbując wyczytać coś z wznieconych przez smoczy dech oparów. – Słyszycie? Burczy mu w brzuchu. Znak to, że jego jelita płoną gorączką!

– Może to dobra pora, by na smoka natrzeć? – zauważył jeden ze starych rycerzy, któremu siwa broda opierała się o pozłacany napierśnik. – Jeśli zasnął trawiony chorobą, jest bezbronny.

– To, że śpi, nie oznacza, że jednym okiem nie łypie – rzekł ktoś z orszaku. – Smoki to cwane bestie.

– Masz rację, rycerzu – przytaknął Bjarni. – Smok nie spodziewał się co prawda, że w wypchanej przez nas skórze wołu znajdzie się zatrute mięso. Stał się pewnie mniej ostrożny w krainie, gdzie nikt nie stawiał mu oporu i nie podejrzewał podstępów... Ale jeśli mieliśmy dość szczęścia, nie zdążył skryć się w jamie, nim dopadły go boleści.

Zasiedli zaraz w wielkim namiocie, gdzie zaczęło się picie i snucie planów wojennych.

– Co teraz, panie? – zapytał Bideven.

– Trzeba zakraść się do wnętrza doliny i sprawdzić, jak sprawy się mają – wyjaśnił Pogromca Olbrzymów, wychylając do dna zawartość złotego pucharu.

– Jak tego dokonamy? – zapytał jeden z rycerzy.

– Wyślemy czterech jeźdźców. Każdy pojedzie z innej strony. Spokojnie –

rzekł Bjarni, widząc przerażenie na twarzach rycerstwa. – Nie każę wam jeszcze mierzyć się ze smokiem, wszak ostrożności nigdy za wiele... Nakazuję jednak ochotnikom podjechać możliwie blisko i robić przy tym wiele hałasu. Tak, dobrze słyszycie... Nie ujrzy was gadzina w tej zawieszynie oparów, ale za to posłyszycie. Uważajcie tylko, by ognisty dech bestii was nie usmażył! Gdy podjedziecie na tyle blisko, że smok plunie w waszą stronę ogniem, zawracajcie zaraz. Czyście zrozumieli? Zobaczymy, czy smok gotowy stawić na opór po tym, jak trucizna pali jego trzewia.

Czterech najmężniejszych rozjechało się więc tak, by każdy mógł natrzeć z innej strony. Reszta spojierała ze skały do wnętrza doliny, gdzie wzniecone przez smoka dymy kłębiły się niczym burzowa chmura, nabrzmiała od dzikich gromów i ognistego deszczu.

Serce doliny trzykrotnie zapaliło się czerwienią w krótkich odstępach czasu, jakby trzewia krainy rozgorzały od nagłego ataku gorąca, które czasem żywym ogniem wypływa z wnętrza ziemi.

– Dobra nasza – rzekł z zadowoleniem Bjarni i wszyscy dziwili się jego dobremu humorowi. – Choć bestia wciąż żywa, wygląda na to, że struła się nie na żarty!

Gdy powrócili rycerze z doliny, trzech z nich miało twarze ogorzałe od smoczego oddechu, a ich płaszcze musiały zająć się ogniem, bo zostały z nich jedynie strzępy. Na zbrojach zaś znaczyły się smugi sadzy. A jednak jeden z posłanych, ten, który zajechał od północy, wrócił z doliny bez żadnego szwanku, choć jego twarz była blada, a wzrok mętny, jakby struł się czymś.

Gdy ponownie zebrali się w namiocie na narady, a puchary z winem poszły w ruch, każdy z rycerzy zdał dokładną relację. Zebrani słuchali uważnie.

– Było ze mną dokładnie tak, jak opisali poprzednicy – zaczął wyjaśniać trzeci z jeźdźców, rozrywając na pół smażonego kapłona. – Zbliżyłem się na tyle blisko, że choć nie widziałem nawet zarysu smoczego cielska, słyszałem doskonale, jak potwór porusza się. Wnet mrok rozpałił się czerwienią i nim zdążyłem się zbliżyć, owiał mnie smoczy oddech, który gorzał...

– Smok przekręcił głowę także i w twą stronę, by zionąć ogniem trochę na oślep – wyjaśnił Bjarni.

– Czemu jednak podobny los nie spotkał Glastenena? – zapytał ktoś z orszaku.

– Znam odpowiedź i na to pytanie – powiedział Czarnobrody, ale niechaj Glastenen sam opowie, jak było.



Rycerz, któremu twarz na powrót się zaróżowiła i który mógł już, choć wciąż z pewnym trudem, przełknąć kęs jadła i popić słodkim miodem, rzekł:

– Kto by mi chciał zarzucić brak odwagi, a i takie głosy słyszałem dzisiaj, ten musi wiedzieć, że podjechałem bardzo blisko smoka i jestem pewien, że dojrzałem zarys jego cielska, niemal potykając się o ogon, który poruszał się giętko jak wąż...

– Dlaczego smok jednak nie plunął ogniem w twą stronę? – zapytał ktoś z orszaku.

– To właśnie dowód na to, że potwór struł się bardzo – wyjaśnił Bjarni. – Pożarł z ochotą to, cośmy mu podrzucili i leży niemal bez czucia. Obróci długą szyję w trzy strony, ale gdyby chciał dmuchnąć ogniem od północy, pewnie by sobie osmalił wzdęte, ogromne niczym góra brzuszysko!

Rycerze zaśmiali się w głos.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, panie – odezwał się giermek Bideven, gorączkowo podnosząc się od stołu – to trzeba ruszać niezwłocznie i ubić gadzinę! Od ogona go zajdziemy, wejdziemy na brzuch, który pewnie niepokryty jest łuską i zadźgamy naszymi kopiami.

Pogromca Olbrzymów uspokoił wiwatujących.

– Ruszymy bladym świtem, gdy trucizna dość smoczej krwi napsuje, że nie tylko jego brzuch zacznie pęcznieć, ale i inne członki ogarnie niemoc – powiedział Bjarni, wstając od stołu. – Nie myślcie jednak, że będzie to łatwa dla nas potyczka! – zaczął prawić, przechadzając się wśród rycerstwa. – Smok to być musi wielki, większy niż jakikolwiek widywany wcześniej, bo trucizny w darowanym mu mięsiwie było tyle, że pół królestwa można by było tym wytruć. Albo i cały szcurzy pomiot na świecie... Kto wie zatem, w jakich krainach się ukrywał, jakie magiczne arkana posiadał? Nadwątliliśmy trochę siły gadziny, to pewne... Potwór, który żyje na tym świecie setki lat, w obliczu śmierci zdoła wykrzesać w sobie dość woli, by wciąż śmiertelnie razić napastników.

– Jutro ubijemy smoka i będą o nas pieśni układać! – zawołał Glastenen. – Wiwat, Bjarni! Wiwat król Elowen!

Namiot trząsł się od wesołych okrzyków i nie przeszkadzało biesiadzie nawet głośnie, smocze chrapanie.

* * *

Zasiadał na karym rumaku, w dłoni dzierzył miecz z okrwawionym ostrzem, który wznosił ku przestworzom, jakby grożąc bogom. Inkrustowany napierśnik, złoty szyszak i kolczuga osłaniały jego ciało, naznaczone ranami, do których lepiała się koszula. Na tarczy znać było jego herb – czarny kruk rozkładał skrzydła w złowieszczym locie, by przykryć nimi oblaną posoką i odarty z nadziei świat.

Tak można by było rozpocząć pieśń, którą potem wszyscy mieli powtarzać.

– Dalej, do przodu! – wołał Bjarni, wskazując drogą wśród mroku. – Wznieście tarcze! Chronście się wzajem! Smok już traci dech, nie będzie płuł ogniem wiecznie...

Wypuszczono z machin wielkie strzały o haczykowatych grotach, które ze świstem pomknęły przez przesycone dymem powietrze. Bełty nie przebiłyby zapewne smoczej łuski, ale rozdzierały błony rozłożonych skrzydeł.

– Ogniste pociski! – zawołał Bjarni, po czym odpowiedział mu jęk kolejnych machin, które wyrzucały żagwie. Pociski rozbijały się o gadzie ciało. Płonąca ciecz rozlewała się po pancerzu smoka, gdzieniegdzie wdzierając się żywym ogniem pomiędzy łuski.

Choć jego siły nadwątlone były trucizną, choć poruszał się teraz niezdarnie, choć ból palił jego członki, a w płucach brakło płomieni, wciąż był groźnym przeciwnikiem i miażdżył swym ciężarem nieostrożnych. Majestatyczne cielsko

przeżyło się wśród dymów, raz po raz ukazując swą giętką szyję. Smocze ślepie płonęły czerwienią i podobne były do słońc oświetlających dalekie, północne krainy, gdzie mrok zwykł górować nad wszelkim istnieniem, a blask zdawał się czymś nierzeczywistym.

Wokół leżeli polegli. Pikinierzy wciąż nacierali, szukając słabych punktów na pancerzu wiekowego smoka, z którego łuska miejscami zaczęła już opadać. Bjarni wsłuchiwał się w przeraźliwą, bitewną pieśń i wśród krzyków, jęków i nierozpoznanych głosów dobiegających ze smoczej gardzieli, posłyszał głośne bicie serca.

– Pora na mnie... – rzekł jakby do siebie, a potem pognął niestrwożonego rumaka do jądra chaosu. Wiódł go dźwięk bijącego serca, które strwożyło się na myśl o własnej, upadającej potędze.

Wkrótce Bjarniego ogarnęły opary – prowadził więc rumaka na oślep, czując coraz większy gorąc i smród, który wypełniał płuca.

A potem zakręciło mu się w głowie, dymy zaczęły rozplýwać się, on sam zaś poczuł, że jest skrępowany.

* * *

Oplatał go długi, giętki i pokryty lśniąca łuską ogon. Ogromna gadzina przeżyła się wśród sterty ludzkich kości i gromadzonych przez lata skarbów. Wszystko trwało w bezruchu, a smocza szyja sięgała niemal nieboskłonu. Podobna do wężowej głowa pochylała się.

Potwór rozłożył swe skrzydła, przesłaniając połąć nieba i gasząc na moment słońce. W ciemnościach zajarzyły się jego oczy. Smoczy łeb zbliżył się do twarzy Bjarniego, jakby spadając z przestworzy. Wysuwający się gadzi język niemal dotykał nosa najemnika.

– A zatem przybyłeś, śmiałku – rzekł smok. – Czekałem na ciebie z niecierpliwością. Z nudów zacząłem liczyć własne łuski...

Czarnobrody rozejrzał się. Nie widział nikogo z orszaku. Był bezbronny. Jego miecz leżał daleki, nagi, pokryty krwią. Rumak padł, przygnieciony smoczą łapą.

– Zabijesz mnie? – zapytał Bjarni bez lęku.

– Może tak właśnie zrobię, ale nie od razu – odparł smok. – W każdej opowieści przychodzi moment, w którym potwór zostaje pokonany. Nie twierdzą, by teraz miało być inaczej... Pytanie jednak brzmi: kto z nas zasłużył na to miano? Kto jest potworem? Kto bohaterem?

– Ja już nie zdołam cię pokonać – mruknął Bjarni. – Pochwyciłeś mnie bezbronnego. Jestem wydany na twoją łaskę.

– Nielaskę raczej... – odparł smok, a z jego gardzieli dobyło się coś, co można było nazwać śmiechem. – Przez dwa dni wdychaliście trujące opary

i pomieszało się wam w głowach. Żyliście jak we śnie, myśląc, że pożarłem zatrutego woła i stałem się niemal bezbronny... Naiwni! Czyś naprawdę przypuszczał, że smok, który stanie na drodze sławionego w pieśniach wojownika, będzie jedynie wielką, bezrozumną gadziną? Rozczarowałeś mnie, Bjarni Kruku!

– Skąd znasz moje imię?

– Czyż nie powtarzają wciąż historii o Pogromcy Olbrzymów?

Bjarni westchnął, a potem roześmiał się. Jego głos niósł się, dodając chwili groteskowości. Smok skrzywił się, nie rozumiejąc tego nagłego przyływu humoru.

– Co cię tak bawi? – syknął.

– Nawet w takim momencie, nawet ktoś taki jak ty, wspomina mi, że jestem jedynie zabójcą Glamrunga...

– Nie, nie, nie! – smok poruszył się nerwowo. – Tylko? Aż! Dokonałeś czegoś, czego pojąć nie mogę. Glamrung był potężniejszy niż się śmiertelnym zdaje... Cóż wy tam możecie rozumieć! A jeśli poległ, to jedynie na własne życzenie. Tak, tak... Próbuję dociec dlaczego tak się stało i nie znajduję satysfakcjonującej odpowiedzi... Chciałem usłyszeć od ciebie jak wyglądała potyczka z Glamrungiem, co rzekł ci olbrzym, jakie gesty poczynił... Chcę wiedzieć wszystko!

Bjarni zaśmiał się raz jeszcze.

– A jeśli nie znam prawdy? Jeśli wszyscy szukają czegoś, co nigdy nie istniało? Usłyszysz ode mnie tylko opowieść najemnika, który tuła się po świecie. Dlaczego jego bajanie miałoby być warte coś więcej, niżli te posłyszane na traktach i w karczmach?

– Twoje słowa to więcej niż bajdurzenie niewydarzonych skaldów. Tam ziarno prawdy ukrywa się pod wątlym zmyśleniem, ale jedno z drugim zespoliło się i niepodobna już oddzielić rzeczywistość od fałszu.

Bjarni spojrział w smocze źrenice ze znużeniem.

– Będzie to długa opowieść i mniej ciekawa, niż może ci się wydawać.

– Jeśli chcesz, drogi Bjarni, możemy mieć wieczność na swe usługi... Jeśli tylko pozwoli to zbadać każdy aspekt opowieści z należytą uwagą – ja mam czas!

– Czy puścisz mnie potem wolno?

– Może... gdy mnie zaciekawisz – odparł smok. – Pamiętaj też, że rozpoznam, jeśli będziesz próbował mnie oszukać... Mogą też minąć dziesięciolecia, a ty, jako zgrzybiały starzec, możesz już nie mieć siły, by żyć dalej. Im dłużej będziesz kluczył, im mocniej mnie zwodził, tym mniej pozostawisz sobie nadziei na uwolnienie... Muszę się dowiedzieć, dlaczego Glamrung chciał odejść z tego świata!

Bjarni westchnął tylko i zaczął opowiadać. Smok zaśluchał się.

* * *

W głowie mu wirowało. To od wina zapewne albo od natłoku spraw. Wszędzie błoto. Kilkunastu zbrojnych trzymało wyciągnięte przed siebie piki. Wielki jaszczur syczał na ich widok, miotając się niespokojnie na skraju wsi.

– Żywy może być wart więcej... – powiedział Bjarni, lekko się zataczając. – Pochwycimy go zaraz. Nie ma już sił, by uciekać.

– Czy to smok? – zapytał Bideven.

– A jakże! Smok! – przytaknął Bjarni, z niezadowoleniem zaglądając do pustego garnca. – Albo to, co zrodziło opowieści o smokach, przynajmniej te, które znacie i lubicie. Pewnie jaszczur ten uciekł jakiemuś kupcowi, który wędrował wcześniej dalekimi szlakami i łapał podobne osobliwości...

Mężczyźni zarzucili na bestię sieć. Smok miotał się w niej przez chwilę, a potem znieruchomiał, jakby nie miał już w sobie sił.

– Nie wygląda imponująco... – rzekł giermek, marszcząc twarz.

– Czyż bestia ta nie zagryzła wielu owiec i kóz?! – zawołał Bjarni. – Czyż nie raniła śmiertelnie jednego z chłopów? Wieśniacy będą nosić nas na rękach!

– Myślałem... Nic nie warte nasze wysiłki!

– Nic się nie bój, Bidevenie. – Czarnobrody podszedł do giermka i położył dłoń na jego ramieniu. – Zaraz pójdziemy do najbliższej gospody i zaczniemy rozpowiadać, jak to naprawdę ze smokiem było... Wiem już co powiemy, czekaj... – Pogromca Olbrzymów opróżnił dzban z miodem i schwyciwszy się za boki, zaczął: – Kiedy Bjarni... Kiedy Bjarni, zwany Krukiem, spoczął w uścisku straszliwej bestii, która chciała od niego usłyszeć jak naprawdę wyglądała potyczka z Glamrungiem... – Najemnik czknął. – W tym czasie Bideven podszedł do wielkiej jak zamek gadziny i zaczął szukać nieosłoniętego łuska miejsca na jego ciele... – Pogromca Olbrzymów poczuł mdłości. – Trochę mi niedobrze... Nic to jednak! Na czym to...? A, tak! Niczego nie po... podejrzewający smok trwał w zasłuchaniu. Gdy Bjarni skończył, smok, który poznał wreszcie prawdę o końcu najpotężniejszego z gi.. gigantów, chciał zglądzić śmiałka. Ale gdy miał już splotem mocarnego cielska pozbawić rycerza życia... Gdy miał... Co tam mówiłem? Aaaa... Smok poczuł zagłębiającą się w jego ciele włócznię... Grot... grot utkwiał w szerniałym od złego sercu bestii! Tak odważny giermek Bideven przysłużył się swemu królestwu i zasłużył na to, by stać się nie... nieśmiertelnym! Gdy Bjarni snuł swoją o.. opowieść, giermek zakradł się i wbił... wbił włócznię pomiędzy smocze łuski...

Młodzieniec spojrział z politowaniem na Bjarniego.

– Jesteś pijany, panie...

– Nie przeczę! Czy... czy jednak nie pokonaliśmy smoka? – rzekł, patrząc na szamoczącego się w sieci jaszczura, rozmiarami podobnego do wielkiego psa.

– Tak się rzeczywiście stało.

– A skoro zwyciężyliśmy smoka, mamy prawo uczynić go takim, jakim chcemy, by był! Pamiętaj... to ważna prawda, zdradził mi ją kiedyś Glam... Glam...
– Bjarni zaczął czkać. – Nieważne kto... Zwycięzcy dyktują skaldom opowieści. To prawo takich... takich, jak my! – Bjarni ucałował młodzieńca w czoło. – Drogi Bidevenie! Zaraz ma sakiewka uczyni z ciebie naj... mężniejszego rycerza w całym... w całym królestwie... Trzeba szepnąć jeno trubaduirom to i owo... I wręczyć złotą monetę, co by czegoś nie pomylili.

– Czy to uczciwe? – zdziwił się giermek.

– Uczciwe? – Bjarni zachwiał się. – Nie wiem... Z pewnością praktykowane przez tych, o których... o których układają pieśni... Także te o Pogromcach Olbrzymów!

* * *

Znów huk fanfar zabrzmiał gromko w zamkowej komnacie. Stoły ponownie ugięły się od wystawnych potraw i trunków, a barwny korowód muzykantów oraz połykaczy ognia raz jeszcze sprawił, że zawirowało zebranym w głowach. Biesiada ta miała jednak przyćmić wszystkie poprzednie.

Pod powalą wielkiej komnaty, przytwierdzone do pozłacanego żyrandola, wisiały smocze zęby: długie i ostre, podobne do dwuręcznych mieczy. Dworzanie wnosili radosne toasty, patrząc z podziwem raz na Bjarniego, który poprowadził królewski orszak przeciw pustoszącej rubieżie królestwa bestii, raz na przywiezione trofea. Czarnobrody wojownik dokazywał, czując się pośród chwalącego go tłumu jak ryba w wodzie.

Król Elowen wstał od stołu i podszedł do młodego Bidevena, który miał na sobie szkarłatny płaszcz i srebrny napierśnik.

– Uklęknij, chłopcze – rzekł król, a gdy giermek padł na kolana, król położył miecz na ramieniu Bidevena i pasował go na rycerza.

– Królu... – chłopak powstał. – Chciałem o coś prosić...

Elowen uśmiechnął się i po ojcowsku położył dłoń na twarzy świeżo pasowanego rycerza.

– Mów, nie krępuj się. Oddam ci wieś we władanie. Najprzedniejszy rumak z mojej stadniny jest twój lub hełm cały ze złota... No, śmiało Bidevenie... Ten, który ubił smoka, nie może pozostać bez nagrody.

Obok króla i młodego rycerza pojawiła się dwórka o włosach koloru zboża. Dziewczyna wzięła swego wybranka za rękę i spojrzała w jego oczy.

– Proszę cię, panie, byś pozwolił mi ożenić się z Gunn.

Król spojrzał na dziewczynę z czułością

– Czy kochasz tego młodzieńca, droga Gunn? – zapytał Elowen. – Jesteś dla mnie jak córka i pragnę tylko twego szczęścia.

– W bezchmurny dzień nie ma dla mnie blasku – odrzekła dziewczyna –

a zaczerpnięta z najczystszej krynicy chłodna woda nie daje orzeźwienia, gdy Bideven nie jest przy mnie.

– Kocham ją, panie – powiedział młody rycerz – i nie chcę żyć bez niej.

– A zatem mamy dzisiaj powód do jeszcze jednego wesela! – zawołał Elowen. – Dzielni rycerze, cne damy! Biorę was wszystkich za świadków i ogłaszam, że ten oto młody rycerz, Bideven, zwany odtąd Smokobójcą oraz Gunn zostają sobie przeznaczeni!

Kolejna fala wiwatów rozbrzmiała w komnacie. W tym czasie Bradana złapała Bjarniego za ramię i pocałowała w czoło.

– Mój bohaterze... – wyszeptała najemnikowi na ucho.

– Za co to? – Bjarni schwycił w dłonie puchar.

– Dzięki tobie przecież, głuptasie, mogli się połączyć! Nie wiedziałam, że barbarzyńcy bywają tak szlachetni...

– Niewiele jeszcze o mnie wiesz, Bradano! – rzekł Bjarni i machnął ręką na pazia, by ten dolał mu miodu. – A gdy skończy się ta biesiada, to wyjawię ci przed świtaniem jeszcze parę sekretów. Tymczasem... – Pogromca Olbrzymów wstał od stołu. – Mam coś dla ciebie, moja słodka...

Bjarni gwizdnął głośno i wnet zjawił się sługa. Paż niósł złotą paterę, na której znajdował się jakiś pakunek.

– To dla mnie? – zapytała Bradana.

– Dla najpiękniejszej niewiasty na tym dworze – rzekł Bjarni, a zaraz potem zaczął się rozglądać. – Tak, nie widzę tu żadnej nadobniejszej od ciebie, a to znak, że prezent trafił we właściwe ręce.

Bradana wzięła do rąk pakunek i zaczęła go odpakowywać na oczach biesiadników, którzy przybliżyli się, na moment odrywając się od potraw i wina.

Oczom wszystkich ukazały się trzewiki ze smoczej skóry, wyszywane złotą nicią, szklące się w blasku świec.

– Są śliczne, najdroższy! – Bradana aż klasnęła w dłonie.

– Zaraz wdzieję je na twe piękne stópki! – rzekł Bjarni i schwyciwszy trzewiki, wskoczył pod stół. Dworzanie na czele z królem zaśmiali się w głos.

Nie było jednak do śmiechu Pogromcy Olbrzymów, gdy po tym jak obuł Bradanę, wyszedł spod stołu i dojrzał złośliwie uśmiechającego się trefnisia.

– Czyś pomyślał, Bjarni – rzekł Zolvo – co będzie, gdy wino przestanie wszystkim szumieć w głowie, gdy ucichną opłaceni przez ciebie pieśniarze, a świat pozbawiony zostanie czaru słodkich kłamstw?

– Cóż on bredzi? – zapytała z uśmiechem Bradana, spoglądając na swoje stopy, które znakomicie prezentowały się w lśniących trzewikach.

– Jak zawsze żartuje – zapewnił Bjarni, a potem odciągnął karła na bok.

– Ejże, ejże! – zaprotestował Zolvo. – Pognieciesz mi kubrak!

– Żebym nie musiał wyciągnąć ci z gardła jęzora...

– I po co te pogrożki? – Trefniś wyprostował się i zaczął wygładzać swoje odzienie. – Czy zaprzeczysz, Pogromco Olbrzymów, że smok to jedynie bujda?

– Skrojona na potrzeby króla i jego dworzan... – przyznał z niechęcią Bjarni.
– Nie dla mnie wszak... Dość mam bajań!

– Wielkim sprytem wykazałeś się Bjarni, ale musiałeś opróżnić swą sakiewkę do dna, gdy, wracając z rubieży królestwa, wstępowałeś do każdej karczmy i opowiadałeś, jak to było ze smokiem... Czy nie tak? Czy zaprzeczysz? Bestia rosła i potężniała w opowieściach z każdą wydaną monetą, a okoliczni bardowie słuchali z ochotą, gdy kolejne gęsiorki z winem stawiane były na stole, na twój koszt zresztą...

– Jakbyś tam był, drogi Zolvo – rzekł Czarnobrody, uśmiechnąwszy się szeroko. – Niechaj świat jawi się piękniejszym, niżli jest. Co w tym złego? Sam mi o tym mówiłeś przed wyjazdem.

– Do niedawna jeszcze miałeś inne zdanie. – Karzeł fiknął kozła. – Twierdziłeś kiedyś, z miną znawcy, że szarość powszedniego dnia stawiasz wyżej niżli błogie zmyślenie... Przyjrzyj się jednak uważnie. Czy nie poznajesz mnie, drogi Bjarni? Czy tak krótka pamięć u ciebie? A zdawało mi się, że będziesz nosisz w sercu urazę...

– Zaraz, zaraz... – powiedział najemnik i zaczął przypatrywać się nikczemnej posturze swego rozmówcy. Wino co prawda szumiało mu w głowie i Bjarni wiedział doskonale, że niejednen zwid mógł się z tego powodu zrodzić, ale nie mogło być wątpliwości – stał przed nim karzeł Ragnir, mistrz iluzji, który swego czasu podejmował biesiadników w zaczarowanej karczmie, zbudowanej gdzieś na krańcach świata.

– Spojrzenie ci się zmieniło, twarz pobladła, a twe zęby zazgrzytały ze złością – rzekł z zadowoleniem karzeł. – Znak to niezawodny, żeś rozpoznał we mnie tego, kim jestem.

– Co robisz na dworze Elowena? – Bjarni wyrwał z rąk przechodzącego obok pazia dzban i zaczął pić duszkiem słodki miód, sądząc, że dzięki temu złe zwidy rozwieją się albo chociaż zostaną zastąpione przez inne, miłsze dla serca.

– Cóż... – Zolvo, a może raczej Ragnir, przysiadł na posadzce komnaty. – Dać ci mogę dwie odpowiedzi na to pytanie... Pierwsza jest taka, że tak mnie ze swym pierzastym towarzyszem zeżliliście, iż postanowiłem porzucić lodową krainę i poszukać gdzie indziej swego szczęścia! Chadzam odtąd po świecie, niczym włóczęga. Zagrzewam miejsca tam, gdzie królowie i możni są skłonni płacić złotem za snucie ułudy o ich potędze. Nie zbieram przez to złota mniej niż dawniej, gdy prowadziłem zaklętą gospodę... Chyba nieźle się sprawiłem, nieprawdaż, i zasługuję na kruszec, którym mnie hojnie obdarowano? Spójrz na ten zamek. – Karzeł rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko. – Czy nie przechadzają się po jego komnatach damy piękniejsze od tych, które widziałeś w snach? Czy nie spotkasz

tutaj kwiatu rycerstwa? Dziw to nad dziwy!

– Jest... – Bjarni zająknął się, czując, że wino zaczyna plątać mu język. – Jest jeszcze druga możliwość...

– A jakże! – Ragnir zaśmiał się w głos. – Sam się domyślasz, prawda? Możliwe, że nigdy nie wyszedłeś z mojej karczmy i wciąż tkwisz w ułudzie, która zrodziła się z podległej mi magii. Nadal zatem błędzisz po krainach ze snu, oszukując się, że twoje życie jest coś więcej warte, a twoje bohaterskie czyny nie zostały zrodzone w malignie szaleńca!

– Rzeknij, karle, czy... czy wszystko jest jedynie złudą?

– Tego nie dowiesz się ode mnie! – zawołał radośnie Ragnir, ale zaraz mina mu zrzedła, gdy w oknie komnaty pojawił się wielki kruk o posiwiałych piórach.

Ptaszysko wleciało do komnaty i przycupnęło na jednym z żyrandoli.

– Nie! Nie! – zawołał karzeł, podskakując niczym rozkapryszony chłopiec. – Znowu on?! Znowu ten pierzasty nikkzemnik?! Ależ on mnie złości! Wszystko tylko psuje!

– Grimo... – szepnął Bjarni, a ułuda, zrodzona z magii, wina lub bająn pełnych kłamstw zaczęła się rozwiewać, przemieniając królewską komnatę w wypełnioną półmrokiem izbę, w której strwożone oblicza ludzi czekały na przeganiającą troski opowieść, choćby i zmyśloną.

* * *

Porzucal drewniany, zapadający się w błotnistej ziemi dwór z niewysokimi wieżycami, strzeżonymi przez smętnych wojowników. Za plecami wciąż słyszał echa pieśni o dzielnych śmiałkach, którzy wyruszyli naprzeciw smoczej bestii, przybyłej z krain niedostępnych dla śmiertelnych. Jechał bez słowa, zasiadając na wielkiej kobylicy, która ciągnęła z mozołem dwukołowy wóz. Na wozie, pod płachtą, znajdowała się klatka, a w niej szamotało się jakieś zwierzę.

Czarny punkt pojawił się na pochmurnym niebie, będąc drogowskazem pośród gorzkiej jawy, która rysowała szarą kreską zmęczone ludzkie twarze na tle omszałych siół.

– Moja głowa... – rzekł Bjarni, przeklinając wystawne biesiady i ciężkie słodkie miody, które mąciły zmysły i wywoływały niestrawność.

Kobieta o czarnych włosach i ze smutnym spojrzeniem zielonych oczu machała mu na pożegnanie, stojąc w błocie. Na stopach miała drewniane chodaki.

* * *

Morska toń migotała w blasku wschodzącego słońca. W porcie namnożyło się łodzi i kołyszących się na falach statków z dalekich mór. Tego dnia słyszało się na przystaniach wiele tajemniczych języków i widywało różne odcienie skóry. Ludzie ciągnęli do portu z obcych zakątków świata. Wielki targ, który odbywał się

na rozległym placu, w cieniu murów bogatego miasta, przyciągał kupców.

I choć nie brakowało na straganach cudów i cudeniek, najwięcej zamieszania budził brodaty człek z Północy, w kolczudze, czarnym płaszczu i z mieczem u boku. Stał przy wozie, na którym widać było sporą klatkę i zaśmiewał się wciąż, gdy ktoś tylko przystawał i pytał go o coś. W dłoni trzymał garniec miodu, a że alkohol rozwiązywał mu język, jegomość dokazywał i zachwalał to, co chciał sprzedać za dobrą cenę.

– Smok to, najprawdziwszy! – wyjaśniał, gdy kupcy przystawali przy klatce. Chętnych zaś do oglądania nie brakowało. – Pochwycony żywcem, jeszcze niedawno!

Bestia przypominała ogromną jaszczurkę, która syczała głośno i biła giętkim ogonem po prętach solidnej klatki. Na jej grzbiecie srożyły się wielkie łuski, a język wciąż wysuwał się z gardzieli.

– Mizerny jakiś – rzucił ktoś. – Niewiele większy od psa...

– A ogniem pluje? – zapytała jowialna przekupka.

– Eee... skrzydeł nie ma! – zawołał jakiś staruszek i machnął ręką. – To jakby kozła ktoś bez rogów pokazał!

Bjarni Kruk uśmiechał się tylko i tłumaczył:

– Nie o smokach wy rozprawiacie, jeno o zwidach, które się w baśniach ukazują, a te są jak kłamstewko zmyślane przez dziecko. Jeśli wolicie bestie z klechd od tych prawdziwych, nic wam na to nie poradzę... Ale o tych z bajań usłyszeć możecie tylko, nie da się ich jednak zobaczyć! A tu proszę! Smok, którego można zabrać i w zagrodzie trzymać, albo skórę jego wykarbować i dwór nią ozdobić.

– Ile za niego? – zapytał kupiec z dalekiego kraju, na którego głowie widniał biały turban.

– Pięćdziesiąt złotych monet i możesz go zabierać do swego piaszczystego kraju – rzucił Bjarni.

– Drogo, drogo... – Człek z Południa z dezaprobatą pokręcił głową. – Dać mogę pięćdziesiąt monet, ale srebrnych.

– Za smoka? I to żywego? – Bjarni popukał palcem w głowę. – Wołu za to może kupisz, kulawego w dodatku, ale nie smoka najprawdziwszego!

– Albo to ja wiem, czy nie zdechnie mi po drodze? – Kupiec podszedł bliżej i zaczął się przyglądać bestii z uwagą. Smok szarpał się w klatce, aż wóz się trząsał.

– Od zapachu kamfor, które wozicie na swych galerach, można się rzeczywiście wyprawić na inny świat – powiedział Bjarni ze złością i zawtórowały mu zewsząd śmiechy. – Pół tego co powiedziałem w złocie, ale dorzucicie bełę jedwabiu!

– Najpierw naśmiewasz się z naszych pachnideł, a teraz chcesz się jeszcze targować? – Kupiec zaczął wymachiwać rękoma i złorzeczyć w swojej tajemniczej,

brzmiającej jak zaklęcia mowie. – Niechże będzie moja strata... – rzekł po chwili narzekania. – Dziesięć złotych monet i skrzynia daktyli.

– A co mi po nich? Czy ja wyglądam na kogoś, kto się zajada daktylami? Pieczyste i miód, to mi do szczęścia wystarczy!

– Nie, to nie! – zawołał człek w turbanie. – Wrócę tu jednak jeszcze, gdy twe żądania staną się mniej wygórowane... A to niechybnie nastąpi, bo nikt tego jaszczura nie kupi za więcej niż zaproponowałem – rzucił na odchodne.

– Dobra, dobra! – Bjarni założył ręce za siebie i pokiwał z politowaniem głową. – Wiedz, że...

Czarnobrody przerwał, gdy zobaczył wielkiego, czarnego kruka, który wylądował nagle przed jego wozem. Zaraz potem ptak raz jeszcze poderwał się niezgrabnie do lotu i zasiadł na ramieniu Bjarniego.

– Witaj Grimo – rzekł Pogromca Olbrzymów z pewną skrywaną w głosie radością.

– Miło cię znowu widzieć – odparł kruk i zaczął przeczesywać dziobem skrzydła. – Słyszałem, że nie próżnowałeś... Wiele się mówiło ostatnio o czarnobrodym przybyszu z Północy, który poprowadził drużynę króla Elowena przeciwko straszliwemu smokowi, co spustoszył królestwo osnute mgłą. Z tego, co jednak widzę – a nie możesz zaprzeczyć, że smok, któremu się przyglądam, to ten z opowieści – to przesadzają bardowie, opisując przymioty potwora...

– Jak to oni... – rzekł Bjarni. – Dziwisz się, że ubarwiają swe opowieści? Nie sądzę jednak, że przybyłeś tutaj, by oglądać smoka.

– Ano nie – przyznało ptaszysko. – Wiesz doskonale, że w tym miejscu można spotkać wielu magów i...

Grimo musiał przerwać, gdy zobaczył na sobie wścibski wzrok jakiegoś bogato odzianego mężczyzny.

– Ile za niego? – zapytał szlachcic, który podszedł do wozu.

– Spodobał ci się mój smok, co? – Bjarni uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Ta podła gadzina? – Kupiec skrzywił się. – Skądże! Może i jego skóra co warta, gdyby buty poszyć, ale ledwo na cztery pary starczy, a może i to nie... Ale gadający kruk... – Mężczyzna wyszczerzył w zadowoleniu zęby, których biel aż zajaśniała w słońcu – Toż to ciekawostka! Dam za niego dziesięć dukatów.

– Hmm... – Czarnobrody zaczął się zastanawiać i drapać po głowie. – Kusząca propozycja...

– Nawet gdybym był na sprzedaż, mój drogi panie – Grimo zwrócił się do nieznanego – to jako kruk nie tylko znający ludzką mowę, ale gadający z sensem, byłbym wart stokroć tyle, ileś zaproponował! Choć „bezcenny” byłoby najlepszym określeniem... Wiedzieć też musisz, że...

Szlachcic machnął ręką.

– Za gadającego kruka może bym i dał z dziesięć dukatów, ale taki, co prawi

moraly i poucza właściciela, nie wart jest nawet miedziaka!

– Doskonale cię rozumiem, dobry człowieku! – rzekł Bjarni, wołając za oddalającym się w pośpiechu kupcem.

– Cóż, pora przejść do rzeczy – rzekł Grimo. – Nie sprowadziła mnie tutaj chęć nabycia czegokolwiek, choć widziałem wiele wspaniałych ksiąg i magicznych przedmiotów. Tam, gdzie jest jedno i drugie, zwykle można spotkać czarnoksiężników.

– Także tego, którego szukamy? – Bjarni w mig pojął, do czego zmierza Grimo i zaczął wpatrywać się w barwny tłum.

– A jakże, a jakże! – zakrakał kruk. – Wśród tej zbieraniny ludzi można spotkać i naszego dobrego znajomka.

– A zatem pora porzucić kupieckie zajęcie i sprawdzić, czy miecz naostrzony – zauważył Bjarni, zakrywając derką klatkę ze smokiem.

– Oraz czy zaklęcia szykowane przez lata mają zabójczą moc! – zawołał Grimo, nerwowo trzepocząc skrzydłami i spoglądając na niewartego legend smoka, który szamotał się w klatce.

* * *

...Kiedy milkną opowieści o Kruku? Tak, wiem, co odpowiecie: późną nocą, gdy ognisko zaczyna przygasać. Ja jednak nie pytam o to, o jakiej porze opowieść cichnie. Biedzę się natomiast nad tym, jak to się stało, że wątków w pewnym momencie brak?

Nie wiemy nic na pewno o tym, jak miały się sprawy z Pogromcą Olbrzymów, gdy przekroczył bramy miasta magów, które zwano Yarratah i które jest skryte przed wzrokiem śmiertelnych. Dla wielu to koniec opowieści, choć ja znam jej dalszy ciąg...

Roztropni prawią, że ryby nie powinno się wyciągać na brzeg, a płatkowi śniegu pozwolić zapatrzeć się na wiosenny promień słońca. Zapewne rację mają też ci, którzy mówią, że nie wolno wojownikowi przekraczać progu miasta magów, chyba, że miałby zostać tam na zawsze, albo wyjść nazbyt odmienionym, by świat go ponownie rozpoznał...

Z „Sagi o Kruku”

XII. Trzy próby

Yarratah, Yarratah! – zawołał głośno Grimo i zdawało się, że w tym jednym słowie uczony kruk zawarł więcej sekretów, niż można czasem znaleźć w czarnoksiężskiej księdze. – Miasto magów! Ach, marzyłem, by znaleźć się kiedyś w jego murach! To miejsce godne mej osoby...

– Co cię dotąd powstrzymywało? – zapytał Bjarni, widząc w mgle jedynie zarys zwodzonego mostu, który był ze szczękiem opuszczany na ich powitanie. – Droga nie wydała mi się daleka; ledwo słońce zaszło i wzeszło, a my znaleźliśmy się na miejscu, choć mam wrażenie, żeśmy zbłądzili wpierw w krainach zamkniętych dla śmiertelnych...

– Nie każdy może się tu dostać ot tak, to prawda... I my pokonaliśmy wiele dróg, choć mogłeś nie rozpoznać ich właściwej długości, ani skąd i dokąd naprawdę wiodą. – Grimo pokręcił głową. – A jeśli pytasz, dlaczego wcześniej nie udałem się do Yarratah, to odpowiedź jest prosta: musiałem poczekać aż wpływy Holgiego znacznie tu osłabną i nie będzie miał na swych usługach szpiegów skrytych za każdym rogiem!

Bjarni z uwagą przyglądał się widokowi, jaki wyłonił się w końcu zza mgieł, choć jeszcze nie w pełnej krasie. Na skalnym szczycie wyrastało opasane obronnymi murami miasto wciąż częściowo zakryte woalem tajemnicy i rzadką mgłą. Szczyty licznych wież niknęły gdzieś wśród nisko pełzających chmur. Każda z baszt miała po kilkanaście pięter i przewyższała rozmiarami te, które Czarnobrody widywał w królewskich zamkach, ale nie dało się dojrzeć teraz dachów. Zdawało się, że budowano je na przestrzeni wielu setek lat; nie było też wśród nich dwóch podobnych do siebie, za to każda pogrążona była w ciszy – tylko niektóre z okien zapalały się w mroku zapadającej nocy.

– Nie powiem... – mruknął Bjarni, prężąc się w siodle i wodząc baczny wzrokiem po murach. – Wspaniała twierdza, jakby wznosili ją wojownicy, nie magowie. Czy odnajdziemy tu naszego wspólnego wroga? Uciekł nam ostatnio, choć wydawało się, że mamy go na wyciągnięcie ręki...

– Posłał swego sobowtóra, by zmylić trop! Śledziłem niewłaściwego człowieka... W tym czasie czarnoksiężnik poszukał sobie schronienia.

– I znalazł je w Yarratah? – zapytał Bjarni, czując, że w jego ustach nazwa miasta brzmi chropowato.

– Nie sądzę byśmy zastali tu Holgiego – odparł Grimo. – Nie jestem naiwny. Szczur, nawet wielki, silny i chytry ponad miarę, nie kładzie się do leża żmij... Ale gdy dobrze się rozejrzemy, znajdziemy na pewno dobrą poradę, gdzie go szukać

i jak mu zaszkodzić. Wiem nawet kogo zapytać... Każdy czarnoksiężnik ma wrogów, Bjarni. Ten, kto włada magią, z zazdrością spogląda na konkurentów. To zawistne plemię. Tylko najwięksi potrafią wznieść się ponad chytrość i podejrzliwość.

– Zapewne ci, których obdarowano kruczymi skrzydłami...

– Co tam szepczesz pod nosem?

– Nic, podziwiam tylko ogrom twierdzy. – Bjarni zadarł głowę wysoko, próbując objąć jednym spojrzeniem majestat Yarratah, co było niemożliwe. – Zdaje się jakby każda z tych wież była osobną warownią, szykującą się, by dać odpór zakusom sąsiada.

– Tak rzeczywiście jest, choć wszyscy w mieście starają się zachować pozory, że sprawy mają się inaczej – przytaknął kruk. – Poznałeś magów. Co prawda powierzchownie, ale i na tyle, by się zorientować, że nieufnie strzegą swych sekretów i wszędzie wietrzą podstęp. Gdyby porzucili waśnie i spotkali się, by podjąć dysputę o problemach znanych nam światów, w mig, a przynajmniej przez stulecie roztropnych debat, by je rozwiązali. Wolą jednak wadzić się ze sobą! Raz po raz udają się na targ, gdzie kupcy z całego świata zwożą dziwy. Czasem spotkają się w jednej gospodzie, by ostrożnie wypić łyk trunku – wszak obawiają się trucizny! – lub posłuchać pieśni jakiegoś barda, ale też z rozwagą, bo boją się, że bajanie stępi ich uwagę, a wtedy łatwo dopuścić do siebie skrytobójcę. Za nic nie chcą przepuścić przez swój próg innego czarnoksiężnika, swoje pełne tajemnych pergaminów biblioteki zamykają na tysięczne spusty, a w wieżycach trzymają służbę i hordy najemników, by w razie czego odeprzeć atak... Trzeba im zatem wojownika, takiego jak ty, oraz lotnego i dyskretnego szpiega jak ja!

Bjarni słuchał z uwagą, kręcąc głową i dziwiąc się zwyczajom tych, którzy uchodzili za najmądrszych. Gdy znaleźli się tuż przed potężną, ufortyfikowaną z dwóch stron wieżycami bramą, wrota zaczęły się powoli uchylać.

– Nie widzę strażników... – zauważył Bjarni, patrząc na blanki murów i spoglądając w czerń bramy, gdy wjechali na zwodzony most. – Nawet gdy blanki sięgają chmur, warto by ktoś z nich spoglądał, sprawdzając, czy ktoś nie próbuje się pod miasto podkraść.

– Ach, Bjarni, Bjarni... – Grimo zatrzepotał skrzydłami. – Nic nie wiesz o Yarratah, jeśli oceniasz je swoją miarą. Po cóż strażnicy, gdy nikt nie ośmieli się myśleć, by wedrzeć się tu siłą? Najpotężniejsi są już wewnątrz i to ich należy się lękać! Pamiętaj, co ci rzekłem... – Grimo ściszył głos. – Jesteś najemnikiem, szukającym zajęcia, a ja zwykłym krukiem, który patrzy po straganach za kawałkiem sera, by go zwędzić. Muszę tylko nie gadać... Ty znajdziesz wielu panów skłonnych płacić w złocie za wynajęcie miecza, ja zaś w tym czasie odwiedzę kilka znanych drzew, skąd będę obserwował bacznie miasto i gorliwie nadstawiał ucha, by pochwycić kilka plotek... Rozdzielimy się.

– Kogo mam szukać?

– Odnajdź tę, która nosi imię Meredith. Niewiele wśród magów znajdziesz kobiet, a ona może być najpotężniejsza wśród niewiast. Drzewa szumiały o tym, że Holgi poszukiwał ostatnio pięknej Meredith, a ona mu dopomogła...

– Jak zatem owa czarodziejka ma wydać nam Holgiego, skoro okazała mu życzliwość?

– Wiem, że żywi do niego urazę, ale lęka się go jednocześnie, będąc świadoma jego potęgi. Gdy jednak udowodnisz Meredith, że jesteś w stanie zgładzić czarnoksiężnika, pewnie nie omieszka szeptnąć słówka odnośnie tego, jak się do niego dobrać... Stare urazy bywają silne! Kobiety nie zapominają tak łatwo, zwłaszcza, gdy ktoś zakpi z ich miłości... – Grimo zatrzepotał skrzydłami.

– Czy do kruczego ucha ciągną wszystkie plotki, jakie wyda świat? – Bjarni popędził rumaka. – Zagładasz też do alkowy czarnoksiężników?

– Zaraz tam plotki! – obruszył się Grimo. – O miłości Meredith do Holgiego opowiadał mi co nieco pewien słowik, który został darowany jej w prezencie przez naszego znajomka właśnie... Wiele widział i słyszał, dość, by zdradzić mi, że uraza w sercu jego dawnej pani stała się większa od miłości i możemy dzięki temu znaleźć kogoś do tercetu! Jak już mówiłem, rozstaniemy się na dzień czy dwa – zakrakał Grimo, prostując skrzydła. – Dobrze, by nas razem nie widywano. Kruk jest krukiem, zaś najemnik najemnikiem – z osobna wzięci nie mogą zadziwić nikogo, zwłaszcza w mieście pełnym osobliwych gości, ale gdy spotkać ich razem, zbytnio przypominają Pogromcę Olbrzymów i uczonego mędrca, przemierzających świat ramię w ramię, przy tym gotowych sprostać każdemu wyzwaniu... – Grimo począł się zastanawiać. – Może by to przekonało Meredith, najpiękniejszą spośród czarnoksiężskiego rodu, by nam dopomogła w słusznej zemście, ale i ściągnęłoby spojrzenia tych, których Holgi zdążył już pewnikiem nastawić przeciwko nam... Bywaj zatem! Powodzenia!

Grimo wzbił się w przestworza, a Bjarni przejechał na swym karym rumaku przez wrota prowadzące do świata nierozwiązanych zagadek.

* * *

Siedział w gospodzie, gdzieś w centrum miasta, otoczony barwną zbieraniną ludzi z różnych stron świata i zaświatów. Był oszołomiony tym, co już widział i tym, co jeszcze mogło go spotkać, ale wciąż szukał wzrokiem tej, która miała służyć mu radą. Biesiadnicy raz po raz wychodzili, zastępowali ich inni, ale Bjarni nie mógł dostrzec kobiety, której opis przedstawił mu Grimo. Noc była za to pełna czarów. W oknach ukazywały się dalekie krainy, cienie minionych epok, a do uszu dochodził głos ludzi, którzy porzucili śmiertelne życie. Przybysze o różnych kolorach skóry, ubrani barwnie i dostojnie, z pomocą trunków i opowieści umilali sobie czas. W oczach wielu znać było jednak nieufność.

W pewnym momencie, gdy zaczął tracić już nadzieję, że wskazówki Grima okażą się cenne, drzwi do karczmy rozwarły się, a do środka weszła strojna kobieta i kilku jej służących. Zebrani zaczęli wodzić za nią oczami. Nie mogło być wątpliwości, że to Meredith. Dumna, nieklaniająca się nikomu, ze spojrzeniem bez cienia wątpliwości. Miała czarne włosy, które swobodnie opadały na granatową suknię. Nosiła srebrny diadem z bursztynem.

Meredith zasiadła pod jednym z magicznych okien z widokiem na krainę pełną dziwów. W krajobrazie prezentującym się za okiennicami, każdy z zabranych mógł rozpoznać świat swojego dzieciństwa. Otoczona służbą czarodziejka uniosła w kierunku Bjarniego złoty puchar. Czyżby wiedziała, kim jest? Czy nic nie ukryje się przed władającą magią? Czarnobrody już chciał podejść, zaoferować swe usługi, popytać nieco, ale pieśniarz zasiadł przy ogniu i zaczął opowieść. Bjarniemu zdawało się, że bard spojrzął w jego stronę i lekko się skłonił. Ludzie zasiedli w kręgu, a delikatne dźwięki lutni w mig przenosiły zebranych w całkiem inne miejsce.

Śnieg zaczął wirować, wicher dać, a bezkresna biel przypomniała Bjarniemu o krainie, którą odwiedził kiedyś na własną zgubę.

Pewien chłopak wyruszył w świat, by odnaleźć mędrca, który zdradziłby mu tajemnice najważniejszych spraw, odkrył przed nim sekrety ruchów gwiazd i wyuczyłby języków z dalekich stron. Nadto zaś młodzian chciał poszukać kogoś, kto powie mu jak zmieniać swą postać i odmieniać bieg spraw.

Przemierzając bezdroża, zablądził w krainie poddanej lodowemu oddechowi, gdzie zima panoszyła się przez większość roku, a lato było krótkie i ledwo co topiło śniegi. Młodzieniec poszedł tam jednak bez strachu. Wcześniej wyłowił z powtarzanych przez ludzi opowieści kilka sekretów i domyślił się, że za górą mieszka czarnoksiężnik, który potrafi zawracać bieg rzeki i przyzywać istoty z innych światów...

– Tylko ktoś, kto liczy kilkanaście wiosen – odezwał się jeden z zebranych, wrywając wszystkich z objęć zimy – może myśleć, że wybiera dla siebie lepsze życie, gdy zmierza ku pewnej śmierci...

– Czy sami w tym wieku nie myśleliście, że miłość niesie z sobą tylko słodycz, a śmierć jest odległa i nie kroczy za nami jak cień? Podajcie dzban z miodem, nim mróz przeżre nam kości do szpiku. Zdaje się, że dzisiaj na dobre zgłębimy się w lodowych krainach.

– Uciszcie się i dajcie słuchać!

Gdy chłopiec szedł, mrząc niemal w uścisku zimy, wśród mroków zobaczył ogień. Tylko ten płomień był mu drogowskazem wśród śnieżnej bieli i wichrów. Z każdym krokiem śmiałość słabł jednak i w końcu zdał sobie sprawę, że nie kłamali ci, którzy mówili, że śmierć przychodzi do każdego o niezapowiedzianej porze, a człowiek zawsze jest samotny i bezradny, gdy w końcu przyjdzie mu się z nią

witać.

A jednak, choć otoczyła go czerń, młodzieniec zbudził się po trzech nocach i trzech dniach. Maligna trawiła jego ciało i duszę. Zobaczył nad sobą kogoś, kto był odziany w długą szatę. Kiedy nieznajomy podniósł dłoń w tajemnym geście, gwiazdy obrwały na niebie inny porządek, co dało się dostrzec w jedynym oknie.

– Dlaczego przebyłeś tak długą drogę? – zapytał czarnoksiężnik.

– Chciałbym... chciałbym wyuczyć się zaklęć – odparł chłopiec, czując, że jest słaby i wiruje mu w głowie.

Czarnoksiężnik wziął się pod boki, a na jego twarzy pojawiła się srogość.

– Na co przydałaby ci się znajomość magii?

Mimo osłabienia młodzieniec podniósł się na ramionach i rzekł: – Ludzie by się mnie bali! Zasłużyłbym... zasłużyłbym sobie na ich szacunek!

Mag tylko się uśmiechnął i pewnie przegnałby chłopaka na cztery wiatry, ale zdał sobie sprawę, że wiele dziesięcioleci wcześniej, gdy świat był szczęśliwszym miejscem, udzielił komu innemu podobnej odpowiedzi i wybrał swój los równie nierozważnie...

Bjarni podniósł do ust puchar z winem, chcąc rozgrzać kości i jego wzrok ponownie zatrzymał się na Meredith, która zapraszała go do stołu gestem dłoni. Skinął głową i zaraz potem zaczął się przeciskać pomiędzy zebranymi, starając się robić jak najmniej rabanu.

– Ejże, barbarzyńco! Nie przeszkadzaj... – rzekł jeden ze słuchaczy, gdy Czarnobrody trącił jego ramię, co doprowadziło do rozlania krztyny wina.

– Kto widział, by wpuszczać do najlepszej gospody w Yarratah zwykłych siepaczy? – rzucił kąśliwie inny biesiadnik, który ścierał teraz z kubraka rubinowy trunek. – Nowa szata... – jęknął.

Bjarni spojrzał surowym wzrokiem na mężczyzn i szedł dalej, widząc wirujące wokół niego płatki śniegu.

Bard opowiadał dalej jak gdyby nigdy nic.

Minęła okrutna zima, potem nastąpiła wiosna, ale nie na tyle ciepła, by lody odtajały w królestwie czarnoksiężnika. Latem jednak śnieżne zawieruchy nieco zelżały, a strumienie zostały uwolnione z okowów lodu i wartko zaczęły splywać po zboczach wzgórz.

Młody czeladnik zamiatał podłogi w wieży, przynosił wodę, przekładał stare księgi, doglądał stajni i był pomocnikiem każdego ze sług czarnoksiężnika, ale nie poznał ani jednego słowa z tajemnych alfabetów, które służyły do wypowiedzania zaklęć. Przez długie miesiące przyglądał się za to z uwagą magowi i wiedział już, że jego pan wiecznie czuwa, bojąc się o własne życie.

Nie tak się więc sprawy miały, jak myślał naiwnie kiedyś, a to, co chłopak brał z początku za nieograniczoną potęgę, ukazało swą słabość i kruchość.

Któregoś dnia stanął przed obliczem czarnoksiężnika i rzekł: – Pozwól mi

odejść, panie. Być może pomyliłem się i nie taki los jest mi pisany. Nie pragnę już władzy i posłuchu u ludzi. Na nic one, gdy nie jest się wolnym. Zrozumiałem to, gdy obserwowałem ciebie. Potrafisz kruszyć góry, od twojego spojrzenia ogniem może zająć się las, a kiedy dmuchniesz, wichur zrywa dachy z chłopskich chat. Ale są równi albo i potężniejsi od ciebie. Lękasz się zatem każdego dnia, że zawistnicy mogą ci zaszkodzić, i knujesz nieustannie, by zwieść swych przeciwników. Nie mrużysz zatem oka na dłużej niż na chwilę... Czy chciałbym tego samego dla siebie? Nie... Pomyliłem się, co do ciebie i potęgi magii.

Bjarni stanął przy stole, przy którym siedziała Meredith, a jego spojrzenie utkwilo w oknie, gdzie zobaczył skapaną we krwi wioskę. Tajemniczy uśmiech przebiegł po twarzy czarodziejki. Nierzeczywisty widok odbijał się w oczach nieznanego, dzięki czemu ona również mogła go ujrzeć. To, co zobaczyła musiałoby strwożyć każdego. Meredith jednak wydawała się zaciekawiona.

– Usiądź wraz ze mną, nieznamy. – Wskazała na obite srebrem krzesło. – Nie jesteś ciekaw, jak skończyła się opowieść?

Słudzy usunęli się, by zrobić miejsce Bjarniemu.

– Tak... Zajmująca historia – powiedział przysiadając i znów poczuł lodowy uścisk, który kiedyś zmroził i jego serce. Samotna wieża, z pozoru opustoszała, strzegła tajemnic doliny na krańcach świata.

Czarnoksiężnik rozgniewał się słysząc zuchwałe słowa młodzieńca. Niebo aż poczerwiano, a śnieżna zawierucha przetoczyła się przez krainę, gasząc wszelki blask i nadzieję. Szybko jednak pohamował w sobie gniew i uśmiechając się chytrze do chłopca, powiedział:

– *Jesteś bystrym obserwatorem. Może i rzekłeś słowo prawdy, bolesnej dla mnie... Skoro zatem bardziej cenisz sobie wolność od władzy i potęgi, to w końcu dam ci namiastkę czarodziejskiej mocy, której tak, przynajmniej niegdyś, pragnąłeś. Ale wiedz, że jeszcze nikt, kto przyszedł do mnie, nie odszedł tak po prostu... Zbyt wiele widziałeś tu sekretów, bym pozwolił ci ponieść je gdzieś dalej! Wielu mam wrogów, rzeczywiście, bo wraz z potęgą idzie w parze zazdrość innych... – Czarnoksiężnik podszedł do okna i wyjaśnił: – Użyczę ci mocy, byś mógł się przemienić w każde stworzenie, jakie tylko można spotkać w tej krainie. Może w odmienionej postaci uda się ci uciec i zmylić mą czujność? Gdy zaś tylko przekroczysz granicę lodowej pustki, na nowo powrócisz do pierwotnego wyglądu i odzyskasz ludzką postać. Próbuje zatem... To przecież takie proste, nieprawdaż? Wystarczy, że spojrzysz na stworzenie, w które chcesz się przemienić, wyrzekniesz jego imię, a wnet odmienisz swoją postać. Skoro tak pragniesz wolności, jakże mógłbym ci jej odmawiać? A teraz odejdz, mam pilniejszą sprawę!*

– Nie jesteś magiem, prawda? – zapytała Meredith, nalewając Bjarniemu do kielicha złoty płyn, który zaczął parować. Unoszący się aromat, podobnie jak zapach drogich perfum czarodziejki, przeganiał troski zimy.

- Nie! – odparł stanowczo, wznosząc naczynie do ust.
- Zaprzeczyłeś gwałtownie. – Kobieta uśmiechnęła się. – Jakbyś pogardzał nami... Mam wrażenie, że spotkałeś już kiedyś tego z opowieści, który mienił się potężnym czarnoksiężnikiem.
- Przypomina mi kogoś.
- Kogoś, kogo znałeś?
- Kogo pragnąłbym zabić... – rzekł, zaciskając pięść.
- Może to o nim właśnie opowieść?
- Bjarni wiedział już, że tak, więc słuchał dalej.

Chłopiec wrócił do swych obowiązków, a znój kolejnych dni sprawił, że znowu zatęsknił za domem, za łąkami pełnymi kwiatów i wesołymi dziewczętami, które uśmiechały się do niego, gdy wiosna gościła w rodzinnym kraju. Czy czarnoksiężnik mówił prawdę? Czy rzeczywiście dał mu moc, która pozwalała mu uciec? Wydawało się chłopakowi, że pan lodowej krainy tylko sobie z niego dworował, nie poczuł w sobie bowiem żadnej przemiany i jeśli nic nie wiedział o magii wcześniej, tak teraz temat wydał mu się tak samo niezgłębiony.

Któregoś dnia, gdy stał u progu wieży, zobaczył rączego jelenia, który szukał pod śniegiem kępki zmarzniętej trawy. „Gdybym mógł się w niego przemienić, pobiegłbym tak szybko, że nikt nie zdołałby mnie pochwycić. Jeleń może być śmiglejszy od wiatru”, rzekł do siebie i już po chwili mknął przez śniegi rączy i nieuchwytny jak wiatr. „A jednak stało się”, pomyślał z radością i mijał kolejne mile, widząc przed sobą lunę wschodzącego słońca, które budziło do życia świat w szczęśliwszych niż królestwo czarnoksiężnika krainach.

Ale radość była przedwczesna. Ból rozdarł jego bok, a krew zaczęła obficie zraszać śnieg. Każdy krok stawał się cięższy. Wkrótce czerń ogarnęła wszystko.

Chłopiec ocknął się i zobaczył, że otaczają go rude cegły, a wicher dmie glucho w kominku, do którego czarnoksiężnik dorzucał szczap.

– Wcale nieźle – odezwał się mag. – Zdawało ci się, że będziesz wolny w tej postaci i pomkniesz poza granicę lodów... Ale zza drzewa wyłonił się myśliwy i cię ustrzelił, ciesząc się, że mięsem nakarmi swe dzieci, że skór uszyje kapotę dla żony, a z poroża zrobi figury i odda w prezencie swemu królowi, który pozwolił mu polować... Mogłeś biec przez setki mil, a jedna strzała uświadomiła ci, że to jedynie uluda wolności!

– Czy... – Chłopiec chciał coś powiedzieć, ale poczuł wielki ból, który pulsował mu między żebrami. – Czy to ty? Czy przemieniłeś się... przemieniłeś się w myśliwego?

– Nietrudno było cię dostrzec na białej polaci, nawet, gdy już znacznie oddaliłeś się od mej wieży. A kiedyś, w młodości, byłem wprawnym myśliwym! Następnym razem będziesz musiał się bardziej postarać... A teraz śpij! Musisz szybko wydobrzeć, by powrócić do swych obowiązków.

Meredith spojrzała Bjarniemu w oczy i zobaczyła w nich cień porzuconej wśród śniegów wieży.

– Jak ci na imię?

– Mówią na mnie Hrafn – odparł Bjarni, choć nie wątpił, że nie nabierze władającej czarnoksięską mocą.

– Wiem, że kłamiesz... Ale to nieważne. Mam wrażenie, że powinnam o tobie wiedzieć więcej, jednak ostatnio rzadko ruszałam się z mojej siedziby. Dzisiaj po raz pierwszy od dawna słucham jakiejś opowieści... Zbyt zajmowały mnie sprawy istotne dla upływu czasu. Może wiele straciłam...

Wyglądając przez okno, Bjarni widział tylko śnieżną zawieruchę.

– Jakbyś tam był... – zauważyła Meredith, dotykając palcem policzka najemnika. Jego brodę pokrywał szron. – Aż drzysz pod dotykiem wichru.

– Zawitałem kiedyś do krainy z opowieści.

– I powróciłeś z niej żywy... Zdziwiająca! W tym jednak wypadku nie kłamiesz. Widzę w twoich oczach migoczące płatki śniegu.

Mijały dni, a rana zasklepiła się nad wyraz szybko. Minęły tygodnie i wszystko wróciło do normy, choć bok czasem piekł na zmianę pogody. A kiedy miesiące przeminęły i jesień zaczęła skracać słońcu wędrówkę, zmęczony codzienną pracą i widokiem śnieżnych krajobrazów, młodzieniec rzekł do siebie, że musi spróbować raz jeszcze uciec, choćby tym razem miał zginąć.

Któregoś dnia poszedł nabrać wody ze strumienia, którego żywego nurtu jeszcze nie objęła zmarzlina nadchodzącej jesieni – przynajmniej w całości, bo przy brzegu lód już tężał. Nagle srebrny kształt błysnął na moment w strumieniu i chłopak uśmiechnął się w duchu.

Jeśliby ktoś znalazłby się chwilę potem przy tym samym brzegu, to zobaczyłby tylko drewniane wiadro i prowadzące do niego ślady ludzkich stóp; i może jeszcze usłyszałby cichy plusk. Tak, wtedy właśnie młodzieniec przemienił się w rybę i popłynął w dół strumienia, myśląc, że trafi w końcu do wielkiej rzeki, a potem do morza, którego swą magią czarnoksiężnik już nie mógł objąć.

Gdy jednak radość wypełniała jego serce, a śliskie ciało poddawało się chłodnym prądom, uścisk zimna stał się tak wielki, że znowu wszelka myśl zgasła.

Kiedy otworzył ponownie oczy, siedział obok ognia, owinięty w kozuch, nacierany przez jednego ze sług. Zęby mu dzwoniły. Jego skóra była czerwona, a miejscami sina.

– I co? Tym razem też się nie powiodło? – Mag uśmiechnął się szyderczo. – Zima przyszła przedwcześnie do nas i skostniał strumień, a ty zostałeś uwięziony w lodowym uścisku. No, co powiesz? Języka zapomniałeś? A może myślisz, że wciąż jesteś rybą, więc nie potrafisz mówić?

Chłopiec, dygocąc wciąż, ze złością zazgrzytał zębami: – Przy... przyznaj się, czarnoksiężniku. To... To ty dmuchnąłeś swym magicznym oddechem i...i skuleś nim

strumień?

– Nietrudno było domyśleć się, co się stało, gdy zobaczyłem wiadro, które leżało na śniegu tuż przy brzegu. Ale nawet gdybym nie przyspieszył nadejścia zimy, w końcu rzeka zmieniałaby się w bryłę lodu... No cóż... – Czarnoksiężnik rozłożył ręce. – Została ci tylko jeszcze jedna próba. Ale pamiętaj, jeśli tym razem ci się nie powiedzie, nie będę cię ratował!

Bard na moment przestał snuć opowieść. Wnet okrzyki z sali zaczęły go zachęcać do kontynuowania. Jeszcze więcej zdziałały rzucone w kierunku pieśniarza złote monety.

Meredith nachyliła się w tym czasie do ucha najemnika.

– Wyznaj mi chociaż, dlaczego pragniesz zgładzić Holgiego?

– Skąd wiesz, że chodzi właśnie o niego? – Czarnobrody wychylił zawartość pucharu do dna. – No dobrze... Słyszałem z pewnych źródeł, że nie darzysz Holgiego sympatią, nawet jeśli kiedyś sprawy miały się inaczej.

– Nie sądzę zatem, żeby nasze spotkanie było przypadkowe. – Meredith uśmiechnęła się, a potem mrugnęła okiem, dodając: – Właściwie, to się nie mylisz... Ale Holgi mówił mi, że szuka go czarnobrody najemnik. I wiesz co? Gdy wspominał o tobie, po raz pierwszy widziałam w jego oczach strach...

– Zalażł mi po prostu za skórę.

– Nie tylko tobie zaszkodził... Powiedziałabym, że porywasz się na rzecz niemożliwą, ale widzę w twym spojrzeniu blask i zaciętość. Czy nie taką nosił w sobie także ten, którego przeklął Glamrung? Echa opowieści docierają i tutaj, chociaż wolimy w Yarratah słuchać tylko tych, co liczą sobie już setki lat – Meredith zaśmiała się. – Wybacz, nie słuchałam o przygodach Pogromcy Olbrzymów.

– Pragnę, byś wskazała mi miejsce pobytu Holgiego. Skrył się przede mną z twoją pomocą, więc...

– Mówisz, że Holgi skrył się przed tobą? Jesteś wielce zarozumiała, jeśli myślisz, że potężny czarnoksiężnik schował się przed kimś, kto nie włada magią. Ale cóż... Nie moja sprawa, co tam sobie w głowie roisz... Wyznam ci, że Holgi ostatnio dopytywał się o pewne sprawy... Sam jest biegły w metamorfozach swej postaci, ale nie ma nikogo, kto by mnie przewyższał w tej sztuce. Zmienić kogoś jest prościej niż odczarować, choć i to pierwsze wymaga dziesięcioleci nauk i prób, często nieudanych. Samemu panować nad własnymi metamorfozami, to już rzecz arcytrudna. Holgi radził się mnie nawet ostatnio, chcąc ukryć się skutecznie. Zapłacił w złocie, więc zdradziłam mu parę sekretów, wiedząc, że jest w opałach.

– Dlaczego mu pomogłaś, skoro go zniechędziłaś?

– Bo się go obawiam – wyznała Meredith szczerze. – Czego by nie mówić, jest bardzo potężny. A gdy zdradził się przede mną i zdał na moją pomoc, zyskałam nad nim przewagę. Mogłabym rzeczywiście ci pomóc, skoroś taki pewny siebie.

– Zdradź mi zatem, gdzie...

Meredith położyła palec na ustach Bjarniego.

– Za chwilę. Pora na koniec opowieści. Bard już zwilżył winem usta i zaraz dokończy.

Jeśli karczma rozbłyskiwała jeszcze przed momentem światłem woskowych świec, jeśli ogień grzał kości, a wino przeganiało smutki, to za sprawą kilku rzewnych dźwięków wicher znów rozgościł się pośród lodowej pustyni.

Młodzieniec dorastał z myślą, że na zawsze pozostanie niewolnikiem czarnoksiężnika. Urósł znacznie, w barach stał się szerszy, a jego policzki pokrył obfity puch zarostu. Dnie mijaly mu w znoju, biel za oknem wieży brzydła coraz bardziej.

Pewnej zimy, kiedy słońce w ogóle nie wychodziło za chmur, a rozróżnić dzień od nocy było niepodobna, czarnoksiężnik częściej przymykał nie jedno, a dwoje oczu, ucinając sobie drzemkę, która była lekiem na ciągłe czuwanie. Chłopak usłyszał któregoś dnia głośnie chrapanie maga, ale w wyciu wichru dało się też rozpoznać inny głos. Był to przeciągły, dobiegający gdzieś z przestworzy pisk.

„Sokół”, pomyślał młodzieniec i w chwilę zrozumiał, że to ostatnia okazja, by wyrwać się na wolność. Mieć skrzydła, móc wzlecieć wysoko, ukryć się wśród chmur, gdzie nie dojrzą go nawet bystre oczy czarnoksiężnika! A przecież mag spał teraz, więc nawet nie domyśliłby się, że jego sługa uciekł. – Niechaj zmienię się w ptaka... – szepnął chłopak i wnet poczuł, że porasta pierzem i że rośnie mu dziób.

Ale co to? Otaczała go ciemność, nie zaś jasność słonecznej tarczy. Gdy rozłożył skrzydła, nie podtrzymały go prądy powietrzne. A kiedy rozwarł dziób, nie postyszał gwizdu, a głośnie krakanie...

Bard znowu przerwał, wiedząc, że wszyscy czekają na zakończenie.

– Co stało się z młodzieńcem? – zapytał ktoś.

– Nie każ nam czekać, pieśniarzu! Już po północy... Pora, byśmy się dowiedzieli, jakie zakończenie ma ta historia.

Meredith uśmiechnęła się do Bjarniego.

– Chyba się domyślasz?

– Tak. Choć słyszę tę opowieść po raz pierwszy... Nie przybyłem tu jednak, by słuchać bajań. Pani, nie każ mi czekać, tylko zdradź mi, gdzie znajdę Holgiego.

Czarodziejka westchnęła w udawany sposób.

– No nie wiem, nie wiem... Zanim zdradzę ci sekret, chcę, byś sprawdził się w trzech próbach.

Bjarni wyszczerzył zęby.

– Wiedziałem, że nie będzie łatwo – powiedział, dopijając trunek. – Po co jednak te ceregiele? Czy nie mamy wspólnego wroga? Potrafisz z pewnością wejrzeć w me myśli i wiesz, że nienawiść do Holgiego jest we mnie szczera

i niepohamowana...

– Masz rację. – Meredith uśmiechnęła się. – Widzę to w twoich oczach, wystarczy, że wypowiadasz to imię... Są jednak dwie możliwości, sądzę, że tak samo prawdopodobne. Jedna taka, że jesteś szaleńcem. Czy to nie objaw postradania zmysłów, że zwykły rębajło zamyślił sobie, że może zabić potężnego czarnoksiężnika? Istnieje wszak druga możliwość: jesteś posłany przez bogów, a ciesząc się ich względami, możesz rzeczywiście dokonać tego, o czym mówisz... W pierwszym wypadku, nie mogę ci zdradzić, gdzie schował się Holgi, bo choć życzę mu jak najgorzej, to wiem jednocześnie, że sam, jako szaleniec, nie sprostasz wyzwaniu. Holgi za to dowie się, że ci dopomogłam i się na mnie zemści... Wolałabym, byś był wybrańcem bogów, ale nie mogę być tego pewna. A zatem musisz sprawdzić się w trzech próbach, które dla śmiertelnika są niewykonalne, jednak dla kogoś, kto miałby zgładzić potężnego czarnoksiężnika, będą jak splunięcie.

Bjarni spojrział uważnie w twarz Meredith widząc, że igra na niej chytry uśmiech, który zazwyczaj zwiastował kłopoty.

– Dobrze, niech tak będzie. – Bjarni westchnął, jakby wieść o próbach go nudziła. – Cóż to za zadania?

– A zatem decydujesz się? Znakomicie! – Czarodziejka nalała do złotego pucharu wina i kosztując go, wyjaśniała Bjarniemu wszystko: – Po pierwsze, udasz się do pobliskiej doliny, gdzie bogowie dawno temu wzniesli niebosięzną wieżę. Dzięki niej można dotrzeć do krain obiecanych po śmierci ludziom. Wejdiesz więc na szczyt owej wieży i przyniesiesz stamtąd coś, co udowodni, żeś rzeczywiście dotarł na miejsce.

– No proszę... Błahostka na początek! – Bjarni nalał do pucharu miodu. – A drugie zadanie?

– W pewnym królestwie, które graniczy z ziemiami podległymi Yarratah, mieszka sędziwy król. Mówią, że władca ten zna wszystkie opowieści świata. Od dziesięcioleci przybywają na jego dwór bajarze i poddają się próbie: gdy któryś z nich opowie coś nowego, co zacieka króla, monarcha wręcza mu skrzynię pełną kosztowności. Kiedy jednak król, słuchając opowieści przybysza ziewnie, wtedy nieszczęsny bajarz traci głowę, i to dosłownie...

– A zatem mam zabawić się w skalda... – mruknął Bjarni. – Czy komu udało się ostatnio zająć króla jakąś opowieścią?

– Nie chciałabym cię martwić, ale od dwudziestu lat nikt nie wywiózł z zamku skrzyni ze złotem, a z czaszek tych, którzy postradali głowę, wzniesiono tam basztę... Sądzę jednak, że uporasz się i z tym zadaniem. Przywieziesz mi też skrzynię pełną kosztowności. Podzielimy się jej zawartością.

– Robi się coraz ciekawiej... Skoro rzekłaś o dwóch igraszkach, już czuję się znudzony trzecim zadaniem... Pewnie będzie najtrudniejsze, bo te, o których

wspomniałaś, nie sprawiły nawet, że mi serce w piersi mocniej drgnęło!

– Taki jesteś hardy? – Meredith złapała Bjarniego za ramię, a potem nachyliła mu się do ucha: – Już miałam rzec, że chciałabym, abyś dogodził mi nocą, tak, jak tylko nieokrzesany brutal może przysłużyć się samotnej kobiecie... Ale bałabym się, Bjarni. W taką noc to ja mogłabym postradać zmysły i nigdy już nie być sobą...

– Mogłoby tak być – powiedział Pogromca Olbrzymów, patrząc Meredith prosto w oczy, bez lęku. – Jakie zatem będzie trzecie zadanie?

– Czekaj... – Czarodziejka spojrzała na szykującego się barda. – Zaraz poznamy zakończenie historii...

Czarnoksiężnik zbudził się, słysząc jakiś stukot. Szybko zdał sobie sprawę, że to jego kruk, którego trzymał na poddaszu, uderza dziobem w pręty klatki i szamocze się w niej niespokojnie. Wziął zatem do ręki lampę i wspiął się po schodach na ostatnie piętro. Gdy przyświecił sobie i zebrał myśli, zaraz pojął, co się stało.

– *Czy to ty, chłopcze? A jakże! Chciałeś wlecieć wysoko, jak ptak, którego zobaczyłeś na nieboskłonie lub którego głos postyszałeś. Jakże kuszący musiał się wydawać jego lot... Czy to był jastrząb, orzeł, czy może pustulka? To teraz nieważne! Czy ptak nie wydał ci się prawdziwie wolnym? Czy ptak nie może wzlecieć tak wysoko, że nie dojrzą go nawet najbystrzejsze oczy czarnoksiężnika? Czy tak sobie zamyśliłeś ostatnią próbę ucieczki? Ale gdy szepnąłeś, że chciałbyś się zmienić w ptaka, zapomniałeś, że inny znajduje się bliżej ciebie, w niewoli stalowych prętów, na poddaszu.*

Czarnoksiężnik, uśmiechając się wziął klatkę i ustawił ją pośród ksiąg.

– *Czego się tak szamoczesz, Grimo? – rzekł, wymawiając imię sędziwego kruka, swojego starego towarzysza. – Czy pozwolisz, chłopcze, że tym mianem będę cię teraz przezywał? Co? O co pytasz? Nie, nie odmienię na powrót twego oblicza! Miałeś trzy szanse, by stąd uciec, ale nie wykorzystasteś żadnej. Ja zaś przestrzegłem cię, że gdy nie uda ci się uciec za trzecim razem, pozostaniesz już w takiej postaci, jaką przybierzesz... Nie myśl jednak, że jestem okrutny. Nie będę cię wiecznie trzymał w klatce. Kiedyś powrócisz do swej prawdziwej postaci. Sam będziesz jednak musiał znaleźć sposób!*

Ptaszysko zakrakalo.

– *Co tam mówisz, kochany Grimo? Wyznaję się trochę na kruczej mowie i wiem, że przeklinasz mnie okrutnie. Zupełnie niesłusznie... Chciałeś się uczyć zaklęć, czy nie tak? Pozwolę ci korzystać z moich ksiąg, nie będę szczędził wskazówek, a gdy zjawi się u mnie jakiś gość, a zdarza się to średnio raz na sto lat, będziesz mógł go zapytać o poradę. Przez dziesięć lat uczyłem się, jak zmienić wodę w lód, gdy nie ma mrozów, a przecież w takim wypadku nie zmieniam natury rzeczy, a jedynie jej stan... – Mag zaczął drapać się po głowie i rozmyślać. – Sto?*

Dwieście lat? Ile ci zajmie ta nauka? Jeśliś pojętny, drogi Grimo, to nie potrwa to dłużej, niż dwa wieki. A potem będziesz mógł odejść wolnym! Wspaniale, czyż nie? Jeszcze mi podziękujesz za tę lekcję! Wyciągnij z niej wnioski... I zacznij uczyć się ludzkiej mowy na nowo, by łatwiej nam było się porozumieć. Chciałbym wiedzieć, czy wołasz strawy, czy jedynie przeżywasz mnie!

Czarnoksiężnik odszedł, zaśmiewając się w głos, a kruk spuścił głowę i nakrył ją skrzydłami, biedząc się nad swoim losem.

W sali słyhać było oklaski. Krakanie kruka dobiegało gdzieś z dali, ale ciężkie chmury odpływały, a wraz z nimi śnieżyca.

– Czy to nie opowieść o czarnoksiężniku Holgim? – zapytał ktoś, wznosząc puchar z miodem. – Tak mi się zdaje...

– Nie zaprzeczę – rzekł bard. – Choć kto wie? Nie wszystko muszę wyjawiać.

– Czy to prawdziwa historia? – odezwał się kto inny.

– Żaden pieśniarz nie zmyśla – wyjaśnił bard. – Co najwyżej ubarwia w swych słowach to, co się wydarzyło rzeczywiście.

– Co stało się z chłopcem? Czy porzucił w końcu kruczą postać?

– Cóż... – Bard rozłożył ręce. – Sami go spytajcie! – zawołał z uśmiechem i wskazał na jedno z okien.

Gdy zebrani obrócili się, dojrzeni w nim wielkiego kruka, którego pióra znaczone były siwizną. Ptaszysko zakrakało głośno, a potem poszybowało ku gwiązdom.

Bjarni spojrział z zaciekawianiem na Meredith.

– Zajmująca opowieść, nieprawdaż? – powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu Bjarniego. – I zdaje mi się, że ten w oknie, to rzeczywiście był kruk z opowieści, jakkolwiek nieprawdopodobne by się to wydawało...

– Bardzo nieprawdopodobne – odparł najemnik. – Ja jednak chciałbym wiedzieć, jakie jest trzecie z przeznaczonych mi zadań?

– Zdaje mi się, że nieszczęśnik z opowieści żyje gdzieś naprawdę, w swej kruczej postaci, wciąż biedząc się, jak powrócić do dawnego ciała. Mogłabym by mu pomóc. Wiem, jakich zaklęć Holgi użył, by go uwięzić.

– Czy mam go zatem odnaleźć? – Bjarni uśmiechnął się. – Czy chcesz, by Grimo zjawiał się w twojej wieży?

– Tak – przytaknęła Meredith. – Ale to nie wszystko...

* * *

Gdy ponaglany rumak przebił się w końcu przez pierścień szarych mgieł, Bjarni pociągnął za wodze. Widok, jaki mu się ukazał mógł rzeczywiście oszołomić: pośrodku bezimiennej krainy stała strzelista wieża, która nie mogła być wzniesiona przez ludzi, a jeśli nawet, to nieznani budowniczy musieli ją postawić

w czasach, gdy byli równi gigantom. Czarnobrody zaczął liczyć piętra budowli, ale szybko pogubił się. Wieża sięgała powały chmur, a jej szczyt nikał gdzieś ponad nimi.

Rumak ruszył ponownie galopem, a po jakimś czasie zatrzymał się tuż pod majestatyczną budowlą. Bjarni zeskoczył i przywiązał wierzchowca do wystającego korzenia, bacznie przypatrując się samotnemu strażnikowi, który, strzegąc prowadzących do wieży drzwi, wspierał się na włóczni; jedno oko miał przymknięte, drugim wodził po okolicy.

– Witaj, przybyszu! – zawołał zbrojny. – Dawno nie miałem gości. Już myślałem, że ludzie zapomnieli o wieży sięgającej niebios...

Bjarni zrobił kilka kroków i stanął ze strażnikiem twarzą w twarz.

– Czy prawdą jest, że wieża prowadzi do cudownych krain? Podobno wzniesli ją niegdyś bogowie, w czasach, gdy ludzie byli światli i nie nosili w sercu zła, więc można było ich zapraszać na biesiady.

– Tak, rzeczywiście, ludzie opowiadają podobne historie... Przybywa tutaj wielu wędrowców z dalekich stron, by przekonać się, czy legendy nie kłamią. Choć do wieży weszły dziesiątki podróżnych, żaden nie powrócił. Widać znaleźli swoje szczęście!

– Albo zgubę... – rzekł Bjarni, spoglądając na niezliczone okna, które ziały czernią. – Jak to jest, że sam nie próbowałeś przez lata przekonać się, czy legendy mówią prawdę?

– Pochodzę z krainy – zaczął wyjaśniać strażnik – w której nikt nie wierzy w bogów, ani w ich dzieła. Wszyscy są za to przekonani, że to ludzie, co najwyżej, tworzą bogów w swych opowieściach. Sądzę zatem, że wieża jest dziełem ludzkich rąk i prowadzi w pustkę... Zresztą z jej szczytu nie zobaczę niczego ciekawego, skoro chmury nieustannie zasłaniają widok.

– Spoglądając z dołu, nigdy nie dojrzałeś jej szczytu? – Bjarni był najwyraźniej zaintrygowany.

– Zdarza się, że chmury podnoszą się nieco wyżej, czasem odsłaniając kilka kolejnych pięter, ale nigdy na tyle, by ukazać ją w całej okazałości.

– Podejrzewam, że wieża jest dziełem Lokiego lub innego zawistnika, który postawił ją tutaj, by mącić ludziom w głowie. Po co nam bowiem wieść życie prawe i bohaterskie, skoro bez większego trudu możemy dostać się do obiecanych po śmierci krain i to jeszcze za życia? Wieżę zbudowano zatem jedynie po to, by skłócić ludzi z nieśmiertelnymi istotami. A musiał to zrobić ktoś potężny, pieczętując ją pierwotną magią, skoro bogowie dotąd jej nie zniszczyli lub nawet nie wiedzą o jej istnieniu.

– Nie wyznaję się na twoich bogach, przybyszu – rzekł strażnik. – Składając jednak do kupy wszystkie opowieści, jakie przynieśli z sobą wędrowcy z różnych stron świata, zdążyłem zmiarkować, że wszyscy bogowie tylko łudzą ludzi

wiecznym szczęściem. Jedną też historię opowiadamy, bez względu na to, skąd pochodzimy. Czy nie lepiej wyobrazić sobie, że sami jesteśmy panami własnego losu, a bogów nie ma?

– Byłaby to kusząca wizja, ale na nią nie mogę się zgodzić – Bjarni zaśmiał się. – Sam widywałem bogów i z nimi rozmawiałem, a gdybym odrzucił ich istnienie, musiałbym przyznać jednocześnie, że jestem szalony i gadałem z własnymi majakami.

– Czemu zatem chcesz wspiąć się na szczyt wieży? By przekonać się, czy legendy mówią prawdę?

– Dowiem się po śmierci. Teraz zajmuje mnie życie i pewne obietnice, które złożyłem nazbyt pochopnie.

Bjarni przysiadł na prowadzących do wieży schodach, kątem oka obserwując sędziwego kruka, który przysłuchiwał się tej rozmowie, przestępując z nogi na nogę na zeschniętym konarze starego drzewa. Ptak poderwał się do lotu i wzleciał wysoko, mijając kolejne piętra, a po pewnym czasie zniknął wśród chmur, choć przez chwilę było jeszcze słyhać z przestworzy jego żalobne nawoływanie.

– Dziwne... – powiedział strażnik, spoglądając na odpoczywającego najemnika. – Jeszcze nie spotkałem kogoś podobnego do ciebie. Przebyć szmat drogi po to jedynie, by zamienić ze mną słowo... Nie obraż się, ale... Może jednak postradałeś rozum?

Czarnobrody uśmiechnął się tylko, jakby sam nie był pewny odpowiedzi.

– Czy masz trochę czasu? – zapytał Bjarni strażnika i sięgnął do sakwy, wyciągając planszę podzieloną na ciemne i jasne pola, a wraz z nią rzeźbione w rogu jelenia i czarnym drzewie figury, które przypominały władców i ich dworzan. – Gdy mędrcy będą biedzić się nad wiecznymi krainami, prości ludzie oddadzą się pouczającej rozrywce... Siadaj koło mnie, przyjacielu. – Pogromca Olbrzymów wskazał na stopień schodów. – Zaraz nauczę cię zasad gry. Nie są trudne, a dzięki temu wypełnimy pożytecznie czas.

* * *

Słońce oświetlało pokryte kwieciami łąki. Białe obłoki przesuwały się leniwie po płachcie błękitu. W słonecznym blasku skrzyły się dachy budzącego się do życia miasta, nad którym górował zamek o dwóch bliźniaczych wieżach.

– Kości... Wielka sarta kości! – zawołał Grimo, przestępując na ramieniu Bjarniego. O poranku, wśród szmeru bystrego strumienia, krucza mowa brzmiała szorstko i nieprzyjaźnie, jakby nie przystając do radosnych okoliczności.

Jeździec, w jednej dłoni trzymając wodze, uniósł do oczu niewielką kość wyciągniętą zapewne z dłoni zmarłego.

– A zatem tylko to czeka nas po śmierci? – rzekł Czarnobrody i uśmiechnął się, chowając kość za pazuchą. – Nie jestem zaskoczony.

– Gdy wlatywałem ponad połąć chmur, mogłem wejrzeć w niektóre z okien wieży. Zarazy, wojny, niegodziwości, bratobójstwa, a w każdym kolejnym większa trwoga! Zaprawdę, trudno byłoby pokonać ci niezliczone piętra budowli bez szwanku. Na każdym stopniu czaiła się jakaś pułapka.

– Tak jak i w życiu.

– Na koniec zaś żaden z tych, którzy wspięli się po tysięcznych schodach, nie odnalazł ukojenia tylko czerń nocy, co nie zna gwiazd. Znalazłem się tak wysoko, że nie można było tam złapać tchu, a chłód mroził ciało do szpiku. Nie zliczyłem też kościotrupów, tyle ich było na szczycie wieży. Tamejszy mrok wydał mi się groźny i nieprzenikniony. Zdało mi się też, że nic może na nas nie czekać, gdy zamkniemy na wieki oczy. I wyobraziłem sobie nawet, że łatwiej byłoby mi przyjąć fakt, że bogowie są czasem okrutni i niewiele dla nich znaczymy niż to, że ich po prostu nie ma...

– Nic nie czeka z pewnością na tych – rzekł Bjarni – którzy wybierają drogę na skróty. Przyjdzie, co ma przyjść... – Czarnobrody machnął ręką. – Nie pora się tym teraz kłopotać. Będzie na to czas.

Grimo zamilkł na moment, jakby wspomnienie przenikliwego chłodu i nieprzebitego mroku wciąż go dusiło.

– Pora na drugie zadanie – zauważył Bjarni, gdy zbliżyli się do miasta, do którego ciągnęło wielu kupców i przybyszów z dalekich krain.

– Czy sam się podejmiesz próby – zapytał Grimo – czy znowu ja mam narażać życie?

– Jak wolisz, przyjacielu... W końcu i tobie zależy, by wypełnić trzy zadania.

– Cóż tam sobie zamyśliła Meredith?

– Rzekła mi, że w tym zamku mieszka stary król, który lubi słuchać opowieści. Poznał ich jednak w życiu tyle, że nic go już nie zadziwia, a słysząc bajania, okrutnie ziewa. Kto opowie władcy jakąś ciekawą historię, ten dostaje skrzynię kosztowności. Kto zaś sprawi, że monarcha utnie sobie smaczną drzemkę, w mig traci głowę na katowskim pieńku.

– Rozumiem... – zamyślił się Grimo. – A zatem trzeba tu ogłady, rozumu i wyobraźni... W takim zaś wypadku znowu ja muszę się kłopotać! Żeby jednak uczciwie było, umówmy się tak, że jeśli uda mi się sprostać zadaniu, skrzynia będzie moja.

– Pół jedynie zawartości, bo Meredith zażyczyła sobie części.

– Tak, tak... Pewnie pragnie oblec się w jedwabie... Niechaj jej będzie! Nie rozważajmy teraz jednak co z kosztownościami, ale pomówmy o mnie radosnej ewentualności... Gdybym nie podołał zadaniu, a król zaczął chrapać, sam położysz głowę na katowskim pieńku!

– Być może to uczciwa propozycja, gdyż dostrzegam w niej jeden zaledwie szkopuł... Myślę, że strach przed ścięciem skłania do większego namysłu i rodzi

w umyśle bazarza niespotykane historie.

– A mnie się zdaje, że może być inaczej – rzekł Grimo, trzepocząc z ochotą skrzydłami. – Nawet najwięksi bazarze mogą mieć trudność, by zebrać myśli, gdy kat na nich chętnym okiem łypie... Ja będę mógł bajać z większym spokojem ducha!

– Dobrze – zgodził się Bjarni, choć z pewną niechęcią w głosie. – I tak nie mam wyjścia. Odkąd w każdej karczmie słyhać tylko o moich przygodach, nie nadstawiam już ucha, gdy pieśniarz zaczyna snuć opowieść. A skoro przestałem lubować się w pieśniach, to i sam nie mam niczego ciekawego do opowiedzenia.

– Ależ masz, masz... – szepnął Grimo.

– Co tak dziobem kłapiesz?

– Mówię jeno, że wyimki z sagi o Bjarnim Kruku mogą zjednać niejednego słuchacza, nawet tak zacnego jak król, który to ponoć słyshał już wszystkie opowieści.

Bjarni mruknął i poruszył się nerwowo.

– Jeśli chcesz temu władcy snuć do ucha historie o Pogromcy Olbrzymów, to może lepiej, bym od razu położył głowę na pieńku?

– Spokojnie, spokojnie... Po co te nerwy? Zaufaj mi, przyjacielu... I tak nic innego ci nie zostało!

– Zaufam – powiedział Bjarni. – Ale pamiętaj, że jeśli pokpisz sprawę, to choćbym miał powstać z martwych i wziąć swą głowę pod pachę, to odszukam ciebie i oskubię z piór, co do jednego! Z głową czy bez głowy i tak znajdę sposób, by wznieść miecz!

Pogróżki najwyraźniej nie zrobiły wrażenia na kruku, który wzleciał w przestworza, opadając z nich raz po raz, by szybować nisko ponad łąkami, jakby w żywym krajobrazie rodzącej się wiosny szukał jakiejś inspiracji.

Wkrótce, pokonawszy szeroką bramę, wjechali wraz z liczną ciżbą do miasta. Odziany w czerń jeździec i jego pierzasty towarzysz nie budzili takiego zainteresowania mieszczan i przekupniów, jakiego można by się spodziewać. Widywano tutaj podróżnych nader często, a że ciągnęli z wielu dalekich zakątków świata, to ich wygląd czasem był znacznie bardziej osobliwy.

W końcu, zostawiwszy rumaka w zamkowej stajni, Bjarni stanął na dziedzińcu wśród niemałego tłumu, który ustawiał się w kolejce, czekając na swój czas. Grimo z zaciekawieniem przyglądał się pieśniarzom i bajarkom. A trzeba było przyznać, że na zamkowym placu znalazło się zacne grono. Co krok kruk cmokał, gwizdał, kłapał dziobem, wychwalając niektórych.

– Ta jest mi znana... – rzekł Grimo, wskazując dziobem na pulchną kobietę strojącą odrapaną lutnię. – Swoimi pieśniami usypiała niesfornych synów pewnego księcia, który miał rozległe włości za siedmioma morzami. Nie wróżę jej zatem sukcesu, skoro zwykła sprowadzać sen miast ożywienia... A tamten – Kruk wskazał

na zażywnego mężczyznę z czerwonym nochalem i wzdętym brzuchem – przez trzy dni i trzy noce snuł swoją opowieść, gdy łódź, którą też płynąłem, zgubiła kurs na nieznanym morzu i żeglarzom trzeba było dodać otuchy. Gdy przywoływał obraz bezpiecznego lądu, wszyscy zapomnieli się i łódź rozbiła się o skałę. Wielu się potopiło, on widać przeżył, niesłusznie, ale nie ma sprawiedliwości na świecie... Myślę, że...

Grimo nie zdążył dokończyć, choć chciał jeszcze obgadać kilku pieśniarzy. Wrota prowadzące do zamku rozwarły się, zaś po schodach szedł, prowadzony przez dwóch strażników, odziany w dworne jedwabie człek, którego twarz była żółta, oczy skośne, a włosy czarne. Jegomość wykrzykiwał coś w przedziwnym języku, podobnym do ptasiego.

Zebrani na zamkowym placu pieśniarze zaczęli szeptać między sobą.

– Czy to nie ten, co przybył z dalekiego Kitaju?

– Na śmierć go jednak prowadzą!

– Samego cesarza, który nad ćwiercią świata panuje, zabawiał opowieściami.

– Jeśli zaś nieznanne tutaj legendy ze wschodnich krain nie wzbudziły poklasku u króla, to czy nam się uda?

Szemrali tak chwilę, a potem, jeden po drugim, zaczęli się wycofywać, z pogardą spoglądając na odzianego w czerń najemnika i towarzyszącego mu kruka, nie rozpoznając w nich bohaterów wielu opowieści.

– I co ty na to, Grimo? – zapytał Bjarni. – Ten cudzoziemiec znał ponoć bajędy, jakich nikt nie mógł zasłyszeć w naszym świecie. A teraz jego głowa legnie w błocie i nie ma znaczenia, że w niej tysiąc baśni się kryło!

– Wszystkie bajania są podobne do siebie – zaczął mądrzyć się Grimo – bo ludzie nie różnią się wiele. Wszyscy kochają kogoś lub coś, czasem tylko siebie samych... Nienawidzą też i bez powodu, boją się chorób i śmierci, z zazdrością patrzą na tych, którzy zajadają frykasy, gdy oni rzepę gryzą, a blask złota wydaje się tak samo kuszący nad morzem naszym jak i nad dalekim. Cóż ten człek o żółtej skórze mógł nowego opowiedzieć? Ha! – Grimo zatrzepotał skrzydłami, jakby wpadł na jakąś jasną myśl. – Jako że czytywałem wspomnienia dawnych żeglarzy, wiem, że w rodzinnym kraju tego bajaranza wiele ciekawego się dzieje. Mają tam czarne kamienie, które się wydobywa z ziemi, a kiedy palą się w kominku, to dają więcej żaru niż drewno czy torf. Ich pismo ma tysiące znaków, a każdy podobny do małego pałacu i setek lat byś potrzebował, Bjarni, by nauczyć się choć kilka z nich namalować pędzlem na jedwabiu, jak to oni mają w zwyczaju. Do tego zaś psami się żywią, i wcale nie dlatego, że jeść co nie mają, ale ponieważ taka strawa im właśnie smakuje... Wiedzieć też musisz, że mur tam chcą wznieść dłuższy niż górskie łańcuchy, by odciąć się od świata pustynnych bestii. Ich smoki zdają się zaś często uczone i łagodne... Otóż dziwy z dalekich stron, o których powinien opowiedzieć przybysz ze Wschodu, zamiast pleść baśnie!

– Zdaje mi się, że lada moment będziesz miał okazję podokazywać – mruknął Bjarni, gdy rozwarły się wrota zamku. Wtenczas nikogo już z przyjezdnych bajarany nie było na placu. Bjarni, z Grimem na ramieniu, przestąpił zatem drzwi i ruszył ciemnym korytarzem. Kruk zaczął układać swoje pióra i ćwiczył ukłony, szykując się na rozmowę z królem.

Wkrótce znaleźli się w wielkiej komnacie. Rząd kolumn biegł z lewa i prawa, prowadząc aż do schodów. Były one strzeżone przez zbrojnych. Na podwyższeniu ustawiono tron, na którym zasiadał sędziwy król; siwa broda sięgała mu do kolan, a jedno z ramion zdawało się już bezwładne. Otaczali go liczni dworzanie, którzy z pogardą spojrzeli na obleczonego w czerń przybysza. Był zapewne wojownikiem, może śmiercią we własnej osobie, skoro niósł na ramieniu skrzydlatego padlinożercę, ale z pewnością nie był pieśniarzem. Czego zatem tu szukał?

Szmer szeptów przemknął po sali, a król, podobny dotąd do znieruchomiałej kukły, uniósł swą powiekę z zainteresowaniem i skinął dłonią.

– Dobra nasza... – szepnął Bjarniemu na ucho Grimo. – Już się ożywił, starowina.

– No dalej, wędrowcze – rzekł władca. – Czy znasz historię, która mnie zadziwi?

– Niezbyt dobry ze mnie bajarz, panie – odparł szczerze Bjarni – ale kruk, który zasiada na mym ramieniu, zna wiele zacnych opowieści.

– Doprawdy? – Monarcha poruszył się nieco. – Nie sztuczka to jakaś? Gadający ptak to jedno i wcale nie takie znowu wielkie dziwo. Ale czy będzie chciał opowiedzieć coś ciekawego? Pewności nie ma... Już czuję, że mnie znużenie ogarnia.

– Zaraz się przekonasz, królu, że warto mnie posłuchać – odezwał się Grimo i poderwawszy się z ramienia Bjarniego przemknął przez komnatę, wzniesając wicher; w końcu wylądował na poręczy tronu. – Prawdę żeś rzekł, panie, bo język giętki to jedno, ale wciąż za mało... Drugą kwestią jest bowiem paleta znanych barw, ale w czarownych odcieniach, w których odbija się kolor naszej młodości i echo z dawna posłyszanych opowieści. A jednak bajanie, choć niesie znajome, musi jednocześnie zaskakiwać, prowadząc słuchacza tam, gdzie sam by chciał zajść, choć nie zna drogi, a cel mu się jedynie mgliście jawi. I to jest właśnie trzecia rzecz. Proste to sprawy!

Król uśmiechnął się.

– Proste, powiadasz? Znam i ja twą receptę i powiem, że zgadzamy się co do natury dobrej opowieści. Wielu jednak nie umiało dokonać tego, co nazywasz błahostką. Wszyscy głowę postradali. Aż mi żal ich, choć nie masz większej zbrodni niż zanudzanie słuchacza.

– Tak, tak i po trzykroć tak! Nuda zabija w nas życie. Przynudzający

pieśniarz jest zatem zbrodniarzem! Słuszna kara spotkała tym samym tych, którzy cię o senność przyprawili, panie... Po co zresztą komu głowa, skoro bez głowy opowiada historie? Jeśli dawał sobie jeden z drugim, a nawet tysięcznym, bez niej rady, może i po spotkaniu z katem dalej będzie wiódł życie szczęśliwe?

Król uśmiechnął się po raz drugi, co nie uszło uwadze Bjarniego i dworzan. Może Grimo rzeczywiście wiedział co robi?

– Jakąż to zatem historię mi opowiesz, skrzydlaty bazarzu? – zapytał władca, bez większej ochoty w głosie, jakby siły znowu go opuszczały.

– Będę dzisiaj bąkał o Bjarnim, którego zowią Pogromcą Olbrzymów!

Zewsząd dało się słyszeć chichoty.

– Czyś pewny? – zapytał król, a sam Czarnobrody, słysząc Grima, dodał w myślach: „właśnie, czy na pewno chcesz o mnie opowiadać?” – Znam tę historię na pamięć, w różnych wersjach – dodał pan zamku. – Swego czasu zdawała mi się nawet ciekawa, ale ileż można słuchać o Pogromcy Olbrzymów?

– Ale nie w takiej wersji ją słyszałeś, jaką ja chcę ci opowiedzieć! – zawołał kruk. – Czy mogę mieć jednak prośbę?

– Prośbę? Chyba żeś nazbyt zuchwały! Ale mów... Nieczęsto kruk mnie o coś prosi!

– Chciałbym snuć swą opowieść na tyle cicho, byś tylko ty ją posłyszał, królu.

– Jakież tego powód? – zdziwił się monarcha.

– Nie możemy się na to zgodzić! – zaprotestował szambelan. – W tej prośbie może kryć się jakiś podstęp. Kruk gotowy szeptać do twego ucha jakieś zaklęcia. Zalecam zatem...

Władca wstrzymał gestem dłoni swego sługę.

– Powiedz, kuku, dlaczego miałbym przystać na to i zrobić wyjątek? – zapytał król. – Już dość mego czasu zmitrężyłeś, pamiętaj o tym... O, ziewać... Ziewać znowu nasza mnie ochota... – powiedział król otwierając usta.

– Już wyjaśniam – rzekł Grimo i wypiął dumnie pierś. – Może różnymi opowieściami cię tutaj raczono, panie, może były wśród nich te, które prawily o Bjarnim Kruku. Przyznaj jednak, królu... Nigdy się nie zdarzyło, by ktoś o Pogromcy Olbrzymów opowiadał w jego obecności!

Wszyscy spojrzeli na odzianego w czerń mężczyznę, który szarpiąc za własną brodę, wodził ponurym wzrokiem po komnacie. I nawet jeśli ktoś miał wątpliwości, czy kruk mówi prawdę, nawet, gdy byli tacy, którzy chcieli roześmiać się w głos, to błysk w spojrzeniu przybysza uciszył wszystkich.

– Czy to ciebie zowią Krukiem i Pogromcą Olbrzymów? – Król zwrócił się do najemnika.

– Tak, panie – przytaknął Bjarni. – Tak przynajmniej przezywają mnie ludzie i bogowie, a pieśniarze podchwycili te przydomki i rzucili na wiatr.

– A zatem jesteś tym, o którym układają pieśni? – zdziwił się monarcha, podnosząc obie powieki.

– Gdy z rzadka słucham opowieści o własnych czynach, nudząc się tak jak i ty, panie, coraz rzadziej rozpoznaję w nich siebie.

– Rzeczywiście, nie zdarzyło się to nigdy, by sam Bjarni przysłuchiwał się historii, którą ktoś na tym dworze snuje właśnie o nim... – przyznał władca z uśmiechem.

– Skoro tak mówisz, królu... – Ptaszysko zatrzepotało skrzydłami. – Żaden też z bazarzy nie zwał się Grimo i nie był uczonym towarzyszem owego Bjarniego. Tak, tak, drodzy zebrani! Nie wytrzeszczajcie tak oczu... Choć rozumiem, że nie często macie do czynienia z tak znaczącą osobistością! Jeśli w snach nawiedzał was ten, o którym z takim podziwem mówią pieśniarze, chwając jego urok, mądrość, odwagę i spryt, to teraz na jawie możecie ujrzeć to чудо! Wiem i widziałem wiele przez to właśnie, kim jestem... I to moja zguba! Zdajesz sobie sprawę, królu, że z tego Bjarniego człek zaciekły, o czym mogłeś się z wielu pieśni dowiedzieć. Gotów samemu o głowę mnie skrócić, gdyby cały dwór posłyszał to, co mam ci do przekazania... A wtedy nici ze skrzyni złota dla mnie! Nie nacieszę się świecidełkami, a tak je lubię... – Grimo pokręcił z niezadowoleniem głową. – Ale gdy mnie wysłuchasz, najjaśniejszy panie, będziesz się mógł spytać Bjarniego, czy tak się sprawy rzeczywiście miały, jak ci to przedstawiłem. Może ulituje się nade mną, gdy przyobiecam mu pół skarbu? Jednak przysiąc mi musisz, że opowieść tą zostawisz tylko dla siebie... Gdyby poznał ją świat... Ech! Wtedy pewnością Pogromca Olbrzymów mściłby się na mnie...

Król uśmiechnął się, co znowu zdziwiło dworzan. Dawno już nie widzieli go w tak dobrym nastroju.

– Opowiadaj zatem, kuku. Nie wyjawię nikomu tego, co mi opowiesz... Czy jednak będę mógł spytać potem twego towarzysza, czy tak się rzeczywiście sprawy miały?

– Jeśli zechcesz... Może się potem długo na mnie boczyć, ale szybko mu humory przejdą, bo wie, że bez rozumnej rady jego miecz na nic się na tym świecie nie zda!

– Pytaj potem, panie, czy prawdę kruk rzekł – odparł Bjarni. – Ale ja słowa nie dam, że nie oskubię Grima z piór, jeśli co zełga...

– Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu! – rzekł król z dawną nie widzianą u niego ochotą. – Najpierw opowieść!

Grimo skłonił się nisko, a potem, ściszył głos i nachyliwszy się do ucha okrutnego władcy, zaczął coś szeptać. Nikt nie mógł tego posłyszeć, choć wszyscy, łącznie z Bjarnim, wyteżali słuch. Monarcha za to łypał raz jednym, raz drugim okiem na stojącego w komnacie Pogromcę Olbrzymów, próbując coś wyczytać z jego twarzy. A im dłużej Grimo opowiadał, tym głośniejsze się król zaśmiewał,

mocniej dziwił, bardziej przejmował i z większą uwagą czekał na dalszy ciąg, jakby powrócił do czasów, gdy piastunka szeptała mu bajędy na dobranoc, które to miały moc jakiej próżno szukać w zasłyszanych później historiach.

* * *

Podróż wypadła im wzdłuż klifu, z widokiem na wzburzone morze, które połyskiwało blado, przytrzymując trochę przebijającego się przez powalę chmur blasku. Rumak szedł stępa, a Bjarni rozglądał się z uwagą, wciąż szukając w krajobrazie samotnej, przypominającej wilczy ząb skały, czyli miejsca wyznaczonego na spotkanie. Mina najemnika była zacięta i surowa. Grimo za to skrzeczał radośnie i trzepotał skrzydłami z ochotą.

– Dziękuję za pomoc! Sam musiałbym przenosić skarb przez rok, moneta po monecie, rubin za rubinem...

– Pamiętaj, że połowa należy do Meredith. To, co wieziemy w sakwach, musimy oddać.

– Pamiętam, pamiętam... – rzekł Grimo, a potem dodał cicho, tak, by Bjarni nie słyszał: – A dzisiaj, w zamian za skromną przysługę, oddam jej drugą, schowaną połowę...

– Czy zdradzisz mi w końcu, co opowiedziałeś królowi? Taki był zadowolony z twych bajań, że nawet nie zapytał mnie, czy prawdę mu rzekłeś... Zbyt wiele kłamstw słyszałem na swój temat, by przejmować się jeszcze jednym. Nie zmienia to jednak faktu, że jestem wielce zaciekawiony. Jakie kłamstewko tym razem sprzedajesz?

– No cóż... Chyba rzeczywiście należą ci się wyjaśnienia! Otóż byłem szczery, najszczerzy i nie skłamałem, ani ciut, ni kapki, krztyнки, czy ździebełka! Wyjawiłem po prostu królowi, jak naprawdę miały się tve sprawunki z Glamrungiem.

– No proszę! – prychnął kpiąco Bjarni. – A co ty możesz o tym wiedzieć? Wtedy nawet się nie znaliśmy.

– To prawda – przytaknął Grimo. – Jednak często gadasz przez sen, gdy wypijesz za dużo, a bywasz wtedy bardzo wylewny. A że ja często cierpię na bezsenność, utkałem sobie z tych nocnych banialuków niezłą historię!

– Czy jednak prawdziwą? Nawet, gdy skaldowie mylą się w paru kwestiach, to możesz być pewny, że było tak, jak to się zwykle przedstawia.

– Tak czy inaczej, tva obecność zrobiła wrażenie na władcy, a potem miałem go już w garści... Nie tylko bowiem opowieść się liczy, ale też sposób jej podania... Na mnie zaś zrobił wrażenie blask zawartości skrzyni!

– Co zrobisz ze swoją połową majątku?

– Hmm... Wydam na przyjemności!

– Ty? Uczony kruk, mag, istota kpiąca nieustannie z bezrozumnych?

Myślałem, że kupisz sobie jakieś księgi pełne sekretów!

Grimo poruszył się niespokojnie na ramieniu Bjarniego.

– Wyjawię ci, do czego posłużą mi te majątkości. Gdy spotkamy się z Meredith, a z tego, co mówiłeś chwila już bliska, poproszę ją o pomoc. Spośród magów to ona wie najwięcej o przemianach czegoś w coś całkiem innego... Nie bez przyczyny Holgi udał się do niej z prośbą o radę i pozostaje przed nami ukryty! Poproszę ją... Nie śmieję się jeno, Bjarni... Chciałbym na koniec żywota powrócić do swej własnej postaci i stanąć przed moim wrogiem jak równy z równym, aby Holgi nie mógł ze mnie drwić... Przyjemniej byłoby zagłębić sztylet w jego piersi, niżli mu oczy wyjadać po śmierci! Wydostałem się ze złotej klatki, ale wciąż więzi mnie klatka obcego ciała. Latać! Sięgać niebios! Tak, tak... Wszystko to wspaniałe, ale ryba dusi się na brzegu, jastrząb tonie w odmętach oceanu, a człowiek nie może czuć się u siebie w zimnych przestworzach. A ja jestem człowiekiem, choćbym miał dziesięć dziobów i pięć par skrzydeł! Czy pół skrzyni złota to mało za drobną przysługę?

Bjarni zachmurzył się jeszcze bardziej.

– Byłoby to wiele w każdym niemal przypadku, ale nie musi być to kusząca propozycja dla kogoś, kto ma taką samą połowę... Muszę ci... – Pogromca Olbrzymów chrząknął. – Muszę ci coś wyznać, przyjacielu.

– Nie teraz – rzekł Grimo. – Przed nami jeszcze jedno zadanie!

– No właśnie... I tym razem nie uda się go wypełnić bez ciebie.

Grimo łypnął okiem na towarzysza.

– Bjarni? Za dobrze cię znam, by nie wiedzieć, że chcesz mi powiedzieć coś, co nie może mi się spodobać, ale nie psuj tej chwili... Na frasunki przyjdzie jeszcze czas!

* * *

Meredith czekała na nich przy samotnej skale. Trzymając wodze w lewej dłoni, prawą, zdobną w sygnet, podniosła na powitanie. Słońce kładło promienie na jej bladej twarzy, a szkarłatna suknia falowała na wietrze.

– Bjarni Kruk i Grimo... – powiedziała, skłoniwszy się nieco. – Gdybym od początku wiedziała z kim mam do czynienia, nie żądałabym wypełnienia trzech zadań...

– Czyżby? – Bjarni miał wątpliwości. – Czarnoksiężnicy zawsze szukają okazji, by się wzbogacić.

– Nie wiesz nawet, Bjarni, ile kosztuje zdobycie szczypty sproszkowanego kopyta fauna lub oka bazyliuszka... Nic z tego na drzewach nie rośnie, a na straganach też próżno szukać. Najczęściej trzeba brać na usługi wielu najemników i wyposażyć ich na długą misję, która zwykle niewesołe ma rokowania.

– Wiem. I ja brałem udział w podobnych eskapadach – odparł Bjarni – choć

staram się ich już unikać...

– Szkoda. Wiele złota zdobyłbyś na moich usługach.

Grimo wtrącił się do rozmowy, pozwoliwszy sobie na drobne targi:

– Może odstąpisz zatem od trzeciego zadania, nadobna i mądra czarodziejko, skoro tak dobrze poszło nam z dwoma?

– Umowa jest umową – powiedziała Meredith. – Najpierw muszę się przekonać, czy Bjarni rzeczywiście wypełnił to, co mu zadałam.

– Oto kość, którą przynoszę ze szczytu wieży – powiedział Pogromca Olbrzymów, sięgając do sakwy. – Nic więcej nie ma ponad chmurami, tylko kościotrupy tych, którzy uwierzyli, że można dojść do szczęśliwych krain na skróty.

– Spodziewałam się tego... – szepnęła Meredith.

– A opowieść tak zajęła znużonego króla – dodał najemnik – że sakwy są pełne złota. To połowa skarbu.

– Wspaniale! – Meredith aż klasnęła w dłonie, oglądając wypchane kosztownościami juki. – Świetnie się spisaleś, Bjarni, choć pewnie niewiele byś zdziałał, gdyby nie pomógł ci skrzydlaty towarzysz.

– Skromność nie pozwala mi przytaknąć... – rzekł z zadowoleniem Grimo.

– Umowa, jest umową, Pogromco Olbrzymów – powiedziała czarodziejka. – Czy ty jednak nie jesteś na najlepszej drodze, by wypełnić i trzecie? Przyprowadziłeś do mnie Grima!

– Cóż to znaczy? – zapytał kruk z podejrzliwością. – Czyżbyście się układali za moimi plecami?

Meredith uśmiechnęła się chytrze.

– Twój kompan nie powiedział ci o trzeciej próbie, co Grimo? A zatem ja wyjawię w czym rzecz, skoro Bjarniemu jest niezręcznie. Wiem, kuku, że to ty jesteś chłopakiem z opowieści snutej przed dwoma dniami w gospodzie, tym samym, który służył Holgimu, a potem został zaklęty w ptasią postać.

– Powiedzmy... – rzekł Grimo. – Opowieści bardów bywają niedokładne w wielu szczegółach.

– Zapewne – przytaknęła Meredith. – Ale wiem, że dwóch rzeczy pragniesz ponad wszystko: zemścić się na Holgim i powrócić do swej dawnej postaci. Teraz zaś musisz wybrać. Z czego jesteś w stanie zrezygnować? Chcę być pewna, że ci, którzy pragną zgładzić Holgiego, są rzeczywiście zdeterminowani. Powiem, gdzie kryje się czarnoksiężnik i jaką postać przybrał, ale musisz, Grimo, wyrzec się swych planów powrotu do ludzkiej postaci!

Kruk zakrakał złowrogo.

– Źle, żeście się układali, nie pytając mnie o zgodę. Och, Bjarni, Bjarni... Jak mogłeś mi nie powiedzieć, jakie jest trzecie zadanie? Czy bałeś się, że nie pomogę ci w dwóch pierwszych? Nie po to żeśmy szli przez świat wystawiając się na

niebezpieczeństwa, by zważyć w siebie!

– Wybacz, druhu... – powiedział Bjarni z pewnym zawstyżeniem.

– Porzuciłbym tę postać z ochotą i śmieiej stanął na dwóch nogach – oznajmił Grimo – ale jaki miałyby sens ta przemiana, gdybym nie mógł odnaleźć Holgiego i zemścić się na nim? Tak, Meredith. Zapomnę na razie, a może i na zawsze o tym, by stać się na powrót człowiekiem. Niechaj dalej będę krukiem, najlotniejszym wśród magów! Wiedząc, że to przyczyni się zemście, lekko będzie mi na sercu.

– Na taką odpowiedź liczyłam – powiedziała Meredith z uśmiechem. – Teraz mogę wam zdradzić gdzie i w jakiej postaci ukrywa się Holgi! A jeśli wypełnicie misję, przybądź do mnie Grimo, a ja przywrócę ci dawną postać...

* * *

Fale obmywały piaszczysty brzeg. Słoneczna tarcza unosiła się ponad szare morze, miejscami ozłacając je swym blaskiem. Poszum uspokajałby z pewnością myśli i niósł ukojenie, gdyby nie wyjątkowe okoliczności.

– Czyś na mnie zły? – zapytał Czarnobrody, zasiadając na skale. Wywinąwszy nogawki spodni oraz zzuwszy buty, Bjarni moczył stopy w chłodnej wodzie.

– Już nie! – odparł Grimo. – Byłem zły ociupinkę, może nawet więcej niż krztynę, ale mi przeszło...

– Gdy rozstaliśmy się na czas zimy, zawitałem w górską dziedzinę, gdzie żyli dzicy. Był wśród nich taki, który pomógł komuś zmienić się w wilka... I ja... – Bjarni zawahał się, a jego myśli gdzieś błądziły. – I ja miałem wrażenie, że za sprawą jego guseł stałem się krukiem... Może ten, którego zowią Yilwahem, coś poradzi na twe zgryzoty? Czasem, gdy ktoś za długo siedzi w księgach, zapomina o tym, że prosty lud ma swoje sekrety, starsze czasem niż świat.

– Może i tak, ale uczonemu nie wypada z nich korzystać! – zapewnił Grimo.

– Czy nie uważasz jednak, że Meredith nieco nas wystawiła do wiatru? – mruknął Bjarni, targając nerwowo brodę.

– Nie, skądże – powiedział Grimo, wzlatując wyżej i otaksowując plażę z wysokości. Z pokrytych postrzępionymi chmurami niebios wciąż dobiegało jego krakanie: – Mam cel, a on jest najważniejszy!

Bjarni wzniosł do oczu niewielki szklany flakonik, w którym widać było ziarenko piasku.

– Ja za to jestem wściekły! – Pogromca Olbrzymów nie krył oburzenia.

– Bjarni, Bjarni... Nerwy nic tu nie pomogą! – Grimo wylądował na ramieniu towarzysza. – Czy Meredith nie dotrzymała słowa?

– Powiedziała, że Holgi skrył się na tej plaży i zmienił się w ziarenko piasku... Widziałem uśmiech na jej twarzy, gdy o tym mówiła... Tak z nas zakpić!

Uduśliłbym czarodziejkę, ale...

– Zmieniła się w sokoła i uleciała gdzieś wysoko – dokończył Grimo. – A mnie się zdawało, że to był ten sam sokół, którego zoczyłem, hen, lata temu, gdy szukałem ostatniej szansy na ucieczkę z lodowego pustkowia!

– Ziarnko piasku... – rzekł Bjarni, wlepiając wzrok w fiołkę. – Ziarnko piasku wśród milionów podobnych do siebie!

– Nie jakieś tam ziarenko piasku, drogi Bjarni, ale to konkretnie właśnie... W nie przemienił się czarnoksiężnik, kopiując je w każdym szczególe, a właściwie stając się nim, bo wyrażać należy się precyzyjnie, zwłaszcza gdy jest się mędrcem...

– Co to za różnica? – Bjarni z wściekłości aż zazgrzytał zębami. – Wszystkie ziarenka piasku są takie same!

– Mylisz się... – rzekł Grimo, przypatrując się fiołce. – To, które widzisz, jest akurat nieco większe niż przeważająca liczba tych, które zalegają na plaży. A gdybyś był pchłą, to ziarenko jawiłoby ci się jako głaz. Czy znasz zaś dwa identyczne głazy?

– Co teraz?

– Czas pomyśleć o odpowiednim sicie! – zawołał Grimo. – Czekałem dziesięciolecia, poczekam jeszcze chwilę... – Kruk spojrział na złocistą plażę, która wiała się milami. – Albo i dwie chwile! – dodał, prostując skrzydła.

* * *

...Ze wszystkich zagadek, które ciągną się za nim, ze wszystkich niedopowiedzeń i sprzecznych wersji zdarzeń minionych najbardziej biedzą się wszyscy nad końcem opowieści. Jak doszło do tego, że rozplynął się w mgłach, odbijając ku nieznanemu morzu i nie wracając już nigdy?

Mnie jednak się zdaje, że gdy zniknął z tego świata, narodził się na nowo gdzieś indziej, a z ziarna puszczonej w obieg plotki, wyrosło rozłożyste drzewo, w którego koronie owoce znajduje każdy, kogo obdarzono umiejętnością rzucania słów na wiatr.

Ja także buszuję wśród jego liści, które nigdy nie zaznają uwiądnienia jesieni, zieleniąc się wciąż w promieniach wiosennego słońca...

Z „Sagi o Kruku”

XIII. / I. Najdalszy brzeg

Wicher buszował pośród niezmierzonej połaci traw, która porastała ciągnącą się aż po horyzont równinę. Nic nie mąciło spokoju panującej wiosny, żaden obłok na przesuwał się po szarym niebie, wśród zieleni nie dało się dostrzec żywego ducha. A do tego cisza, w której niekiedy odzywały się tylko nieśmiałe podmuchy wiatru.

Najwyraźniej uciekinier ponownie zadrwił sobie z pościgu, choć zdawało się, że jest już na wyciągnięcie ręki.

– Uciekł! Znowu nam uciekł! – zawołał żałośnie Grimo, opadając w dół z przestworzy i patrząc na łąki. – A właściwie rozplynał się w powietrzu, co wydaje się trafniejsze... Jedno jest pewne, nie ukrył się na firmamencie, bo brak tam choćby najmniejszego obłoku!

– Wygląda na to, że będziemy musieli uzbroić się w cierpliwość – rzekł Bjarni, zatrzymując spienionego rumaka.

– Szelma! Łotr! Plugawiec! – skrzeczał Grimo i bił ze złości skrzydłami.

– Na nic twoje wrzaski. – Bjarni poklepał swojego wierzchowca po szyi. – Rumak niedługo pode mną padnie. Muszę mu dać odpocząć. Nie smuć się, Grimo. Jeszcze złapiemy Holgiego.

– Kiedy to nastąpi? – zapytało ptaszysko z irytacją, przestępując z nogi na nogę na ramieniu Bjarniego. – Ociągając się nic nie wskóramy. Stary spryciarz drwi sobie z nas od kilku dni, gubiąc wciąż pogoń! Pewnie przemienił się w jedno ze ździebeł trawy... Gdybym zaczął badać każde, choćby pobieżnie, gdzieś za kilka stuleci może i bym go znalazł!

– Nie zdziwiłbym się, gdyby faktycznie tak było – powiedział Bjarni, zeskakując z rumaka i prowadząc go w kierunku samotnego drzewa, w którego bujnej koronie buszował wicher. – Choć w tydzień poradziłeś sobie z odszukaniem właściwego ziarenka piasku.

– Wtedy jednak wiedziałem, którego ziarenka mam szukać!

– Zasiądź na gałęzi i daj wypocząć skrzydłom, przyjacielu – poradził Bjarni.

– Koń nasyci się soczystą trawą, a ja zdrzemnę się na chwilę i zjem coś, bo okrutnie burczy mi w brzuchu.

– Nie pora na biesiady! – zaprotestował Grimo. – Trzeba działać!

– Działać, działać... – Bjarni położył się pod drzewem i przeciągnął z jękiem, a potem wygrzebał z sakwy kawałek chleba i ser, które zaczął żuć z ochotą. Po chwili zaś rzekł: – Jeśli masz bystry wzrok, to wypatruj igły w stogu siana! Jedno źdźbło pośród łąki większej aniżeli włości niejednego króla, któremu służyłem?

Ciężka to próba... Może jednak uda ci się ta sztuka! Ale Holgi jest zawsze krok przed nami.

– Musimy zatem dać z siebie więcej!

– Albo i nic nie robić, gdy problem nas przerasta... Gadają niektórzy, że świat nasz jest okrągły jak kula, więc wystarczy się zatrzymać, a uciekinier wkrótce znowu pojawi się za naszymi plecami.

– Cóż za bzdury!

– Może i bzdury. – Bjarni westchnął. – Dotarłem do kresów krain danych ludziom pod władanie i wiem, że nasz świat nie przypomina kuli. To pewne... Wiem też, że wszystko jest takie, jakim zdaje się być w opowieściach – gdy ludzie zaczną gadać z umiłowaniem i przekonaniem o tym, iż świat nasz to jednak kula, która w dodatku się obraca, nie minie chwila, jak zdasz sobie sprawę, że nogi odrywają ci się od podłoża, a ty spadasz w bezkresną dal...

Grimo schował dziób w piórach.

– Mędrkujesz o naturze świata, a tu trzeba zastanowić się, co robić w naszej, przyziemnej sprawie!

– Powiedz mi, Grimo, czy można pochwycić coś, co zmienia swój kształt? Jak chcesz przechytrzyć kogoś, kto przeobraził się w głaz i sprowadził na nas lawinę w górach? Jak uwięzić człowieka, który wczoraj stał się na moment wichrem, co niemal przewrócił naszą łódź, gdy żeglowaliśmy po morzu? Nie zapominaj też, że uczyłeś się właśnie od niego. Wiesz tyle, co Holgi ci zdradził, albo co wykradłeś pod osłoną nocy z jego ksiąg.

– Masz wiele racji, Bjarni – powiedział Grimo, przemawiając z jednej z najwyższych gałęzi drzewa. – Jestem tylko uczniem tego, kogo chciałbym pokonać. Ale Holgi słabnie! Każde zaklęcie kosztuje go coraz więcej sił. Każdy kolejny czar nie może mu wychodzić z taką samą precyzją jak poprzedni. Z kolejną zaś nieudaną próbą powstrzymania naszej dwójki, wyzbywa się mocy. Ledwo już zipie!

– My również – powiedział Bjarni, kładąc pod głowę koc i zamykając oczy.

– Nie możemy się poddać!

– Nie zamierzam – burknął wojownik. – Zapewniam cię też, że z wielką ochotą rozpruję Holgiemu brzuch, a jego wnętrzności owinę mu wokół szyi, by przyozdobić czarnoksiężnika na wizytę padlinożerców... Musiałby to być niezły widok! Pamiętaj, że i ze mnie zakpił, chcąc wydać na pewną śmierć, a takich rzeczy się nie wybacza. Nie sztuka jednak dopaść przeciwnika. Wyczynem jest stanąć z nim do potyczki w takiej kondycji, by nie potknąć się ze zmęczenia o własne nogi! I ty ledwo machasz skrzydłami... Za to dziobem kłapiesz z tą samą energią!

– A było już tak blisko! – Grimo ponownie zaczął się żalić. – Gdy wartki strumień odciął nam drogę, wiedziałem, że czarnoksiężnik musiał schować się

w jego odmętach pod postacią wodnego stworzenia. Jak mogłeś być tak nieuważny? Trzymałeś go w dłoniach!

– Skąd miałem wiedzieć, że Holgi zmienił się w pstrąga?

– Zmienił się w pstrąga, który wpadł ci do buta!

– I go stamtąd wyciągnąłem, bo niepodobna chodzić z rybą w cholewie!

– Nie odróżnić przemienionego w rybę czarnoksiężnika od prawdziwego pstrąga... – Grimo zaczął kręcić głową.

– Ty zapewne powiesz mi, czy w kolczudze nie ma słabego ogniwa, albo czy miecz został dobrze wyważony? Każdemu przypadły w udziale inne zdolności. Holgi przemieniony w rybę był tak samo śliski i połyskliwy jak każdy inny pstrąg! A ja nie miałem wtedy wcale ochoty na rybę pieczoną nad ogniem... Gdyby zmienił się w kuropatkę, może bym rozważył, czy nie nadziać go na mój miecz i wyobrać nad ogniem, bo ptactwo pieczone kładę ponad wodne stwory... Cóż, stało się! – Bjarni machnął ręką, a zaraz potem zmarszczył czoło i rzekł: – Jedno mnie tylko wielce ciekawi.

– Co mianowicie? – Kruk zaczął układać swoje pióra.

– Dlaczego Holgi w swej rybiej postaci nie popłynął z nurtem rzeki i nie zyskał nad nami dystansu kilku staj?

– Holgi głupi przecież nie jest... – powiedział zaintrygowany Grimo, rozważając poruszony przez najemnika problem.

– Właśnie – rzekł Bjarni, wstając z miejsca i uważnie patrząc w dal, jakby chcąc przypomnieć sobie szlak własnej podróży. – Tego mu zarzucić nie można. Czarnoksiężnik to stary spryciarz. Udowodnił, że nie jest w ciemną bitą już nie raz... Zważ, że podąża wciąż w jednym kierunku.

– Czyżby przed nami nie uciekał?

– Raczej próbuje się pozbyć natrętów, którzy mu przeszkadzają, ale to nie my napędzamy jego marszrutę. Czarnoksiężnik podąża gdzieś z uporem, jakby w prostej linii, nie bacząc na szlaki. Dokądś się spieszy. Jeśli dobrze myślę, to gdyby utrzymał kierunek swej wędrówki, powinien zmierzać... – Bjarni zamyślił się, a potem wskazał na daleki punkt na horyzoncie. – O tam!

– Z tego, co widziałem z przestworzy, za równiną znajdują się klify, a potem nieznanne mi morze.

– Czy jesteś w stanie wypatrzeć jeszcze coś więcej? Wzleć na moment wyżej i zbadaj sprawę.

Kruk zrobił jak mu Bjarni poradził, a gdy zleciał z przestworzy, zakrakał ze zdziwieniem.

– Ot ciekawostka – odparł Grimo. – W miejscu, które wskazałeś, znajduje się jakaś chata i niewielka przystań. Dym unosi się ponad strzechą, a znak to, że ktoś waży tam strawę. Widziałem też małą, biedną rybacką łódź przy brzegu.

– Czyżby to tam właśnie zmierzał Holgi? – Bjarni zaczął się zastanawiać. –

Po co? By rozmówić się z rybakami o ich połowach? Spojrzeć ostatni raz na fale rozbijające się o klify? Poszukać muszli na kamienistym brzegu? Pożywić się małżami?

– Z jakiegokolwiek powodu by tam nie zmierzał, będzie to kres jego wędrówki! Nie widziałem dalekiego brzegu za morzem, znak to, że być może otwiera się za tą zatoką ocean, co prowadzi w pustkę, nie licząc kilku większych skał mijanych po drodze. A łódź, którą widać przy brzegu, dobra jest, by zarzucić sieci, ale nie, by udać się na daleką wyprawę.

– Możliwe też, że wzrok ci nie służy!

– Nie przeczę, istnieje i taka możliwość. – Kruk nastroszył pióra. – Mam jednak dowód na to, że jest zgoła inaczej.

– Tak? – mruknął Bjarni, łypiąc okiem na koronę drzewa. – Co żeś tam ciekawego wypatrzył z tej gałęzi?

– Wśród morza traw dostrzegłem właśnie zajęcze, postawione na baczność słuchy!

– Czy zamarzyła ci się potrawka z zająca? Nie upolujesz go pewnie, bo za duży dla ciebie, a ja nie mam zamiaru się ruszać...

– Nie, drogi Bjarni! Nie sądzę, by zając był zaciekawiony naszą dysputą. Ale co, gdyby miało się okazać, że to przemieniony w zająca czarnoksiężnik?

* * *

Tarcza rozgrzanego do czerwoności słońca, zakryta częściowo przez poszarpane kłębowisko chmur, powoli chyliła się ku zachodowi, a zbliżając się do linii horyzontu, barwiła niespokojne fale północnego oceanu na rdzawy, coraz ciemniejszy, z czasem niemal krwisty kolor. Wicher dął od morza. Na nieboskłonie kotłowały się krzykliwe tabuny mew i rybitw; ich wrzaski łączyły się z poszumem fal w jedną, natrętną pieśń.

Na szklącym się od blasku zachodzącego słońca morzu widać było niedużą łódź bez masztu i żagla, która wbrew prądom pchała się w kierunku otwartego oceanu.

– Czy go widzisz? – zapytał Bjarni.

– Tak! – odparł Grimo. – Holgi siedzi na pokładzie i odpływa w nieznane...

– Może to tylko miraż albo złudzenie, które ma nas wyprowadzić w pole, a raczej na niebezpieczne wody? Nie zdziwiłbym się, gdyby czarnoksiężnik zesłał na nas omamy, a sam zmienił się ponownie w ziarnko piasku, kryjąc się wśród przybrzeżnych wydm.

– Jak mówiłem, wyczerpał już swoje siły. I...

– Uciekł?

Grimo poruszył się nerwowo.

– Ciężko mi to przez dziób przechodzi, Bjarni, ale zdaje mi się, że

straciliśmy go na dobre. Chociaż dziwię się, dlaczego pognał w dal, która nie ma kresu. Jak już mówiłem, za tym morzem nie ma lądu. Wicher znad horyzontu nie przynosi żadnych głosów ani zapachów, jakby wracał z bezdni pustki.

– Nie trać nadziei! Zbliżamy się do samotnego domostwa.

– Rybacka chata – przytaknął Grimo z pewną obawą. – Ale stoi w tajemniczym miejscu, gdzie pewnie rzadko ktoś się pojawia... Lepiej trzymać się na baczności. Zachowajmy zatem ostrożność, Bjarni. Póki co zamilknę i będę udawał zwykłego kruka.

– Bardzo podoba mi się ta propozycja! – powiedział Bjarni z uśmiechem, spoglądając jednocześnie na zatokę, gdzie rozblęśło wątle, płynące z wnętrza domu światło.

* * *

Po krótkim powitaniu Bjarni zasiadł przy niewielkim stole, przypatrując się uważnie dwójce sędziwych gospodarzy. Kobieta pilnowała strawy i raz po raz mieszała w zawieszonym nad palenisku kotle, z którego unosił się zapach zupy rybnej. Mężczyzna jak gdyby nigdy nic reperował sieć, spoglądając czasem życzliwym okiem na gościa. Staruszkowie nie wydawali się zdziwieni tym, że ktoś ich odwiedza, jakby zbłąkani podróżni byli dla nich powszednim widokiem. Nawet wojownik, któremu na ramieniu zasiadał wielki kruk, budził u nich zwykłe zainteresowanie, ale z pewnością nie był przyczyną choćby najmniejszych niepokojów.

– Czy w te strony ktoś ostatnio przybył? – odezwał się w końcu Bjarni.

– Nie minęła godzina – powiedział rybak, nie przerywając swej pracy – jak pewien mężczyzna pytał o dalszą drogę. Nie zatrzymał się jednak u nas. Poszedł na przystań, by wyczekiwać swojego losu.

Dziwnie zabrzmiały te słowa. Bjarni spojrzał na Grima, a ten nerwowo poruszył się na jego ramieniu.

– Podejrzewam, że się nie przedstawił? – zapytał najemnik.

– Nie wyjawiał nam swojego imienia, prawdziwego czy fałszywego – odrzekła kobieta. – Wydawał się być bardzo ostrożny... I bardzo się spieszył.

– Rozglądał się wokół niespokojnie – rzucił rybak. – Jakby... jakby ktoś go ścigał. Może i sama śmierć – dodał patrząc Bjarniemu w oczy.

– Nie pomyliliście się wiele – odparł Czarnobrody.

– Nie nasza sprawa. – Starzec machnął ręką. – Jeśli coś was poróżniło, to nie pora o tym rozprawiać, gdy noc zapada.

– Czy pragniesz zjeść coś, panie, zanim ruszysz dalej? – zapytała kobieta, podchodząc do saganka. – Nieskromnie powiem, że wszyscy chwalą moją zupę i nikt nie wyszedł z naszej chaty głodny. A przecież czeka cię jeszcze, wędrowcze, daleka droga.

– Daleka droga? – zapytał Bjarni. – Czy nie dotarłem do kresu? Czy jest jakiś ląd za tym morzem?

– Tego nie wiemy – odparł rybak. – Ale odkąd pamiętam przybywają tu ludzie z różnych stron i wyprawiają się w drogę.

– Czyżby podróżowali tajemniczą łodzią bez żagla, którą widziałem o zachodzie słońca, gdy sunęła w kierunku otwartego morza? Nie dostrzegłem żadnej innej na przystani, poza tą właśnie... No i jeszcze waszą lichą łupiną, dobrą do tego, by wybrać się na połów, nie zaś na koniec świata.

– Przybija do naszych nabrzeży szara łódź – powiedziała gospodyni, nalewając do stojącej przed Bjarnim miski gorącą zupę. – Zdobią ją magiczne runy, których znaczenia my, ludzie nieuczni, nie znamy. Płynie sama: bez żagla, bez załogi, choćby i sternika. Odbija od brzegu i niesie śmiałka w dal. Zawsze powraca, ale już pusta.

– Dokąd niesie podróżnych, skoro nie ku nieznanym brzegom? – zapytał Bjarni, spoglądając na kruka. Grimo łypnął tylko okiem, dając znać, że nie wyczuwa w podanej wieczerzy żadnej trucizny. – Tak wielu chętnych wyprawia się w dal tylko po to, by napotkać śmierć? – rzekł ponuro i zabrał się z ochotą za jedzenie.

– Tego również nie wiemy – odparł rybak – I chyba nie chcemy wiedzieć. Co nam prostym ludziom do tego? Mamy swoją zatokę. W niej zaś żyje dość ryb, by nas wyżywić. Póki siły mi dopisują, będę je łowił.

Grimo zatrzepotał skrzydłami nerwowo, a potem, niespodziewanie dla gospodarzy, odezwał się:

– Każde słowo, które padło z ust tych ludzi, jest prawdziwe. Przypatrzyłem się też uważnie najmniejszej nawet drzazdze wystającej ze ściany i pyłkom kurzu. Holgiego tutaj nie ma. Jest już daleko, pewnie dalej niż dotarł ktokolwiek. Ale wciąż możemy go pochwycić! Gdy łódź powróci, jak to zawsze bywa, i my zabierzemy się na jej pokładzie w dal!

– Nie słyszałeś? – zagadnął Bjarni. – Łódź zawsze wraca bez podróżnego i wieść o tych, co popłynęli za morze, już nie dociera. Musi być zaczarowana. A jeśli tak, to z pewnością strzeże jej burt zła magia.

– Zaufaj mi, Bjarni. Dotychczas żaden uczony kruk, który poznał tajniki magii, nie wyprawiał się na kraniec oceanu! Każdy kraniec jest początkiem. Może jednak świat jest kulą i zaczniemy wszystko od nowa?

Staruszkowie spojrzeli na siebie ze zdziwieniem,

– Gadający kruk! – powiedział rybak, kręcąc głową. – Widziałem już podobnego, ale rozprawiał bez ładu i składu, naśladowując tylko ludzką mowę.

– Ten zdaje się być mędrcom – powiedziała staruszka, podchodząc do Grima i głaszcząc go po piórach.

– Dziękuję za miłe słowo, dobra kobieto! – rzekł kruk z radością, a potem,

spoglądając na swego towarzysza, dodał: – Nie od dziś wiadomo, że od prostych ludzi można zaznać często wiele uprzejmości, której brak nieraz szlachetnie urodzonym.

– Dajcie mu jakiś ochłap z dna sagana – odezwał się Bjarni – bo to jedyny sposób, by zatkał swój dziób.

Kobieta podeszła do paleniska i zamieszała w garnku.

– Zaraz znajdę ci jakiś smaczny kąsek – powiedziała czule.

– Dzięki, pani! – odparł Grimo. – Odwdzięczę się jakąś magiczną sztuką.

– Może sprawisz, by moje sieci stały się na tyle mocne – odezwał się gospodarz – bym już nigdy nie musiał ich reperować?

– To trudne zadanie – powiedział Grimo, skupiwszy się na wyłowionym z wywaru kawałku ryby. – Wszak nigdy nie zajmowałem się wodną magią.

– Wodną? – zdziwił się Bjarni. – Sieć to sieć. Nikt nie każde ci zmieniać mocy morskich przypliwów.

– Sieć staje się sobą jedynie za sprawą akwenu zasobnego w ryby i z siłami wodnymi musi się mierzyć – odparło ptaszysko, patrząc z ochotą na postawioną przed nim miską z ugotowaną rybią głową. – A magia przypliwów nie wiąże się z morską, jeno z księżycową mocą... To trudne zagadnienia, które przerastają twoją imaginację!

Grimo zaczął przestępować z nogi na nogę, jakby zastanawiał się nad czymś. Bjarni znał dobrze tę nerwowość. Gospodarz poruszył się nagle i podszedł do okienka, w którym widać było miriady gwiazd zawieszonych nad czernią morskiej toni.

– Zbliża się, prawda? – zapytał Grimo.

– Kto? Co? – zapytał Bjarni, odruchowo kładąc dłoń na rękojeści miecza.

– Łódź – odrzekł staruszek. – Zaraz przybije do brzegu.

– Pusta? – zapytał wojownik.

– Tak jakby – powiedział Grimo, strosząc pióra.

– Tak jakby? – zdziwił się Bjarni.

– Nie ma na jej pokładzie Holgiego, to pewne – odparł pobudzony Grimo. – Nie ma tam też nikogo, kto mógłby nazwać siebie żywym. Martwym również.

– Jest zatem pusta i niosą ją jedynie fale...

– Nie powiedziałem, że jest pusta. – Kruk połknął z ochotą kawałek ugotowanej ryby. – Łódź ma swojego sternika.

* * *

Gnana przez wiry i prądy łódź unosiła się z pozoru bezwładnie na falach, wciąż podążając ku nieznanemu horyzontowi. Wzburzona woda raz po raz wdzierала się na pokład, na którym srebrzystym blaskiem połyskiwały magiczne runy, chroniące łupinę przed wichrami, zdradliwym prądem i morskimi

lewiatanami. Jednak choć niebo obleczone było czernią, a fale atakowały wściekle burty, powietrze nie poruszało się nawet nieznacznie.

Bjarni, przesiąknięty słoną wodą, mając na ramieniu sędziwego kruka, który podczas tajemniczego rejsu nie odezwał się ani słowem, spoglądał z uwagą na rufę, gdzie dało się dostrzec obleczoną w czerń postać z twarzą osłoniętą kapturem.

– Jesteś sternikiem tej łodzi, nieprawdaż? – zapytał Bjarni. – Wszyscy myślą, że okręt mknie po morzu za sprawą magii.

– *Bo to prawda* – odpowiedziała postać, a ton jej głosu przywoływał wspomnienie porzuconych światów, które każdy nosi w zakamarkach swej duszy. – *Ale gdy udajesz się w najdalszą z podróży, dobrze jest mieć do kogo otworzyć usta. Nie jestem sternikiem, ale tym, kto pobiera opłaty za podróż. Uczciwie jest płacić za usługę.*

– Nawet jeśli przed nami niewiadomy cel? – powiedział Bjarni, kładąc dłoń na rękojeści miecza. – Skoro nie nosisz imienia, to pozwolisz, że będę cię przezywał Sternikiem? Jakoś musimy się do siebie zwracać.

– *Dobrze. Mnie wszystko jedno, ludzie od wieków jakoś mnie tytułują... Ja zatem będę nazywał cię Pogromcą Olbrzymów. To miano zresztą przyłgnęło do ciebie w różnych opowieściach, choć chyba nie jest ci miłym?*

– Zwracaj się do mnie jak chcesz. W końcu to ty jesteś gospodarzem... A zatem, Sterniku, dokąd płyniemy?

– *To pytanie powinieneś zadać w pierwszej kolejności sobie. Pożeglujemy tam, dokąd zechcesz. Ty wskażesz drogę. Ja poczekam, aż się zdecydujesz.*

– Sam jeszcze nie wiem... – Bjarni zamyślił się. – Czy przewoziłeś tą łodzią czarnoksiężnika, którego zowią Holgi?

– *Nigdy nie pytam o prawdziwe imiona, choć zwykle je znam* – odparł szczerze Sternik. – *Przewoziłem tą łodzią wielu ludzi. Ostatnio kogoś, kogo imienia nie poznałem. Może zwano go Holgi? Kto wie? Żądam jedynie uczciwej zapłaty, o czym już wspomniałem.*

– Czy aby nie zbliżamy się do krańca świata? – zapytał Bjarni, wstając z miejsca i patrząc w horyzont, który zdawał się niknąć.

– *Do jego krańca i początku. Jakbyś był w miejscu, w którym słońce wstaje i zachodzi jednocześnie.*

– Świat jest zatem wielką kulą, jak mawia wielu.

– *Świat to jedynie opowieści. Może w nich być kulą, może być dyskiem lub włócznią rzuconą przez bogów. Czy to zmienia beznadzieję ludzkiego losu?*

Bjarni poczuł, że od ciągłego bujania robi mu się niedobrze.

– Skąd ten przeklęty sztorm? – rzekł, spoglądając w czarne od chmur niebo. – Nie szaleje przecież nad nami burza, choć niebo zasnutę i nie czuję podmuchów wichru...

– *Można na twe pytanie odpowiedzieć na różne sposoby, a każdy będzie*

bliski prawdy, jednocześnie nie przynosząc zadowalających cię wyjaśnień. Widzę w twych oczach obraz mroźnych krain Północy. Spróbuję zatem odpowiedzieć ci w sposób, który wyda się jasny komuś, kto żył pod byстрыm spojrzeniem jednookiego boga, co zna magię oraz poezję i także gadał z olbrzymami. Twój lud powtarza opowieści o wielkim wężu, który jest tak długi, że opasa cały świat, nieprawdaż?

– Jormungand!

– *Tak, tak... Jormungand. Przypominam sobie. Jeśli wierzyć podobnym opowieściom, to w tym miejscu właśnie dziecię Lokiego pożera swój ogon, a gdy porusza się, wznieca morskie wiry.*

– Mam w to uwierzyć?

– *Nie musisz – odparł Sternik, spoglądając w dal. – Właściwie to bez znaczenia. Ale wędrując po różnych krainach, zapewne już zdążyłeś się dowiedzieć, że istnieje tylko to, w co sami wierzymy. Czy twoi bogowie mieli coś do powiedzenia we włościach, których nigdy nie widzieli na oczy? Tam można było z nich kpić, nie doczekawszy kary.*

Gdy sternik skończył wypowiadać te słowa, jakąś milę dalej woda się zakotłowała. Z odmętów wzburzonego morza wyłoniła się, choć tylko na moment, ogromna paszcza morskiej bestii. Bjarni zaniemówił, a Grimo zaczął bić skrzydłami. Łódź zrosiły fontanny wody wyrzuconej ku niebiosom przez morskiego węża.

Po chwili Jormungand skrył się na powrót w bezdni oceanu.

– *Może to tylko sen? – zapytał rozbawiony Sternik. – A może inna złuda? W tym miejscu prądy z różnych stron krzyżują się. Czas może zawrócić, poprowadzić nas w dowolną stronę... Na razie prądy niosą nas w kierunku krańca.*

Bjarni wyteżył słuch. Zdawało mu się, że słyszy huk wodospadu. Czyżby zbliżali się do krawędzi, pustki, w której spadały morza oceanu?

– *Musisz się zdecydować. Zaraz dopłyniemy do kresu. Może to być też początek, jeśli zechcesz, ale zanim zaczniesz świtać po długiej nocy, musisz mi powiedzieć, jaki jest cel tej podróży... Dokąd zmierzasz, Pogromco Olbrzymów?*

– Nie wiem, Sterniku. Zawsze podążałem przed siebie.

– *Czy zatem sam nie wymyśliłeś sobie tego, że przekleństwo rzucone na wiatr przegania cię z miejsca na miejsce?*

– *Może. Nie mogę tego wykluczyć. Ale to nie zmienia faktu, że gdy zabawię gdzieś dłużej, to wciąż słyszę śmiech Glamrunga.*

– *I pewnie chciałbyś się go pozbyć z własnej głowy? To nic trudnego.*

– *Co będzie zapłatą? – zapytał Bjarni, patrząc w oblicze Sternika tak, jak spogląda się w pustkę bezdni. – Pamiętam, że mówiłeś o słusznym wynagrodzeniu.*

– *Dusza – odparł Sternik. – Tyle mi wystarczy.*

– *To wiele. – Bjarni spojrzał posępnie w toń morza.*

W tym momencie Grimo zaczął skrzeczeć nerwowo, a potem odezwał się ludzkim głosem:

– Ach, przestań się użalać! Bjarni, to przecież jedyna szansa, by dopaść Holgiego. Ten, którego przezwalesz Sternikiem, nie kłamie. To miejsce, gdzie wszystko ma swój kres, a zarazem nowy początek. Przenieś się do momentu, w którym po raz pierwszy ujrzałeś mnie i Holgiego, zanim jeszcze zaczął podejrzewać, że jesteś kimś więcej niżli tylko wojownikiem. Spętam go magiczną formułą, a ty przesyjesz czarnoksiężnika mieczem. Oddam za to swą duszę! Nie było mowy, że to twoja ma być zapłata... Ty tylko dopełnij zemsty!

– *Nie przypuszczałem* – odezwał się Sternik z zaciekawieniem – *że kruk, którego nosisz na ramieniu, jest kimś więcej aniżeli ptakiem... Ale skoro ujawnił się, to muszę przytaknąć jego słowom. Zażądałem duszy, nie wskazałem jednak czyjej. Jeśli twój towarzysz jest skłonny oddać swoją, mogę ją wziąć jako zapłatę. Myślałem, że zabieram ze sobą jedną osobę, kruka wliczyłem w cenę, więc mogę zażądać zapłaty za jednego z was. Kruk, nawet z ludzką duszą, to nie człek. Rachunek będzie się zgadzał.*

– Tak, oddam duszę, jeśli chwila tego wymaga! – zakrakał Grimo. – Jest ludzka, tak jak tych, którzy chodzą na dwóch kończynach i noszą przy boku miecz! I tak jestem uwięziony w obcym mi ciele, które już wkrótce zamieni się w truchło... Oddam wszystko, Bjarni, za to, byś dopadł czarnoksiężnika, co trzymał mnie na uwięzi przez lata!

– Niech tak będzie – powiedział Bjarni. – Uratowałeś mi życie, wyciągając z pułapki zastawionej przez Ragnira. Pora wypełnić to, co ci wtedy obiecałem.

– *Łódź zbliża się do kresu* – rzekł Sternik. – *Musisz zatem zdecydować, Pogromco Olbrzymów, gdzie ma cię ponieść jej magiczna siła.*

Bjarni zaczął się zastanawiać, szarpiąc za swą czarną brodę.

– No dalej, Bjarni! – ponaglał Grimo. – Czas ucieka!

– Pragnę powrócić do chwili, gdy zobaczyłem Holgiego po raz pierwszy. Skrócę go o głowę, na co zasłużył zresztą... To słuszna zapłata za jego knowania.

– Tak, tak właśnie! – zawołał radośnie kruk. – Nawet jeśli nie upiję się jego krwią i nie będę rozrywał dziobem jego wnętrzości, będę zadowolony. Dopadnę go, tak czy inaczej, w zaświatach!

– *Dobrze, tak właśnie będzie* – odparł Sternik. – *Kres jest tuż.*

– Żegnaj, Grimo! – powiedział Bjarni, głaszcząc towarzysza po szyi.

– Bywaj Kruku! Coś mi mówi, że zobaczymy się jeszcze.

* * *

Otworzył prawe oko i zobaczył pustkę. Chwilę potem podniósł lewą powiekę, by dostrzec, że świat przykrywa mglista zawiesina. Więcej podpowiedziały mu pozostałe zmysły. Huk rozbijających się o brzeg fal wydawał

się nieznośny, ale uświadomił sobie dzięki niemu, że leży przy brzegu. Było też straszliwie zimno. Pod palcami poczuł śnieg, który kęsał skórę lodowym dotykiem. Z północy dął wicher. W ustach czuł smak krwi.

Skąd przybywał? Z odmętów nieznanego morza. Gdzie się znalazł? Tego nie potrafił stwierdzić. Co mógł o sobie powiedzieć? Był najemnikiem. Pochodził z Północy. Ojciec imieniem Sven nadał mu imię Bjarni, ale ludzie przewali Krukiem z powodu czarnych włosów.

Ale teraz nie był w stanie się podnieść. Kątem oka widział innych, zapewne martwych rozbitków wyrzucanych przez wzburzone morze.

Podnieśli go dwaj rośli mężczyźni, ubrani w kolczugi, z mieczami u pasów. Zaraz potem Bjarni zobaczył nad sobą postać starszego już człowieka o łysej częściowo czaszce i zmierzwionej brodzie, ubranego w powłóczysty, podbity futrem płaszcz. Na ramieniu nieznanego zasiadał kruk; na skrzydłach i piersi ptaszyska widać było siwe pióra. Kruk przypatrywał się rozbitkowi z ciekawością.

Nieznajomy pochylił się, zdejmując z ramion płaszcz, którym nakrył Bjarniego.

– Pospieszylimy z pomocą, widząc wyrzuconych przez morze. – Mężczyzna odezwał się ciepłym, głębokim głosem – ale nikt, prócz ciebie, nie przeżył... Tacy jak ty często uchodzą śmierci o włos. Rozpalcie ognisko pod tamtą skałą! – rozkazał swoim sługom, którzy tylko czekali na polecenia.

– Tacy... tacy jak ja? – wyjęczał Bjarni, czując, że wraca mu czucie w rękach. Pamięć też, ale szczątkowo. Przed oczami przewijały się tajemnicze obrazy. Sztorm? Nie, wielkie cielsko morskiego węża wzburzyło wodę. Łódź zatonała wraz z całą załogą, rozbijając się o grzbiet potężnego Jormunganda.

Nie, to musiał być sen.

– Tak, tacy jak ty. Najemnicy... – odparł nieznajomy, pomagając rozbitkowi przenieść się pod skalny wyłom, gdzie słudzy ułożyli kilka szczap pochodzącego z rozbitego okrętu drewna. – To właśnie miałem na myśli. Nie chciałem cię urazić... Widać od razu, że jesteś siewcą śmierci. Świadczą o tym blizny na twym ciele i złowrogie spojrzenie.

– A ty, mój wybawco, kim jesteś? – Czarnobrody wyciągnął dłonie w kierunku ognia, który sam z siebie zaczął gorzeć, obejmując strzępki drewna. Magiczna siła? Zapewne. Czy płomień mógł być tak żywy, gdy podsycalo go kilka mokrych kawałków potrzaskanych desek?

– Bjarni Kruk jest twoim dłużnikiem – rzekł najemnik, patrząc z nieufnością na swego wybawcę.

– Zbyt pochopnie zdradzasz swoje imię, a to może kiedyś doprowadzić cię do zguby – ostrzegł nieznajomy z tajemniczym uśmiechem.

– Tylko czarnoksiężnik mógłby zapanować nad moim życiem, znając moje imię. A i to niepewne, bo musiałby najpierw wypowiedzieć słowa klątwy. By

dobyć miecza, wystarczy natomiast mgnienie oka.

– Skąd wiesz, że nie jestem właśnie czarnoksiężnikiem? Znasz człowieka, który potrafi w jedną chwilę rozpaść ogień z pomocą oblodzonych drzazg, bo jak nazwać inaczej te kawałki drewna?

– Rzeczywiście – odparł Bjarni, wpatrując się w płomień. – Zręczna sztuczka.

– Nie lękasz się mnie, wiedząc, że rozporządzam tajemną mocą?

– Cóż mam rzec? Zabijałem też magów – rzucił Bjarni z uśmiechem. – Wybacz szczerą. Najemnicy tak mają – dodał, mrugnawszy okiem.

– Masz rację. – Czarnoksiężnik odwzajemnił uśmiech. – Napij się tego – powiedział, wyciągając w kierunku Bjarniego ozdobiony runami bukłak. – Napitek doda ci siłę i rozgrzeje. A jeśli chcesz znać moje imię, to wyjawię ci je. Mówią na mnie Holgi.

– A zatem, czcigodny Holgi, wygląda na to, że to bogowie zesłali mi ciebie – odparł Czarnobrody, przytykając do ust bukłak.

– Może być i tak, prawda Grimo? – Mężczyzna pogłaskał po szyi kruka, gdy ten ponownie wylądował na jego ramieniu. – Jesteś pewnie głodny, co? Zaraz przygotujemy strawę.

– Jak mógłbym się odwdziżyć za ratunek? – zapytał Bjarni. – Gdyby nie ty, pewnie zamarzyłbym na śmierć.

– Och, każdy uczciwy człowiek pomógłby potrzebującemu. Nie mogą żądać nic w zamian. Ale jeśli czujesz się zobowiązany... rzeczywiście możesz mi pomóc. – Holgi uśmiechnął się chytrze.

– Mów w jaki sposób mój miecz może ci się przysłużyć. Z okrętu, na którym miałem być eskortą, zostały tylko strzepy. Mam czas, by zająć się innymi sprawami.

– Dzień drogi stąd znajduje się nadmorska miejscina – rzekł czarnoksiężnik. – Za nią rozciąga się prowadzący w góry szlak. Niestety droga ta, choć dogodna dla kupców przybywających z dalekich krajów, nie jest już przejezdna.

– Co jest powodem? – Bjarni ożywił się. – Zbójcy?

– Olbrzym.

– Syn Jotunheimu? – w oczach Kruka zapalił się ognik zaciekawienia.

– Czyż to nie wyzwanie dla najemnika, któremu nawet magowie nie są straszni?

– Tak. To może być wyzwanie dla mnie. Żaden z ludzi nie zgładził jeszcze olbrzyma, choć paru śmiałkom z pomocą podstępnie udawało się uciec przed gigantami. – Bjarni zamyślił się, a tłący się w jego oczach blask zaczął przygasać. – Ale choć nie czuję strachu, to nie oznacza, że jestem głupi. Czemu miałbym dokonać czegoś, co nie udało się nikomu? No, może gdyby pomagali mi bogowie...

– Albo czarnoksiężnik, który zna trochę sekretów – rzekł Holgi, nachylając

się w kierunku Bjarniego. – Sądzę, że nie spotkaliśmy się przypadkiem... Chcesz poznać owe sekrety? Ależ proszę... Jeden z nich jest taki oto, że Glamrung, a tak właśnie zowią olbrzyma z pobliskich gór, jest niezwykle łasy na złoto. Gdy zaś bywa głodny, a teraz dręczy go okrutny głód, bo dawno nikt nie przechadzał się górskim szlakiem, jego zmysły są stępione i ostrożność u niego idzie w łeb. Uwierzy wtedy w każdą bajkę.

– Hmm... – Bjarni zaczął się zastanawiać. – Trzeba zatem znaleźć sposób, by go przechytrzyć.

– Nie znasz pewnie starej opowieści, która krąży od lat po okolicy?

– Nie miałem jeszcze okazji znaleźć się w tych stronach.

– Posłuchaj zatem historii o Ingolfie Ślepcu... – rzekł Holgi i zaczął snuć pewną opowieść, powtarzaną pod wieczór w okolicznych domostwach. Ta szybko rozpałała wyobraźnię zasłuchanego Bjarniego.

* * *

Słońce podniosło się już wyżej, choć za sprawą pochmurnego nieba i mgieł zdawało się, jakby dopiero zaczęło świtać. Bjarni jechał na wozie, mając za towarzysza czarnoksiężnika Holgiego. Czarny kruk zasiadał na ramieniu maga i przysłuchiwał się toczony przez ludzi dyskusji.

– Uratowałeś mi życie – odezwał się Kruk. – Dalesz cenne rady, które mogą uczynić olbrzyma bezbronny jak dziecko. To dużo...

– Och, to nic wielkiego – odparł Holgi. – Często podążam tym traktem, a odkąd Glamrung osiadł w górach, muszę obierać okrężny, niewygodny szlak. Przepędzenie lub zabicie olbrzyma leży też w moim interesie.

– Dlaczego sam go nie zgładzisz? Masz pod sobą ludzi, a do tego rozporządzasz sprytem i magicznymi arkanami.

Czarnoksiężnik uśmiechnął się tylko.

– Są zadania dla magów, są dla najemników. Jak świat światem, reguły opowieści dawno temu zostały ustalone.

– Pewnie masz rację.

– I jeszcze jedno, drogi Bjarni. Gdy w końcu znajdziesz się na szczycie wielkiej góry, by stoczyć ostateczną potyczkę z potężnym Glamrungiem, sprawię, że los skieruje cię na inną ścieżkę. Dzięki temu nie spotkamy się już nigdy potem, jak to czasem zdarzało się w niektórych sagach.

– Nie pojmuję twych słów... – Bjarni spochmurniał.

– Nie musisz ich rozumieć – odparł Holgi, patrząc z wozu na mijany krajobraz, pełen szarości i pustki. Czarnoksiężnik pstryknął palcami, a Bjarni na moment skamieniał. – Za chwilę odjadę – rzekł Holgi, spoglądając w ciemne oczy najemnika – a ty nie będziesz pamiętał tego, co teraz ci powiedziałem, poza tym, że warto poszukać szczęścia w starciu z olbrzymem. Czyż nie sprytnie to sobie

wymyśliłem? Przenieśliśmy się wszyscy do jednego momentu, uciekając przed kresem. Wiedziałem doskonale, że będziesz chciał powrócić do chwili, w której przestałeś mieć wpływ na własny los. Wiedziałem też, że Grimo nie pozwoli ci na to i będzie namawiać, byś się ze mną rozliczył. Ale wszystko dało się poukładać tak, byśmy wspólnie rozwiązali nasze sprawy, bez rozlewu krwi i wzajemnych waśni. Istniało ryzyko, owszem, ale warto było spróbować. – Holgi z uczuciem pogłaskał po piórach kruka. – Biedny, stary Grimo... Myślał naiwnie, że mnie przechytrzy! Chciał, byś się przeniósł do chwili, kiedyś mnie po raz pierwszy zobaczył... Zapomniał, że było to trochę wcześniej. Naprawdę sądził, że zawsze pozwalam mu wiedzieć i rozumieć wszystko? Jest teraz tylko sędziwym krukiem, niczym więcej i nie pozwolę już mu nabrać rozumu... Może nawet odezwie się ludzką mową, ale tylko po to, by naśladować czyjś głos, nie zawsze zresztą umiejętnie. Stare, głupie ptaszysko mniej mi będzie pomocne niż uczone i wyznające się na magii, ale przynajmniej nie będzie spiskował za moimi plecami... Nienawidzę zdrajców! Gdybym wiedział, jak mnie potraktuje, nigdy bym go nie dopuścił do sekretów.

Holgi pstryknął palcami ponownie, a Czarnobrody jakby otrząsnął się z letargu.

– Zaczynam się ciebie obawiać – mruknął Bjarni, wpatrując się w czarnoksiężnika. – I nie mam pewności, czyś w pełni rozumny... Mówisz do mnie, jakbyśmy się znali dłużej aniżeli chwilę. Prawisz o rzeczach, które miały się już wydarzyć, a których nie pamiętam. Mówisz też o przyszłości, jakby się już wydarzyła.

– Słyszałeś coś z tego, co mówiłem do ciebie? – zdziwił się Holgi.

– Niewiele. Twój głos dochodził do mnie jak przez grubego mur, jakbym nagle znalazł się w innym miejscu.

– Dziwne. Czyżbyś posiadał moc rozpoznawania magii i ułudy, z której nie potrafisz jeszcze skorzystać? Może to dar od Glamrunga...

– Czy mówisz o tym, z kim mam się spotkać? Mowa czarnoksiężników przypomina mi coraz bardziej dziecięce gaworzenie, w którym brak sensu.

– A czy świat ma sens i czy jesteśmy w stanie poznać prawa, jakie nim władają? – Holgi rozłożył ręce i zdawało się, że w tym właśnie geście zawierała się przewrotna odpowiedź na wszystkie ważne pytania. Czarnoksiężnik roześmiał się głośno, a Grimo zatrzepotał skrzydłami na jego ramieniu, jakby sam chciał zerwać się do lotu. – Zaraz wszystko potoczy się innym rytmem, a my już nigdy się nie spotkamy. – Czarnoksiężnik poprawił na palcu pierścień z rubinem większym niż ziarno fasoli. – Teraz pora już na nas. Daleki cel czeka... – Wóz zatrzymał się, a gdy Bjarni uchylił skórę, która przesłaniała widok, zobaczył ośnieżone szczyty gór. – Gotowy, by na wieki zapisać swe imię w sagach? – zapytał mag.

– Tak – powiedział Bjarni, sprawdzając miecz u pasa.

– Żegnaj zatem. Oby bogowie ci sprzyjali... Słyszysz? Dobiega do nas odgłos głośnego chrapania. Ziemia trzęsie się! To Glamrung odpoczywa wśród kości pożartych przez siebie ludzi...

– Nie wiem wciąż, kim jesteś – powiedział Bjarni, zeskakując z wozu – ale dziękuję za wszystko. Może się jednak jeszcze spotkamy?

– Polubiłem cię, Bjarni – rzekł Holgi, podnosząc dłoń na pożegnanie. – W innym miejscu, o innej porze, może moglibyśmy razem pomóc sobie i podbić niejedno królestwo. Ale nasze szlaki nie powinny się widać krzyżować.

– Bywaj zdrów!

– Powodzenia! Coś mi mówi, że już wkrótce usłyszę o tobie w pieśniach! Pamiętaj o jednym... Nie zdradzaj nigdy swego imienia! Zwłaszcza zaś tym, którzy rozporządzają wiedzą magiczną lub żyją przez wieki. Nie wyjaw Glamrungowi, kim naprawdę jesteś! To klucz do wszystkiego...

– Będę pamiętał – rzekł Bjarni, znikając pośród mgieł zasnuwających kamienisty szlak.

* * *

W głowie mu wirowało. Odbijające się od śniegu promienie słońca poraziły jego oczy. Nie widział wiele, choć może i tak więcej niż powinien? Wydarzenia minionych dni i lat, pojawiały się jedno po drugim, jakby to wszystko miało zginąć i przepaść w jedną chwilę.

Poranione i pogruchotane ciało pulsowało bólem. Z trudem łapał powietrze, a każdy oddech palił piersi żywym ogniem. Wciąż jednak udawało mu się jakoś stać na nogach. Zmęczone ramię nadal trzymało okrwawiony miecz.

Olbrzym za to nie podnosił się z kolan. Jedno oko łpało niespokojnie; po drugim zaś pozostało jedynie wspomnienie. W zalanym krwią, pustym oczodole czaiła się ciemność.

– Pokonałeś mnie... – rzekł Glamrung, kładąc się na kolanach i wspierając się na jednej ze swych mocarnych dłoni. – I oszukałeś!

– Któż o tym będzie pamiętać?

– Masz rację... – Olbrzym pokiwał ze zrozumieniem głową. – Pieśni układa tylko twój człowieczy lud. Macie swoich magów od rzucania słów na wiatr. Nazywa się ich skaldami, prawda? Opowieści dyktuje im zawsze ten, kto odniesie zwycięstwo. To niesprawiedliwe! Czy nie ciekawiej... Czy nie ciekawiej byłoby choć raz wysłuchać pokonanego?

– I mnie się czasem zdaje, że nie o tym prawią skaldowie, o czym warto byłoby usłyszeć...

– Muszę docenić twoją zmyślność – rzekł Glamrung, plując krwią i uśmiechając się mimo bólu. – Było paru odważnych... Paru, którzy stawali przeciwko mnie twarzą w twarz. Po... pożarłem ich ze smakiem... Czy wyjawisz mi

swe prawdziwe imię, zuchwalcze? Daję ci słowo, że nie wykorzystam tej wiedzy do niecnych celów. Chcę tylko wiedzieć kto... Kto mnie zgładził. Czy to tak wiele?

Bjarni wyciągnął przed siebie miecz, z którego ostrza spływała ciemna, gęsta krew olbrzyma.

– Zbyt często padały z naszych ust słowa kłamliwe. Nie warto rezygnować z ostrożności u kresu opowieści.

– Tak, masz rację, drogi Bjarni – rzekł Glamrung, a Czarnobrody poruszył się nerwowo, widząc na twarzy olbrzyma chytry uśmiech. – Nie dziw się. Nie dziw, najemniku... Znam twoje prawdziwe imię! Chciałem tylko sprawdzić, czy zachowasz jasny umysł do końca. Nie zawiodłem się... Nie zaprzeczaj tylko, że się tak nie zowiesz! Sam... sam dowiedziałeś się w porcie, że jestem łasy na złoto i stare opowieści. Jest tak... jest tak rzeczywiście. Grzebałem w mej pamięci, a trudne to... Trudne, gdy jest się wyczerpanym. Ale przypomniałem sobie opowieści o pewnym śmiałku, którego przezwano Krukiem z powodu czarnej brody i czupryny...

– To dla mnie zaszczyt, skoro istoty pochodzące z innych światów wiedzą coś o mnie. – Bjarni wznosił miecz. – Nie zdążysz jednak wypowiedzieć słów przekleństwa.

– Nie chcę tego! – zaprzeczył stanowczo Glamrung. – Pokonał mnie ktoś znaczny... To lepiej niż miałyby mnie zadźgać banda kmieci... Pragnę tylko jednego, Bjarni, a skoro dzięki mnie... Skoro dzięki mnie okryjesz się wieczną sławą, to chyba możesz coś dla mnie zrobić? Niechaj w opowieści o dzielnym i sprytnym wojowniku, który udając ślepcę Ingolfa omamił... omamił wizję zdobycia skarbu naiwnego olbrzyma... Niech w tej opowieści ostatnie słowo należy do mnie. Niechaj śmierć... – Glamrung zawahał się. – Śmierć, co za okrutne słowo! Nie używa się go w mym rodzie zbyt często... Niechaj moja śmierć będzie donioślejsza... Niechaj mój głos zadźwięczy raz jeszcze w górach, niosąc przerażenie!

Bjarni zrobił dwa kroki do przodu i wznosił miecz, by ściąć Glamrungowi wielką głowę.

– Żegnaj... żegnaj Pogromco Olbrzymów! – zawołał gigant i ostatkiem sił, nim Bjarni zdążył zadać ostateczny cios, rzucił się w lodową przepaść.

A kiedy tak leciał w dal, jego głos zabrzmiał raz jeszcze i zdawało się, że czas spowolnił.

– Zwiedziłem wszystkie światy i zaświaty, Bjarni. Natrudziłem się, by rozczytać uczone księgi, we wszystkich alfabetach, jakie stworzono. Przez tysiąclecia wsłuchiwałem się w głosy różnych stworzeń, poznając także ludzkie opowieści. Ale wiedz, że nie znalazłem sensu i odpowiedzi na pytania, które sobie zadawałem. Pokonałeś mnie zatem, bo ci na to pozwoliłem, widząc bezsens dalszej drogi...

Żałosny głos rozbrzmiał głucho w dolinie. Po chwili ciało Glamrunga uderzyło z hukiem o podnóże góry. Ziemia trzęsa się przez chwilę, a ze szczytów zeszyły gwałtowne śnieżne lawiny.

Czarnobrody wojownik, wspierając się na mieczu, wahał się chwilę. Zrobił jednak z trudem krok do przodu i podchodząc do skraju przepaści, zawołał najgłośniejszym jak potrafił:

– Ja jestem Bjarni Kruk, syn Svena! – Wśród przełęczy zabrzmiał tym razem ludzki głos, donośny i śmiały. – Niechaj wszyscy się dowiedzą, że zabiłem olbrzyma Glamrunga, syna Jotunheimu!

* * *

Stada padlinożerców spoglądały z ochotą na wielkie cielsko, które leżało pośród oblodzonych skał. Ośnieżony stok obficie spływał krwią, jakby co najmniej setka mężczyzn została rozplątana w szaleńczej potyczce. Czerwień barwiła rozległą połąć śniegu. Krew skapywała do strumieni, które pod pokrywą lodu wciąż gnały ku fiordom.

Bjarni zasiadał na odrąbanej głowie olbrzyma i wsparłszy nogę o wielki, czerwony nos Glamrunga, spoglądał w dal. Nie potrafił ukryć uśmiechu, nawet wtedy, gdy jego oczom ukazało się kilkoro ludzi. Wyszli z mgieł, przyglądając się nieznanemu im wojownikowi i jego trofeum. Patrzyli ze zgrozą i zaciekawieniem jednocześnie.

– Przygnał nas tu wichur, panie – odezwał się jeden z chłopów – który przyniósł wieść, że krwiożerczy Glamrung dokonał żywota. – To, co widzimy, przerasta jednak wszystko, cośmy sobie wyobrażali.

– Stało się tak rzeczywiście – odparł Bjarni, wstając z miejsca. – Nie musicie się już lękać. Wiosna się zbliża. Stoki zazielenią się od soczystych traw i znowu będziecie mogli wypasać swe stada. Woda zmyje krew olbrzyma. Świat znowu będzie przyjaznym miejscem.

Mężczyźni, choć trwożnie, podeszli bliżej, by zobaczyć ciało giganta. Jeden z wieśniaków po chwili wahania wszedł na wielką dłoń.

– Czy opowiesz nam, panie – rzekł jeden z przybyłych – jak do tego doszło? Opowiesz nam o tym, jak pokonałeś Glamrunga?

– A może... – inny z chłopów zawahał się. – Może jesteś jednym z bogów? Wybacz zatem, żeśmy nie skłonili się dość nisko.

Bjarni spojrział na ośnieżone szczyty gór.

– Jestem człowiekiem... Nikim więcej! Skoro zaś chcecie posłuchać mej opowieści... Hmm... Lepiej sprawiłby się skald, może uda spotkać się na szlaku jakiegoś, to poproszę, by zamknął bajanie w strofy... Od czego zacząć? – Bjarni podrapał się po głowie. – Siedziałem w pewnej portowej tawernie, gdy przysiadł się do mnie ślepy wróż, którego zwali Herjolfem... Tak, to on pierwszy powiedział

mi, że Glamrung zaczął dokazywać w górskiej przełęczy...

Bjarni przerwał, nim dobrze zaczął. Wielki kruk, z piórami, w których białały pasma siwizny, przysiadł na zakrwawionym palcu olbrzyma.

– Grimo... – rzekł Bjarni, jakby do samego siebie, przywołując z dawna zapomniane imię. Skąd je znał? Czemu tak wiele porzuconych światów otworzyło się w jego myślach, gdy wypowiedział to miano?

Zaraz jednak wszystko to zbladło, a Bjarni powrócił do snucia opowieści, której słuchali ludzie, leśne ptaki i wiatr.

Wkrótce trudno było znaleźć kogoś, kto nie słyszałby o Bjarnim Kruku, Pogromcy Olbrzymów. A że każdy powtarzał inną wersję tego samego bajania, wielu uznało niesłusznie, że nie ma w nim ani krzty prawdy.

KONIEC

Podziękowania dla Marii Wróbel, Jacka Łukawskiego i Adama Podlewskiego, którzy na różnych etapach wyprawy pomagali Krukowi śmieiej przemierzać krainy zrodzone z magii.

Pierwotna wersja Pieśni I ukazała się w *Creatio Fantastica* nr 4 (46) 2014 jako „Przekleństwo Glamrunga”. Pierwotna wersja Pieśni III ukazała w serwisie *Fahrenheit.net* (październik 2015) jako „Spłacony dług”. Pierwotna wersja Pieśni IV ukazała się w *Creatio Fantastica* nr 1 (52) 2016 jako „Gospoda na krańcu świata”.

